

Zaraz po wojnie

Zapis pierwszego dwudziestolecia
we wspomnieniach osadników
w powiecie sławieńskim

pod redakcją Jana Sroki

Sławno 2009

Redaktor: Maria Poprawska

Na okładce: Przed Bramą Koszalińską (od strony polnej),
1948 rok

© Copyright by: Wydawnictwo „Margraf”

Wydano dzięki finansowemu wsparciu
Starostwa Sławieńskiego

Wydawca: Wydawnictwo „Margraf” , 76-100 Sławno, ul. A.
Cieszkowskiego 12 d, email: margraf1@interia.pl
Fundacja „Dziedzictwo” Sławno
Druk: Sowa – Druk na Życzenie, www.sowadruk.pl
Warszawa, tel. 022 431 81 40

ISBN: 978-83-61603-08-5

Przedmowa

W 2007 roku Fundacja „Dziedzictwo” i Starostwo Sławieńskie ogłosiły konkurs na wspomnienia dotyczące powiatu sławieńskiego w 1945 roku, a więc czasu, kiedy Kreis Schlawe zmieniał się w Powiat Sławieński. Konkurs spotkał się z dość dużym odzewem zarówno wśród obecnych mieszkańców powiatu sławieńskiego, jak również Niemców, którzy w 1945 roku tu mieszkali. Materiały opublikowane zostały w ubiegłym roku w języku polskim i niemieckim.

Zachęcenii powodzeniem tego konkursu ogłosiłmy jesienią 2008 roku kolejny. Tym razem na wspomnienia z pierwszych kilkunastu lat powojennych w powiecie sławieńskim. Efektem jest tom, który Państwu prezentujemy. Znalazły się w nim materiały zawierające opis zdarzeń, których autorzy byli świadkami i uczestnikami. Zamieszczone teksty powstały zarówno współcześnie, jak również pisane były w latach 60-tych ubiegłego wieku, opisując wydarzenia jeszcze niezbyt odległe.

Wspomnienia - opowieści o czasach sprzed ponad pół wieku - to prawdziwe perełki, nie tylko ze względów literackich, lecz przede wszystkim historycznych.

Pamiętniki są bowiem źródłem wiedzy historycznej, zbiorem informacji o interesujących osobach i zdarzeniach, wreszcie są dokumentem epoki, sposobu widzenia świata.

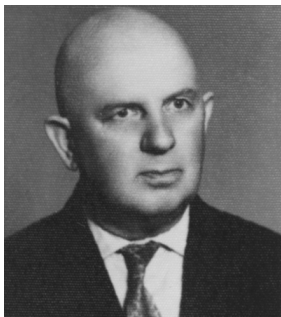
Prezentowany zbiór wspomnień stanowić będzie ważne źródło dla historyków badających dzieje powiatu sławieńskiego, ale przede wszystkim to interesująca informacja drukowana dla obecnych mieszkańców powiatu, zwłaszcza młodych, dla których pierwsze lata po II wojnie światowej to odległa historia.

Gorąco zachęcam do lektury!

Andrzej Lewandowski
Starosta Sławieński

Franciszek Balsam

Wspomnienia nauczyciela z lat 1945-1965



Po zakończeniu działań wojennych w 1945 roku w styczniu uczyłem w swojej szkole w Brzeźnie Wielkim koło Częstochowy. W lipcu 1945 roku zwróciłem się do PWRN w Gdańsku o posadę – kierownika szkoły. Naczelnik Wydziału Personalnego odpowiedział, że się spóźniłem o tydzień, bo w miejscowości Wejherowo była wolna posada, ale już jest zajęta.. Naczelnik poinformował mnie, że inspektor szkolny ze

Sławna mówił mu, że ma wolne miejsca, potrzebuje kierownika w Sławnie. Wsiadłem w pociąg i przyjechałem do Sławna. Zwróciłem się do Inspektoratu Szkolnego. W tym czasie inspektorem był Roman Wojtysiak. Po przedstawieniu przeze mnie w inspektoracie sprawy – inspektor szkolny mi na to: „kolego, to tak jakbyście mi z nieba spadli” – właśnie potrzebuję kierownika szkoły. Po obejrzeniu razem z inspektorem szkoły (obecna Szkoła Podstawowa Nr 2)¹ postanowiłem objąć szkołę i zostać w Sławnie. Roman Wojtysiak poinformował mnie, żebym się zgłosił do PUR- u: „tam otrzymanie bilet na przejazd, zezwolenie na bezpłatne przewiezienie umeblowania i rodziny”. I tak zrobiłem. Za czym objąłem szkołę w Sławnie musiałem złożyć podanie o rezygnacji ze stanowiska kierownika w Brzeźnie Wielkim w powiecie Częstochowskim i o przeniesienie służbowe. W Kielcach wizytator powiada, że u nas też potrzeba kierowników szkół. Gdy wizytatorowi przedstawiłem przyczyny, które zmuszają mnie do tego by zmienić miejsce pracy (przyczyny rodzinne – wynikłe konflikty) wizytator przyrzekł, że poprze moją sprawę u Kuratora. W rezultacie Kurator wyraził zgodę i podanie moje wraz z dokumentami wysłano do Gdańska. Sławno w tym czasie należało

¹ obecnie w budynku mieści się gimnazjum

do województwa gdańskiego. Kuratorium Gdańskie mieściło się w Sopocie. Kierownictwo Szkoły Podstawowej w Sławnie objąłem z dniem 1 września 1946 roku. Dzieci w szkole było 160. Nauczycieli było 5 osób – między innymi byli to: pani Antonina Tyszkowska, starsza osoba, państwo Błasiakowie, Jadwiga Flesznerówna, pani Zofia Koprowska. Trudności były wielkie: nie było na czym pisać, dzieci pisały na starych drukach niemieckich (z jednej strony zapisane), książek w ogóle nie było. Dzieci uczyły się z książek, które same przywozły. Dzieci pochodziły z różnych stron Polski. Trzeba powiedzieć, że dzieci dobrze ze sobą współpracowały mimo wielkich różnic regionalnych. Do stycznia 1947 roku przyjąłem ponad 100 dzieci. Każdy kto się osiedlił w Sławnie zaraz przychodził ze swoimi dziećmi do szkoły. Zainteresowanie szkołą przez osadników było wielkie tak, że pod koniec roku szkolnego 1946/47 było około 300 dzieci w mojej szkole.

Z nowym rokiem szkolnym 1947/48 Inspektorat Oświaty przydzielił do mojej szkoły 4 nowych nauczycieli. Byli to nauczyciele starsi. W trakcie roku szkolnego zgłosiły się do pracy u mnie: kol. kol. Górska i Szczygielska, która do dziś dnia pracuje w tej szkole. Liczba dzieci szybko wzrastała. Pod koniec omawianego roku szkolnego mieliśmy ponad 400 uczniów. W połowie roku szkolnego 1949/50 mieliśmy 720 dzieci. W tym czasie odszedłem do Inspektoratu Oświaty na stanowisko zastępcy inspektora. Również w tym czasie znaczna część dzieci z mojej szkoły przeszła do stopnia podstawowego nowo utworzonej Szkoły 11-letniej w Sławnie.

Do pracy w Inspektoracie przyjmował mnie nowy inspektor – był nim Franciszek Żamejć. Ob. Roman Wojtysiak wyprowadził się do Inowrocławia wraz z całą rodziną i tam do dziś dnia przebywa.

Inspektorat Oświaty swoją siedzibę miał przy ulicy Powstańców Warszawy (obecnie mieści się tam żłobek²), później został przeniesiony do budynku położonego na rogu ulicy B. Bieruta³ i Chełmońskiego (obecnie blok ten jest w dyspozycji PKP). Praca w Inspektoracie Oświaty była trudna: poruszanie się w terenie było uciążliwe z powodu braku środków lokomocji – jeżdżono rowerami, zabierano się samochodami z Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, wyko-

² obecnie jest to budynek prywatny nr 5

³ obecnie ulica Armii Krajowej

rzystywano chłopskie furmanki, a najpewniejszym i niezawodnym środkiem lokomocji były własne nogi. Nauczyciele z którymi współpracowałem najpierw jako kierownik szkoły, a później jako zastępca Inspektora Szkolnego muszę stwierdzić, że pracowali z całym oddaniem, a przede wszystkim mieli na uwadze odrobić i to jak najszybciej zaległości spowodowane przez wojnę. Kierownicy i nauczyciele pracowali w tym okresie w ciężkich warunkach: sale szkolne poniszczone, brak pieców, brak opału, drzwi poniszczone, okna powybijane.

Pierwszym dużym wysiłkiem Inspektoratu Oświaty było doprowadzenie szkół do takich warunków, w których można rozpocząć naukę. Inspektorat Oświaty przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej i osobiście skontaktował się z sołtysami, którzy dokładali wszelkich starań, aby jak najszybciej otworzyć szkołę w ich wsi.

Odczuwało się duży brak nauczycieli. Brak nauczycieli uzupełnialiśmy w różny sposób. Krótko opiszę jeden z nich: otóż w roku 1947/48 miałem dziewczynki i chłopców, którzy u mnie pokończyli siódmą klasę, a najczęściej mieli po 18 lat – spotykając się z nimi – na ulicy, mówiłem na przykład do chłopców: Mój drogi, ty masz siedem oddziałów skończonych, byłeś dobrym chłopcem, ja cię považalem – słuchaj może ty chciałbyś w szkole uczyć ?” Taki chłopiec powiada: „, pan chyba sobie ze mnie żartuje – jak ja mogę uczyć jak sam dopiero siedem oddziałów skończyłem”. Ja mu na to: „nie martw się chłopcze, pójdziesz na kurs”. Pamiętam , że zebraliśmy 14 absolwentów klas siódmych, w tym i kilka dziewcząt i wysłaliśmy na miesięczny kurs do Koszalina. Kursy takie organizował Wydział Oświaty przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Koszalinie.

Po miesięcznym kursie odbytym w Koszalinie cała „14-stka” wróciła do Sławna i rozesłaliśmy ich do szkół w całym powiecie. Część z nich pozostała w szkolnictwie i pracują do dziś dnia. Ludzie ci uzupełniali wykształcenie średnie w Państwowych Komisjach rejonowych powstałych przy niektórych liceach pedagogicznych. Nie wszyscy pracują w naszym powiecie, pracują w innych powiatach.: Słupsk, Koszalin. Można powiedzieć o nich, że są to nauczyciele zbierani z ulicy.

Pracując w Kuratorium w Koszalinie na stanowisku wizytatora liceów pedagogicznych wspólnie z Ob. Pauckim ówczesnym kierownikiem Oddziału Szkolnego i Doskonalenia Kadr zorganizowaliśmy

kurs dla kandydatów na nauczycieli. Był to kurs 10-miesięczny na bazie klasy dziewiątej ogólnokształcącej. Na kurs ten wybrano Liceum Ogólnokształcące w Sławnie. Kurs trwał przez rok szkolny 1953/54. Słuchacze kursu rekrutowali się z liceów ogólnokształcących województwa koszalińskiego. Było ich około 20 osób. Wszyscy ukończyli kurs. Ob. Stanisław Ciosk jest właśnie jednym z nich i jedynym z tych, którzy pozostali do dziś dnia w powiecie sławieńskim.

Z mojej inicjatywy zorganizowaliśmy w Sławnie Państwowe Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli. Liceum to trwało 2 lata. Część uczennic została przeniesionych do Wałcza i Lęborka. Pierwszą dyrektorką w Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli była ob. Helena Sienkiewicz, następnie stanowisko dyrektorki objęła ob. Kwietniewska.

Po trzech latach pracy w Kuratorium ze względu na brak mieszkania w Koszalinie i na 3-krotną własną prośbę przeniosłem się do pracy w Sławnie. Przeniesiono mnie do pracy w Liceum Ogólnokształcącym w Sławnie na stanowisko nauczyciela i zastępcy dyrektora.

Prócz pracy zawodowej ciągle od 1946 roku angażowałem się do pracy społecznej, a było jej bardzo dużo. Byłem przewodniczącym Powiatowego Komitetu Frontu Jedności Narodu, byłem przewodniczącym na szczeblu powiatowym „Apelu Sztokholmskiego”⁴, który wypadł naprawdę bardzo dobrze, w TWP⁵ pracuję od 1953 roku, angażowałem się do pracy nad likwidowaniem analfabetyzmu. Od 1960 roku przeszedłem na emeryturę.

Pracowałem od 1960 roku w Liceum „na godzinach” – tak, żeby nie przekroczyć 1000 złotych. Od 1 września 1964 roku przeszedłem do pracy w Inspektoracie Oświaty na stanowisko sekretarza Powiatowego Komitetu Koordynacyjnego Społecznego Funduszu Budowy Szkół. Trzeba przyznać, że rezultaty mamy dobre, bo jesteśmy na drugim miejscu w skali województwa pod względem zbiórki na SFBSz.

4 orędzie wystosowane 1950 przez Światową Radę Pokoju wzywające narody świata do przeprowadzenia plebiscytu w sprawie zakazu broni atomowych; zebrano ok. 500 mln podpisów (gł. w krajach komunistycznych).

⁵ Towarzystwo Wiedzy Powszechnej

Tadeusz Gabrysiewicz

Wspomnienie podinspektora Szkolnego

Oświaty i Kultury

Kiedy w czerwcu 1945 roku przyjechałem do Sławna skierowany przez KOSS w Sopocie zastałem już obecnego inspektora szkolnego Romana Wojtysiaka, sekretarkę Irenę Pliszczańkę oraz woźnego Pawła Borysiuka. Lokal ówczesnego inspektoratu mieścił się w wili prywatnej, w której mieszkał inspektor. Po porozumieniu z inspektorem i stwierdzeniu dobrych warunków mieszkaniowych i żywieniowych wyjechałem do Sopotu, gdzie otrzymałem nominację, a następnie do Warszawy aby zlikwidować swe sprawy i zdać prowadzoną szkołę. 1 sierpnia istniała już szkoła podstawowa w Sławnie pod kierownictwem Łaszczą Tadeusza, w Darłowie i Polanowie Ruch służbowy był duży. Napływ ludności polskiej przesiedlonej wzrastał z każdym dniem. Nauczyciele przyjeżdżający w 1945 roku zastawali dobre warunki, gdyż była jeszcze ludność niemiecka, od której przejmowano cały inwentarz martwy i żywy. Na nauczycieli angażowały się osoby chętne mające choć 7 klas szkoły podstawowej (szkoły niżej zorganizowane). Był natomiast ogromny brak książek i zeszytów. Te ostatnie przywoziło się z Gdańska. Pracownicy administracji korzystali ze stołówki w Starostwie. Przez dwa miesiące bezpłatnie, a od listopada z otwartej restauracji przy siedzibie PPR. Istniało już w tym czasie gimnazjum założone przez dyrektora Krzywkowskiego. Współpraca inspektoratu ze starostwem była w tym czasie ścisła. Wyjeżdżając w teren było się przedstawicielem ówczesnego pełnomocnika rządu (starosty) i załatwiano sprawy nie tylko szkolne, z których zdawało się potem sprawozdanie w starostwie. Wyjazdy w teren, nawet do Darłowa i Polanowa, odbywały się podwodami przysyłanymi przez sołtysów. Teren, szczególnie okolice Nowego Krakowa pełne były rozbitków armii hitlerowskiej, kryjących się w lasach, a często nocujących w lokalach w których byli nauczyciele niemieccy. Ich warunki mieszkaniowe zarówno

wyposażeniowe jak i kulturalne i gospodarcze były bardzo dobre. Dopiero po wysiedleniu Niemców zarówno nie obsadzone szkoły jak i mieszkania zostały zniszczone. Obecność ludności niemieckiej stwarzała lepsze warunki materialne, ale gorsze bezpieczeństwo ze względu na włóczące się bandy. Młodzi nauczyciele byli stale narażeni na ekscesy. Usunięcie ludności niemieckiej unormowało powoli pracę. Powstałe w Sławnie, Darłowie i Polanowie księgarnie zaczęły zaspakajać potrzeby szkół. Trzeba przyznać, że w początkowym etapie Darłowo, które nie było tak zniszczone jak Sławno przodowało w powiecie. Dużo pomocy niemieckich i dobre warunki spowodowały szybki rozwój szkół dzięki specjalnej opiece ówczesnego burmistrza Dulewicza.

Najtrudniejszą sprawą było zdobycie kadr kwalifikowanych na kierownictwa szkół wyżej zorganizowanych, ale i te powoli obsadzono (Wrześnica, Stare Sławno, Żydowo).

Podstawowym zagadnieniem – jak już powiedziałem – były kadry i podręczniki. W moim zakresie istniało zagadnienie: świetlice dla ludności polskiej, która przeniesiona na nowe tereny pragnęła łączności i pragnęła polskość na tym terenie podkreślać. Dlatego powstawało ich dużo. Zajęcia świetlicowe były bardzo popularne. Powstawały samorządnie zespoły śpiewacze, taneczne, żywego słowa. Na stroje i rekwizyty nie żałowano pieniędzy, gdyż naszym przesiedleńcom nieźle się powodziło i sprzedawanie krów, których nieraz było za dużo na stroje i rekwizyty nie stanowiło problemu. W 1946 roku zorganizowano wielki zjazd zespołów, w którym wzięło udział przeszło 2000 osób z całego powiatu. Zorganizowano też istniejący do dziś Ośrodek Oświaty i Kultury (PDK), który przez trzy lata pełnił funkcje szkoleniową w skali wojewódzkiej; prowadził chór, orkiestrę dętą, symfoniczną oraz zespoły: taneczne i teatralne. W nim odbywały się wszelkie kursy szkoleniowe.

Poza akcją świetlicową rozwijała się oświata dorosłych. W Sławnie i Darłowie istniały szkoły podstawowe dla dorosłych, a w Sławnie przy Liceum też Liceum dla Dorosłych. Przy prawie wszystkich szkołach w terenie organizowano kursy, między innymi dla analfabetów. Oświata i kultura dorosłych w Sławnie promieniowała na powiaty słupski, bytowski i miasteczki skąd przybywali uczestnicy kursów.

Poważnym osiągnięciem powiatu sławieńskiego były osiągnięcia w zakresie opieki nad dzieckiem. Był to jedyny powiat w Polsce posiadający 7 domów dziecka: 2 w Jarosławcu, 2 w Darłowie, 2 w Sławnie i 1 w Srebrnym Dworze.. Zaraz w roku 1945 wizytowała je wiceminister Krasowska. O tej działalności się wzmiankowało w wydawnictwie Pomorze Zachodnie.

Agnieszka Kowalska

Złakowskie biografie

„Przeszłość zawiera się w przeszłości i teraźniejszości.”

Drogi Czytelniku!

Jestem osobą w średnim wieku i całe moje dotychczasowe życie upłynęło na terenie gminy Postomino, powiat Sławno. Znam lub też znałam osobiście wiele osób (niektóre już w bardzo sędziwym wieku), wiele z nich już nie żyje, które przybyły w te okolice po zakończeniu II wojny światowej. Wiele rodzin z różnych regionów przedwojennej Polski tu się osiedliło. Były również przypadki, że zostały Niemki, których rodziny zostały przymusowo wysiedlone, bądź dobrowolnie wyjechały do Niemiec po ustanowieniu nowych granic. Znam ich przeżycia dzięki osobistym kontaktom i rozmowom z nimi. Spróbuję na miarę swoich możliwości przekazać Ci, co wiem na ten temat.

Zofia

Nareszcie! Skończyła się wojna i można było wrócić do Polski, do domu po 5 letnim okresie roboty w gospodarstwie u bauera. Moje rodzinne strony Czernice k/Łodzi, to słabutkie piaszczyste ziemie, z których nie można się było utrzymać. Już przed wojną zmarła moja mama, (gdy miałam 5 lat). Ojciec ożenił się ponownie, więc bardzo szybko musiałam być samodzielna i zarabiać na swoje utrzymanie. Tata był dobry dla mnie (wiele razy po kryjomu przed macochą dawał mi pieniądze na moje potrzeby), ale macocha, mimo że nie była złą kobietą, bardziej dbała o swoje dzieci niż o pasierbów. Już jako 12-letnie dziecko poznałam, co to fizyczna praca. Do wybuchu wojny byłam służącą u trzech bogatych rodzin w Pabianicach i Łodzi. Jak wielu młodych ludzi z moich okolic wojnę przeżyłam pracując jako robotnica rolna w III Rzeszy. Szansą dla nas, tzn. dla mnie i męża Władysława, był wyjazd na ziemię odzyskane. Do Złakowa

przyjechaliśmy razem z moim szwagrem Józefem Musiałą jako jedni z pierwszych z mojej wsi Czernice. Szwagier wrócił do Czernic po żonę i dzieci, a ja wraz z mężem zamieszkaliśmy w wybranym dla Musiałów gospodarstwie. W tym czasie przybywali inni i gdy na stałe zjechał szwagier z rodziną, to okazało się, że jest wolne już tylko jedno gospodarstwo. Wszystkie opuszczone przez Niemców gospodarstwa były już zajęte (pierwszą zimę przemieszkaliśmy u mojej siostry Marianny Musiał). We wsi było tylko jedno wolne gospodarstwo – pierwsze przy wjeździe do Złakowa od strony Marszewa. Państwowy Urząd Ziemski w Sławnie przydzielił je nam w użytkowanie. Pamiętam, że mąż jadąc do Sławna wziął z sobą „prezent” w postaci żywności (masło, jaja, kury), bo pieniędzy przecież nie było. Zarówno dom jak i budynki inwentarskie były zniszczone, zdewastowane i sami jak tylko mogliśmy remontowaliśmy je. Zaczęliśmy gospodarowanie na 6 ha ziemi, z czasem dokupiliśmy 5 ha. Konia kupiliśmy od Rosjan za bimber, a krowę dostaliśmy od pełnomocnika PUR-u z Postomina. Pierwsze świnki wymieniliśmy za zboże na rynku w Darłowie. Zarząd nad wsią mieli wtedy Rosjanie, którzy administrowali majątkiem. We wsi mieszkało wtedy jeszcze wiele rodzin niemieckich: Schreide, Düske, Beckmam, Nubize, Papenfüs, Miller, Cloose, Haaze.

Wszyscy oni pracowali w miejscowym majątku. Wyjeżdżali w dwóch turach. Ostatnie rodziny niemieckie opuściły Złakowo w marcu 1958 roku.

Do dzisiaj utrzymuję kontakty z rodziną Papenfüs. W tych latach we wsi było 11 budynków mieszkalnych więcej niż teraz. Dzisiaj nie ma już po nich śladu. Mieszkało 16 rodzin więcej. W parku był pałac, ale już mocno zniszczony bez okien i drzwi.

W majątku hodowano 200 krów, trochę świń, pole uprawiano końmi, było ich 16 par. We wsi nie było sklepu ani poczty. Żeby coś kupić albo wysłać list trzeba było dostać się do Postomina. Nie było już połączenia kolejowego, bo szyny z torów zabrali Rosjanie.

W tamtych latach zwiezione do stodoły snopy zboża młóciliśmy maszyną tzw. trajkotką. Po kilku latach gospodarowania kupiliśmy śrutownik, pług, siewnik. Prace w gospodarstwie były bez porównania cięższe niż teraz, tak dla kobiet jak i mężczyzn. Chleb piekłam sama, prałam na tarze – ręcznie. Nie było sklepu, nie było też dużo pieniędzy – bo skąd? Więc musieliśmy radzić sobie sami np. mydło – na-

uczyły mnie robić Niemki. A było to tak: padł nam na różycę świ-
niak taki około 60 kilo, więc sąsiadka (Niemka) przysłała do mnie i
mięso razem z kośćmi poćwiartowane włożyłyśmy do wanienki.



*Zofia Kokot Krasowska
Fot. została wykonana w czasie
robót przymusowych w Rzeszy
Niemieckiej w 1943 roku*

Za jej radą pojechałam do Ustki
tam wymieniłam jajka na sodę
kaustyczną u tych kobiet, co
pracowały w szalecie miejskim. Tą
sodę wymieszałyśmy w wanience
z poćwiartowanym mięsem i od
czasu do czasu mieszałyśmy. Gdy
wszystko się rozpuściło, to odwró-
ciłyśmy wanienkę i wyszła z niej
potężna bryła mydła. Pokroiłyśmy
to nożem na mniejsze kostki i po-
dzieliłyśmy całą wieś. I już
na jakiś czas mieliśmy wszyscy
zapas mydła. Z czasem życie co-
dzienne stało się łatwiejsze. W
1967 roku kupiliśmy pierwszy
czarno-biały telewizor, a pralkę
„Franię” w 1970 roku. Wychowali-
śmy 3 dzieci, dwie córki i syna.

W 1977 roku zmarł mój mąż Wła-
dysław, wtedy też zdałam gospodarstwo na skarb państwa w zamian
za emeryturę. Teraz ludziom na wsi żyje się dużo łatwiej. Jeśli cho-
dzi o zaopatrzenie to jest raj. Tylko, że trudno jest o pracę. Złakowo
w latach 50-tych było czyste i zadbane, a teraz, co? Wieś jest brudna
i zarosnięta chaszczami. Niemki, z którymi przyszło mi żyć po są-
siedzku w Złakowie wspominam jako bardzo gospodarne i pracowite.
Bardzo dużo się od nich nauczyłam.

Złakowo, luty 2004 rok

P.S. Pani Zosia zmarła 6 lutego 2008 roku. Znałam ją bardzo dobrze.
Wspominam ją jako osobę pogodną, życzliwą i pomocną innym.
Gdy przychodziły do niej (a przychodziły cały czas) paczki z Nie-
miec, to wszystkim dzieliła się z sąsiadkami.

Pamiętam taki mały epizod. 1 września 1973 roku szłam z walizką na przystanek (wyjeżdżałam do internatu, gdyż zaczynałam naukę w szkole średniej) Pani Zosia wybiegła ze swojego domu i wcisnęła mi w rękę dwa złote.

Władysława i Józef

Przyjechaliśmy do Złakowa z tych samych stron, co Weronika Nowak, Zofia Kokot, Musiołowie, Korytkowie, Pabisiakowie. Ich gospodarstwo było położone vis a vis mojego domu, oboje już niestety nie żyją. Tak jak i inne rodziny, które osiedliły się w Złakowie po wojnie zmagali się z trudnościami dnia codziennego, ciężko pracując w gospodarstwie i wychowując 4 dzieci, których dwójka dalej mieszka w Złakowie. Pani Władysława opowiadała mi, jak w latach 50-tych nocami szła na poniemieckiej maszynie do szycia ubrania dla dzieci, ponieważ nie było gdzie i za co kupić gotowej odzieży. Józef był rolnikiem bardzo nowatorskim. Jako jeden z pierwszych w gminie Postomino zaczął uprawiać kminek, sporysz, wczesne ziemniaki, które sprzedawał w Ustce. Z jego pomysłów korzystali inni rolnicy. Jego pomysłem były pierwsze w gminie tunele foliowe z uprawą pomidorów, po które to owoce przyjeżdżali ludzie z okolic. Pani Władzia ważąc pomidory, zawsze obdarowywała kupującego pysznymi owocami ze swojego sadu i również życzliwym słowem. Józef był typowym patriarchą. To on rozstrzygał konflikty między dziećmi i z jego zdaniem najbardziej się liczone. Był mężczyzną statecznym, rozważnym, świat i ludzi postrzegał z ciepłą, życzliwą ironią. Opowiadał mi, że po zakończeniu wojny przejechał całą Rzeszę Niemiecką rowerem, aż do Świnoujścia i tu cytuję „patrz, cholera przejechałem przez całe Niemcy, a w Świnoujściu rower ukradli mi Ruscy”. Gdy owdowiał, będąc już emerytem w latach osiemdziesiątych przez krótki czas hodował kilka kóz. Owe kozy wypożyczyła ekipa filmowa na jeden dzień zdjęciowy (film o pierwszych po II wojnie osadnikach kręcono w pobliskiej Ustce). Po otrzymaniu zapłaty za kozy – statystki przyszedł do mnie i skwapliwie przeliczywszy zapłatę stwierdził: „na pół litra dali, ale na kaucje za butelkę już nie”.

Ostatnie kilkanaście lat życia Pan Józef spędził poza Złakowem (na Śląsku). Dopóki pozwalało mu zdrowie przyjeżdżał do Złakowa. Odwiedzał wszystkich znajomych prowadząc z nimi żywe, błysko-

tliwe dysputy (interesował się życiem sąsiadów). Bardzo ubolewał, że Złakowo jest takie brzydkie i zaniedbane. Obecnie, gdy moja wieś zaczyna „wychodzić z krzaków” pokazując swój urok często myślę o Panu Józefie i żałuję, że tego nie doczekał. Myślę, że skomentowałby to w charakterystyczny dla siebie sposób - z dystansem i życzliwą ironią.

Jego sposób bycia nacechowany był powagą i dostojenstwem.

Złakowo ,wrzesień 2009 r.

Ruth i Jan

Urodziłam się w Marszewie w 1936 roku. Nie mam rodzeństwa, bo mama zmarła zaraz po moim urodzeniu, a byłam pierwszym dzieckiem, więc wychowywali mnie dziadkowie. Dziadek mój Friedrich Vilke do 1925 roku był właścicielem młyna we wsi Zaleskie. W roku 1925 dziadek kupił drugi młyn, (już o napędzie wiatrowo – elektrycznym) a także dom we wsi Marszewo. Młyn spalili Rosjanie po wkroczeniu do Marszewa, a dom istnieje do dzisiaj. Prowadzenie młyna przynosiło godziwy dochód, tak więc moi dziadkowie byli ludźmi zamożnymi. Babcia zastąpiła mi matkę. Dzieciństwo miałam szczęśliwe i beztrudne aż do końca wojny. Mój świat się zawalił, gdy 8. marca 1945 roku do Marszewa wkroczyli Rosjanie i wszyscy mieszkańcy musieli natychmiast swoją wieś opuścić (pozwolili zabrać tylko niezbędne rzeczy). Całą zimę tułaliśmy się po różnych wsiach w okolicach Sławna. Wtedy w wieku 55 lat zmarła moja babcia Anna Vilke. Było to w maju 1945 roku . Pamiętam, że było to w okolicy Żukowa. Ponieważ przeganiało nas z miejsca na miejsce to nawet nie wiem gdzie jest grób mojej babci. Jesienią 1945 roku z wujkiem Hansem Vilke, który traktował mnie jak młodszą siostrę przyjechaliśmy do Zaleskich.

W styczniu 1958 roku do Niemiec wyjechały dwie siostry mojej mamy Elizabeth i Kristel, później wuj Hans. Ja zostałam w Polsce. Zakochałam się pierwszą młodzieńczą miłością z wzajemnością w Polaku Janku Zawiszy. 24 grudnia 1954 roku wzięliśmy ślub. Pamiętam, że w przeddzień naszego ślubu jechaliśmy rowerami do Naćmierza, bo tam mieścił się Urząd Gminnej Rady Narodowej po moją metrykę urodzenia. Wesela żadnego nie mieliśmy, bo rodziny moja i mojego męża były bardzo przeciwne naszemu małżeństwu. No,

bo jakże to, „bierzesz za żonę Niemkę?”, „A ty Ruth wychodzisz za mąż za Polaka?”. Mimo niechęci i braku jakiegokolwiek pomocy postąpiliśmy tak, jak dyktowały nam nasze serca. Cały czas utrzymuję kontakt z rodziną mojej mamy w Niemczech. Mieszkamy wraz z mężem w Zaleskich. Wychowaliśmy piątkę dzieci. Doczekaliśmy się ośmiorga wnucząt i trojga prawnucząt. Nie żałuję, że zostałam w Polsce, mimo że długi czas towarzyszyło mi uczucie wyobcowania. Wiele razy moje otoczenie dawało mi do zrozumienia, że nie jestem stąd i że jestem „tą Niemką”. Natomiast, gdy jeździłam do rodziny w Niemczech, to słyszałam komentarze: o! przyjechała ta „Polka”. To jest cena, którą zapłaciłam za to, że poszłam za głosem serca, ale nie żałuję decyzji o pozostaniu w Polsce i wyborze Polaka na męża. Zawsze gdy było mi trudno i ciężko, był przy mnie mój mąż Janek, który mnie chronił i wspierał.

Jan

Do Zaleskich przyjechałem w 1945 roku ze spalonej Warszawy. Jakoś tak z własnej inicjatywy zacząłem prowadzić dom kultury w Zaleskich. Do tej wsi przyjechało dużo młodych ludzi, którzy spotykali się w świetlicy, ja zacząłem im organizować wolny czas i po trzech miesiącach dostałem angaż jako kierownik domu kultury. Najpierw jednak ukończyłem trzymiesięczny kurs w Otwocku koło Warszawy. Prowadziłem tę świetlicę sześć lat. Zakochałem się w pięknej dziewczynie o imieniu Ruth. Uczucie było tak silne, że na przekór naszym rodzinom postawiliśmy na swoim i do dziś cieszymy się sobą i swoim małżeństwem.

W tamtych latach komunikacją ze światem był samochód „Lublin” kryty plandeką. Siedziało się na drewnianych ławeczkach. Był jeden kurs dziennie do Słupska i jeden z powrotem.

P.S. Państwo Ruth i Jan Zawiszowie potrafili uchronić swoje uczucie przed prozą dnia codziennego i mimo, że są małżeństwem z 45 letnim stażem w ich wzajemnym odnoszeniu się do siebie jest miłość i szacunek. Naprawdę z przyjemnością się na nich patrzy.

Zaleskie, luty 2009 rok.

Renate

Urodziłam się w Postominie, tu chodziłam do szkoły a teraz już jako emerytka mieszkam w Pieńkowie. Całe moje życie związane jest z

gminą Postomino. Przed wojną był w Postominie majątek, gdzie wielu ludzi pracowało. Pamiętam, że jeden mój dziadek był stolarzem w tym dworze i nauczył tego fachu wielu młodych chłopców. Drugi dziadek był zatrudniony jako woźnica. Musiał być w ciągłej gotowości i na każde wezwanie jechać końmi i powozem gdzie mu kazano. Najczęściej jeździł do Sławna. Jak byśmy to dziś nazwali był osobistym kierowcą właściciela majątku w Postominie. Mój ojciec Gerhard Bunz był zatrudniony w tym majątku przy obsłudze koni, a mama Erna zajmowała się domem i wychowaniem trójki dzieci. Byłam ja, moja siostra Kristel i brat Klaus, najmłodszy z nas. Brata (który miał wtedy roczek) ojciec widział tylko raz, bo został wysłany na front by bronić III Rzeszy i zginął w 1945 roku.

Mama jakoś sobie radziła. Z majątku był opał, działka na ziemniaki, hodowaliśmy krowę. Mama dostawała pieniądze za to, że tata walczył na wojnie i tak sobie żyliśmy. Wtedy w Postominie były trzy sklepy spożywcze i jeden przemysłowy (teraz jest to dom Państwa Pawłowskich). Najtrudniejszy był ten czas, gdy Postomino zajęli Rosjanie. Wtedy, a był to początek marca 1945 roku wszystkich mieszkańców Postomina Rosjanie wygonili. My trafiliśmy do bauera w Staniewiczach. Byliśmy tam 3 miesiące. Gdy wojska rosyjskie poszły dalej na zachód, to my wróciliśmy do Postomina.

Pamiętam, jak Rosjanie zwołali wszystkie kobiety nadające się do pracy (moja mamę też) nie mówiąc, dokąd je zabierają. Boże, jak strasznie się bałam żeby nie zrobili jej krzywdy i modliłam się by cała i zdrowa wróciła do domu. Okazało się, że Rosjanie zapędzili te wszystkie kobiety (mężczyzn nie było, bo walczyli na froncie) do rozbierania szyn. Od tego czasu przestała funkcjonować kolej. Do dziś zachowały się nasypy kolejowe i wiadukty. Na szczęście mamie nic złego nie zrobili i wróciła do domu. Ten czas był w moim życiu najtrudniejszy. Byłam najstarsza z rodzeństwa i dlatego czułam się odpowiedzialna za rodzinę – kradłam mleko, zboże, żebyśmy mogli tylko jakoś przeżyć. Wiele kobiet było gwałconych przez Rosjan. Zdarzały się nawet samobójstwa.

Jak skończyła się wojna, to bauerzy (rolnicy indywidualni) zostali zmuszeni do opuszczenia Postomina i musieli wyjechać do Niemiec. Robotnicy, którzy pracowali w majątku mieli wybór – mogli wyjechać lub zostać. Moja rodzina opuściła Postomino w 1957 roku. Ja już wtedy byłam mężatka, matką Marysi. Ja też chciałam wyjechać

do Niemiec, ale był temu przeciwny mój mąż i zostaliśmy tutaj. Było mi przykro, że wyjeżdżają moi najbliżsi: rodzina, koleżanki, znajomi. Najtrudniej było mi przeżyć rozstanie z moją siostrą Kristel, wyjechała jako ostatnia z mojej rodziny, a byliśmy ze sobą bardzo zżyte. Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że przyjdzie mi żyć między obcymi, że zostałam sama tylko z mężem i dziećmi. Mój mąż Benedykt pracował w Gospodarstwie Hodowli Zawodowej w Postominie jako magazynier aż do emerytury. Ja nie pracowałam zawodowo, prowadziłam dom i zajmowałam się wychowywaniem czwórki dzieci. Owdowiałam w 1999 roku.

Utrzymuję kontakt z rodziną w Niemczech, odwiedzamy się. Kiedyś wspierali nas materialnie paczkami i markami.

Teraz mieszkam w Pieńkowie, jestem na emeryturze. Nie narzekam na ludzi, wśród których przyszło mi żyć. Z wszystkimi staram się żyć dobrze. To jest moje miejsce na ziemi. Na cmentarzu w Postominie pochowani są moi dziadkowie i babcie, ciocie, wujkowie i kuzynostwo. Na tym samym cmentarzu spoczywa mój mąż i przedwcześnie zmarły syn Henryk. Nie doznałam wypędzenia. Jestem wrośnięta w tę ziemię i tu chcę pozostać do końca. A ludzie? Uważam, że wszędzie są różni i dobrzy, i źli.

Pieńkowo, styczeń 2008 rok.

Irena

Moja mama Irena urodziła się w 1917 roku, przed wojną żyła w okolicach Drohobycza (okolice Lwowa). W 1942 roku została wywieziona na roboty przymusowe do Niemiec, gdzie pracowała przy obsłudze krów u trzech bauerów. Pod koniec wojny trafiła do obozu koncentracyjnego Ravensbrück, za to, że zakochała się w Niemcu. On również trafił do obozu. Gdy zakończyła się wojna przyjechała do Polski na Żuławy Wiślane (okolice Nowego Dworu Gdańskiego). Tam w marcu 1957 roku przyszłam na świat. Tereny Żuław często były zalewane przez wodę, dlatego też wraz z mężem Janem i malutką córeczką w 1958 roku przyjechali do Złakowa, gdzie oboje pracowali w miejscowym Państwowym Gospodarstwie Rolnym. Mój ojciec Jan wkrótce zmarł. Jest pochowany na cmentarzu w Marszewie. W 1964 roku za uzbierane pieniądze mama kupiła 8 hektarowe gospodarstwo w Złakowie i postanowiła gospodarować. Nie było łatwo samotnej kobiecie pracować na roli i wychować dziecko. Bardzo

ciężko pracowała fizycznie. Gdy w 1975 roku przyszła na świat moja pierwsza córka, a jej pierwsza wnuczka Katarzyna, to zwróciła się do mnie, swojej jedynej córki tymi słowami: „wiesz, Agnieszko nigdy nie myślałam, że doczekam potomstwa, bo w obozie (Raavensbrück był obozem kobiecym) dawali nam środki na bezpłodność, a już w ogóle nie miałam nadziei, że doczekam się wnucząt. Moja mama zmarła w 2001 roku. Doczekała się trzech wnuczek i dwóch wnuków, oraz dwóch prawnuczek.

Złakowo, czerwiec 2009 rok.

Halina

Urodziłam się 17.09.1943 roku jako czwarte z kolei dziecko Mariany i Józefa Musiałów. Moi rodzice wywodzili się z miejscowości Czernice koło Wielunia. Do Złakowa przyjechali w 1946 roku. Objęli gospodarstwo, w którym jeszcze mieszkała rodzina niemiecka, o ile dobrze pamiętam nazywali się Haase. Rodzina ta (rodzice i trzy córki) zajmowali jeden pokój, a moi rodzice z dziećmi-drugi. Rodzina Haase wyjechała ze Złakowa pierwszym transportem. Tak jak inne polskie rodziny, które osiedliły się po wojnie w Złakowie również moi rodzice utrzymywali się z pracy na roli. Oprócz budynków i ziemi był jeszcze koń, który służył do pracy w polu. Rodzice moi dorabiali się od zera. Mój ojciec był sołtysem Złakowa od 1946 roku aż do swojej śmierci, czyli do roku 1969.

Nie było w domu biedy mimo, że byliśmy liczną rodziną. Było nas ośmioro rodzeństwa. Jadłospis był oparty na produktach z gospodarstwa. Masło swojej roboty, chleb własnego wypieku, warzywa z ogródka, jajka też od swoich kur. Mięso jadało się wtedy rzadziej niż teraz. Gdy zaczął funkcjonować we wsi sklep spożywczy to bardzo chcieliśmy, żeby mama kupowała chleb. Przywożono codziennie świeży, a mama piekła raz na tydzień. Teraz z nostalgią wspominam smak tego swojskiego chleba i masła.

Pierwsze cztery klasy szkoły podstawowej ukończyłam w Marszewie. Chodziliśmy do szkoły pieszo na skróty polnymi drogami. Zimą, gdy zamarzały stawy, a był taki na naszej trasie do szkoły, to nieraz tak zapamiętałe się ślizgaliśmy, że zapominaliśmy o całym świecie i o lekcjach. Zdarzało się nieraz, że docieraliśmy na ostatnią lekcję. Od klasy piątej do siódmej chodziłam do szkoły w

Zaleskich. Drogę do Zaleskich też pokonywaliśmy pieszo. Rzadko, kiedy już naprawdę zawiąło drogi, to mój tata zawoził nas do szkoły końmi zaprzęzonymi do sań. Gdy patrzyłam na ciężką pracę moich rodziców, to postanowiłam, że ja na pewno nie będę gospodarować. Nauczyciele z podstawówki radzili, abym poszła do liceum pedagogicznego, ale bałam się egzaminów wstępnych i nie skorzystałam z ich podpowiedzi, czego dzisiaj żałuję. Ukończyłam kurs kroju i szycia w Słupsku na ul. Bema. Trwało to dwa lata. Był to odpowiednik dzisiejszej szkoły zawodowej. W 1960 roku wyjechałam do Kołobrzegu (za namową mieszkającej tam znajomej), bo chciałam się usamodzielnąć finansowo, a tam było łatwiej o pracę. Do Złakowa wróciłam w 1966 roku już jako mężatka.



*Siostry Musiałówny: Halina, Zofia i Janina.
Fotografia wykonana w 1949 roku*

Złakowo w czasach mojego dzieciństwa i młodości pamiętam jako wieś , w której kwitło życie towarzyskie, chociaż nie było wtedy telewizorów. Jedynie w biurze Państwowego Gospodarstwa Rolnego było radio, a w poszczególnych domach były głośniki. Wszyscy słuchali tego programu, który był ustawiony w PGR. Od roku 1956 był w Złakowie kołchoz, który rozwiązano w 1957 roku. Założenie kołchozu było wymuszone przez władze. Jedynym rolnikiem, który nie chciał przystąpić do kolektywnej gospodarki był Władysław Kokot. Z tego powodu był szykanowany obowiązkowymi dostawami żywności, zboża i ziemniaków. Pamiętne dla rolników ze Złakowa były żniwa 1957 roku. Były tak duże ulewy, że część zboża została na polach, a ziemniaki wywozili z pól na taczkach po rozłożonych deskach. Młodzież ze wsi (ja też) chodziła gromadą szukać stonki (którą oczywiście zrzuciła UNRRA) w ziemniakach. Miejsce gdzie udało się zlokalizować wroga oznaczaliśmy wysokimi tyczkami. Od maja (a może wtedy były ciepłe) w każdą niedzielę całe rodziny brały prowiant i popołudnia spędzały w miejscowym parku. Park był zadbane, trawa przystrzyżona. Zajmował się tym specjalnie wyznaczony robotnik. Teraz do parku nie można wejść tak jest zarosnięty. A szkoda, bo są w nim kilkusetletnie drzewa-pomniki przyrody. Bardzo źle się stało, że park został sprzedany w prywatne ręce. Teraz gdy jest możliwość uzyskania dotacji z Unii Europejskiej można by było ten piękny aczkolwiek bardzo zaniedbany park zrewitalizować i mógłby on stanowić atrakcję turystyczną, ale niestety przez czyjąś nierozważną decyzję my mieszkańcy Złakowa zostaliśmy pozbawieni prawa decydowania o tym co stanowi integralną część naszej wsi. Naprzeciw parku był potężny sad i ogród. W tym ogrodzie uprawiane były warzywa na zaopatrzenie stołówki w PGR. Gdy miałam dziesięć lat poszłam do sadu , aby urwać czereśni. Gdy siedząc na drzewie dziewczynkę zauważył przechodzący akurat kierownik PGR zaczął mnie usilnie prosić o zejście z drzewa. Bał się, abym nie spadła. Gdy spytał mnie o nazwisko podałam jakieś zmyślane, bo bardzo się bałam kary za kradzież czereśni. I tak z godzinę bawiliśmy się w kotka i myszkę. Im bliżej ten pan podchodził tym wyżej wchodziłam na drzewo. Podchodził, bo pewnie chciał mi pomóc zejść. W końcu skapitulował i odszedł na bezpieczną dla mnie odległość. Błyskawicznie oceniłam sytuację, skoczyłam z drzewa na ziemię i ile sił w nogach pobiegłam do domu. Jako dorosła kobieta dotrzymałam da-

nego sobie w młodości słowa i nie przejęłam gospodarstwa po rodzicach. Pracowałam w Gospodarstwie Hodowlnej Zarodowej w Żłakowie aż do jego likwidacji w 1991 roku.

Posłowie

Nasi ojcowie, przybywając na ziemię postomińską z różnych regionów Polski wnieśli jakże różną kulturę, obyczaje, gwara. Czas jak kucharz mieszał to wszystko w tyglu wydarzeń tworząc zupełnie nowe jakości – jak smaki potrawy. A my ich potomstwo bazujemy na tym i postaramy się przekazać to, co najlepsze następcom.

Ludzie, których losy pokrótce przedstawiłam to pokolenie, które już odchodzi. Na ziemi postomińskiej żyjemy my – ich dzieci. Z upływem czasu, gdy człowiekowi przybywa lat zmienia się jego optyka postrzegania świata, ludzi i zdarzeń.

Zapewne gdybym obecnie miała 20 lat nie zaprzętałabym sobie głowy spisaniem przeżyć bohaterów tej pracy. Jako osoba dojrzała uważam, że należy utrwalić i przekazać to, co wiem o ludziach, którzy przybyli na te ziemie po wojnie.

Dla Niemców stąd wysiedlonych ziemia Sławieńska jest ich „Vaterlandem”, natomiast dla Polaków przybyłych tu z różnych rejonów przedwojennej Polski „krajem ojców” są te miejsca, które z powodu biedy i przeludnienia musieli opuścić jako młodzi ludzie. Tam została ich młodość i groby przodków. Warunki życia na wsi postomińskiej zmieniły się bardzo na lepsze w ciągu 64 lat od zakończenia wojny. W czasach, które opisałam, głównym źródłem utrzymania była praca na roli – bardzo ciężka, fizyczna praca. Status materialny mojego pokolenia jest nieporównywalnie wyższy, a praca też dużo lżejsza. Gdy na co dzień obserwuję malkontenctwo (niestety nie jedyną z wielu paskudnych przywar nas Polaków) nasuwa mi się taka myśl – cieszymy się tym, co mamy i doceniemy to, że historia nie rzucała nas po świecie jak wiatr ziarnka piasku. Z kobiet, które opisałam (oczywiście poza moją mamą), najbardziej wryły mi się w pamięć Władysława i Zofia. Ujmowały swoją dobrocią, oddaniem rodzinie, otwartością, życzliwością dla innych ludzi. Chyba te ich bardzo podobne charaktery sprawiły, że bardzo się obie lubiły. Życie towarzyskie w tamtych latach, to oprócz potańcówek były także spotkania w długie zimowe wieczory gdzie przy wielkim stole matki i córki, są-

siadki dały pierze na poduszki. Nazywały się te spotkania „pierzajki”. Owe pierzajki kończyły się poczęstunkiem i potańcówką. A ile było śmiechu i krzyku, gdy chłopcy wpuścili do pokoju gołębie, a one fruując wzbijały w górę tumany pierza.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku zlikwidowano Gospodarstwo Hodowli Zarodowej w Złakowie. Zmienił się od tego czasu rytm życia w mojej wsi. Większość dorosłych mieszkańców znalazła pracę w podusteckim Morpolu. Po oborach, w których hodowano 220 sztuk krów dojnych (przez krótki czas pracowałam w GHZ jako zootechnik) pozostały tylko hałdy zmielonego gruzu i taka jakaś przygnębiająca cisza.

Bronisław Kruszelnicki

Wspomnienia z powojennego Sławna

17 września 1947 roku wróciłem do kraju z Niemiec, gdzie przebywałem od 1944 roku na przymusowych robotach. Transport, którym przyjechałem do Polski został skierowany od razu na Ziemię Zachodnie, a wagon, w którym przyjechałem został odesłany do Koszalina. Widok miasta zrobił na mnie początkowo przykre wrażenie, chociaż w Niemczech widziałem bardziej rozbite miasta np. Essen, Monachium i inne. W Koszalinie zamieszkałem kilka dni w domu rodziny jednej nauczycielki Pani Zofii Nojdałowej, z którą po wyzwoleniu nas przez Francuzów pracowałem dwa lata w szkolnictwie polskim zorganizowanym przez Wydział Konsularny Misji Wojskowej przy Radzie Kontroli w Berlinie. Pierwszy rok 1945/46 pracowałem na stanowisku dyrektora szkoły technicznej w Schrambergu. W roku 1946/47 na stanowisku inspektora szkolnego i instruktora oświatowego w Schwemmingen. Gdy w roku 1947 szkoły zostały zlikwidowane i ostatni transport miał odejść do kraju, tamtejsze koło orientacji londyńskiej zaproponowało mi pracę w nowo powstałej szkole światowej YMCA obiecując mi w przyszłości wyjazd do Anglii lub Ameryki.

Propozycję tę odrzuciłem i zgłosiłem się do transportu, który z Villingen miał wyruszyć do Polski.

Wracając do mego przyjazdu do Koszalina wyjechałem stamtąd do Kuratorium Okręgu Szkolnego woj. Szczecińskiego gdzie zgłosiłem się do służby w szkolnictwie zawodowym.

Wizytator ob. Lemanowicz zaproponował mi Sławno lecz kazał mi najpierw pojechać tam i oglądnąć miasto, ażeby nie musiał odwoływać się na to, że miasto to mi nie podoba się, gdyż jest w 69% zniszczone.

Na to mu odpowiedziałem, że im bardziej zniszczone miasto tym lepiej, bo będę mógł założyć szkołę budowlaną. Wprost ze Szczecina wróciłem do Koszalina a stamtąd transportem PUR do Sławna. W

Sławnie przez 17 dni musiałem zamieszkać w hotelu PCK, gdyż burmistrz ob. Łączyński nie chciał mi dać mieszkania, mówiąc, że im szkoły zawodowej nie potrzeba, gdyż Sławno jest miastem martwym, gdzie najwyżej mogą mieszkać emeryci a na szkołę i internat miejsca nie ma. Dopiero na interwencję starosty zgodził się dać mi mieszkanie, a naukę teoretyczną rozpocząłem w godzinach popołudniowych za zgodą kierownika ob. Franciszka Balsama w szkole powszechnej nr 2. W mieście upatrzyłem sobie dwie rozbite kamienice, które odremontowałem i w roku szkolnym 1948/49 rozpocząłem naukę rzemiosła. Uruchomiłem działy: murarski, stolarski, i krawiecki. Wobec dużego napływu uczniów budynki te okazały się za małe, wobec czego zająłem trzy kamienice przy ulicy I Pułku Ułanów, które zostały zniszczone i stały puste, i mimo sprzeciwu burmistrza dałem je odremontować za 300 tys. złotych, które wyasygnowało Kuratorium. Pierwszy egzamin odbył się w roku 1951 w miesiącu czerwcu, który złożyli wszyscy absolwenci. Gdy w roku 1951 nie chciałem się zgodzić na propozycję delegata Kuratorium w Koszalinie ob. Malinowskiego na likwidację działu murarskiego, przekształcając go na 3-6 miesięczny kurs, zostałem przez niego przeniesiony na posadę do Kołobrzegu. Złożyłem wtedy skargę na niego do Kuratorium w Szczecinie i dyrektor okręgowy ob. Piestrak przeniósł mnie do D. gdzie pełniłem obowiązki kierownika internatu w nowo założonej szkole budowlanej, pracując równocześnie na stanowisku nauczyciela przedmiotów zawodowych. W roku 1952/53 zostałem przeniesiony na stanowisko dyrektora w szkole metalowej w Szczecinie. Wobec tego, że w grudniu zachorowałem dostałem zezwolenie na przeniesienie do Koszalina na stanowisko dyrektora szkoły metalowej, dokąd mogłem codziennie dojeżdżać ze Sławna, gdzie mieszkała moja rodzina.

W roku 1953 po ukończeniu 65 roku życia zostałem emerytowany i w roku szkolnym 1953/54 pracowałem nadal w tej szkole na stanowisku dyrektora administracyjnego. W roku 1954/55 pozostałem w Sławnie i zostałem zaangażowany do BeP-u na stanowisko technika BHP. W roku 1955/56 zostałem przy reorganizacji przedsiębiorstw budowlanych przeniesiony do Słupska na to samo stanowisko. W roku 1956/57 powróciłem do Sławna i pracowałem nadal w tymże BeP-ie do końca 1957 roku. Po otrzymaniu pełnej emerytury przestałem pracować. Dopiero w roku 1962 na propozycję Inspektora

Szkolnego ob. Nieboraka od 1 lutego do końca 1962 roku pracowałem w szkole podstawowej nr 2 w Sławnie na stanowisku nauczyciela robót ręcznych i rysunków. Miałem wówczas lat 74.

Obecnie siedzę w domu i zajmuję się ogrodnictwem we własnym domu, który mi sprzedał Bank Gospodarski Krajowej w Poznaniu. W zimie czytam książki z biblioteki ZNP w Sławnie. Mimo mego wieku lat 77 czuje się tak dobrze, że mógłbym nadal pracować, lecz na przeszkodzie stoi to, że tracę słuch.

Maria Kufel

We Wrześnicy po wojnie

Wśród Polaków podążających tuż za armią wyzwalającą Ziemię Zachodnie nie brakło również nauczycieli. Do Wrześnicy przybyło dużo osadników polskich już w czerwcu 1945 roku, a wraz z nimi ob. Stanisław Siemek, pierwszy kierownik szkoły we Wrześnicy., ze swoją żoną Janiną – nauczycielką. Kierownik szkoły otrzymał mianowanie na to stanowisko z dniem 13 lipca 1945 roku.

Mimo, że osadników we Wrześnicy było już dość dużo, to niewiele było jeszcze dzieci. Wielu przybyło w pojedynkę, aby najpierw zabezpieczyć warunki, a potem sprowadzić rodziny. Dlatego też w dniu rozpoczęcia pierwszego roku szkolnego 1945/46, który nastąpił 4 września 1945 roku było tylko 11 dzieci. Do końca tego roku szkolnego doszło do szkoły 87 dzieci i rok szkolny zakończył się liczbą 98 dzieci.

Jeżeli chodzi o organizację nauczania, tak tu jak i w wielu innych szkołach przebiegała ona w zależności od inicjatywy kierownika szkoły i ofiarności społeczeństwa.

Trzeba było zrobić bardzo dużo. Budynek szkoły pozostał niezniszczony, ale trzeba było natychmiast oszklić okna, co wówczas nie było wcale łatwe. Kierownik szkoły potrafił dość szybko przy pomocy społeczeństwa ten problem rozwiązać.

Drugi okres wojny zrobił swoje. Polacy pragnęli, aby ich dzieci zaczęły się jak najprędzej znowu uczyć. Nie było to takie proste. Brak podręczników szkolnych, zeszytów i innych przyborów koniecznych do nauki nie sprzyjał osiągnięciu zamierzonych celów. Z początku rozdawano dzieciom do pisania papier z jednej strony zadrukowany. Nie trwało to jednak długo. Z każdym miesiącem, tygodniem, dniem następowała widoczna stabilizacja, a warunki w szkole poprawiały się. Jesienią na podwórku szkolnym stale kręcili się gospodarze – rolnicy. Przywozili drzewo, rąbali je, układali, aby w klasach było ciepło. Z tego opału korzystali również nauczyciele. Ta życzliwość

społeczeństwa mocno wpłynęła na to, że nauczyciele również nie oszczędzili swych wysiłków. We Wrześnicy osiedlili się ludzie z różnych stron, z województwa krakowskiego, łódzkiego, poznańskiego i z Pomorza. Z lubelskiego byłam tylko ja jedna. Na początku pomagali sobie wszyscy. Później zaczęły się tworzyć jakieś pewne grupy w zależności od tego, skąd kto pochodził. W szkole też dało się to zauważyć. Dokuczano przeważnie dzieciom pochodzącym z pow. Opoczno, Wieluń czy Białaczów. Wynikało to z tego, że dzieci te mówiły gwara przeniesioną ze swoich stron.

Rok 1950 różnice te zaciera, przynajmniej na terenie szkoły. Zaciera ją też różnice na terenie wsi wśród starszych, a szczególnie giną stroje regionalne przewiezione tu z Opoczna, Wielunia czy krakowskiego. My nauczyciele w rozmowach z ludźmi staraliśmy się zapobiegać temu, ale nie udało się nam.

Ja wraz z kolegą Witoldem Swędrowskim rozpoczęliśmy tu pracę z dniem 1 września 1946 roku. Przyjęto nas bardzo serdecznie. Mnie i koledze urządzono mieszkanie w szkole. Naznoszono pierzyn, poduszek, bielizny pościelowej i innej, słowem nie brakło nam niczego. Stołowaliśmy się u sołtysa ob. Misioszka Jana, ale kiedy nie chciał przyjąć od nas zapłaty nie poszliśmy tam na drugi miesiąc. Stołowaliśmy się u kierownika szkoły.

Rok szkolny 1946/47 rozpoczęło tu trzech nauczycieli i 110 dzieci. Pracy było dużo. W tym roku dzieci zostały już zaopatrzone w podręczniki szkolne, ale takie jak historia, geografia, przyroda mieli tylko nauczyciele. Jeżeli chodzi o pomoce, to poza przyborami do geometrii nic się nie zmieniło. To co się dało, wykonywali nauczyciele sami. Np. kol. Siemek wykonała tablice ortograficzne do języka polskiego. Ja tablicę z datami historycznymi, a kol. Swędrowski robił liczmany. To był najgorszy okres w pracy szkolnej pod względem wyposażenia szkoły i warunków materialnych nauczycieli. Mimo wszystko zaliczam ten okres do najprzyjemniejszych w mojej pracy. Byłam młoda jak wielu moich kolegów i koleżanek. Miałam dużo zapału i sił do pracy w szkole, której wszyscy Polacy gorąco pragnęli. Miałam i mam zaszczyt, że byłam tu pionierem. W początkach – właśnie tych trudnych na bieżąco obserwowało się wyniki swej pracy w szkole i w środowisku. Wybrano mnie również przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich. Potem wypadki potoczyły się bardzo szybko. Trudno dziś uwierzyć nawet mieszkańcom wsi, że majątek

szkoły przekracza ponad ,5 miliona złotych. Uczniowie moi z lat czterdziestych są nauczycielami, inżynierami, technikami, ja uczę już ich dzieci.

Z okazji 20-lecia Polski Ludowej urządziliśmy w szkole spotkanie z pierwszymi osadnikami i uczniami naszej wsi. Dzieci szkolne słuchały tych wspomnień jak bajki, nie zawsze dając wiarę prawdziwej historii naszej szkoły.

W wielu szkołach na Ziemiach Odzyskanych rozpoczęto po długich latach naukę w języku polskim i wielu nauczycieli – pionierów rozpoczęło w nich swój życiowy start.

Jadwiga Lammer

Wspomnienia z Karsina

Od 18 lat mieszkam za granicą, ale często myślę o Karsinie - mojej rodzinnej wiosce. Już jako dziecko byłam bardzo ciekawa i w mej pamięci pozostały mi miłe zdarzenia z dzieciństwa, spisałam parę ciekawych zdarzeń.

* * *

W Karsinie mała, ale stała...

Przy drodze prowadzącej do gospodarstwa pp. Brzozowskich, po lewej stronie przed płotem, stała mała Kuźnia z jasnej cegły i dachówki. Oczywiście budynek ten był okopcony, z drewnianymi drzwiami; przez szparę widziałam narzędzia kowala wiszące na ścianach obok paleniska. Po lewej stronie stał betonowy basen z wodą (chyba jeszcze stoi).

Rok 1957/8 - byłam zbyt mała, aby pamiętać czy Pan kowal mieszkał w Karsinie i czy kuźnia tylko w sezonie letnim służyła usługami rolnikom. Pan Jurek i mój kuzyn Edek Matuszak muszą więcej wiedzieć - mnie utkwił w pamięci jeden ciekawy dzień:

„Śmierdzisz dymem, jakby Cię przez komin przeciągnął” - złościła się moja mama - „znowu kręciłaś się koło kuźni”.

Pewnie, że się kręciłam, stałam za pochyloną jabłonką i obserwowałam konie, które stały przy wozach. Jeden akurat podkuwany patrzył swoimi dużymi oczami na swego gospodarza, który trzymał go za uzdę, dalej stał smutny koń z opuszczoną głową, jedną nogę podkurczył - czy go bolała, czy też był zmęczony - nie wiem. Przy płocie stała jeszcze para koni zaprzężona do wozu. Jeden koń sprawiał wrażenie doświadczonego i z całym spokojem zjadał coś z worka, wiszącego na jego szyi. Tego ciemnego, dużego bałam się. Miał on długą sierść przy kopytach i potrząsał nerwowo łbem, parskając głośno. Schowałam się za jabłoń. Czekałam aż ten podkuty koń wyjedzie na brukowaną drogę, taka droga zwana „kocimi łbami” przechodziła przez naszą wioskę i stukot kopyt ze świeżymi podkowami dochodził do mych uszu jak muzyka. Takich odgłosów nie słyszy się

teraz na wioskach. Wiem, że kuźnia długie lata stała zamknięta na łańcuch z kłódką, później służyła nam do zabaw w chowanego i podchody, aż z czasem całkiem znikła.

Dziwna budowla

Zimą korzystaliśmy z możliwości zjeżdżania na sankach z górki pomiędzy posiadłościami: Bąk - (teraz Garlin), a Kowalski (teraz Zalewski). Wspaniale się bawiliśmy; śniegu było pod dostatkiem - spora gromada dzieci - nie wszystkie miały sanki; piski, śmiechy a nieraz płacz towarzyszyły nam w tych zabawach.

Ciekawiła mnie dziwna budowla stojąca z tyłu ogrodu od strony łąk. Latem, korzystając z chwili nieuwagi mojej mamy, ruszyłam znowu na odkrycia czegoś ciekawego, przypomniał mi się ten dziurawy dom - „muszę sobie obejrzeć”.

To nie był dom - okrągłe na 3 metry średnicy pomieszczenie zbudowane z gliny, u góry otwór, wejście nie wyższe niż 1 metr.

Do czego służyła ta dziwna budowla?

Dziwny zapach i cisza panowała w tym pomieszczeniu, nie było tam żadnych przedmiotów, usiadłam na ziemi i nie mogłam sobie wyobrazić do czego to mogło służyć.

Spytałam rodziców i jako pierwsze usłyszałam: „Znowu Cię gdzieś nosiło, co za dzieciak, gdzie diabeł nie może to Dziunię pośle, jak będziesz ciągle uciekać z domu to Cię przywiąże”. Rzeczywiście kiedyś mnie przywiązała.

Mama się uspokoiła i dowiedziałam się, że to był piec do wypalania małej ilości cegły lub garnków, ale z mieszkańców nikt nie znał się na takiej pracy i piec niszczał z roku na rok, aż w końcu nie było po nim śladu.

Ale pamiętam garnki gliniane i kamfory - stały na strychu u państwa Adamskich (teraz Urbanek). Mama wieszala tam pranie, a ja musiałam świeczkę trzymać. Jeśli było widno, to i tak szłam z mamą na strych, dwie amfory otworzyłam – jedną czuć było naftą lub ropą, w tej drugiej na pewno przechowywano ocet. Stało tam też stare żelazko na węgiel, tak myślę, że jeszcze teraz na strychach lub w piwnicach można znaleźć ciekawe rzeczy z przeszłości.

W szopach stały bryczki

W szopach gospodarzy stały bryczki konne, które zaprzęgane przy ładnej pogodzie, służyły gospodarzom w dostaniu się do kościoła w Barzowicach oddalonego od Karsina 2,5 - 3km.

Latem, gdy konie zmęczone pracą w polu musiały w niedzielę odpocząć, do kościoła szło wiele ludzi na pieszo, aby wziąć udział we mszy świętej.

Ktoś we wiosce ślubował - doprowadzano bryczki do połysku, przystrajano wstążkami i zielonymi gałązkami (w czasie letnim). Przyglądałam się jak nasz tato czyścił konie do tej ceremonii. Sierść lśniła, wyczesaną grzywę i ogon podciął nożycami nawet kopyta posmarówł czymś czarnym (pastą do butów?). Tak odświętnie ubrane bryczki i konie ruszały uroczyście w orszaku ślubnym przy granym przez kapelę marszu weselnym do kościoła.

Ludzie ładnie ubrani - uśmiechy, machania ręką, strzelanie z bata. Jedna z bryczek najbardziej mi się podobała - czarna na wysokich kołach z siedzeniem dla woźnicy. Z tyłu siedziała para młodych, po bokach bryczki były lampy (można świeczkę włożyć?). Farba z części metalowych zaczynała odchodzić, tylne siedzenie posiadało zadanie, które można było naciągnąć w razie potrzeby.

Kiedyś podkładałam się do państwa Stefanowskich, obejrzałam ją dokładnie, z mozołem wdrapałam się na tylne siedzenie i oddałam się marzeniom o podróżach - tak bardzo chciałam jechać do babci, która mieszkała koło Bydgoszczy, inne dzieci miały babcię i to było wspaniałe. Babcie gotowały i miały czas dla swoich wnuków.

Naprawdę chętnie wracam wspomnieniami do tych czasów. Być może stoi jeszcze u kogoś bryczka, niemożliwe aby wszystkie się zmarnowały. Może być ona ozdobą i wizytówką tamtych lat. Czasy kiedy rzenie koni czy turkot ciągnącego przez nie wozu na żelaznych kołach minęły. Warkot młocarni po żniwach - nie ma tych odgłosów i tych ludzi, którzy naprawdę ciężko pracowali, ale też bawili się i jeden drugiemu służyli pomocą. Czasu nie da się zatrzymać. Tamta idylla starej wioski - nie wróci, ale zatrzymajmy chociaż we wspomnieniach tamto życie - dla tych, co po nas przyjdą, niech nie zastaną tylko ruin z tamtych czasów.

Alojzy Lewandowski

Wspomnienie nauczyciela z lat 1946-1949

Dnia 24 czerwca 1946 roku przekroczyłem punkt graniczny w Brześciu nad Bugiem. Znalazłem się wreszcie w wolnej Ojczyźnie. Czas przejazdu ze wschodu na zachód wydawał się strasznie długi. Przecież każdego z nas dręczyła myśl, czy żyją moi najbliżsi – żona, matka, dzieci ? Czy będą zdrowe, czy podczas działań wojennych nie zostali kalekami. Czy znajdę choć jedno ubranie, jedne trzewiki, żeby stanąć do pracy w szkole ? Różne były zdania, różne komentarze. W drodze do domu wstąpiłem do Koronowa, do teścia, aby tam dowiedzieć się o losie mojej rodziny.

Teść zmarł już po zakończeniu działań wojennych. Zastałem u teściowej moje córeczki, które z radości dosłownie szalały. Żony nie było, pracowała w Sopocie w firmie „Agra”.

Po zapoznaniu się z warunkami płacy i pracy żona moja i jej najbliższa rodzina radzili mi nie wracać do szkolnictwa, ale rozejrzeć się za inną pracą. Ofiarowano mi na miejscu pracę z płacą początkowo około 5 razy większą od nauczycielskiej i robiono mi nadzieje, że po przyuczeniu się będzie drugie tyle. Zaznaczam, że przed wojną byłem kierownikiem szkoły i wójtem. Znałem księgowość finansową i handlową systemu „amerykańskiego”, pracowałem społecznie w zasadzie cały czas w zarządzie mleczarni spółdzielczej i Radzie Nadzorczej Kasy Stefczyka i to razem wzięte predysponowało mnie do „każdej” pracy w przemyśle i handlu. „U nas trudno o ludzi, przyjmujemy do pracy przeważnie nowy materiał, nawet bez podstawowego wykształcenia” – powiedziano mi i nalegano o podpisanie umowy o pracę.

Warunki pracy i płacy odpowiadały mnie, ale jedno mnie dręczyło, kiedy będę mógł młodzieży powiedzieć, że spełniły się nasze marzenia, że mamy nową Polskę, taką jakiej nigdy nie było.

Gdy czytałem na obczyźnie, na zachodnim Sybirze o „Wolnej Polsce”, o przemianach społeczno-politycznych w kraju, serce żywiej

mi biło. Czułem, że naród nasz doczekał się tego, czego pragnęły minione pokolenia, reform społeczno-politycznych. Czułem, że spełniły się również postulaty Związku Nauczycielstwa Polskiego, tak śmiało stawiane na zjazdach krajowych w okresie przedwojennym i tak mocno popierane przez wszystkich nauczycieli. I jak tu teraz ustąpić z pobjowiska. ? Przecież teraz, gdy tak duży brak nauczycieli, rzucić szkołę, to równa się dezercji z frontu. Oto myśli, które mnie nieustannie martwiły.

Przechadzając się z żoną już po naszym Sopocie przypadkowo spotkałem szyld z napisem „Kuratorium Okręgu Szkolnego Gdańskiego”. Stałem jak zahipnotyzowany. „Co się stało” – spytała mnie żona. „Patrz tu Kuratorium” – odpowiedziałem – „może wstąpię na chwilę”. Może spotkam znajomych, może dowiem się coś o dawnych kolegach.

- „Tylko nie przyjmuj żadnej pracy w szkolnictwie, ja z tobą nie wejdę, ale tu przed gmachem zaczekam” powiedziała żona.

Daremnie szukałem na korytarzu woźnego, aby od niego otrzymać bilecik celem zarejestrowania swej wizyty. Daremnie rozglądałem się za jakimś napisem informacyjnym, gdzie zgłaszać swą prośbę o audiencję.

Wszedłem, gdzie na drzwiach widniał napis „Tomaszewski” (imienia nie pamiętam) - Naczelnik Wydziału. Spotkałem się z nieznaną twarzą, ale po przedstawieniu się, zostałem przyjęty jak stary dobry znajomy, z otwartym sercem. Rozmowa potoczyła się w tak miłej i przyjemnej atmosferze, nacechowanej głęboką troską o istotne sprawy bytowe, że czułem się jakby członkiem wielkiej, w harmonijnej zgodzie żyjącej, rodziny. To nowa Polska - pomyślałem. Tak, to Polska, za którą cierpiałem w obozie koncentracyjnym. To ta nowa Polska, za którą walczyłem całe życie. I jak tu odmówić dalszej pracy w tym samym pionie ? Oto myśli, które natarczywie rzucały się do głowy.

Zgodnie z wolą p. Naczelnika przyjechałem do Sławna, miasta powiatowego położonego wówczas na terenie woj. gdańskiego. Przyjął mnie w mieszkaniu prywatnym Ob. Roman Wojtysiak., jeżeli się nie mylę. Byłem ósmym kwalifikowanym nauczycielem i mogłem udokumentować dodatkowe studia.

W powiecie sławieńskim było jeszcze dużo miejscowości bez czynnej szkoły. Olbrzymią większością gospodarstw rolnych admini-

strowali zdemobilizowani żołnierze Armii Czerwonej . Niemcy czekający na przesiedlenie kolektywnie uprawiali pola. Polacy stopniowo osiedlali się na gospodarstwach przekazywanych przez sowietów. W ten sposób narastała również liczba dzieci w wieku szkolnym, od której zależało otwarcie szkoły polskiej.

Inspektor szkolny dość obszernie scharakteryzował cały powiat sławieński. Opowiedział dzieje jego wyzwolenia i zaludniania przez element polski. Mówił o grasujących bandach , wywodzących się częściowo z byłych wojskowych niemieckich, własowców i notorycznych przestępców polskich. Proponował mi na wstępie pracę w administracji szkolnej, ale gdy oświadczyłem , że chciałbym pracować na wsi, wskazał mi Stary Jarosław jako najodpowiedniejszą dla mnie placówkę.

Stary Jarosław – powiedział – ma piękny budynek szkolny, zajęty jeszcze przez sowietów, ale jest dużym osiedlem, ma kościół, mleczarnię, pocztę, piekarza i karczmę.

Gdy tam osiedli się polski nauczyciel, ściągną masy nowych rolników, gdyż gleba jest urodzajna i wieś bardzo piękna, pięknie położona, a Sowietci są skłonni przekazać wieś władzom polskim. Pan mając dotychczas kontakty z Sowietami na pewno sobie poradzi”.

Przełądnąłem mapę powiatu i bez dalszych pertraktacji zgodziłem się „w ciemno” na przyjęcie pracy w Starym Jarosławiu.

Zastrzegłem sobie jedynie zamianę miejsca pracy, gdy zajdzie konieczna potrzeba.

Przenocowałem u inspektora szkolnego i następnego dnia pojechałem do swego przyszłego miejsca pracy.

Rzeczywiście wieś pięknie położona, tylko mało, bardzo mało chorażówek biało-czerwonych, umieszczonych u wejścia domu, mówiących o zajęciu gospodarstwa przez Polaka.

Przeszedłem się przez całą wieś wzdłuż i wszerz. Z niejednego okna domu wyglądali ciekawscy. Wiadomo – byłem obcym. Dla Niemców przedstawicielem władzy polskiej, dla Polaków jakimś urzędnikiem poszukującym czegoś. Wracając z mej pierwszej „wyprawy” zostałem zatrzymany przez pewnego Polaka nazwiskiem Szkatulski „kogo pan poszukuje?” – padło pytanie. „Nikogo – oglądam wieś”. „Pan pewnie jest nauczycielem?”. „Czemu?”. „Tak bardzo potrzebny jest tu nauczyciel. Jest u nas 12 dzieci we wsi razem z Nowym Jarosławem. Była tu przez 4 tygodnie taka miła dziewczyna, ale cóż ,

ona dopiero chce zostać nauczycielką. Podobno jest na kursie, z niej nauczycielki nie będzie, dzieci jej nie poważają, a my pomagamy jej, ale...(tu machnął znacząco ręką). Chcielibyśmy nauczyciela, najchętniej żonatego, co osiedliłby się na stałe, jak my. Wtedy dbałby on o dzieci i o szkołę. Taki chłopaczek czy dziewczyna, czy oni dadzą radę”. – „Dadzą – na pewno dadzą – powiedziałem, trzeba się tylko nimi zaopiekować”.

Ja jestem nauczycielem – powiedziałem po chwili... I przyszedł pan oglądać posadę – dodał p. Szkatulski. Panie, niech pan u nas zostanie. Ile tu naszych szwagrów, czy kuzynów czeka z przyjazdem „z Polski” na nauczyciela. Zaraz się przeniosą do St. Jarosławia, ale tak, to co się osiedlili uciekną do Kowalewic albo do Halinowa (obecnie Krup).

Zbliżyliśmy się do karczmy p. Mądraszewskiej. Pan Szkatulski poprosił mnie na piwo. Niechętnie przyjąłem to zaproszenie. Przecież nie miałem pieniędzy. Nic jeszcze nie zarobiłem i każda złotówka to dla mnie majątek, lecz uległem.

W karczmie było gwarno. Głośno rozprawiali politykę lokalną. Pan Szkatulski przedstawił mnie całemu towarzystwu. Zapanowała na kilka sekund cisza. Po chwili :” najwyższy czas, że przychodzi do nas nauczyciel, ile tu pracy, Boże, ile tu pracy”.

Nam trzeba kogoś, kto by nami kierował. Mleczarnia leży. Spółdzielnia (sklep spółdzielczy) zawiązał się, ale leży. Panie, pan w porę do nas przyjechał, bo już my uciekać chcieli.

Na to pan Szkatulski zaczął tłumaczyć, że ja jestem nauczycielem, ale nie powiedziałem jeszcze czy w St. Jarosławiu. „Przecież każdy szuka coś lepszego” – dodał. „My pana stąd nigdzie nie puścimy, zostanie pan u nas” – padały głosy na przemian.

Wtedy wyjąłem z kieszeni mój angaż i podałem go panu Szkatulskiemu. Przeczytał i głośno powtórzył treść pisma. Co się wtedy w tej karczmie działo, nietrudno sobie wyobrazić. Podziękowałem za wszystko. Każdy chciał mnie przyjąć do siebie, aż Sowieni szkołę zwolnią. Każdy wyliczał czym może służyć i zapewniał, jak bardzo chętnie i w każdej sytuacji pomoże. Pożegnałem towarzystwo, a pan Szkatulski towarzyszył mi w drodze do sołtysa ob. Józefa Sekuły. Tam oficjalnie przedłożyłem swój dokument i czekałem na dalszą rozmowę.. „Bogu dzięki” – powiedział, teren St. Jarosławia szybko się rozwinie.

Zapytał następnie jak długo jestem w podróży i po chwili poprosił mnie na śniadanie. Oprowadził mnie po swoim mieszkaniu i zdecydował, że tu mogę mieszkać tak długo, jak zechcę. Utrzymanie dam panu bezpłatnie bo wiem, że pan bez pieniędzy, jak my wszyscy. Gdy sprowadzi pan rodzinę, poszukam panu piękne mieszkanie z meblami i gdyby panu coś brakowało to śmiało proszę zwracać się do mnie, wspólnie poradzimy. Będzie nas Polaków coraz więcej, to pan i rodzina pana biedować nie może.

Podziękowawszy za tak proste i szczerze słowa, zapewniłem sołtysa, że uczynię wszystko, aby ze wsią żyć w jak najlepiej komiterywie i pracować dla wspólnego dobra.

Za godzinę miałem powrotny pociąg. Gdy zapowiedziałem swój odjazd, widziałem straszne zakłopotanie moich gospodarzy. „Wróci pan na pewno do nas?”. Naturalnie. Był tu już jeden kierownik i też tak mówił, nawet swój płaszcz zostawił na dowód, że wróci i ... nie wrócił – powiedziała sołtysowa. „Ale ja wrócę” – odpowiedziałem i podziękowawszy za gościnność odszedłem, odprowadzony ładny kawałek drogi przez sołtysa.

Wróciłem do żony. Przekonałem ją, gdzie moje miejsce po wojnie i namówiłem by razem ze mną pracowała w szkolnictwie, gdyż są możliwości zdobycia pełnych kwalifikacji.

Napisałem jeszcze dwukrotnie do sołtysa, że wrócę na pewno. Musi być więcej dzieci, bo żona też jest nauczycielką i chcemy od zaraz pracować we dwoje.

Stary i Nowy Jarosław się poruszył. Jedni pisali, inni jeździli do Polski aby sprowadzić dalsze rodziny, znajomych, szczególnie z dziećmi do Starego i Nowego Jarosławia.

Z nowym rokiem szkolnym 1946/47 w Starym i Nowym Jarosławiu było już 38 dzieci w wieku szkolnym.

Gmach szkolny, najpiękniejszy z pięknych we wsi był niestety zajęty przez radzieckie gospodarstwo rolne. Kierownikiem gospodarstwa był zdemobilizowany żołnierz Armii Radzieckiej nazwiskiem Polakow. Poznałem go u sołtysa ob. Sekuły. Wspólnie z sołtysem zaraz podczas pierwszej znajomości rozpoczęliśmy pertraktacje w sprawie przekazania gmachu szkolnego.

„Gdy przekazemy wam całą wieś i gmach wam przekazemy, na razie jest to wykluczone”. – powiedział, W takim stanie rzeczy poprosiliśmy jedynie o wydanie sprzętu szkolnego, co obiecał. Należało po-

myśleć o odpowiednim lokum na szkołę. Wybór padł na byłą salę tanczną przy karczmie ob. Madraszewskiej. Prowadziło do niej wejście od strony ogrodu, a ogród dam za zgodą właściciela miał być placem gier i zabaw dla dzieci.

Sala miała dobre oświetlenie, lecz była mało akustyczna, gdyż za wielką na 20 dzieci, bo tyle miało uczęszczać, lecz ustalono, że jest to pomieszczenie tymczasowe, na razie musi wystarczyć dobre odkuzenie. Na koniec moich przygotowań do otwarcia roku szkolnego udałem się do kierownika gospodarstwa radzieckiego. Dochodząc do obejścia szkolnego zostałem zatrzymany przez uzbrojony cywilny posterunek niemiecki, który zameldował mnie u tow. Polakowa. Niestety prócz ław szkolnych, które od czasu działań wojennych leżały za stodołą, nic więcej nie otrzymałem.

Sołtys Józef Sekuła był człowiekiem światłym i oddanym sprawie społecznej. W krótkim czasie zorganizował dalszy sprzęt potrzebny szkole, pochodzący z mienia miejscowych Niemców oczekujących na wyjazd do rzeszy.

Nadszedł upragniony dzień otwarcia nowego roku szkolnego 1946/47.

Dzieci szkolne, rodzice dzieci i miejscowa ludność polska, będąca wówczas na terenie swego gospodarstwa domowego przybyła na tę historyczną chwilę. Zagaił ją sołtys, krótkim, prostym, ale z głębi serca płynącym przemówieniem. Doczekaliśmy się w Starym Jarosławiu szkoły polskiej i polskiego kierownika – mówił. Już nie ma „dzikiego Zachodu” jest Polska, taka sama jak tam. Dzieci ucicie się, bo długo czekaliście na szkołę polską. Niejedni to już chłopcy, ale w głowach mało. Panie kierowniku oddaję w pańskie ręce tę gromadkę naszych dzieci, przyszłych gospodarzy tych ziem. Życzę powodzenia w pracy.

Po moim również niedługim przemówieniu nastąpiła 15 minutowa przerwa i początek pracy. Razem z żoną, która otrzymała angaż jako nauczycielka niekwalifikowana postawiliśmy sobie jako zadanie na pierwszy dzień roku szkolnego poznanie dzieci i sprawdzenie ich wiadomości, aby jeszcze tego dnia ogłosić do której klasy obecny został zaszeregowany.

Okazało się, że zaległości były ogromne. Najbardziej zaawansowani ukończyli klasę III, niektórzy uczyli się sami w domu, inni częściowo zapomnieli to co już umieli. Postanowiłem utworzyć klasę III z

liczbą uczniów 13 i klasę IV z 7 uczniami. Klasę I tworzyli nowicjusze i pobierali naukę razem z klasą II.

Ile razy wspomnę ten zespół dzieci, tyle razy głęboko westchnę i pomyślę sobie, gdyby tak dzieci obecnie uczęszczające do szkoły wykazywały choć połowę tego zapału, co tamte dzieci.

Przerwy międzylekcyjne właściwie nie istniały a były kontynuacją lekcji. Jeden tłumaczył drugiemu treść przepracowanej lekcji, a każdy chciał udowodnić, że wszystko zrozumiał. Niejednokrotnie byłem świadkiem żarliwej dyskusji, gdy ktoś zdradził niejasne pojęcie o pewnym zagadnieniu i mniemał, że ma racje. Nawiasem mówiąc, czas przerw międzylekcyjnych spędzałem zawsze przy dzieciach. Martwiło mnie przede wszystkim to, że czasami w trakcie tej dyskusji, dzieci nie przyswoiły sobie pewnych nieścisłości powstałych z interpretacji własnej.

Ile razy inicjowałem jakąś grę, czy zabawę to widziałem głębokie niezadowolenie. „Nam nie zabawy trza. Ale nauki” – mówiły dzieci. Ponieważ zapowiedziałem, że z uwagi na czas okupacji i kilkuletnie przerwy w nauce będzie można w jednym roku zdawać dwie, a nawet trzy klasy, dzieci wzięły sobie to mocno do serca. Zwróciły się do mnie z prośbą, czy nie można by czasu nauki przedłużyć codziennie o jedną godzinę albo przyjść po południu drugi raz do szkoły. Chętnie poszedłem na tę koncepcję. Dzieci zostawały dłużej, a gdy nadszedł miesiąc październik i dzień stawał się coraz krótszy, przychodziły po raz drugi do szkoły, aby zrobić miejsce tym, którzy uczęszczali na II zmianę. Tak było aż do przeprowadzenia się do gmachu szkolnego, co nastąpiło pod koniec listopada 1946 roku.

Dzieci, które mieszkały na wybudowaniu przychodziły z latarnią naftową, aby nie zabłądzić w drodze powrotnej do domu. Były to dzieci Zielińskich, Olejników, Głuszków, Kołodziej Helena i jej koleżanka Jagusia, Łukaszczyk. Helena Kołodziej mieszkała daleko w polu od innych zabudowań i niejednokrotnie nocowała u mnie z moimi dziećmi.

Jeśli miałem jakieś zebrania, a było to dość często, bo miałem różne funkcje w Radzie Narodowej, w Spółdzielni Spożywców i w Mleczarni, to dzieci czekały nawet do godziny 19-tej i dłużej (o której zwykle kończyliśmy zajęcia) i powtarzały uparcie „głaby”, gdyby pan kierownik wcześniej mógł tu być, to na pewno by był. Słowa te

i podobne przekazała mi żona, która niejednokrotnie radziła im odejść do domu.

Czas wyczekiwania spędzały zawsze pożytecznie. Czytały, pisały, rozwiązywały zadania, studiowały mapę, gdyż atlasów jeszcze nie wydano. Jeśli ktoś musiał wyjść z sali szkolnej, to robił to tak cicho, że inni tego nie zauważali. Postępy dzieci w nauce były zadziwiająca. Z końcem drugiego okresu roku szkolnego nastąpiła pierwsza promocja (bez świadectw). Program klasy IV-tej został zrealizowany. Rzuciliśmy się na realizację programu klasy V-tej zakreślając sobie czas do końca roku szkolnego. Analogicznie było w klasach młodszych. Liczba dzieci wzrastała do końca listopada. Przez okres zimy ze zrozumiałych względów nie przybyli nowi osadnicy do St. Jarosławia. W ten sposób utrzymał się w szkole jednolity poziom. Zaznaczyć muszę, że dzieci nowo przybyłe poszły śladem starszych bywalców.

Nasze planowanie było realne. Z końcem roku szkolnego 1946/47 wszyscy zdali do klasy VI-tej. Z młodszych klas dwoje dzieci pozostało w tej samej klasie, gdyż ich wiadomości były słabe a wiek nie odbiegał wiele od normy. Jesienią roku szkolnego 1947/48 Związek Spółdzielni Spożywców „Społem” ogłosił konkurs dla Spółdzielni Uczniowskich, wyznaczając poważne nagrody.

Spółdzielczość, jako taka, nie była dla mnie sprawą obcą. Przed wojną byłem członkiem Mleczarni Spółdzielczej i należałem do jej Rady Nadzorczej. Prowadziłem sklepik uczniowski na zasadach spółdzielczych. Znałem księgowość tabelaryczną. Zainteresować tymi zagadnieniami moją garstkę uczniów, tak bardzo oddaną każdej sprawie, tak bardzo żądną wiedzy, to chyba nie sztuka – pomyślałem i po odpowiednim psychicznym przygotowaniu w oparciu o przemiany społeczno-polityczne kraju i potrzeby środowiska, przystąpiłem do zorganizowania Spółdzielni. Równocześnie rozpocząłem szkolenie małych spółdzielców, przewidziane regulaminem konkursu. Praca była dla mnie o tyle łatwa, że w St. Jarosławiu już przed moim przyjazdem powstała Spółdzielnia Spożywców „Jedność”, która faktycznie istniała tylko symbolicznie, gdyż jej Zarząd nie znał swoich obowiązków a Rada Nadzorcza statutu i struktury Spółdzielni.

Zaraz po swym osiedleniu się w St. Jarosławiu zapisałem się na członka Spółdzielni i po zapoznaniu się ze środowiskiem, wyrobieniu sobie zdania o przydatności niektórych członków na poszczegól-

ne funkcje w spółdzielni, przystąpiłem pod koniec września do reorganizacji Spółdzielni.

Moi uczniowie przychodząc na lekcje wieczorowe, przedłużyli swoje zajęcia o przedmiot dodatkowy „spółdzielczość”. Szczególnie gorliwymi słuchaczami byli: Zbigniew Rabowski, Jagusia Łukaszczyk, Tadeusz Ornacki, Ludwika Zielińska, Maria Głuszek, Helena Kołodziej, Waclaw Kostrzewa i wielu innych.

Dnia 15 maja 1948 roku o godz. 13-tej młodzi spółdzielcy stawali do egzaminu w ówczesnym Liceum Spółdzielczości w Darłowie. Wraz z nimi stawali uczniowie tegoż Liceum i dzieci z kilku szkół powiatu. Komisji Egzaminacyjnej przewodniczył z ramienia Centrali „Spółem” inż. Dziwnowski. Moi młodzi spółdzielcy spisali się dzielnie. Byli bezkonkurencyjni, szczególnie w księgowości.

Pamiętam, jak zwołano by dojść do końcowych wniosków wszystkich uczestników na jedną salę i stawiano pytania do ogółu, jak na zgaduj-zgaduli, a pytania były, jak na poziom młodzieży niełatwe. Moja szkoła zdobyła pierwsze miejsce na terenie powiatu, a po kilku dniach otrzymałem zawiadomienie, że również pierwsze miejsce na terenie ówczesnego woj. szczecińskiego.

Wraz z pierwszym miejscem otrzymaliśmy pierwszą nagrodę w postaci radiodbiornika „Aga” dla szkoły, co na owe czasy było rarytatem i 5.000 złotych dla mnie osobiście, co stanowiło około 150% moich miesięcznych poborów. Wszyscy konkursanci otrzymali odpowiednie zaświadczenia, polecające ich jako młodych spółdzielców instytucjom spółdzielczym. Uczeń Rabowski do dziś pracujący w Sławnie, rozpoczął swoją karierę od owego listu polecającego.

Rok szkolny 1947/48 zakończyłem 100% promocją w klasach V i VI. Był to mój pierwszy okres pracy na Ziemiach Zachodnich, okres pierwszych osiągnięć na odcinku realizacji programu pełnej szkoły podstawowej, okres ciężkiej, znoјnej pracy społecznej, ale przyjemnej, przynoszącej wielokrotne plony i pozostawiający miłe wspomnienia.

Z nowym rokiem szkolnym 1948/49 powierzono mi funkcję powiatowego inspektora spółdzielni uczniowskich i przeniesiono na stanowisko dyrektora Publicznej Szkoły Średniej Zawodowej organizującej się w Darłowie.

Jak już poprzednio wspomniałem, istniała w St. Jarosławiu Spółdzielnia Spożywców „Jedność” założona przez ówczesnego kierow-

nika Mleczarni Spółdzielczej ze St. Jarosławia ob. Mariana Wojciechowskiego.

Spółdzielnia Spożywców „Jedność” uruchomiła jeden sklep spożywczy w St. Jarosławiu i wynajęła na ten cel pokój u kowala ob. Józefa Adriana. Spółdzielnia na któryś dzień miesiąca września 1946 roku, w którym przeglądałem w charakterze eksperta jej dokumentację posiadała 28 członków z 30 udziałami. Jeden udział wynosił 100 zł w ówczesnej walucie. Dla orientacji podaję że jedna paczka papierosów „Triumf” powszechnie kupowanych kosztowała 60 zł, czyli cały kapitał zakładowy spółdzielni, to równowartość 50 paczek papierosów. Zrozumiałe, że takie przedsiębiorstwo było nierentowne. Sklepowy był równocześnie zaopatrzeniowcem. Wykorzystywał dni targowe, w których chłopcy wyjeżdżali końmi do Sławna, na zakup towarów do Spółdzielni. W hurtowni było mało towaru, ale wystarczało aż nadto na nasze możliwości finansowe. W sklepie spółdzielczym były prawie zawsze pustki, a pod bokiem w prywatnym sklepie można było otrzymać wszystkie artykuły spożywcze i gospodarcze, oczywiście po cenach „z własnej kalkulacji”. Były to ceny, zwłaszcza na towarach mankowych, jak zapalki, cukiern, ocet, sól, wędliny, itp. bardzo wysokie. Jeżeli ktoś wyraził swoje niezadowolenie z powodu wygórowanych cen, otrzymywał jedną odpowiedź: trudno, transport towaru, starania o towar, częste bezskuteczne wyjazdy po towar, nie pozwalają na sprzedaż po niższej cenie. Kupujcie w mieście i tu nie przychodźcie.

Skontaktowałem się z Zarządem Spółdzielni, zwołaliśmy zebranie sprawozdawczo-wyborcze, zmieniliśmy zarząd, a ja wytłumaczyłem chłopom, że sklep spółdzielczy to nasz sklep, w którym powinniśmy się zaopatrywać we wszystkie towary. Jeżeli przywaciarz przywozi towar raz w tygodniu wozem w pełni załadowanym, to my jedźmy rowerem, czy pociągami dwa razy dziennie do miasta, tzn. raz do Sławna, drugi raz do Darłowa. Policzymy sobie ceny przystępne tak za towary jak i za przewóz towarów. Sprzedajmy nasze produkty jak jajka czy twaróg w naszym sklepie. Zarobimy na skupie i na towarze, szanujmy nasz cenny czas, nasze konie i wozy.

Kłopotliwą sprawą było zaopatrzenie ludności w chleb i w tłuszcz. Mało było ziarna na chleb, ale coś niecoś posiadali osadnicy. Członkowie spółdzielni posiadali niewielkie nadwyżki ziarna, zmełli na

mąkę i oddali je do Spółdzielni, zatrzymując dla siebie tylko otręby. Spółdzielnia wypłaciła im należność dopiero po sprzedaży mąki.

Tu i ówdzie znalazł się tucznik. Chłop otrzymywał zezwolenie na ubój domowy ale całości mięsa od razu nie zużył. Potrzebował również pieniędzy. Spółdzielnia kupiła od niego poważną część mięsa i po przerobieniu przez fachowca na wędliny sprzedawała je w sklepie, płacąc oczywiście za towar po sprzedaży wędlin czy mięsa. Od chłopca, członka spółdzielni wzięliśmy jęczmień na kaszę, płacąc mu niejednokrotnie ratami. Często zdarzało się, że chłop „wstawił” do Spółdzielni mąkę czy kaszę po cenach rynkowych zboża a należność wybierał towarem.

Nasze ceny były zawsze niższe od cen w sklepie prywatnym, to zjednało nam sympatie nie tylko mieszkańców Starego i Nowego Jarosławia ale i sąsiednich wiosek.

Właścicielka prywatnego sklepu pani „M” widząc, że w tej małej spółdzielni ma wielkiego konkurenta, że jej zarobki stają się z każdym dniem niższe, doszła do wniosku, że dalsze prowadzenie sklepu jej się „nie kalkuluje” i zdecydowała się na likwidację sklepu i przekazanie swych pomieszczeń spółdzielni.

Zarząd Spółdzielni przyjął tę ofertę, jednak cóż ? – wraz z lokalem trzeba było przyjąć również i towar znajdujący się w sklepie, a na to nie było pieniędzy. Kiedy stwierdziłem, że u chłopów, członków spółdzielni wytworzyło się właściwe pojęcie istoty spółdzielczości i pewne emocjonalne powiązanie, postanowiłem na ogólnym zebraniu Zarządu i Rady Nadzorczej śmiały wniosek, zaciągnięcie pożyczki z Banku Ludowego na rzecz Spółdzielni „Jedność” na nazwiska i odpowiedzialność członków Zarządu i Rady Nadzorczej.

Była to najkrótsza droga do uzyskania kredytu. Starający się o pożyczkę przedłożyli zaświadczenia z GRN o ilości posiadanego żywego i martwego inwentarza, z krótką opinią o celowości i konieczności udzielenia pożyczki. Proponowani żyranci również musieli udokumentować, co posiadają. Bank Ludowy co tydzień rozpatrywał złożone wnioski o kredyt wekslowy i po pozytywnym załatwieniu podania wypłacił zaraz gotówkę. Jeżeli wnioskodawca przyniósł podanie z wymaganymi załącznikami, cała procedura trwała 3 dni. Zarząd i Rada Nadzorcza podjęły odpowiednie uchwały o zabezpieczenie majątku spółdzielni i wiarygodności członków.

Po kilku dniach członkowie Zarządu Szkatulski, Wołczyk, Jarosz i Mikołajczyk jako akceptanci a Rybicki, Sekuła, Konecki ja i kilku innych jako żyranci przyjechaliśmy do Banku Ludowego do Sławna z udokumentowanymi podaniami o pożyczkę na zagospodarowanie się. Bank Ludowy w Sławnie załatwił wszystkie podania pozytywnie. Wszyscy pojechaliśmy do Sławna aby złożyć swój historyczny podpis na blankiecie wekslowym i za otrzymaną gotówkę kupić towar do Spółdzielni. Dysponowaliśmy wówczas gotówką „własną” w wysokości około 10.000 zł i razem z pożyczką kupiliśmy za ponad 70.000 złotych towaru do Spółdzielni.

Już po miesiącu można było jeden weksel spłacić. Staraliśmy się o to, aby dług stopniowo spłacać i jak najdłużej korzystać z tego dogodnego kredytu. Dodać muszę, że po tym eksperymencie wzięliśmy później jeszcze pożyczkę po raz drugi.

Nasze dochody rosły. Co miesiąc robiłem orientacyjny bilans a na przełomie roku 1947/48 nasza spółdzielnia doczekała się fachowej kontroli z ramienia Związku rewizyjnego, która zatwierdziła bilans zamknięcia Spółdzielni za rok 1947 kwotą 118.000 złotych. Ogromną część zysków przelano na Fundusz Udziałowy, a wysokość udziałów podniesiono do 500 złotych. Każdy członek Spółdzielni otrzymał zgodnie ze statutem swój udział w zyskach, wypłacony w towarze. Było to prawdziwe święto dla St. Jarosławia.

Z perspektywy czasu podkreślić muszę ową głęboką atmosferę zaufania. Przecież nie znaliśmy się. Wiedzieliśmy tylko, że większość osadników pochodzi z powiatu opoczyńskiego, poważna część z końskiego. Poza tym byli repatrianci zza Buga, osadnicy z Pomorza, Wielkopolski i Krakowskiego. Wiedzieliśmy dalej, że ten walczył w tamtym a drugi w innym oddziale partyzanckim. To było wystarczające, aby za niego ręczyć. To wystarczyło aby, jeżeli zajdzie potrzeba, stanąć w jego obronie i jemu dopomóc. Przybyliśmy tu na te Ziemie Zachodnie po to, aby je zagospodarować. Kiedy wówczas byliśmy gotowi do poświęcenia własnego życia na ołtarzu Ojczyzny, teraz ta sama Ojczyzna od nas wymagała tylko pracy, wiary we własne siły, wzajemnej pomocy i zaufania. Tym duchem ożywieni braliśmy kredyty nie tylko dla Spółdzielni, ale i na własne potrzeby. Jeden ręczył za drugiego, ale nikt za nikogo długów nie płacił.

Mało wówczas było siły pociągowej, ale ugorów nie zakładano. Nikt nie pytał się, czy „X” lub „Y” będzie mógł zapłacić za orkę, ale

każdy zrozumiał, że pole musi być obsiane. Sołtys wspólnie ze mną opracował harmonogram pomocy sąsiedzkiej i nie pamiętam wypadku stawiania oporu. Opieszalnych łączono z bardziej aktywnymi. „Sprzęgli się” – aby wspólnie uprawiać w miarę sił nawet i ziemię „niczyją”. Jestem przekonany, że w dużej mierze przyczyniła się do tego również Spółdzielnia „Jedność”.

Kiedy w początkach jej istnienia członkowie ją podtrzymywali, później Spółdzielnia niejednokrotnie udzielała krótkoterminowego kredytu swym członkom. Np. ktoś miał prosięta 4-tygodniowe potrzebował pilnie pieniędzy na zakup ziemniaków sadzeniaków Spółdzielnia mu pożyczła, a za 14 dni, gdy sprzedał prosięta, oddawał pożyczkę bez procentu.

Innym brakło do kupna wysoko cielnej krowy trochę gotówki, Spółdzielnia pożyczła. Chłop sprzedał cielaka i trochę mleka i pieniądze oddał.

Takie decyzje podtrzymywaliśmy wszyscy. Dość często na drodze do pracy w polu. Później napisało się krótką notatkę. Żadnej decyzji nie podejmował Zarząd bez zgody mojej, jako głównego księgowego.

Zarząd pracował honorowo. Otrzymywał diety za faktyczny uszczerbek swego czasu pracy. Dopiero od 1 stycznia 1947 roku Zarząd i rada Nadzorcza narzucili mi pobory, gdyż tak długo pracowałem wyłącznie społecznie, nawiasem mówiąc, było to główną przyczyną, dla której inni również nie brali wynagrodzenia za pracę.

Spółdzielnia Spożywców „Jedność” aktualnie spełniła swoje zadanie. Istniała do czasu przejęcia przez Gminną Spółdzielnię „Samopomoc Chłopska” na mocy odgórnych zarządzeń tj. do roku 1948.

Jako kierownik szkoły i członek Stronnictwa Demokratycznego zostałem dokooptowany do Gminnej Rady Nadzorczej w Kowalewicach i Pow. Komisji Oświaty w Sławnie, gdzie powierzono mi funkcję sekretarza Komisji.

W Gminnej Radzie Nadzorczej w Kowalewicach byłem członkiem Komisji Oświaty i brałem udział w pracach innych komisji. Szczególnie dużo czasu pochłaniała praca w Powiatowej Komisji Oświaty. Zebrania odbywały się systematycznie jeden raz w tygodniu, Ułożyłem sobie tak plan zajęć szkolnych, że mogłem bez uszczerbku dla pracy w szkole wyjechać pociągiem o godzinie 10.00 do Sławna.

Zabierałem ze sobą mego „Remingtona” pisałem od razu protokół w kilku przebitkach.

W owym czasie cała organizacja szkolnictwa powiatowego spoczywała na barkach Prezydium PRN a ściślej mówiąc ma Powiatowej Komisji Oświaty. Nie kto inny, jak Komisja Oświaty stawiała wnioski o otwarciu nowych szkół, o zwiększenie kredytów na konieczny remont, na przekazywanie sprzętu szkolnego z jednej szkoły do drugiej, jeśli w pierwszej nie był w pełni wykorzystany.

Komisja Oświaty typowała obiekty pod przyszłe nowe szkoły podstawowe, przedszkola i świetlice. Obiekty te nie były nadawane rolnikom, a powierzano je Radom Narodowym do tymczasowego użytkowania, aby później po przejściu remontu adaptacyjnego służyły celom kulturalno-oświatowym. Była to praca nader ważna i odpowiedzialna, a nie cierpiąca zwłoki. Tu chodziło przede wszystkim o mienie rolnicze, którym dysponował referat Osadniczy Komisji Oświaty, musiała w porę wystąpić z wnioskiem o wyłączenie obronnych obiektów z mienia rolniczego, gdyż nie można było raz nadany obiekt rolny osadnikowi odbierać i przekazywać szkole chyba, że ów osadnik sam na to wyraził zgodę. W ten sposób zabezpieczono pod przyszłą pełną szkołę podstawową odpowiedni drugi budynek w Ciszowie, Kowalewicach i innych miejscowościach.

W St. Jarosławiu wydzielono budynek pod przedszkole, które otwarto jeszcze w 1947 roku. Pierwszą kierowniczką Przedszkola była ob. Helena Miniewicz.

Zajmowana przez ob. Mądraszewskiego posiadłość, zaprojektowano pod przyszłą pełną szkołę, gdy ob. „M.” wyraził zgodę na zamianę. Osiedlił się bowiem już w 1945 roku i posiadał akt nadania.

Nie zawsze pokrywały się wnioski Gminnych Rad Narodowych z postulatami Pow. Komisji Oświaty. Bywały wypadki, że ktoś wpływowy w GRN zarezerwował sobie przez Komisję Oświaty upatrzony obiekt dla swego krewnego czy znajomego z polski centralnej i wtedy potrzebne były dość często nawet dłuższe pertraktacje.

Pow. Komisja Oświaty nie mogła urzędować tylko w Sławnie. Musiała dokładnie znać teren. W każdym tygodniu przybywali nowi osadnicy i wybierali co lepsze. GRN wprawdzie zgłaszały swe wnioski odnośnie wydzielenia obiektu dla celów szkolnych, jednak PKO musiała się do tego ustosunkować i dlatego rozdzieliła pracę w terenie pomiędzy swoich członków.

Mnie przypadła w udziale do rozpracowywania Gmina Kowalewice, Dobiesław oraz m. Darłowo. Byłem w każdej gromadzie, częściowo swoim rowerem, częściowo podwodą gminną i wspólnie z miejscowym nauczycielem, o ile już szkoła była czynna, sołtysem a często i z agronomem wiejskim przeszedłem wieś wzdłuż i wszerz, aby znaleźć coś odpowiedniego.

Była to praca uciążliwa, bo nie miałem odpowiedniej odzieży i obuwia, ale wykonywałem ją chętnie, zdając sobie sprawę, że może już w niedalekiej przyszłości okaże się w pełni celowość i konieczność tej pracy.

Tadeusz Łaszcz

Wspomnienia nauczyciela

Do Sławna trafiłem z początkiem lipca 1945 roku po wyjeździe ze Szczecina, do którego przybyłem wraz z pełnomocnikiem Rządu płk Borkowiczem. Po ewakuacji nas ze Szczecina najpierw do Stargardu zdecydowałem się na Sławno – nie znając go zupełnie. Tu zastałem już inspektora Oświaty w osobie p. Wojtysiaka Romana oraz dwie nauczycielki pp. Szawłowską i drugą której nazwiska nie pamiętam. Zająłem się jako kierownik szkoły podstawowej zabezpieczeniem mienia szkolnego i całego obiektu. Już koło 20 lipca 1945 roku odbyła się uroczystość otwarcia szkoły podstawowej, którego dokonał ówczesny starosta ob. Czerniecki z udziałem 18 uczniów. Byli i rodzice.

Najpierw znalazłem metalowca z Warszawy, którego obsadziłem jako woźnego w mieszkaniu służbowym. Następnie przystąpiłem do uporządkowania sprzętów szkolnych i zabezpieczenia pomocy naukowych (oczywiście poniemieckich). Otwarcie szkoły miało też wpływ, że szereg pracowników Starostwa, PURu i innych urzędów rozpoczęło sprowadzać swoje rodziny.

Ludność pochodziła częściowo z terenów wschodnich (zza Buga), z Warszawy i częściowo z Polski Centralnej (ja przyjechałem z Łowicza, choć wychowałem się w Otwocku) i z Pomorza.

Z początkiem roku szkolnego przybyli kolejno p. Krzywkowski Edmund i p. Nieciejewski E., którzy mi pomogli zorganizować gimnazjum dzienne, a później wieczorowe dla pracowników kolei, poczty, itd. Były tylko trzy klasy gimnazjum i pełna szkoła podstawowa (powszechna – wówczas). Dla uczniów gimnazjum zorganizowałem internat oraz spółdzielnię nauczycielską, która młodzież i społeczeństwo zaopatrywała w materiały piśmienne i podręczniki (książki).

Wcześniej jeszcze nauczycielka pani Gabrysiewicz założyła sklepik prywatny, lecz że wszystko było drogie, więc stąd spółdzielnia nauczycielska. Po sprowadzeniu rodziny do Sławna udostępniłem

swoją prywatną, dość zasobną bibliotekę, uczniom (podręczników nie było) jak i osobom prywatnym. Była to po prostu pierwsza biblioteka publiczna w Sławnie.

W szkole podstawowej byłem kierownikiem, uczyłem w gimnazjum, byłem radnym w Powiatowej Radzie Narodowej. Byłem też przewodniczącym po zorganizowaniu oddziału powiatowego ZNP. Założyłem internat dla młodzieży i stołówkę dla pracowników oświaty, która prowadziłem coś przez rok. No i tę spółdzielnię nauczycielską (księgarnię), którą prowadziłem do wyjazdu ze Sławna, tj. do 31 VIII 1948 r.

Weronika Nowak

Moje pierwsze zlakowskie lata



Po wojnie i powrocie z przymusowych robót w Niemczech w rodzinnym Szynkielowie koło Wielunia nie miałam z rodziną szans wspólnego zamieszkania w przepełnionym domu.

Podjęliśmy decyzję o wyjeździe na zachód. Do Wielunia jechaliśmy 21 kilometrów podwodą. A do Sławna dwa tygodnie w odkrytym

wagonie towarowym. Często byliśmy odstawiani na boczne tory, aby przepuścić pociągi wojskowe. Na jednej ze stacji była niezemska awantura. Nasi mężczyźni ukradli z budynku stacji duże drzwi, aby z nich zbudować dach w tej części wagonu, w której przebywały dzieci. Rosyjskie żołdacy szukały tych drzwi, ale bezskutecznie. Drzwi dojechały z nami do Sławna. Na stację do Sławna wyjechał po nas wozem Polak, który tutaj przepracował całą wojnę. Na podwodzie jechały dzieci i nasze skromne pakunki, a my we trzy rodziny pieszo do samego Złakowa. A dotarliśmy tutaj dokładnie 17 października 1945 roku. Jabłek już nie było na drzewach. Tutejszy Niemiec poczęstował nas jabłkami zebranych z rynien dachowych. Był to pierwszy poczęstunek, z jakim tutaj się spotkaliśmy.

Jeden duży pokój: szafa, komoda, łóżko, stół i cztery krzesła. My i dwójka dzieci. Nie mieliśmy własnej żywności, a było to już po żniwach. Karmili nas tutejsi Niemcy, a były to dwie rodziny starszych ludzi. Robili nam kanapki na śniadanie, których nie zjadaliśmy zostawiając trochę dla naszych dzieci. Były obiady, nawet często dwudaniowe, były kolacje. Z tymi Niemcami to układało się nam całkiem dobrze. Rozumieliśmy ich mowę. Po wykopkach objęliśmy gospodarstwo. Te dwie rodziny niemieckie wyjechały do swego Rei-

chu. Ci, którzy gospodarzyli indywidualnie, wyjeżdżali już w 1946 roku. Ziemie były obsiane. Kosilo się przy pomocy kosi. Kobiety podbierały i wiązały snopy zboża. Kosiliśmy wspólnie zboża u kolejnych gospodarzy. Gospodyni przygotowywała posiłek dla wszystkich żniwiarzy a ponadto w tym dniu opiekowała się ich dziećmi. Już wtedy prowadziliśmy samopomoc chłopską. Zboże podbierało się specjalnie zrobionymi kulkami z drewna i wiązało w snopy. Potem następowała konna zwózka zboża do stodoły i młócenie maszyną elektryczną, którą nazywaliśmy „trajkotką”. Trajkotało to wszystko, targało słomę i kurzyło niemiłosiernie. Tak wymłócone ziarno należało przepuścić przez ręczną wialnię, aby oddzielić je od plew.

Było pierwsze własne zboże; była mąka, był chleb. Chleb wypiekaliśmy sposobem domowym. W sadzie był taki piekarnik. Był to chleb na domowym zakwasie. Ciasto nakładało się do koszyczków wykonanych ze słomy i do pieca. Ten chleb był zawsze świeży i zdrowy. Były dwie krowy; było mleko, było masło, był twarożek. Po podwórku chodziły kury. Masło też produkowaliśmy sposobem domowym w kierzonce, do której wlewało się śmietaną i bijakiem ją się ubijało tak długo, aż powstało masło.

Pole obsiewaliśmy ręcznie z blaszanego pojemnika przewieszzonego przez ramię. Oprócz zboża sialiśmy wtedy dużo maku, sadziliśmy buraki cukrowe. Trochę później dostaliśmy konia z UNRRY. Do prac polowych sprzęgaliśmy nasze konie: orka, siew, bronowanie.

Jak kopaliśmy ziemniaki? Ręcznie, haczkami. Gromadnie wychodziliśmy z haczkami na pole jednego gospodarza, np. Pabisiaka czy Musiała, bo przecież byliśmy z tej samej podwieluńskiej wsi. A ponadto w gromadzie było różniej i szybciej. Jeden kopał i zbierał ziemniaki do koszyka uplecionego z korzeni, a drugi odnosił i wysypywał na wóz. Posiłek dla wszystkich kopaczy przygotowywała gospodyni, która w czasie tych prac opiekowała się naszymi dziećmi. Bywało, że kopaliśmy w błocie i daliśmy sobie radę. Wtedy na pola wywoziło się obornik ze stajni i obory. Nie było tych chemicznych trucizn. Nikt wtedy nie słyszał o zachorowaniach na raka. Do dzisiaj w swoim ogródku nie używam nawozów sztucznych.

Czy spotykaliśmy się z różnych okazji? A pewnie, że się spotykaliśmy. Szczególnie w niedzielne wieczory. Nie da się ukryć, że był bimberek i wino własnej roboty. Imieniny, urodziny, chrzciny. Cha-

dzaliśmy po pięknym wtedy dworskim parku z fontanną. Latem świętowaliśmy na trawie, na kocyku.

Był tu piękny pałac, nikt w nim jednak nie zamieszkiwał. Marniał w oczach.

Jak było z Rosjanami? Początkowo to ich się strasznie baliśmy. Szczególnie kobiety. Mężczyźni też ich się bali. Przecież oni chodzili uzbrojeni i nadzorowali prace wykonywane w majątku ziemskim przez pracujących tam Niemców. Przez pierwsze dwa tygodnie to wcale nie wychodziliśmy z domu. Nie do wiary, ale tak było, ten strach był przeogromny. Nawet jak ich tylko trzech zostało to też byliśmy ostrożni. Ale za bimber można byto z nimi wiele załatwić.

Z pałacu widać było zabudowania Ustki. Chodziliśmy tam, pałac nie był zamknięty. Rosjanie mieszkali poza pałacem.

Co się wtedy jadało? Wszystko to, co udało się z tej ziemi zebrać, co udało się w zagrodzie wyhodować. Robiliśmy przepyszne barszcze jadane z chlebem na śniadanie. Kapuśniak na obiad. Modne były kluchy, smaczne i pożywne. Mięsa nie było za wiele. Po świniobiciu mięso przechowywało się w słoikach.

Czy pamiętam pierwsze potańcówki? Też pytanie!

W sali wiejskiej Szponar grał na harmonii. Tam były nasze pierwsze potańcówki. Bezpłatne tańce - tanga, oberki, poleczki. Zawsze parami, chłopak z dziewczyną, a nigdy solo tak jak dziś.

Pierwsze nabożeństwo odbyło się w kaplicy w Zalasinie. Tam w lesie mieszkały niemieckie zakonnice, które prowadziły dwa sierocińce, w tym jeden dla dzieci upośledzonych. Tam też była kaplica i właśnie tam odbywały się pierwsze nabożeństwa dla nas Polaków, a odprowadzał je starszy już wiekowo kapłan, który przychodził z Ustki. Tam też mieszkali niemieccy rybacy. Była tam też niemiecka szkoła. Wracając ze mszy świętej często urządzaliśmy sobie grzybobranie. A grzybów było moc. Z tymi rybakami handlowaliśmy wymiennie. Oni nam to, co złowili, a my im to, co ziemia urodziła. Przed rokiem odwiedziła mnie jedna z tych zakonnice. Odwiedziła nieistniejący już cmentarz. Tym cmentarzem opiekuje się pewien mieszkaniec Ustki. Nawet niedawno postawił tam pamiątkowy kamień. Te zakonnice prowadziły tam gospodarstwo rolne; siały i zbierały, kosiły, gospodarowały przy pomocy trzech starszych mężczyzn. Pozostał po nich kawałek cmentarza, który jest dość często odwiedzany przez Niemców. To niedaleko stąd. Jakieś trzy kilometry.

„Naszych Niemców" i te zakonnice wspominam bardzo mile. Na moje 88 urodziny otrzymałam telefon z życzeniami i zapowiedzią rychłej wizyty. Jak Niemcy wyjeżdżali to zaproponowali abyśmy ze sterty pozostawionych rzeczy brali na co mamy ochotę. Nie wzięłam ani jednej sztuki. Pamiętam też taki szczegół przy odjeździe tej rodziny niemieckiej. Otóż z pakunku ładowanego na furmankę wypadły noże, łyżki i widelce. Milicjanci, którzy nadzorowali ten załadunek stali w znacznej odległości; podbiegłam i pozbierałam, i podałam na furmankę. Wtedy z domu przyniosłam bochen chleba i osełkę masła i podałam siedzącym na furmance.

Wkrótce odjechali. Na furmance były tylko niewielkie pakunki, tylko to, co pozwolono im zabrać oraz te łyżki, noże i widelce. Pamiętam też taki drobiazg: jak w styczniu 1946 roku urodził się nasz syn Henryk (od ponad 30 lat sołtys Złakowa, pierwszy Polak urodzony w polskim Złakowie) to mieszkająca tutaj Niemka bez mojej prośby przyniosła oskubanego kurczaka na rosół. Niby drobiazg, ale dla mnie w tamtych czasach jakże ważny.

Zanotował: Sławoj Zawada

Stanisława Paszyk

Karsino oczami Stanisławy Paszyk



Karsino to mała wieś w gminie Postomino, w województwie zachodniopomorskim, 9 km do Bałtyku jadąc szosą, a w linii prostej około 5,5 km do morza. Do Karsina przyjechałam 31 sierpnia 1955 r. Na pierwszy widok rzuciły się w oczy „kocie łby” (kamienisty bruk ułożony na drodze). Przejście po nim w butach na wysokim obcasie sprawiało nie lada

trudność. Następną nowością dla mnie była „kraina w kratę” (gliniane, białe ściany z czarnymi belkami).

Każde gospodarstwo miało na środku podwórka gnojownik, z którego rozchodził się nieprzyjemny odór. Gospodarze mieli konie, po kilka lub kilkanaście sztuk bydła, owce i dużo świń. Rano szły stada krów na łąki, najpierw publiczną drogą niewygodną i dla zwierząt, więc wybierały ścieżki blisko rowu. Następnie skręcały na drogę polną, gdzie tumany kurzu długo rozchodziły się po ich przejściu. Po południu dzieci pasły krowy.

We wsi stała kuźnia, w której kowal przykręcał podkopy do kopyt koni oraz wyrabiał żelazne przedmioty. Dzieci lubiły obserwować tę pracę. Mieszkał też szewc w niewielkim domku, można było na miejscu naprawić buty.

Ogólnie mieszkali tu ludzie młodzi w wieku do 40 lat. Było około 120 mieszkańców. W niedzielne popołudnia mężczyźni - gospodarze grywali w siatkówkę na boisku przed szkołą. Widać było gromadki ludzi przy drodze, dużo rozmawiali. Nie było samochodów.

W latach sześćdziesiątych, gdy pojawiła się telewizja, a w szkole telewizor zakupiony za pieniądze zarobione przez dzieci i nauczycieli

na wykopkach w PGR w Drozdowie, ludzie schodzili się do szkoły przeważnie zimą. Na polach dużo prac wykonywano ręcznie, np. przy przerywce, plewieniu i hakaniu buraków cukrowych. W latach 70. dzieci już nie pasły krów, były palowane przy pomocy łańcuchów.

Ludzie w Karsinie zawsze umieli się zorganizować, to była i jest zgrana wieś. Czuli potrzebę pracy społecznej. W modnym wówczas czynnie społecznym wybudowali szkołę, świetlicę a w latach 90. XX wieku remizę strażacką.

Straż Pożarna działała zawsze. Początkowo do pożaru strażacy jeździli konno. Następnie mieli jeden samochód, a obecnie dwa pojazdy strażackie, którymi często wyjeżdżają do pożarów. W straży tej najdłużej i najrzetelniej pracowali i jeszcze pracują panowie: Mieczysław Ratkowski i Jerzy Brzozowski. Jest wielu innych ofiarnych i młodych strażaków. Istnieją do dziś drużyny młodzieżowe męskie i żeńskie.

Młodych mieszkańców ubywało ze wsi, ponieważ szkoła dobrze pracowała i absolwenci nie napotykali trudności w szkołach średnich, więc studiowali lub też jako dobrzy fachowcy po szkole średniej czy zawodowej rozchodzili się po Polsce i świecie.

W latach 60. z drogi zniknęły „kocie łby”, położono asfalt. Gospodarze zasypali ziemią lub betonem większość gnojowników. Niektórzy posadzili w tym miejscu krzewy i kwiaty. W całej wsi jest tylko jeden koń, około 4 krowy mleczne, nie widzę owiec, a świnki niektórzy hodują dla własnego użytku. Jest tylko czterech gospodarzy. Nie ma szewca ani kowala i kuźni. Zlikwidowano pocztę i szkołę. W ciągu półwiecza wybudowano trzy nowe domy a czwarty zaczyna rosnąć. Poprawiono zewnętrzny wygląd domów.

Przybyło 13 młodych małżeństw i sporo dzieci, ale nie mają szkoły na miejscu, więc muszą dojeżdżać 10 km do Postomina. Obecnie jest nas 101 mieszkańców. Na trasie Koszalin - Darłowo - Karsino - Ustka - Słupsk jest wielki ruch samochodów. Niektóre rodziny w Karsinie mają po dwa a nawet i trzy auta.

* * *

Gdy przyjechałam z mężem do Karsina z Gór Świątokrzyskich w 1955 roku z nakazem pracy w szkole – była tu wtedy szkoła pięcioklasowa z dwoma nauczycielami, dwiema izbami lekcyjnymi, szatnią, małą kancelarią i korytarzem. Po dwóch latach stopień organiza-

cji szkoły został podniesiony do siedmiu klas, a następnie do ośmiu. Ponieważ uczyliśmy dzieci w trzech nietypowych budynkach, zapadła decyzja Inspektoratu Oświaty w Sławnie o rozbudowie budynku głównego w czynie społecznym. Kierownik szkoły - Edmund Paszylk i rodzice podjęli to trudne zadanie w 1968 roku.

A jaka wielka to była trudność, przytoczę kilka przykładów. Kierownik szkoły musiał odbyć trzynaście wyjazdów do Koszalina, Sławna, Gminnej Rady Narodowej w Nacmierzu po zezwolenia na materiały budowlane, do gospodarzy po podwoły, żeby sprowadzić tylko 1500 sztuk cegieł na plac budowy. Gospodarze z obwodu szkolnego (Sulemice, Karsino, Dzierżęcín i Kanin) zwozili cegłę, żwir, piasek, wodę i inne materiały budowlane swoimi traktorami i wozami konnymi. Nikt im za to nie płacił. Belki i płyty na stropy sprowadzane były z Drawska, a płytki lastryko z Warszawy-Okęcie. Budowa trwała ponad trzy lata.

Nic dziwnego, że rodzicom znudziła się ta społeczna praca, ale cieszyli się tym, że budują szkołę dla swoich dzieci i wnuków. Zdarzyło się nawet, że gospodarze jednej z wyżej wymienionych wsi uciekli w las, gdy usłyszeli „junaka” kierownika szkoły, jadącego do nich po podwoły w celu przywiezienia piasku, to było przykre wydarzenie.

Powstał nowy pawilon: cztery izby lekcyjne, pracownia prac technicznych, pokój nauczycielski, kancelaria dyrektora, sanitariaty, biblioteka, magazynek i dwa korytarze. Spełniło się marzenie nauczycieli, rodziców i dzieci, Szkoła otrzymała bardzo dobre wyposażenie na owe czasy, prowadziła dożywianie wszystkich dzieci (było ich ok. 120). Praca pozalekcyjna wrzała przez dziesięciolecia. Już w 1955 roku kierownik szkoły założył z dziećmi teatr lalek, z którym jeździli do okolicznych wsi, dając rozrywkę. Wieczorami prowadził teatr z młodzieżą pozaszkolną, oni również dawali swoje występy w okolicznych wsiach. Od 1955 roku przez lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte intensywnie pracował dziecięcy zespół taneczny. Zawsze braliśmy udział w Powiatowych Eliminacjach Zespołów Tanecznych w Sławnie (na akordeonie grał kierownik, Edmund), zdobywając czołowe miejsca. A w 1962 roku zajęliśmy 1 miejsce w Wojewódzkich Eliminacjach Wiejskich Zespołów Tanecznych w Słupsku.

Prężna praca nauczycieli i dzieci pozwoliła uczniom zajmować czołowe miejsca w olimpiadach przedmiotowych i licznych konkursach.

Dobrze działało harcerstwo. Dzięki szkole radość gościła we wsi. Z pobliskich wycieczek, z boiska sportowego dzieci wracały z piosenką na ustach. W szkole dało się zauważyć prawie rodzinną atmosferę. Nauczyciele przygotowywali występy artystyczne na różne okazje.

W 1979 roku stopień organizacji Szkoły Podstawowej w Karsinie obniżono do 6 klas, a od 1 września 1995 roku podniesiono do 8 klas. I tak było przez dwa lata. Aż w 1997 roku Gminna Rada w Postominie podjęła uchwałę o obniżeniu stopnia organizacji do trzeciej klasy, a następnie o całkowitej likwidacji szkoły w 2000 roku.

Edmund Plank

Wspomnienia nauczyciela z lat 1945-1965

Zaleszczyki, Sanok, Koło, Sławno, Sławsko – oto etapy mojego życia w ciągu jednego 1945 roku. Historia narodu polskiego obfituje w przykłady emigracji (dobrowolnej czy przymusowej). Zawsze w większym lub mniejszym stopniu przykrym było opuszczanie stron rodzinnych. Uczyłem się i czytałem o tych przeżyciach, ale nigdy nie przypuszczałem, że też będę zmuszony wraz z rodziną wędrować i to aż tak daleko z południowego wschodu na północny zachód. Z klimatu ciepłego – kontynentalnego – do morskiego. Nie kończy się jednak na przystosowaniu do zupełnie odmiennych warunków klimatycznych. Wprawdzie przeżycia pierwszej wojny światowej, okresu 20 lat międzywojennych i wreszcie tragedia drugiej wojny światowej, tak jak gdyby przygotowanie – przedsmak, zmian ustrojowych, a jednak powojenne przemiany – przebudowa psychiki – następujących 20 lat powojennych nie była tak łatwa. Ile należało zwalczyć w sobie uporów i antagonizmów zakorzenionych w człowieku, w jego 45 latach życia. Pamiętam jak zacierały i zwalczały się poglądy w społeczeństwie, które mnie otaczało. Ilu ludzi straciło życie lub zalażało się. Tak dalece, że do dziś jeszcze nie bardzo mogą się znaleźć w dzisiejszej rzeczywistości. Niech tylko taki mały incydent będzie dowodem tego co napisałem.

Obchód 1-Majowy 1946 roku. Na Placu Zwycięstwa w Sławnie wiec, przemówienia na trybunie i zgromadzona publiczność. Po przemówieniu na trybunie ówczesny starosta Kowalenko zaintonował Międzynarodówkę. Wśród publiczności podchwycił pieśń rolnik ze Sławska, a później kierownik kina Rut. Reszta milczała. Jedni, bo nie znali ani melodii, ani tekstu, inni bo się bali, a jeszcze inni bo może antagonizm do wschodu i tamtejszego ustroju wzbraniał przed śpiewaniem. Tu było pole do działania. Tu była wytknięta droga dla nauczycieli poprzez szkołę, budować postawy młodego pokolenia, łagodzić niechęci i upory, tworzyć pomost między tym co było i tym

co powstaje, między wczoraj i dziś i jutro. Nie będę się chwalił, że w mojej psychice z miejsca nastąpił zwrot o tych 180 stopni, na pewno nie, ale przyszło mi to łatwiej, ze względu na walory mego charakteru i specyficzne zainteresowanie z lat najmłodszych. Naturę miałem i nam żywą, bardzo dużo zapału i zamiłowania w pracy społecznej i to w kierunkach artystycznych, śpiew, muzyka, teatr, tańce, malarstwo. W tym też kierunku, jak dawniej tak i teraz poszedłem, co mi dawało wiele zadowolenia i bardzo pomogło mi przejść tą, dla innych trudną drogę, z wczoraj do dziś.

Na ten temat jest dziś obszerna literatura, choćby wziąć tę z brzegu powieść pt. „Biała plama” Janiny Broniewskiej, którą mam w tej chwili przed sobą.

Tak więc znalazłem się w dniu 14 grudnia 1945 roku w Sławsku (zwanym poprzednio Starym Sławnem). Szkoła o 4 nauczycielach. Sal lekcyjnych 3 w dwu budynkach. Wieś piękna, budynki murowane, mieszkańcy przeważnie zdemobilizowani żołnierze I Pułku Ułanów. Prócz Polaków mieszkali tu jeszcze Niemcy i stacjonowała jednostka wojsk radzieckich. Ze względu na to, że córki moje potrzebowały szkoły średniej, postarałem się o mieszkanie w Sławnie (ulica Bolesława Chrobrego 18), gdzie zamieszkiwała moja teściowa i szwagierka – też nauczycielki, a przy nich obie córki.

I znów mały obrazek z tych czasów. Budynek zamieszkały przez Niemców. Wieczorem, w dniu w którym wprowadziłem do mieszkania rodzinę – krzyk, lament, bieżanina. Drzwi się otwierają – do mieszkania wpada kilka kobiet niemieckich z walizkami i tobołami, z lamentem, by im to przechować bo napadli ich. Po chwili wpada za nimi kilku młodzików, z opaskami ZWM i z karabinami. Robi się zamieszanie – amatorzy cudzych ciuchów z pretensjami do mnie, że sprzyjam Niemcom, że ich ochraniam, że ...itp. Grożą wreszcie milicją i kategorycznie żądają wydania wziętych na przechowanie rzeczy. Wyprowadzony z równowagi- pokazałem im otwarte drzwi i kazałem się wynosić, a gdy to nie bardzo pomagało siłą wyrzuciłem ostatniego za drzwi, grożąc, że sam pójde na milicję by ich oskarżyć o rabunek i zakłócanie spokoju. To poskutkowało. Drugiego dnia faktycznie byłem w Komendzie MO i w kilka dni później dowiedziałem się, że wyłapano tych obrońców ojczyzny, którzy w ten dziwny sposób walczyli i okradali obywateli i ich mienie dla własnych korzyści.

Równoległe z objęciem pracy w szkole , na propozycję byłego inspektora szkolnego Wojtysiaka Romana wstąpiłem w szeregi Stronnictwa Demokratycznego. Jak już pisałem czułem się zagubiony w nowych warunkach. Tak w pracy, jak też w stosunkach między ludźmi i rozmaitych poglądach, charakterach i zamiłowaniach. Niejednokrotnie słyszało się strzały, pijackie awantury i śpiewy. Wszystko to przypominało wojnę i budziło zakorzeniony, napadami bandyckimi, tam na terenach wschodnich – strach.

Praca była ciężka, przerośnięta dziatwa, brak pomocy naukowych, niedostateczna ilość podręczników i to podręczników nieodpowiednich, w których często gęsto trzeba było pewne partie dyskretnie wykreślać, omijać, co stawiało nauczyciela w kłopotliwej sytuacji. Porozumienie z mieszkańcami też nie było łatwe, bo przeważnie zdradzali się z poglądami o tymczasowości na Ziemiach Odzyskanych i daleko posuniętą chęcią szabru, a potem uciezkami na swoje, tam do Centrali, czy na południe. Sam fakt, że zmuszony zostałem, na podstawie orzeczenia Biura Likwidacyjnego meblować mieszkanie zabieranym od Niemców mieniem, stawiało mnie w sytuacji dwuznacznej, równając poniekąd z innymi szabrownikami. A przecież przyjechałem z rodziną na te ziemie tylko prawie w tym co było na nas, dosłownie obdarty jak ostatni żebrak. I tak też, może nie dosłownie lekceważenie ale pewnego rodzaju zbytnia poufałość przeważnie elementu na niskim poziomie – rozpijaczonych, a obecnie korzystających z majątków wypędzonych przez siebie Niemców – dumnych i żyjących w dobrobycie. Wszystko to nie ułatwiało życia i pracy. I znów moje usposobienie i zamiłowania przyszły mi w sukurs. Zacząłem pracę w zespołach – chór, teatr, świetlica. Ująłem młodzież, znalazłem drogę do wyrwania ich ze szponów starszych, którzy widzieli w życiu rodzinnym tylko zabawę przy butelce. Trwało to rok cały. Ale dla mnie pole było zbyt małe, zacząłem zaglądać do Sławna i tu się angażować. I tak w 1947 roku tyle miałem przed sobą perspektyw i propozycji i rozpoczętej pracy, że od 1 września 1947 roku już przeniosłem się do Sławna. Przed moim przyjazdem wysiedlono Niemców ze Sławnska, odeszła też radziecka jednostka wojskowa. Wśród wysiedlonych Niemców był woźny ze szkoły w Sławnsku, poprzedni kierownik tejże Schümmel. Człowiek starszy, rodzinę miał już w RFN. Żałowałem tego człowieka, który ciężko pracował przy sprzątanii sal i paleniu w piecach. Postarałem się o

jeszcze jednego Niemca, który mu pomagał w pracy (rąbanie drewna, noszenie węgla, itp). Przychodził do mnie wieczorami na pogawędkę i po to by pograć na pianinie. Słuchał o wyczynach swoich rodaków – rabunkach, morderstwach i nie wierzył, by to miało miejsce. Przez Urząd Likwidacyjny nabyłem trochę jego mebli i pianino. Gdy wyjeżdżał, żegnając się, wyraził pewnego rodzaju radość, że te jego meble zostaną w dobrych rękach, że nie zostaną zniszczone, a po powrocie zostanie je w dobrym stanie. Ostatni uścisk dłoni i słowa: „Auf wieder schön”. Czy nie był to więc jeszcze jeden z licznych dowodów w jakiejś niepewności i z jakim uczuciem tymczasowości żyło w tym czasie społeczeństwo, które osiedliło się z Ziemiach Zachodnich?

W Sławnie na polecenie Inspektoratu zorganizowałem Wieczorową Szkołę dla Pracujących, a w rannych godzinach pracowałem w Liceum Ogólnokształcącym. Prowadziłem tam lekcje matematyki, rysunku, śpiewu i chór szkolny.

Jako kierownik Szkoły dla Pracujących borykałem się z wieloma trudnościami – jak brak budżetu, który dopiero od stycznia 1948 roku obejmował nowo zorganizowaną placówkę. Mieściłem się kątem w Szkole Podstawowej Nr 2, gdzie kierownikiem był kol. Franciszek Balsam. Oddziałów było 4: klasa wstępna, przeważnie analfabeci lub wtórni analfabeci, klasa V, VI i VII. Klasy były liczne, a uczniowie różni, tak pod względem przygotowania jak też i wieku. W tym okresie utarło się powiedzenie, że to jest „śmietnik” – złożony z elementu, który odpadł z rannych szkół. Już w roku 1946 dochodziłem ze Sławska do Sławna i prowadziłem dwa razy w tygodniu wypożyczalnię książek organizowanej Biblioteki Powiatowej, mieszczącej się w budynku Powiatowego Domu Kultury. Pierwszy księgozbiór zakupiony został z prywatnej wypożyczalni, która mieściła się w lokalu przy ulicy Jedności Narodowej. Były to przeważnie książki stare z beletrystyki, a ilość ich nawet ma początkowo małą liczbę mieszkańców miasta – niewystarczająca. Już po roku otrzymałem pierwszy księgozbiór nowych dzieł, które osobiście odebrałem w Bibliotece Wojewódzkiej w Szczecinie.

Pracę nad dalszym rozwojem czytelnictwa tak w mieście, jak i w powiecie przekazałem mojej żonie Marii, która ją przez wiele lat prowadziła. Tymczasem jako członek SD zostałem wybrany do kolektywu szkoleniowego i wraz z nieżyjącym już ob. Michałem Ma-

jewskim i Józefem Ulatowskim prowadziłem przez kilka lat. Wobec tego, że Szkoła dla Pracujących miała już swój budżet, zacząłem rozglądać się za budynkiem. Na krańcach miasta przy skrzyżowaniu ul. I Pułku Ułanów i Sempołowskiej były budynki opuszczone przez Państwowy Dom Dziecka, gdzie w okresie wojny mieściło się Gestapo, a przed wojną szkoła dla podoficerów. Poczyniłem odpowiednie starania i już 1 września 1948 roku sprowadziłem się tam ze szkołą. I znów pełno trudności. Budynek frontowy o wybitych szybach, brak odpowiedniego sprzętu, itp. Dzięki pomocy władz szkolnych, miejskich i powiatowych, oraz starszych uczniów szkoły – do zimy najbardziej palące potrzeby i najbardziej palące trudności zostały przewyciężone i praca szła normalnie.

Drugi budynek zapełniony był starymi i połamanymi meblami, stoliki szkolne, ławy – ławki, szafy. Część tj. łóżka zabrano do Jarosławca na użytek kolonii i wczasów. Liczba uczniów w szkole znacznie wzrosła (równoległe klasy VI –te i VII-me). Zmienił się też element - dzięki zrozumieniu i pomocy dyrektora szpitala dr Zygmunta Siedleckiego, który nałożył obowiązek na służbę zdrowia ukończenia VII klasy, jak też naczelnika Poczty Józefa Ulatowskiego, gdzie listonosze mieli ten sam obowiązek ukończenia szkoły podstawowej. Byli to ludzie poważni, częściowo żonaci, którzy rozumeli potrzebę nauki i chlubnie ukończyli szkołę, a równocześnie wpływali na innych, młodszych i bardziej wykolejonych. Rozmaicie bywało. Na przykład dokuczliwy brak żarówek, które przy nauce wieczornej (do godziny 22.00) były niezbędne. Zgłasza się dwóch uczniów, którzy obiecują, że o żarówki postarają się. Powiadam – zgoda, starajcie się – zapłacę. I faktycznie żarówki się znalazły. Ale radość zbyt krótko trwała, po kilku dniach żarówki się przepalały. I znów ci sami postarali się o nowe. Tak powtarzało się kilka razy, aż wreszcie wydało się to podejrzanym. Sam więc żarówki od nich kupione wkręciłem, ale przed tym nieznacznie pilnikiem poznażyłem. No i wyszło na jaw, że sprzedawali te same kilka razy. Jak z tego wynika, nie książki uczą życia, ale samo życie, to szare na co dzień.

Tak więc na stanowisku kierownika szkoły dla Pracujących pracowałem do roku 1953. Ciężką tę pracę ciągnęli wraz ze mną: kol. Kol. Rynarzewska, Maculewiczowa, Maculewicz i inni.

We wrześniu 1953 roku zaszczyliły naszą szkołę władze szkolne powiatowe i wojewódzkie i znów szkoła została przeniesiona do bu-

dynku Szkoły Nr 2 a w tym budynku zorganizowano Liceum Pedagogiczne dla Wychowawczyń Przedszkoli. Mnie zaproponowano pozostanie w charakterze nauczyciela rysunku, muzyki, śpiewu i matematyki. Zwolniłem się z kierownika szkoły wieczorowej i zacząłem nauczanie z młodzieżą starszą i to z samymi dziewczętami. W budynku głównym zainstalowano internat, a w tym drugim wyremontowanym izby lekcyjne. Dyrektorką została kol. H. Krasowska. Uczyli: kol. kol. Kuziemski, Figlarowicz, Różycka i inni. Po dwóch latach zmieniono dyrektorę, przyszła kol. Kwietniewska. Szkoła rozwijała się, doszedł drugi internat, w budynku przy ulicy Armii Czerwonej.

Rozmaicie bywało i źle i dobrze. Przebyliśmy dwie matury. Jeździło się na hospitacje praktykantek po całym województwie i chodziło się na hospitacje i lekcje do przedszkoli w mieście. Tak trwało do roku 1956. I znów wizyta władz wojewódzkich i przeniesienie Liceum do Wałcza i Lęborka. Decyzja zapadła z końcem czerwca 1956 roku. Ja w tym czasie tzn. od 1 lipca byłem na sesji letniej trzeciego roku Studium Zaocznego rysunku, prac ręcznych w Katowicach. Był to okres kolokwium i egzaminu dyplomowego. Zostałem wezwany do Sławna celem przejścia inwentarza oraz organizowania Szkoły Podstawowej Nr 3 stosownie do decyzji władz szkolnych. Nadmienić należy, że w czerwcu, gdy zapadła decyzja przeniesienia Liceum, władze wojewódzkie proponowały wykładowcom przeniesienie i proponowały rozmaite miejscowości do wyboru. Ja miałem propozycję do Świdwina lub do Wałcza, ewentualnie organizowanie Szkoły Nr 3 w Sławnie i kierownictwo. Wybrałem to ostatnie. I znów praca organizacyjna i związane z nią kłopoty.

Tak więc po odebraniu pozostawionej części inwentarza i budynków (z dni urlopu z kursu) wróciłem do Katowic i do końca lipca złożyłem egzamin dyplomowy. W sierpniu posiedzenie z kierownikami szkół Nr 1, 2 oraz Miejskie Rady Narodowej i Inspektora Szkolnego celem opracowania rejonizacji miasta do szkół.

W momencie rozpoczęcia nowego roku szkolnego 1956/57 na boisku Szkoły Nr 2 podział działwy, przemarsz obok Szkoły Nr 1, gdzie kol. Franciszek Balsam wyprowadził i dołączył dzieci z tej znowu szkoły. No i cały pochód przez ulicę Armii Czerwonej i I-go Pułku Ułanów na boisko Szkoły Nr 3. Tak więc nowa placówka, nowe grono, nowe obowiązki i jak zwykle kłopoty, bo szkoła bez budżetu aż do grud-

nia. Ratunek to zapasy pozostawione przez Liceum oraz część inwentarza, pomocy naukowych, instrumentów i biblioteki.

Pierwszy rok szkolny 1956/57 to 14 oddziałów, 478 uczniów przy 12 nauczycielach, sprzętacze i palaczu na okres zimowy. Podobnie jak w Szkole dla Pracujących i Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli, prowadziłem kółko fotograficzne, co pozwoliło mi zasilić w zdjęcia kronikę inspektoratu, Biblioteki Powiatowej i własnej szkoły. Jeśli już wspominałem o pasji fotografowania, to nie od rzeczy będzie nadmienić o kilku faktach, które w trakcie pisania umknęły mi z pola widzenia, z pamięci – a dopiero znajdująca się pod ręką fotografia przypominała. Otóż w pracy Domu Kultury, pod batutą podinspektora ob. Kol. Gabrysiewicza grałem jako drugi skrzypek w zespole instrumentalnym. Poza orkiestrą był też chór., zespół taneczny i teatralny. Zespoły występowały nie tylko w Sławnie, ale też i w powiecie – sala i scena Domu Kultury to tylko pomieszczenia. Do występów potrzeba jednak jeszcze i urządzenia. Dzięki pomocy tartaku dostaliśmy listwy, z których sposobem gospodarczym zrobiło się ramy do kulisy. Ze starych sienników i worków kurtynę, tylną ścianę sceny i boczne kulisy (dwustronnie malowane) ogólny widok i pokój, w zależności od danej sztuki teatralnej. Stroje – często gęsto bibułkowe lub własnym przemysłem szyte i przerabiane ze starych sukien. Później było coraz lepiej. Walnie pomagała nam też kol. Pniewska. Pniewska, specjalistka od reżyserowania sztuk dziecięcych, a nawet sama pisała utwory sceniczne. Jedną z takich sztuk pt. „Brzydkie kaczątko” wspólnie z nią opracowałem. Sztuka była pełna fantazji, śpiewu i tańca, ogólnie się podobała i grano ją kilka razy. Niecodziennym wydarzeniem był wyjazd naszych zespołów na pierwszą Wystawę Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. Zbieraliśmy tam przez cały tydzień oklaski w Hali Ludowej i w sali na terenie wystawy. Do naszych zespołów przyłączono zespół tańca z Rurnowa (pow. Słupsk). Wszyscy mieli już specjalne stroje z naszymi „Szczecin” (bo w tym okresie Sławno należało do województwa szczecińskiego) i budziliśmy we Wrocławiu wielkie zainteresowanie. Z tego okresu pozostały miłe wspomnienia. Był też i smutny epizod, w roku 1951 podczas wiosennych ferii, bardzo wczesnym rankiem obudziło mnie pukanie do okna. Wyjrzałem i zobaczyłem kol. Balsama i kol. Żamejcia – którzy dawali mi znaki abym się ubierał i zaraz szedł z nimi. Nie mogłem się zorientować o co chodzi. Dopiero

drodze zorientowałem się , że podinspektor Rynarzewski jadąc motorem, wpadł na drzewo i zabił się. Leży w kostnicy cmentarnej, strasznie wygląda i trzeba go stamtąd zabrać, przebrać, ułożyć zwłoki gdzieś na katafalku, nim żona i dzieci się dowiedzą. A mieszkali w Pomilowie. Rada w radę zabraliśmy ze sobą lekarza i po uzyskaniu zezwolenia na zabranie zwłok, przewieźliśmy na cmentarnym wózku do szkoły dla pracujących (to znaczy, gdzie obecnie jest Szkoła Nr 3) i umieściliśmy w sieni drugiego budynku. W izbie obok, gdzie obecnie mieszka woźny, ułożyło się katafalk, zwłoki umyły Niemki, które spełniały podobną funkcję w szpitalu, a my już sami załatwiliśmy sprawę ubrania i trumny. Dopiero w południe sprowadziliśmy żonę i rodzinę. Z tego też miejsca nastąpiło wyprowadzenie zwłok na cmentarz. To był bardzo smutny i przykry wypadek, którego wspomnienie zostawiło niezatarty ślad. Tym bardziej, że miejsce zmarłego w inspektoracie, mnie polecono zająć. Pracowałem przez kilka miesięcy, ale na stałe zostać nie mogłem się zdecydować. Charakter tej pracy, z papierami, nie odpowiadał mej naturze. Ja musiałem i muszę pracować z elementem żywym. Gdy więc tylko było to możliwe powróciłem do pracy w szkole – z dziećmi. Poza pracą zawodową piastowałem już w tym czasie godność radnego Powiatowej Rady Narodowej, a równocześnie spoza rady członka Komisji Oświaty i Kultury Miejskiej Rady Narodowej.

Na sesjach Rad narodowych i posiedzeniach rozmaitych komisji radzieckich niejednokrotnie nasuwały mi się pytania. Czy jednak postulowane wnioski radnych – przeważnie realizowane, są w efekcie widoczne, czy społeczeństwo zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że jednak coś się robi, ulepsza, że życie jest lżejsze, że przykrości i trudności są usuwane. I tu znów kilka takich faktów nasuwa mi się w moich wspomnieniach. Ulica I-go Pułku Ułanów na odcinku obok szpitala, w latach 1945-1956 miała tylko jezdnię pokrytą kocimi łbami. Po obu stronach był żywopłot z głogu i ½ metrowej szerokości deptak. Od 1948 roku do szkoły Podstawowej dla Pracujących chodziło się jezdnią, bo na deptakach głogi żywopłotu darły ubranie i można było pokaleczyć twarz, powybijać oczy, tym bardziej, że ulicę oświetlały (i to rzadko kiedy) dwie żarówki , wysoko na słupach między gałęziami drzew. Wniosek o poszerzenie ulicy podałem na jednej i drugiej sesji Miejskiej Rady Narodowej, jak też na komisji kultury i oświaty. Wreszcie sam osobiście zacząłem chodzić koło tej

sprawy. Pierwsze kroki do dyrektora szpitala. Tu poszło wyjątkowo łatwo. Szpital usunął żywopłot i odstąpił 2 metrowej szerokości pas a teren szpitala ogrodził siatką. Trudności zaczęły się dopiero, gdy sprawę przyszło załatwić z właścicielami posesji – rolnikami, Rek, Bazan i jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam. Z pomocą przyszła Miejska Rada Narodowa i Zarząd Dróg. Wreszcie parkany rozebrano i posunięto, tak że było można wyrównać ulicę. Kolejny etap to postawienie chodników po stronie szpitala, a w końcu oczyszczenie żywopłotu głogowego po prawej stronie przy parceli, nieżyjącego już dziś kol. Nauczyciela Piotra Żurycha i też postawienie chodnika. W parę lat później oświetlono ulicę, co też jest zasługą pracy Rady Narodowej i natarczywości radnych na sesjach. Inna sprawa to wyznaczenie miejsc do przechodzenia ulic miasta. Patrzyłem na wysiłki robione w tym celu. Kilka razy co roku widziało się takiego pracownika z kubłem farby i pędzlem, który malował białe pasy przez jezdnie i krawężniki chodników. Była to syzyfowa praca, do tego jeszcze dość kosztowna a efekt znikomy, bo po kilkunastu dniach, ani znaku po tej pracy nie było. Na jednej z sesji poruszyłem tę sprawę i podałem wniosek – wykonać kostkę z cementu w białym kolorze i wstawić ją w wyznaczone do przejścia miejscach. I oto radość, w stosunkowo krótkim czasie postulat realizowano i i dziś mamy w mieście trwałe, niezatarte ślady wniosku, białe pasy przez jezdnie w miejscach przeznaczonych na przejście. Praca trwała, a koszt minimalny, bo na zapleczu siedziby Miejskiej Rady Narodowej jeden pracownik kostki takie wyrabia, a jak widzę nawet i płyty chodnikowe też fabrykuje. Tak więc ma człowiek zadowolenie z godzin, które przesiedzi na sesjach i posiedzeniach komisji i myślę, że społeczeństwo choćby mimo woli zwraca uwagę na wysiłek rad narodowych i coraz to nowsze i praktyczniejsze posunięcia dla dobra miasta i społeczeństwa. Obecnie nowa troska – mosty na kanale wałą się, a funduszy brak i nowy problem, nowy postulat na najbliższą sesję, która odbędzie się w dniu 27 listopada 1965 roku.

W Stronnictwie Demokratycznym wybrany zostałem przewodniczącym Powiatowego Komitetu. Okres był trudy - przełomowy – praca partyjna kulała, wielu członków zubożało, zniechęciło się. Było dużo niesłusznych podejrzeń, brak zdrowych dyrektyw odgórnych, niezdrowa atmosfera w pracy międzypartyjnej. W tym to czasie właśnie z w/w powodów rozpadło się koło pocztowców, słabo pracowa-

ło koło nauczycielskie. Miałem często wyjazdy w teren do innych kół (Darłowo, Polanów, Wiekowo, Karwice). Wymagania odgórne natarczywe, często sprzeczne. Ten okres mej pracy pozostawił niesmak i przyczynił się do tego, że aktywni i wartościowi ludzie załamywali ręce i odchodzili. Kto wytrwał, musiał mieć silny kośćiec i głęboko wkorzenione przekonania. Po tych październikowych przeżyciach, długo i mozolnie przyszło pracować, by pozyskać utracone zaufanie u członków, pracę unormować i doprowadzić do stanu w jakim jest ponownie Stronnictwo Demokratyczne. Jak nie ma sposobu na zatrzymanie upływającego czasu, nie można zahamować rozwoju społeczeństwa. Ilość mieszkańców stale wzrastała, gruzy usuwano, przybywało coraz to więcej pomiędzy pozostałymi wysepkami niezniszczonych wojną budynków. Na placach powstały zieleńce i kwietniki, miasto piękniało, naprawiano jezdnie i chodniki, a równocześnie wzrastał się głód mieszkań. Narastał problem budownictwa, który to coraz częściej stawiany był na sesjach rad narodowych i posiedzeniach komisji. Wreszcie pierwsza jaskółka inwestycyjna, pierwszy gmach przy ulicy Lipowej. I tak się zaczęło, drugi przy ulicy Grotzgera, potem siedmiosegmentowiec przy ulicy Jedności Narodowej, no i w końcu osiedle przy ulicy Armii Czerwonej. Równoległe budownictwo przyzakładowe na ulicy Wojska Polskiego, pawilon dziecięcy w Szpitalu, itp. itd. Wszystko to jednak za mało. Pałacą sprawą było budowanie szkoły na Osiedlu Dzieci Wrzesińskich i Technikum Melioracyjnego. Oto problemy, które nurtowały i nurtują sesje i komisje Rad Narodowych.

Nie wiem czy mam rację pisząc w ten sposób, ale przyjęte jest ogólne powiedzenie, że na pochyłe drzewo kozy skaczą. Są chwile, że człowiek zastanawia się i nawet poniekąd zniechęca, gdy zobaczy obok siebie ludzi obojętnych na sprawy ogółu, którzy tylko pracują za coś, dbają tylko o siebie, dom, rodzinę, a od każdej pracy społecznej uciekają jak od zarazy.

Przychodzi jednak otrzeźwienie, w chwili gdy się zobaczy, że człowiek nie jest odosobniony, że są przecież społecznicy, że jest grupa, która potrafi myśleć i pracować, wtedy takie chwile słabości i zniechęcenia mijają. To chyba jest już we krwi., że nawet kilka zebrań i posiedzeń w tygodniu nie odstrasza, że jakoś mieści się to w czasie i godzi z pracą zawodową i prywatnym życiem w domu.

Są też i takie chwile kiedy człowiek doczeka się nagrody za swoją pracę. Tak, nagrody, i to nie w formie dyplomu (tych mi nie szczędzono) czy też uznania wraz z pieniężną nagrodą, lub odznaki – to rzecz normalna za rzetelną i uczciwą pracę zawodową i społeczną. Nie neguję by to nie miało aspektu, który człowieka podnosi na duchu i dodaje bodźca do jeszcze lepszej, wydajniejszej pracy. Ale naprawdę nie mniej miłą i cenną jest nagroda w formie uznania przez byłych wychowanków. Takie spotkanie w lecie w roku 1964. Spotkałem na ulicy eleganckiego młodzieńca, który się ze mną wita i zapytuje, czy go poznaję. Trudno, powiadam, ale naprawdę nie mogę sobie przypomnieć czy kiedykolwiek pana spotkałem. A on wobec tego pomogę panu profesorowi, powiada gość. Pan mnie uczył, nauczył mnie pan śpiewać, dość już bezbłędnie potrafię zaśpiewać *dore-mi*, a czy zgadnie pan profesor, gdzie obecnie pracuję ? W zespole pieśni i tańca „Śląsk”. Czy to nie jest prawdziwa nagroda za trud, taki dowód wdzięczności i pamięci po tylu latach.

Albo inny fragment. W lipcu 1958 roku do Szkoły Nr 3 przyjechał na kolonie zespół pieśni i tańca Liceum Pedagogicznego z Ciecho-cinka. Kierownikiem zespołu był kolega profesor H. Chomik. Podczas 4-tygodniowego pobytu zespół dawał cały szereg występów tak w Sławnie w Powiatowym Domu Kultury, jak też w powiecie (Dar-łowo, Jarosławiec). Występy bardzo się podobały, zespół wraz z kierownikiem i grupa wychowawców zbierał zasłużone oklaski. Jako kierownik szkoły – starałem się im iść jak najdalej na rękę, udostępniając sale, pianino, itp. itp.

Pod koniec turnusu, na pożegnanie też spotkała mnie mała niespodziewana nagroda. Oto ułożony został przez prof. Chomika (muzyka) i kol. prof. W. Mażewską (tekst) walczyk pt.: *Wspomnienia ze Sławna*”, „Pożegnania” na trzy głosy z kapelą. Podaję słowa tego utworu:

Słońce już wstało by powitać nas na ziemi tej
W tak piękny czas Ziemia Sławieńska, my
Goście dziś twe, Więc razem witamy cię
Witamy cię. Pomorskich Tyś Książąt Gród
Witamy Was zebrany u jego wrót
Wartki nurt rzeki wydzwania nam pieśń
na Ziemi tej dzwoni nam pieśń
Ty zaś od morza wietrzyku ją nieś

Niech długie lata wciąż gra
Pieśń płynie w świat, śpiewamy ją wszyscy wraz,
Wśród starych baszt , w pogodny ten letni czas.
A teraz kiedy wszystko tu znam,
Tu znam, wszystko tu znam,
Bądź zdrów
Bądź zdrów, pobytu kończy się czas
A dziś, a dziś, tą pieśnią żegnamy was
Pieśnią żegnamy was.

Utwór ten został mnie dedykowany w bardzo ładnej oprawie graficznej wraz ze zdjęciami zespołu. Wykonywany był w PDK na występie pożegnalnym.

Czy więc może ktoś zaprzeczyć, że warto dla takiej nagrody, dla uznania, poświęcić trochę czasu, z życia prywatnego, okazać dobrej woli i serca ? Chyba tak.

Do września 1960 roku prowadziłem jako kierownik Szkołę Podstawową Nr 3 poczym przeszedłem na emeryturę, pracując jednak dalej na umowie w ramach dozwolonej ilości godzin.

Szkołę zdawałem kol. Hejnertowi, który jednak nie dożył chwili jej przejęcia, zmarł na zawał serca. Sprawa się przeciągała, nie można było znaleźć odpowiedniego zastępcy. W połowie października inspektorat nazaczył jako p.o. kierownika kol. Jana Dula z zastrzeżeniem, że będzie mu w miarę możliwości pomagał. Praca ukształtowała się dobrze aż do roku 1963. W tym roku kol. Dul zrezygnował i przeniósł się ze Sławna. Na jego miejsce przyszedł kol. Cyrzan i do tej pory szkołę prowadzi. Dzieci coraz to przybywa, a wraz z dziećmi wzrosła liczba nauczycieli. Nauka trwa na dwie zmiany, a w klasach pierwszych nawet na trzy.

Jako ostatni, końcowy akcent moich wspomnień jest uroczystość, która zwraca moje myśli do lat 1947-1957. Uroczystość ta to zjazd absolwentów i wychowawców Państwowego Liceum Ogólnokształcącego, która odbyła się w dniu 25 września 1965 roku. Na program uroczystości złożyło się odsłonięcie tablicy z okazji nadania szkole imienia J. H. Dąbrowskiego oraz ofiarowanie sztandaru fundowanego przez społeczeństwo. Brałem udział i jako ojciec jednej z pierwszych absolwentek tejże szkoły, jak też jako wykładowca i wychowawca z lat 1947/53.

Pełne wzruszenia było spotkanie się z wychowankami, których zapamiętało się jako po prostu dzieci, a spotkało po latach jako dorosłych ludzi. Dyskusja w auli podczas inauguracji miała też swój wydźwięk, często wyciskając łzy z oczu. Ciekawym też było stwierdzenie, że najliczniej stawili się absolwenci z pierwszych i ostatnich lat 20-lecia, najslabiej, bo po dwoje a w jednym wypadku nawet solo zaprezentował się absolwent (witany burzliwymi oklaskami) z lat 1950-1954. Podczas wspólnie spożytego obiadu w restauracji „Słoneczna” padła propozycja wyboru, a raczej ułożenia piosenki zjazdowej. Nie zaznaczono okresu miesiący na jej skomponowanie. Zgłosił się jeden z absolwentów, jak już go w czasie pobytu w szkole nazywano „nasz Szopen”, że pieśń taką, tak pod względem tekstu jak i melodii skomponuje i przyśle.

Zjazd zakończono w pawilonie w Jarosławcu, dokąd zawieziono uczestników autokarami. Pogoda – mimo późnej jesieni - dopisała, noc była wyjątkowa bardzo ciepła. Podana w międzyczasie kolacja jeszcze bardziej zbliżyła rozsypanych po całej Polsce uczestników. Zdecydowano zjazd powtórzyć po upływie 5 lat. Jako pamiątka pozostała pewna ilość wykonanych zdjęć.

I tak kończę swoje wspomnienia na tej ostatniej stronie – chociaż przyznam się szczerze, że żał mi się z tymi kartkami rozstać, że jeszcze tak dużo jest do pisania, że to mnie jakoś odmładza, ale trudno, trzeba kończyć, a może zabrać się do innych wspomnień, może bardziej przykrych, ale nie pozbawionych jasnych chwil, do wspomnień z okresu drugiej wojny. Warte są by je upamiętnić we wspomnieniach.

Stanisław Poprawski

Wróciliśmy nad Bałtyk

Wstęp - Rozliczenie z przeszłością

Zaledwie trzy lata minęły od hucznie obchodzonych w 1942 roku przez mieszczan sławieńskich uroczystości z okazji 625 rocznicy nadania praw miejskich, a już w 1945 roku na miasto spada wielkie nieszczęście i największa tragedia w jego wielowiekowych dziejach. Tym nieszczęściem był gigantyczny pożar miasta. Strawił on niemalże całe śródmieście. Jego najistotniejsza część - centrum miasta - legła w gruzach. Po prostu przestała istnieć. Ci, którzy tu przyjechali bezpośrednio po wojnie, mogli zobaczyć nie morze, ale ocean gruzów. W czasach prosperity właśnie ta część miasta stanowiła nie tylko o handlu, zamożności, ale też i o charakterze całego grodu.

Wszystko wskazuje na to, że podpalaczami mogli być sami zwycięzcy - oddziały piechoty radzieckiej ze składu 27. dywizji 19 Armii, którą dowodził gen. lejtn. Władimir Romanowski.⁶ Bo komu mogło zależeć na tym. Niemcom z całą pewnością nie. Polakom również nie, bo znali wyniki konferencji w Jalcie. Tak więc tylko mogła to uczynić radziecka piechota, wspomnianej już 27 dywizji. Wystarczy przypomnieć, że przez które pomorskie miasta owa dywizja przechodziła, tam śródmieścia uległy spaleni. Dowodnie o tym świadczą Słupsk, Sławno, Lębork, Polanów i inne. Niemcy również wskazują Rosjan na tych, którzy odpowiadają za ten nieczyny czyn. Kurt Mielke we wspomnieniach swoich niedwuznacznie wskazuje Rosjan jako podpalaczy pisząc: „...Ledwo opuściliśmy Sławsko, ujrzeliśmy efekty bohaterskich wybawców.”⁷

⁶ Tadeusz Gasztold „Wyzwolenie miast i wsi Pomorza Zachodniego w 1945 r”, str.151-152

⁷ Kurt Mielke, Mój los był jednym z wielu milionów, tłum. Irena Elsner (w:) Mój los był tylko jednym spośród wielu milionów...Powiat sławieński

Upojeni łatwym zwycięstwem, bo praktycznie oporu na miarę oczekiwania nie napotkali - nie licząc nikłej próby obrony miasta przez oddziały Volkssturmu - rozpoczęli swoje „wojenne harce”, w wyniku których ofiarą padło właśnie śródmieście. W skład oddziałów Volkssturmu wchodziłi starcy i trochę sfanatyzowanych „małolátów” spod znaku Hitlerjugend. Wyposażeni w karabiny i pięści przeciwpancerne, podjęli próbę powstrzymania atakującej z impetem jednostki pancernej. Czołgi sowieckie - 3 Korpusu Pancernego Gwardii gen. Aleksego Panfilowa, należące do tej samej 19 Armii,⁸ - przebiły się przez anemiczną obronę i przemknęły głównymi ulicami, kierując się do Słupska. Ogromne ich cielska ledwo przeciskały się pod bramami miejskimi. Przejeżdżając pod Bramą Słuską, jeden z tych wozów bojowych otarł się mocno swoim bokiem o mur, pozostawiając głębokie ślady w ceglach, wryte przez stalowe gaśienice.

Tuż za miastem przeszkodę miał stanowić wysadzony w powietrze most na Wieprzy. Niemcom nie udało się w całości go zniszczyć, gdyż most ten w połowie swej długości uległ złamaniu i końcami tymi osiadł na dnie rzeki. Na obu przyczółkach trzymał się jeszcze dobrze. Tak więc czołgi bez trudu sforsowały tę niby przeszkodę. Zjeżdżały po pochyłości w dół, jak na jakiejś zjeżdżalni, aby po chwili wspiąć się w górę i wjechać na drugi brzeg. Teraz już bez przeszkód kawalkada ta mogła kontynuować forsowny marsz w kierunku Słupska.

Tymczasem dla pojazdów kołowych, został wybudowany przez jednostki saperskie tuż obok most drewniany, który służył jeszcze do 1947 roku. Wtedy to właśnie oddano do użytku nowy, żelbetowy most, który służy do dziś.

Na marginesie sprawy pożaru miasta należy zauważyć, że istnieje w konfliktach zbrojnych niepisany zwyczaj, według którego zwycięzca nie pyta o prawo, bo uważa, że dla pokonanych i dla siebie on sam jest prawem i dlatego nie czując nad sobą żadnej władzy, mógł sobie na wiele pozwalać. Ten stan bezkarności sprawił, że owi zwycięzcy uczynili z miasta płonąca pochodnię. Niczym „fajerwerki” wzniecali pożary, to tu, to tam, według własnego upodobania. A szczególnie

w roku 1945 we wspomnieniach dawnych mieszkańców pod red. Jana Sroki, Sławno 2008

⁸ Tadeusz Gasztold - tamże

upodobili sobie śródmieście. Uczylni to, chociaż mieli pełną świadomość, że tereny te mają przypaść po wojnie Polsce, jako rekompensata za Ziemie zabrane Polsce na Wschodzie.



Widok na kościół z Brany Koszalińskiej - To nie morze , ale ocen gruzów

Miasto Sławno, w swej ponad sześćsetletniej historii było kilkakrotnie niszczone większymi pożarami, tak, że właściwie nie było stulecia bez łun rozszałęgo pożaru. Jednak ten okazał się być przerastającym wszystkie dotychczasowe.

W trakcie pożaru uległa spaleniui stara, zabytkowa część śródmieścia wraz z nowoczesną już zabudową handlowo - mieszkalną. Płonęły różnych branż sklepy, warsztaty, pracownie i punkty usługowe. Spalił się też w rynku dom towarowy. Zamieniono w popiół i zgliszcza hotel, kino, fabrykę maszyn rolnicznych i tartak przy obecnej ulicy Mickiewicza. Spłonął też zabytkowy XVIII wieczny ratusz.

W zgliszcza zamienili też XIV- wieczną świątynię, pamiętającą jeszcze czasy pierwszych władców Pomorza, a także czasy sprzed i po reformacji. Poza śródmieściem spalili jeszcze szereg domów w tym i neogotycki gmach poczty. Spaleniui uległ również kompleks zabudowań przy obecnej ul. Jedności Narodowej, zwany przez miejscowych Szpitalem św. Jerzego. Obecnie na tym placu wznosi się wielo-

rodzinny blok mieszkalny Nr 36. Ponadto przy ul. Polanowskiej spalili także drugi, duży tartak, będący jednocześnie zakładem produkującym stolarkę budowlaną. W czasie wojny zakład ten produkował na potrzeby wojska baraki z kompletnym wyposażeniem meblowym. W tym miejscu zasadnym wydaje się postawienie pytania: kiedy to się właściwie stało. W różnych opracowaniach znaleźć można różne, częstokroć sprzeczne ze sobą daty; a to, że pożar powstał bezpośrednio po wkroczeniu wojsk sowieckich, a to, że w tydzień po tym fakcie, czy nawet po dwóch tygodniach.

Pewne światło i w zasadzie niepodważalne, rzuca w tej sprawie były mieszkańiec miasta Sławna Kurt Mielke. W swoich wspomnieniach opublikowanych w książce pt. „Powiat sławieński w 1945 roku” pod datą 10 marca 1945r. pisze „...*Tej soboty zostaliśmy w Sławsku. Wieczorem widzieliśmy nad Sławnem jasną łunę ognia. Łatwo można było rozpoznać coraz to nowe pożary - w mieście. Nie mieliśmy na to logicznego wyjaśnienia, bowiem walki - o ile w ogóle można było, mówić o walkach - od kilku dni skończyły się. Nasze miasto płonęło, ile jeszcze z niego mogło pozostać? Tej nocy nie zazналиśmy spokoju, często podchodziliśmy do drzwi i patrzyliśmy w kierunku Sławna, było ono od nas oddalone tylko o trzy kilometry! Wieczorem widzieliśmy jasny ogień, rankiem ciemny dym”. 11 marca - niedziela „...Ledwo opuściliśmy Sławsko, ujrzeliśmy efekty bohaterskich wybawców. Symbol naszego małego miasta: już zawsze z daleko widoczny kościół mariacki, został zdegradowany do jednej wielkiej ruiny. Brakowało na nim czubka wieży, więc w tym momencie nie mogliśmy zobaczyć ...”*

Zacytowane wyżej fragmenty wypowiedzi zasługują - moim zdaniem - na obdarzenie ich pełnią zaufania, ponieważ autor późniejszy zawodowy dziennikarz - już wtedy z kronikarską dokładnością notował na bieżąco swoje spostrzeżenia. To pozwala postawić tezę, że pożar mógł powstać jeszcze w dniu wkroczenia wojsk sowieckich tj. 7 marca, albo najpóźniej, dnia następnego - 8 marca 1945 roku.

Powrót do normalności

Konferencja Wielkiej Trójki obradująca w Poczdamie na przełomie lipca i sierpnia 1945 r. dokonała uregulowania problemów związanych z likwidacją skutków II wojny światowej i organizacją powo-

jennej Europy. W jej trakcie doszło również do potwierdzenia ustaleń powziętych w Jałcie, w wyniku których linia Odry i Nysy Łużyckiej stała się granicą między Polską a Niemcami. Tak więc formalnie od tej chwili całe Pomorze Zachodnie w tym i Sławno znalazło się w orbicie wpływów polskich. Ten stan zatem stwarzał potrzebę uruchomienia na wielką skalę akcji przesiedleńczej. To nie polskiej stronie, ale właśnie rosyjskiej zależało na tym, aby jak najszybciej Polacy opuścili tereny przyłączone do ZSRR. Stąd to wielkie tempo repatriacji wymuszające również wysiedlenie Niemców z obszarów dotychczas zajmowanych, aby stworzyć bazę osadniczą dla przybywającej tu ludności polskiej. Osadnictwu na Ziemiach Zachodnich i Północnych, od samego początku zostało nadane szybkie tempo. Rzec by można, że zbyt szybkie i przebiegające w związku z tym zbyt żywiołowo, aby przebiegać mogło planowo i w sposób skoordynowany. To z kolei stwarzało poważne trudności w sprawowaniu kontroli nad prawidłowym jej przebiegiem.

Trwająca ponad pięć lat wojna spowodowała ogromne straty w majątku narodowym, jeszcze większe poczyniła spustoszenie w umysłach ludzkich. Przez całą wojnę okupanci świadomie czynili, zabraniając społeczeństwu polskiemu czynnego udziału w kulturze. Pozamykali szkoły, biblioteki, teatry i muzea, a nawet kościołom nie darowali. Kler i inteligencja stali się przedmiotem bezprecedensowej z nimi walki. Bo to właśnie oni - w mniemaniu okupantów - stanowili największe zagrożenie dla tworzonego „nowego ładu” w Europie. Wyrwać z ludzi duszę, a wtedy staną się bezwolnymi istotami, niezdolnymi do samodzielnego myślenia, za to podatnymi do wykonania każdego polecenia wydanego przez tych „nadludzi”, spod hakenkretza, czy czerwonej gwiazdy.

Dlatego przybywająca po wojnie na Ziemię Odzyskane inteligencja była świadoma swojego posłannictwa. Byli również świadomi tego zadania przybyli na ziemię sławieńską przedstawiciele tej grupy społecznej, że mają do spełnienia olbrzymie zadanie ożywienia gospodarczego i kulturalnego osiedlającej się tu coraz liczniej ludności polskiej. Doskonale rozumiał swoje zadanie przybyły do Sławna jeszcze w 1945 roku Tadeusz Gabrysiewicz. Jako dyplomowany nauczyciel objął funkcję podinspektora szkolnego w nowotworzonych strukturach samorządu powiatowego. W dwudziestoleciu międzywojennym ukończył on seminarium nauczycielskie.

Oprócz zawodu nauczycielskiego, zdobył również wykształcenie muzyczne, które pozwoliło mu jeszcze przed wojną pracować z wieloma zespołami muzycznymi i chóralnymi. To bogate doświadczenie pragnął teraz w pełni wykorzystać właśnie w Sławnie.

Towarzystwo Teatrów i Muzyki Ludowej

Tadeusz Gabrysiewicz zgromadził wokół siebie, podobnych do siebie społeczników, zdecydowanych poświęcić wolny czas i umiejętności dla prowadzenia pracy z zespołami artystycznymi, kultywując tym samym tradycję swoich poprzedników. Byli to w większości nauczyciele, chociaż wśród nich nie brakowało też przedstawicieli innych zawodów, którzy dla zrealizowania tego zamierzenia, uznali za niezbędne powołanie do życia organizacji, w ramach której prowadzona będzie wielokierunkowa działalność kulturalna. Tak więc powstała organizacja o nazwie Towarzystwo Teatrów i Muzyki Ludowej.

Dla dzisiejszego sławnianina nazwa może wydawać się trochę dziwna, a szczególnie ten przymiotnik „ludowej”. Mógł on sugerować, że działalność Towarzystwa będzie zdominowana przez pracę wyłącznie z zespołami ludowymi.

Tak nie było. Wystarczy wymienić zespoły, które funkcjonowały w ramach Towarzystwa: mała orkiestra symfoniczna, orkiestra dęta, żeński zespół wokalny, chór mieszany, zespół taneczny i zespół teatralny, aby stwierdzić, że rzadko który etatowo funkcjonujący dziś dom kultury w Polsce mógłby się poszczycić tyloma zespołami. A przecież trzeba dodać, że pracę instruktorzy prowadzili honorowo, bez jakiegokolwiek gratyfikacji finansowej.

To oczywiście, że prezesem tego kulturalnego sprzysiężenia został Tadeusz Gabrysiewicz, któremu w zarządzie dzielnie sekundowali tacy działacze kultury jak Lidia Wrońska, Michał Kałuża, Maria Pniewska, Włodzimierz Sienkiewicz, Aleksander Jasiński, Bogusław Mazurkiewicz, Eugeniusz Ćwikliński i inni. Ten zespół ludzi od początku stanowił jakby kadrę instruktorską powoływanych sukcesywnie do życia zespołów i sekcji.

Szereg członków TTiML rosły szybko. Napływająca z różnych stron Polski i zagranicy ludność, która w warunkach wojennych spotykała się prawie wyłącznie ze strony okupantów z nakazami, zaka-

zami i najprzeróżniejszymi ograniczeniami, była spragniona czynnego uczestnictwa w kulturze.

Pierwszą imprezą kulturalną w powojennym Sławnie była zorganizowana z inspiracji Towarzystwa wieczornica z okazji 1-szej rocznicy Powstania Warszawskiego, która miała miejsce 1 dnia sierpnia 1945 r. w sali widowiskowej hotelu „Polonia”, u zbiegu dzisiejszych ulic Jedności Narodowej i Kopernika (dawniejszy Deutscher Hoff). Relacja z tego artystycznego wydarzenia jest przedstawiona w artykule pt. „Oczami trzynastolatka”⁹.

Tymczasową siedzibę Towarzystwa stanowiły pomieszczenia na I-szym piętrze, wspomnianego wyżej hotelu. Ich szczupłość nie pozwalała na rozwinięcie pracy w takim zakresie, jak wynikało to z potrzeb chwili i oczekiwań społeczeństwa. Z chwilą zwolnienia, zajmowanego przez I-szy Pułk Ułanów gmachu przy ul. Cieszkowskiego 2 (dawniejszy dom ewangelicki), Towarzystwo znalazło tam siedzibę. Duża sala widowiskowa wraz ze sceną, sporo pomieszczeń nadających się do prowadzenia różnorodnych zajęć przez poszczególne zespoły, stwarzały znakomite warunki do rozwinięcia pracy na szerszą niż dotychczas skalę.

Zespoły działające w ramach Towarzystwa, w tym czasie występują często publicznie. Biorą udział w różnych uroczystościach okazjonalnych, a głównie rocznicowych. Uświetniają również, tak wówczas modne akademie np. „ku czci jakiegoś” wydarzenia itp .

Była to ze społecznego punktu widzenia, choć drobna, ale ważna działalność Towarzystwa, bowiem wpływała korzystnie na integrację całej społeczności zamieszkującej powiat sławieński. Dużą imprezą, która miała dać odpowiedź na pytanie o skuteczność oddziaływania Towarzystwa na społeczeństwo w nowych uwarunkowaniach społeczno politycznych, było „Święto pieśni, muzyki i tańca”, zorganizowane w maju lub czerwcu 1948 roku. Była to dwudniowa, na dużą skalę pomyślana i przeprowadzona impreza kulturalna, w której uczestniczyły zespoły reprezentujące wszystkie dziewięć gmin naszego powiatu. Przewagę w gronie uczestników stanowiły chóry i zespoły taneczne. Nie brakowało też, tak modnych przed wojną i

⁹ „Powiat sławieński w 1945 - wspomnienia dawnych mieszkańców str.243-257.

bezpośrednio po niej, kilkusobowych zespołów wokalnych jak duety, tercety czy kwartety. Reprezentowane też były męskie zespoły rewelersów. Orkiestra dęta była tylko jedna - reprezentantka TTiML- chociaż z jednej z gmin przyjechał zespół muzyczny składający się z dziewięciu instrumentalistów, w składzie którego było osiem instrumentów dętych i jeden akordeon.

Warty zauważenia jest też fakt, że prawie ze wszystkich gmin przyjechały chóry, z niektórych nawet po dwa. W większości były to chóry czterogłosowe, a więc o pewnej rozbudowanej formie brzmieniowej, które z tej racji cieszyły się większym zainteresowaniem słuchaczy. Rzadziej występowały chóry dwugłosowe, mimo że nie naręczają one wiele trudności zarówno w organizacji jak i ich prowadzeniu. W większości były to chóry kościelne, działające przy parafiach.

Przegląd ten, poprzez swoją różnorodność form prezentacji artystycznych oraz swobodę w doborze repertuaru, miał charakter bardziej festynu ludowego niż imprezy o jednolitej tematyce. Z uwagi na to, że impreza ta trwała nieprzerwanie przez dwa dni od wczesnych godzin przedpołudniowych aż do wieczora, przeto organizatorzy uruchomili obwoźną sprzedaż artykułów spożywczych, bowiem wszystko to rozgrywało się na wolnym powietrzu, na zapleczu Domu Kultury. Tutaj pod rozłożystym dębem usytuowana była estrada, która była miejscem tych ciekawych, artystycznych zmagani. Impreza ta bardzo przypadła do gustu sławieńskiej publiczności, która reagowała żywiołowo na to co działo się na estradzie. Wydawało się, że przeglądy o tym charakterze wejdą na stałe do kalendarza imprez w naszym mieście, lecz niestety tak się nie stało. Przyczyną braku ich kontynuacji były wydarzenia wokół osoby prezesa Towarzystwa, które miały miejsce jesienią 1949 roku. Tymczasem trwały przygotowania do kolejnego, ważnego w tymże 1948 roku wydarzenia, jakim był udział zespołów artystycznych we wrocławskiej Wystawie Ziem Odzyskanych. Wystawa ta, była przeglądem osiągnięć w zagospodarowywaniu Ziem przyłączonych do Polski w wyniku II wojny światowej. Imprezie towarzyszyły bardzo różnorodne prezentacje artystyczne w wykonaniu amatorskich zespołów artystycznych z poszczególnych województw wchodzących w skład Ziem Odzyskanych. Powiat sławieński wystawił bardzo liczną ekipę, opartą głównie na zespołach TTiML, do której dołączono zespoły taneczny i

chóralny z Warszkowa i mały zespół muzyczny z Polanowa. Do tej ekipy dołączono również zespół artystyczny z Charnowa z powiatu słupskiego, gdyż powiat ten nie wystawiał własnych zespołów.



Występ zespołu TTiML Sławno na Wystawie Ziem Odzyskanych - Wrocław 1948 r.

Na pierwszym planie Władysław Biliński, dyryguje T. Gabrysiewicz.

Jesienią 1949 roku, jak już wcześniej zostało zasygnalizowane, rozstaje się ze Sławnem Tadeusz Gabrysiewicz. Wraz z jego odejściem rychło też nastaje kres działalności Towarzystwa, gdyż w tym czasie nikt spośród członków nie wykreował się na lidera, tego co on formatu. Różnie też komentowano w Sławnie „banicję”, na jaką został skazany. Powszechnie panowała opinia, że prawdziwym powodem odejścia tego utalentowanego i oddanego sprawie rozwoju kultury, był konflikt w jaki popadł z miejscowymi władzami politycznymi, w związku z niezbyt pochlebną wypowiedzią na temat osoby Stalina. Tadeusz Gabrysiewicz przeniósł się do Szczecina, obejmując funkcję nauczyciela w jednej ze średnich szkół muzycznych, a po pewnym czasie został jej dyrektorem. Jeśli chodziło o ukaranie, to zachodzi tu pytanie: kogo tu ukarano? Z całą pewnością nie osobę Gabrysiewicza, a właśnie Sławno. W taki to sposób ówczesni „rządciele” rozpoczęli demontaż tego co zdążono już z takim trudem zbudować w kulturze.

Sławiński Panteon

Ale wróćmy jeszcze do roku 1945.

Nasze miasto, mimo ogromnych zniszczeń, miało to szczęście, że osiedliło się w nim wielu ciekawych, a nawet wybitnych ludzi kultury. Do nich zaliczam wymienioną już osobę Tadeusza Gabrysiewicza, Bohdana Wodiczkę, Wiktora Żadejkę, Mariana Dorawę i Antoniego Trzeszczkowskiego.



Bohdan Wodiczko

Osobę Bohdana Wodiczkę późniejszego światowej sławy dyrygenta orkiestr filharmonicznych i operowych i artystę wielkiego formatu, trudno zaliczyć, w całym tego słowa znaczeniu, do stałych mieszkańców naszego miasta, gdyż trafniejszy byłby tu z całą pewnością zwrot „czasowo przemieszkiwał”. Zatrzymał się w Sławnie dlatego, że już w 1945 roku mieszkała wraz z rodziną, jego siostra, Jadwiga Niciejowska. On zaś wracając z wojennej poniewierki, z obozu pracy w Świnoujściu, znalazł tu dach nad głową. Ostatnie miesiące 1945 roku i pierwsze 1946, to czas jego pobytu w Sławnie. W tym też cza-

się nawiązuje kontakt z działającym już TTiML, próbując swoim doświadczeniem wesprzeć działalność, głównie małej orkiestry symfonicznej.



Viktoras Žadeika,¹⁰ w Polsce znany jako Wiktor Żadejko - to absolwent Instytutu Muzycznego w Warszawie (później przekształconego w Konserwatorium Muzyczne) w klasie fortepianu, organów i kompozycji u prof. Romana Statkowskiego, które ukończył w 1919 r. W międzyczasie (lata 1913-1915) pełni funkcję chórmistrza i organisty w litewskim kościele w Warszawie. W roku 1933

obejmuje stanowisko profesorskie w Konserwatorium Muzycznym w Kownie w klasie fortepianu i teorii muzyki. W latach 1935 -1939 pełni funkcję dyrektora Teatru Operowego w Kownie. Od roku 1941 do 1942 przebywa w Niemczech z żoną, posiadającą obywatelstwo tego kraju, po czym wraca do Kowna, gdzie do 1944 roku prowadzi klasę fortepianu w Konserwatorium w tym mieście. Do Polski wyemigrował w 1944 roku, zaś do Sławna przybył w marcu 1948 roku. Z chwilą zamieszkania tutaj, przystępuje do organizowania placówki dydaktycznej, której zadaniem będzie kształcenie muzyczne młodzieży na różnych instrumentach. Placówka ta przybiera nazwę: Społeczne Ognisko Muzyczne. Od września 1948 roku rozpoczyna ono oficjalnie działalność z trzema klasami; fortepianu, skrzypiec i akordeonu. W następnych latach Ognisko wzbogaca swoją ofertę o nowe kierunki kształcenia, takie jak: śpiewu, tańca i rytmiki dziecięcej. W pierwszym okresie Ognisko zajmuje pięć pokoi na III -cim piętrze w budynku przy ul. Jedności Narodowej 18, a następnie przenosi się do budynku przy ul. Marii Skłodowskiej - Curie 22. Pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia to kolejne przenosiny, tym razem

¹⁰ Oprac. na podstawie notki biograficznej z encyklopedii litewskiej „Vikipedija”

do pomieszczeń w PDK, w których Ognisko prowadzi działalność do połowy lat 2000-nych.

Marian Dorawa, zamieszkiwał w Sławnie od 1947 do 1953 roku. Pracował w charakterze organisty w miejscowej parafii św. Antoniego. Będąc organistą zaliczającym się do krajowej czołówki muzyków grających na tym instrumencie, nie mógł w pełni w Sławnie wykazać swojego talentu, gdyż kościółek ten nie był wyposażony w organy, a jedynie w fisharmonię. W tej sytuacji skoncentrował się na pracy swojej z chórem, którego forma w tym okresie wyraźnie zwyżkowała. Tak więc nie było to dziełem przypadku, a właśnie solidnej pracy chórmistrza, że sławieński chór kościelny zaliczał się w tym okresie do najlepszych chórów amatorskich na Pomorzu.

Po kilkuletniej pracy w Sławnie artysta ten przenosi się do Trójmiasta, gdzie obejmuje posadę organisty w słynnej katedrze oliwskiej.

Antoni Trzeszczkowski - 1902 1974 - malarz batalista, uczestnik wojny polsko bolszewickiej w 1920 r. Obrazy artysty znajdują się w Muzeum Narodowym Warszawie oraz w Arsenale we Wrocławiu¹¹. Należy domniemywać, że udział w tej wojnie zaciążył w dużym stopniu na całej twórczości artysty. W okresie od 1945 do 1953 roku powstaje wiele obrazów, szczególnie portretów, na zamówienie władz politycznych powiatu. W tym czasie maluje też dla odbudowywanego kościoła Mariackiego w Sławnie szereg obrazów, w tym 14 stacji Drogi Krzyżowej. Nadto maluje duży obraz, przedstawiający świętą Barbarę, trzymającą na dłoni kościół sławieński. Obraz ten w nieznanych bliżej okolicznościach zaginął. Artysta pozostawił też nam swój autoportret w obrazie uosabiającym świętego Pawła. Obraz ten eksponowany jest w ołtarzu w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej. Antoni Trzeszczkowski jako mieszkaniec naszego miasta, nie stroni też od prac społecznych. Wchodzi w skład komitetu rodzicielskiego miejscowego Gimnazjum. Ponadto w dniu 11 lutego 1946 r. wybrany zostaje do pierwszej w powojennym Sławnie Rady Powiatu¹² na czteroletnią kadencję.

¹¹ Notka biograficzna na Gogle: Antoni Trzeszczkowski

¹² Rocznik Pomorza Zachodniego - wydawca: Urząd Wojewódzki w Szczecinie, 1948 str.80.

Lata pięćdziesiąte

Zarówno Towarzystwo Teatrów Amatorskich i Muzyki Ludowej jak i jej następczyni Powiatowa Rada Związków Zawodowych sprawowały rolę inspiratora i koordynatora życia kulturalnego Sławnie i powiecie. Od roku 1950 spełnia tę samą rolę już nowy gestor, którym jest Powiatowy Dom Kultury. Zmiana polegała głównie na tym, że oprócz ujednoczenia nazewnictwa tych placówek w całym kraju, został wprowadzony jednocześnie mecenat Państwa nad kulturą we wszystkich jej przejawach.

Mimo wprowadzenia tych, zdawałoby się korzystniejszych zmian systemowych, nie nastąpił spodziewany wzrost zainteresowania pracą zespołów artystycznych w PDK. Fakty wskazują na pewne jej zużyczenie, skutkiem odejścia animatora kultury z prawdziwego zdarzenia jakim był niewątpliwie Tadeusz Gabrysiewicz. Z tego powodu zaprzestała też działalności orkiestra symfoniczna. Z początkiem 1950 roku również i orkiestra dęta traci kontakt z Powiatowym Domem Kultury i przechodzi pod patronat spółdzielczości. To nie koniec peregrynacji tej orkiestry, gdyż już z początkiem 1953 dokonuje się ponowna zmiana przynależności. Tym razem orkiestra przechodzi pod egidę Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”. W ten to oto sposób Dom Kultury pozostał praktycznie z trzema liczącymi się zespołami: teatralnym, chórem i zespołem tanecznym. Najaktywniejszą i zarazem najciekawszą działalność przejawia zespół teatralny. W przeciągu trzech lat zdołał wystawić kilka premier sztuk współczesnych autorów. Do nich zaliczyć należy przede wszystkim znakomicie wyreżyserowany (reż. Stanisław Borejsza) i wspaniale zagrany „Wodewil Warszawski” oraz inne jak „Oto Ameryka”, „Obrazy i obrazki”, „Prawo głosu” i humoreska satyryczna „MS - Dookoła Wojtek”.

Lata 1950 -1955 , to okres, w którym wszelkie poczynania w kulturze podporządkowane były ideologii panującego w kraju systemu władzy. Kultura będąc na jej usługach, stanowiła ważny oręż w walce o wychowanie nowego człowieka. Z tego też względu aparat polityczny decydował o obsadzaniu kierowniczych stanowisk w placówkach kultury wszystkich szczebli. Nie inaczej było i w naszym powiecie. Szczególnie właśnie w tym okresie kierownikami zostawali ludzie z tzw. „nadania politycznego”.

Począwszy od 1950 roku staje się zauważalna zmiana w podejściu do problemów kultury. Wyrażało się to szerszym wprowadzaniem, dotąd mało wykorzystywanych, elementów sławiących ludzi pracy. Praca - jako czynnik współtworzący ogólny postęp cywilizacyjny w tym kierunku podlegała jakiemuś szczególnemu kultowi. Kierunek ten, noszący oficjalną nazwę realizmu socjalistycznego, wywarł duży wpływ na całą sferę kultury, we wszystkich jej dziedzinach. To nowe spojrzenie na kulturę, właśnie przez pryzmat pracy, miało istotny wpływ na politykę wydawniczą. Zaczynają się ukazywać nowe utwory tak dla chórów, zespołów śpiewaczych oraz dla orkiestr różnych typów. Te nowe to głównie pieśni masowe w łatwym opracowaniu z towarzyszeniem zespołów instrumentalnych.

Szczególnie w tym okresie mają miejsce wyjazdy zespołów: chóralnego, tanecznego oraz orkiestry w ramach tzw. „łączości miasta ze wsią”. Celem takich wizyt był koncert dla członków przodujących rolniczych spółdzielni produkcyjnych. Najczęściej odwiedzane były takie wsie jak Baniewo, Masłowice i Wrześnica, chociaż do innych miejscowości zespół ten starał się też docierać jak np. Świerczyna, Laski i Naclaw, bowiem w miejscowościach tych stacjonowały brygady żniwne junaczek „Służba Polsce”.

Zakończenie

Tytuł tego opracowania „Wróciliśmy nad Bałtyk” zaczerpnięty został z plakatu, jakimi w pierwszych latach po wojnie oblepione były mury miast, miasteczek i wsi. Miał on uświadamiać ten fakt i jednocześnie miał być przypomnieniem, że tak naprawdę, nasza tu obecność, to nie jest nic innego, jak tylko powrót na te Ziemie. Powrót polskości, powrót słowiańszczyzny, po 550- letniej nieobecności.

Przybyliśmy tu nie z własnej woli, lecz z nakazu zwycięzców ostatniej wojny, chociaż Niemcy, nasi poprzednicy, dobrze tu gospodarowali. Powróciliśmy na te Ziemie po wojennych zniszczeniach, aby odbudować co zniszczone, uruchomić co nieczynne, by tchnąć weń ducha słowiańskości, przywrócić wiarę praojców.

Pracę tę potraktowałem jako próbę dania oceny I-go dziesięciolecia, z perspektywy minionych sześćdziesięciu lat. Ocenie poddałem tylko jeden wycinek naszego życia tj. kulturę i wszystko to, co jest z nią związane. Uznałem bowiem, że ten zakres spraw jest mi najbliższy,

choćby z tego powodu, że czynnie uczestniczę, od wielu dziesiątków lat, w amatorskim ruchu muzycznym.

Sposobiąc się do pisania, musiałem zweryfikować wiele faktów, gdyż uzyskane w drodze wywiadów informacje nie zawsze znajdowały potwierdzenie w dokumentach. Należało też sprostować wiele nieścisłości, obalić też pewne mity, narosłe w minionych dziesięcioleciach.

Tą drogą pragnę podziękować wszystkim, którzy udzielali mi wyjaśnień, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do powstania tej pracy - dziękuję.

Jan Sawczyn

Informacja z lat 1945 – 1947

Na Ziemi Zachodnie przybyłem w lipcu 1945 roku. Losy zrzędziły, że osiedliłem się w małym powiatowym miasteczku Sławno, liczącym wówczas około 300 osiedleńców. Z każdym dniem wzrastała liczba repatriantów rekrutujących się z różnych środowisk, różnych części kraju i nawet z zagranicy. W dniu 4 sierpnia 1945 roku przystąpiłem do pracy w Inspektoracie Szkolnym w charakterze sekretarza.

Pierwszym inspektorem szkolnym był Roman Wojtysiak. Praca zapowiadała się bardzo ciekawie, gdyż do moich obowiązków należało nawiązywanie kontaktów z przybywającymi nauczycielami. Udzielałem im informacji o terenie, o osiedleniu się polskiej ludności i o organizujących się szkołach.

W inspektoracie pracowały wówczas trzy osoby: inspektor Roman Wojtysiak, sekretarz Jan Sawczyn i maszynistka ob. Irena Pliszko. Gmach Inspektoratu mieścił się przy ulicy Powstańców Warszawskich, obowiązki woźnej sprawowała Niemka. Po jej wyjeździe jesienią 1945 roku funkcję woźnego przejął ob. Borysiuk. Na początku 1946 roku Inspektorat przejął budynek przy ulicy Kolejowej niedaleko Dworca.

W sierpniu 1945 roku w powiecie sławieńskim było około 15 szkół polskich, z których największe znajdowały się w: Sławnie i Darłowie, jeden „Dom Dziecka” był w Sławnie. We wrześniu tego samego roku zorganizowane jeszcze jeden „Dom Dziecka” w Sławnie, następnie w Darłowie i Jackowie¹³.

Pierwsze przedszkola zorganizowane zostały w Darłowie i Polanowie. Liczba nauczycieli na początku roku szkolnego 1945/46 wynosiła około 30 osób i z każdym dniem systematycznie wzrastała. Nauczyciele najchętniej osiedlali się w większych skupiskach polskiej

¹³ nazwa przejściowa Jarosławca

ludności. Najczęściej nauczyciel sam wyszukiwał sobie w terenie szkołę i zgłaszał w inspektoracie miejsce swej pracy.

Niekiedy osoby zgłaszające się do pracy pobierały z inspektoratu angaż i nie rozpoczynały nauki w szkole. Pierwsza konferencja z nauczycielami odbyła się na początku roku 1946, a ślubowanie, po przeprowadzonej weryfikacji w 1947 roku.

Władze powiatowe pomagały w organizowaniu szkół poprzez udzielanie w pełni wyposażonych mieszkań dla nauczycieli, przydzielano żywność, zapewniano utrzymanie pracownikom szkoły.

Nauczyciele pracowali w szkołach poniemieckich, wykorzystywali stary inwentarz szkolny, pomoce naukowe. Nowych podręczników nie było. Nauczyciel korzystał z własnych książek, podawał uczniom wiadomości, które zapisywano na tablicy i w zeszytach.

Znormalizowanych zeszytów nie było. Dzieci pisały na luźnych kartkach lub na znalezionych zeszytach, dopiero w końcu października 1945 roku sprowadzono do księgarni nauczycielskiej w Sławnie materiały pisemne, w które zaopatrywały się szkoły.

Do ciekawszych momentów w mej pracy zaliczam wykrycie tajnej niemieckiej szkoły w Sławnie. Zauważyliśmy wraz z inspektorem R. Wojtysiakiem, iż każdego dnia grupka niemieckich dzieci stale podążała w jednym kierunku, do budynku mieszczącego się obok dworca kolejowego. Zawiadomiliśmy o tym miejscowe władze, które wszczęły dochodzenie i ujawniły działanie tajnego nauczania Niemców w duchu faszyzmu.

Szkoła została zlikwidowana. Praca w Inspektoracie była trudna i ciężka, gdyż szkoły w terenie trudno było wizytować z braku odpowiednich środków lokomocji.

Inspektorat korzystał z przygodnych środków transportu, gdyż nie było zorganizowanej komunikacji. Kadry nauczycielskie składały się w większości z niekwalifikowanych nauczycieli, którzy po amatorsku traktowali swój zawód.

Często bywało, że pseudonauczyciele opuszczali miejsce pracy bez zawiadomienia inspektoratu, lecz po dokładnym wyszabrowaniu szkoły i mieszkania.

Często inspektor przybyły na wizytację zastał opustoszały budynek i od miejscowej ludności dowiadywał się, iż nauczyciel od kilkunastu dni nie uczy.

Aleksander Tarnowski

12 lat na Zamku w Darłowie



Dnia 15 maja 1946 roku przyjechałem z Warszawy do Gdyni. Mam dostać pracę w C.A.L., lecz muszę czekać 10 dni na dyrektora, który wyjechał na konferencję do Londynu. Miałem w kieszeni niecałe 3.000,- złotych. Po dwóch dniach suma ta zmniejszyła się o 1.500 złotych.

Szukając znajomych w Sopocie zauważyłem napis "PUR"¹⁴, wchodzę do kancelarii i proszę o zatrudnienie w tej instytucji w charakterze biuralisty. Zaproponowano mi wyjazd do "PUR" w Sławnie» propozycję przyjąłem i

pierwszym pociągiem odchodzącym w kierunku zachodnim wyruszyłem do Sławna. Kierownik "PUR" w Sławnie dowiedziawszy się, że przybywam z Warszawy via Gdynia zafrasował się, popatrzył nieufnie na moją, straszliwie wąsatą twarz i mówi:

- Panie, przecież pan jako były urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych zna chyba język angielski, a tu w gimnazjum potrzebują właśnie nauczyciela języka angielskiego. Po co masz pan użerać się z tym chamstwem, zapewniam pana, że mamy tu w PUR okropną pracę.

Wiedziałem, że pan kierownik PUR- u "zarabiał" dobrze i oczywiście chciał się pozbyć w jakiś sposób wąsatego jegomościa z War-

¹⁴ Państwowy Urząd Repatriacyjny

szawy. Poszedłem mu na rękę udając się do dyrektora gimnazjum pana Krzywkowskiego, który po krótkiej rozmowie kazał mi złożyć podanie i zapewnił mnie, że po dwóch tygodniach mogę stawić się do pracy. Przenocowałem w hotelu Czerwonego Krzyża, nazajutrz skonstatowałem się, że mój kapitał zmniejszył się o 500,- złotych. Poszedłem do starostwa w sprawie mieszkania i tam w Oddziale Kultury spotkałem panią A. Łączyńską - naczelnika Oddziału i kustosa Muzeum w Darłowie.

W toku rozmowy opowiedziałem jej o swoich trudnościach finansowych i braku mieszkania. Przyglądając mi się, pani Łączyńska powiedziała:

- Pan wygląda jak prawdziwy sienkiewiczowski latarnik, uważam, iż pana miejsce jest na zamku w Darłowie, lecz niestety na razie nie mam dla pana odpowiedniej pracy.

Pani Łączyńska zamilkła, a po chwili cicho i jakby nieśmiało zapytała:

- Czy nie mógłby pan prowizorycznie objąć posady odźwiernego w Muzeum? Dostałby pan mieszkanie i 900 złotych miesięcznie pensji. Niedługo się zastanawiałem nad tą propozycją; "chodzi przecież tylko o jakiś tydzień" - myślę sobie - "a potem wyjadę do Gdyni, tam mam zapewnioną pracę (odpowiednią posadę)". Więc odpowiadam:

- Przyjmuję propozycję pani, muszę jednak uprzedzić panią, że do ciężkiej, fizycznej pracy się nie nadaję, pracowałem ciężko za granicą, ale byłem wtedy znacznie młodszy.

- Nie będzie pan ciężko pracował, chodzi właściwie tylko o odkurzenie eksponatów i oprowadzanie zwiedzających. A teraz proszę siadać i pisać po francusku, zrobimy małe dyktando.

Skrajnie zdziwiony tym niespodziewanym i niepotrzebnym egzaminem siadam posłusznie i piszę podyktowane przez panią Łączyńską zdanie; "Il n'y rien a faire dans cette petite ville de Sławno".

- Napisał pan bezbłędnie, no a teraz niech pan napisze to samo zdanie po angielsku.

Po chwili pani Łączyńska się pyta: "Co nie idzie panu tak łatwo?"

- Rzeczywiście! Po angielsku, hiszpańsku, włosku i szwedzku poszło gładko, ale po turecku coś nie wychodzi, jestem za stary, wszystko się zapomina.

Zaskoczona pani Łączyńska uśmiecha się dobrotliwie.

- A zna pan niemiecki, bo bez niemieckiego w Muzeum ani rusz?

- Tak, proszę pani. Sądzę, że jak na odzwierne znam ten język aż za dobrze.

O godzinie 4 po południu pojechałem ze swoją chlebobawczynią do Darłowa. Przedstawiając mnie swym córkom pani Łączyńska dumnie powiedziała:

- Patrzcie, co za latarnika znalazłam! Będziemy z nim razem wyjeżdżać w teren i ratować zabytki.

Zjadłem kolację i przenocowałem u pani Łączyńskiej. Nazajutrz pokazała ona moje przysze mieszkanie; dwa pokoiki w ponurym, pozabawionym słońca, wilgotnym domku nad kanałem, szabrownicy już zdążyli zniszczyć instalację elektryczną, zlew i część podłogi. Po krótkim namyśle powiedziałem, że tu mieszkać nie będę, że w mieście są setki wolnych, umeblowanych, słonecznych mieszkań z ogródkami. Pani Łączyńska twierdziła, że tu długo mieszkać nie będę, że po wyjeździe woźnej Niemki dostanę ładne dwupokojowe mieszkanie w zamku.

- Proszę pani, może by ta woźna zgodziła się odstąpić mi jeden pokój, rozmawiałem z Niemcami i wiem, że przyjmują oni chętnie Polaków na mieszkanie, zdają sobie bowiem sprawę, że mając przy sobie Polaka łatwiej jest bronić się przed złodziejami.

Pani Łączyńska rozmówiła się w sprawie mieszkania z Niemką - Anną Moczall, woźna Moczall chętnie się zgodziła odstąpić jeden pokój, a więc zamieszkałem w zamku.

O starym grodzie słowiańskim Tirloy albo Dirlov wspomina się po raz pierwszy w kronikach w 1205 r. Ale prawdopodobnie już w wieku XI istniał drewniany zamek słowiański na wzgórzu zwanym Darlowberg (Darłowiec) albo w widłach rzeki Wieprzy i Lutowej, prawie nad samym Bałtykiem. Rzekę Lutową zasypały nadmorskie piaski, łączyła ona kiedyś jezioro Kopańskie czyli Witowskie z Wieprzą. Obecny zamek piastowski zaczęto budować w połowie XIV w., a ukończono w wieku XVI. Ta stara, czcigodna budowla wzniesiona rękami ciemzonego ludu pomorskiego wywarła na mnie głębokie wrażenie. Oprowadził mnie po raz pierwszy Karl Rosenow - były Museumleiter czyli kierownik Muzeum. Chodziłem po salach zamkowych i myślałem o dalekiej przeszłości, kiedy w tych murach i w mieście rozbrzmiewała mowa polska; jestem więc - myślę sobie - na obszarach "gdzie ziemia gromadzi prochy", na ziemi przesiąkniętej krwią naszych nieszczęśliwych przodków. "Komora sądowa - mówi

Rosenow - w tym miejscu sądzono kiedyś tzw. czarownice; pod bramą istniało 5 lochów, istniały również schody podziemne; obecnie lochy i schody są zasypane, a dostęp do nich zamurowano".

Wchodzimy po wąskich, krętych, słabo oświetlonych schodach na basztę zamkową, zwiedzamy byłą aptekę zamkową, byłe skarbcie i zbrojownię. Z poddasza baszty roztacza się piękny widok na miasto, okolice i morze: baszta jest najstarszą częścią zamku - liczy około 600 lat. "Dziedziniec - tłumaczy Rosenow - miał kształt czworoboku, tam gdzie mamy obecnie ogródek stała najokazalsza część zamku - tak zwany pałac, zburzono go w roku 1834". Zwiedzamy byłą "komorę tortur", która po kapitalnym remoncie zamku w latach 1929-1932 wcale nie przypomina mrocznej komory z zakratowanym okienkiem, jest to obecnie duży oświetlony pokój.

Wspaniałą "Salę Audiencjonalną" Niemcy nazywali "Brotesaal". Pytam się Rosenowa o to zagadkowe słowo "Bröte", Rosenow nie mógł mi dokładnie wytłumaczyć znaczenia tego słowa; przypuszczam, że Brote - znaczy "błazen", możliwe, że w tej sali błazni bawili pomorskich Boguszów, Warszków, Draniszów, Kasków etc..., a może "Brote" jest zniekształconym "Braut", znaczyłoby więc tyle co "Sala Weselna".

Nad Salą Audiencjonalną znajduje się Sala Zielona: pan Rosenow twierdzi, iż w tej sali bawili się książęta i ich goście po zakończeniu polowania, prawdopodobnie w myśliwskich strojach, tu za ostatnich książąt odbywały się trwające całymi tygodniami orgie.

Rozpocząłem pracę w Muzeum w dniu 24 maja 1946 roku, było wówczas w Muzeum sporo "reliktów" hitlerowskich i kajzerowskich, na przykład: nade drzwiami w biurze wisiał portret admirała Raedera, na ścianie wieniec z napisem: "An unserem Hermann /Goering/ dankbare Bevolkerung von Hagen", fotokopie uniformów armii niemieckiej, portret Fryderyka Wielkiego i inne "drobiazgi"; jedynie przedwojenne polskie godło państwowe świadczyło o pewnych zmianach. Po kilku dniach w porozumieniu z Panią Łączyńską te "relikty" usunąłem. Kierowniczką Muzeum była młodsza córka pani Łączyńskiej - dwudziestoletnia panna Jadzia; współpraca z młodą i wesołą panną Jadzią układała się jak najlepiej. Przedwojenny woźny Muzeum Adolf Moczall otrzymał w czasie wojny wiadomość, że jego jednak zaginął, od tej pory zastępuje go jego żona Anna. Jest ona bardzo pracowitą i uczciwą pracownicą, ma kłopot nie lada z cho-

rym, nieodstępującym ją ani na krok, mężem, biedaczka musi mu pomagać nawet przy załatwianiu się. Chwilowa nieobecność żony wprawia Adolfa w stan skrajnego zdenerwowania i strachu (najlepiej czuje się on wieczorami kiedy jesteśmy wszyscy w domu; zadowolony mruczy stare wojskowe piosenki, albo z dobrotliwym uśmiechem na ustach spaceruje po moim pokoju, wskazuje kolejno na wszystkie obiekty i powtarza: "der Tisch ist aber mein", "die Stühle sind auch mein"¹⁵ itd. W końcu 1944 roku Moczall'owie dostali list od syna z Anglii, był on w niewoli, pełnił tam funkcję tłumacza, chwalił gościnność Anglików: jak wynikało z jego listów, młody Hans Moczall i jego koledzy spędzali niedziele i święta w zamożnych inteligentnych rodzinach angielskich. Matka cieszyła się z tych wiadomości, a biedny Adolf wcale na nie nie reagował. Stary Karl Rosenow - były kustosz muzeum - przy pierwszym spotkaniu się ze mną wyraził przypuszczenie, iż jestem ofiarą "barbarzyńców ze wschodu"(odpowiedziałem mu na to, że jest w błędzie: nie jestem ofiarą Rosjan, przeciwnie uważam ich za sprzymierzeńców Polski; tą wypowiedzią nie zyskałem sobie sympatii starego konserwatysty niemieckiego.

Po wyzwoleniu miasta Herr Rosenow, Moczall'owie i setki innych Niemców wysiedlono na trzy miesiące na wieś, po powrocie do miasta Rosenow miał sporo nieprzyjemności: jakiś pan inżynier pragnął posiadać bogaty zbiór filatelistyczny Rosenowa, a ponieważ ten ostatni już tego zbioru nie posiadał P. spowodował zamknięcie starego kustosza na trzy tygodnie...

|Podobno Rosjanie przy pierwszym zetknięciu się z tutejszą ludnością nie chcieli wierzyć, iż różni Moczall, Burow, Muchow, Kruczkow, Parnow etc. nie są Rosjanami i posadzili tutejszych Niemców o ukrywanie narodowości rosyjskiej. Anna Moczall mówiła, że w Krośnie w powiecie bytowskim, skąd pochodził jej mąż wszyscy mieszkańcy mają dziwne nazwiska /dziwne oczywiście dla Niemców/ na przykład: Sroka, Kozik, Puttkammer, Przybęda, Kraucki itp. Stary Rosenom uważał mnie za intruza, który według jego słów "reformiert und reformiert, will ein deutsches Museum in polnisches verwandeln"¹⁶, był więc zgorzkniały, zrozpaczony, zrezygnowany,

¹⁵ Stół jest mój, krzesło też jest moje

¹⁶ Reformuje i reformuje chcąc przemienić muzeum niemieckie na polskie

słusznie uważał nas z jego punktu widzenia, że rujnujemy jego pracę, której poświęcił on swe życie. W rzeczywistości zaś cała nasza "rujnacja" ograniczała się zmianą napisów, usunięciem z sal portretów cesarzy niemieckich i wyeliminowaniem z biblioteki dzieł "literatów niemieckich" Hitlera, Rosenberga, Goebbelsa e tutti quanti. Usunęliśmy obiekty, które z muzealnictwem nic wspólnego nie miały.

Herr Rosenow uważał każdego inteligentnego, mówiącego po niemiecku Polaka za ofiarę "barbarzyńców ze wschodu", na próżno tłumaczyłem mu, że właśnie barbarzyńcy z zachodu, nie ze wschodu spustoszyli Europę, zamordowali miliony Rosjan, Polaków i Żydów. Pani Łączyńska miała zamiar wydać monografię powiatu Sławno, zbierała materiały, wprzęgła do tej pracy Rosenowa, a moją pierwszą pracą w Muzeum było tłumaczenie broszury Rosenowa o powiecie sławieńskim.

Uważałem przekład tej broszury za mijający się z celem, albowiem praca Rosenowa była tendencyjna, odzwierciedlała ona nacjonalistyczne poglądy; sądzę, iż pani Łączyńska była tego samego zdania, bo wreszcie z wydania monografii zrezygnowała.

Artykuły w "Dzienniku Bałtyckim", "Odrze" i innych tygodnikach o zabytkach powiatu sławieńskiego były bardzo ciekawe i budujące, cechowała je erudycja w tej dziedzinie i piękna polszczyzna. Po przetłumaczeniu broszury Rosenowa przystąpiłem do pracy repolonizacyjnej. Pracę tę rozpoczęła panna Jadzia w zimie, niektóre działy już miały napisy polskie, najgorzej przedstawiała się sprawa ze spolszczeniem Działu Prehistorii, w którym część etykiet niemieckich zaginęła. Przy tej pracy popełniliśmy sporo błędów, tłumaczeń naszych nie można uważać za ścisłe i fachowe przecież ani ja, ani panna Jadzia nie jesteśmy archeologami, brak słownika niemiecko-polskiego utrudniał naszą pracę. Muszę powiedzieć prawdę, że czasem robiliśmy również błędy ortograficzne; panna Jadzia chyba przez nieuwagę, a ja przez swoją "przemądrzałość". A więc pewnego razu panienka się pyta jak będzie po polsku "Wetterfahne"¹⁷?

- Nie wiem, zapomniałem, moja panienko. Ja tu mam kłopot z "Messel" to chyba będzie dłuto. Wie pani jak to się pisze?

- Nie wiem, zapomniałam - odpowiedziała panna Jadzia.

¹⁷ Chorągiewka na dachu

- Prasłowiańskie "dołto", roś. "deloto", czeskie i południowosłowiańskie chyba "dlato", a po polsku znaczy się "dłoto" - mruczę sobie pod nosem - i napisałem po staropolsku przez o kreskowane.

- Wie pan - odzywa się panna Jadzia - napisałam "chorągiewka wietrzna" nie jestem pewna czy dobrze przełożyłam.

- Dobrze, dobrze, walmy dalej, czas nagli, za miesiąc musimy muzeum "in polnischas verwandeln"¹⁸.

Po kilku dniach zwiedzająca muzeum podstarzała nauczycielka wpadła jak bomba do biura ze słowami; "w napisach w prehistorii są błędy ortograficzne: "wietrzna" napisane przez "ż", "wiatr", "wiatrak" moi państwo!, a dłuto pisze się przez "u", od dłuwać moi państwo !

- Wiem dokładnie, że kiedyś pisało się "dłoto", a "dłuwać" pochodzi od prasłowiańskiego "dołbiti". Chciałbym dowiedzieć się od pani dlaczego piszemy żebro zamiast "rzebro" i "bruzda" zamiast "brozda".

- Przede wszystkim - odparła rozgorączkowana pani - nie było żadnych "dołbiti", niech pan nie zmyśla ! Wiedz pan, że żebro nie pochodzi od rosyjskiego "rebro". Polacy nie gęsi - swój język znają. Piszemy "bruzda", mamy przecież czasownik bruździć.

- Nic podobnego: "bruździć" jest zniekształceniem "brudzić", a tu mamy "borzda", "brozda", "borozda", "brazda" i pomorskie "barzda",

- Niech pan mnie nie uczy, jestem polonistą, wiem co mówię! I spojrzawszy na nas z politowaniem opuściła muzeum.

Po jej odejściu zrobiło nam się bardzo wesoło, śmiejemy się do rozpuku. "Panie Tarnowski - woła Jadzia - "dłuto" od "dłuwać" "u", u, u, mój panie"!

- Pani Jadziu! "wiatr", "wiatrak", a nie "wiatrak"!

Zarabiałem tylko 900 złotych miesięcznie, ale praca w muzeum bardzo mi się podobała i z posady w Gdyni zrezygnowałem. Z początku chodziłem na obiady do magistrackiej stołówki; pracownicy magistratu płacili za skromny obiad 10 zł, ja zaś będąc pracownikiem muzeum a nie magistratu musiałem płacić 30 zł, co miesięcznie wyniosłoby 900 złotych, tj. całą moją pensję (zrezygnowałem ze stołówki i zacząłem stołować się w domu; na śniadanie wypijałem kubek gorzkiej cykorii i konsumowałem pajdę razowca z solą. Przypomniały mi się słowa młodego Okołołukowa z Dubrowniku: "jedz ko-

¹⁸ W polskie zmienić

chany panie chlebuś, a dla dodania mu smaku niech go pan posypie solą"! Na obiad i kolację jadłem dorsza, który w roku 1946 był bardzo tani. Pewnej niedzieli Anna Moczall zrobiła "święteczny obiad" - klopsy z mięsem, zjedliśmy je z apetytem, lecz niestety odchorowałem ten obiad: mój żołądek odzwyczał się od mięsa.

Przez dziedziniec zamkowy przejeżdżały ciężarowe auta, wozy z sianem, gnojem itp. na części podwórza tam, gdzie stał zburzony w roku 1834 pałac pasły się krowy i świnię. Anna Moczall, a po jej wyjeździe moja żona musiały ciągle sprzątać zanieczyszczony dziedziniec. Letnimi wieczorami w południowej, przytulnej części podwórza zbierała się nasza młodzież i żołnierze radzieccy i polscy z niemieckimi i polskimi dziewczuchami i uprawiali harce do samego rana, gdy hałas był nie do wytrzymania próbowałem umitygować zakochane pary, lecz bezskutecznie.

Jedna rozwydrzona polska dziewczucha na moją reprimendę krzyknęła: "idź dziadku pod pierzynkę do swej starej i nie zawracaj nam głowy, zapomniałeś jak sam się kiedyś bawiłeś i kochałeś, zazdrościsz nam boś stary, minęły młode latka, styrałeś się do reszty. Nie potrzebujesz tu odstawiać dziedzica, dziedziniec jest tak twój jak i nasz"! Kiedyś znów zobaczyłem żołnierza radzieckiego łamiącego gałęzie bzu dla swych przygodnych wybranek; poprosiłem go grzecznie aby nie niszczył drzewa, a on wspiął się jeszcze wyżej łamiąc gałęzie buciurami, usiadł, spojrzał na mnie i mówi:

- Tak czysto mówisz po rosyjsku, a może jesteś burżujem, starym emigrantem; Stalin nas nauczył jak mamy rozprawiać się z burżujami!

- Szkoda, że ciebie Stalin nie nauczył grzeczności! A teraz słuchaj co ci powiem, jeżeli nie zleżesz natychmiast z drzewa to dam znać dowództwu twej jednostki! Żołnierz zlął z drzewa i zaszył się ze swymi dziewczuchami w najciemniejszym zakątku dziedzińca. Później udało mi się ogrodzić tę część dziedzińca w miejscu gdzie pasło się bydło, gdzie po nocach panoszyła się niepokohamowana miłość, kwitło zgorzenie i rozpusta zrobiłem kwietniki i zieleńce.

Z mojego okienka z dumą spoglądałam na kwitnące kwiatki, a w nocy nikt nie zakłóca naszego spokoju.

A jak wyglądało w roku 1946 nasze miasto?

Darłowo, kiedyś znane uzdrowisko nad Bałtykiem zostało opuszczone przez Niemców bez walki, w roku 1946 zauważyłem tylko je-

den spalony budynek, miasto czyste, pełne zieleni, śliczne kamieniczki na rynku, bogate sklepy na głównej ulicy, piękne dobrze utrzymane parki.

W miesiąc po wyzwoleniu kupcy z poznańskiego i Pomorza, nowo upieczeni peperowcy i pepeesowcy nabyli za minimalną opłatą sklepy poniemieckie pełne towarów, miasto zaroilo się od tłumu, wśród którego nie brakowało spekulantów i szabrowników. Znaczniejsi obywatele zajęli piękne wille z ogródkami na ulicy Morskiej i w Darłówku nad morzem. Miasto liczące w pierwszych latach po wyzwoleniu około 4000 mieszkańców posiadało około 10 knajp. Przybyli z różnych stron Polski chłopci, objęli w posiadanie bogate gospodarstwa poniemieckie; chłopów, robotników, inteligentów niemieckich zaczęto wywozić za Odrę, hasłem naszych władz było: "niech się dorabiają Polacy, precz z Niemcami!". Wydalono w ten sposób z naszego miasta dobrego doktora, położną, dentystę, około 100 wysoko kwalifikowanych rzemieślników. Część naszych "gospodarzy" z Torunia, Bydgoszczy, Poznania, Łodzi itp. oczywiście: nie miała zielonego pojęcia o rolnictwie, pracowali za nich Niemcy, "gospodarze" zaś pili, bawili się, a potem zlikwidowali gospodarstwa i wynieśli się z powrotem do swych miast. Istniała jeszcze inna kategoria chłopów, lecz nie tych "z Marszałkowskiej" tylko "prawdziwych", pochodzących przeważnie z województw zachodnich, ci objęli gospodarstwa poniemieckie celem wzbogacenia się, swej ojcowizny gdzieś w poznańskim lub na Pomorzu, uważali swój pobyt za tymczasowy, większość z nich po paru latach zlikwidowała gospodarstwa na zachodzie i przeniosła się na swoją ojcowiznę, gdzie ich tymczasowo zastępował jakiś członek rodziny. Na szczęście ci przygodni rolnicy stanowili w naszym powiecie mniejszość; większość chłopstwa nie miała nic wspólnego z tymi kombinatorami, poczciwcy zza Buga, z poznańskiego, z Pomorza, spod Wielunia, Opoczna itp. pracują dotychczas rzetelnie, nie uważają swego pobytu na zachodzie za tymczasowy, lecz za swoją ojczyznę.

Tak samo większość robotników i inteligencji pracującej sumiennie i uczciwie wykonywali i wykonują swe obowiązki, w ciężkim trudzie zarabiają na chleb.

Milicja Obywatelska i Urząd Bezpieczeństwa składały się w pierwszych latach po wyzwoleniu 1945-1946 z elementu przypadkowego, byli wśród nich ludzie oddani, ofiarni Polsce Ludowej, lecz wkradali

się czasem do ich szeregów osobnicy nieuczciwi, różni awanturnicy jak również prowokatorzy Volksdeutsche.

Pierwszym burmistrzem miasta, jak i pierwszym dyrektorem gimnazjum i liceum, i sekretarzem P.P.S. był pan Dulewicz. Zamieszkał on w pięknej, świetnie umeblowanej willi w dzielnicy willowej.

Działalność pierwszego burmistrza należy ocenić pozytywnie, pierwszy burmistrz zaprowadził porządek w mieście i w znacznym stopniu przyczynił się do rozwoju Darłowa.

W mieście stopniowo powstawał przemysł; dzielny kapitan Juszczakiewicz zaczął budować kutry, istniała już przetwórnia ryb, nieco później powstały: Fabryka Pieców, Fabryka Mebli "Weneda", Fabryka Sieci i różne większe i mniejsze warsztaty pracy.

W przepelnionych knajpach darłowskich wynikały często kłótnie i bijatyki między pijakami polskimi a sowieckimi. Tutejsi Niemcy cieszyli się z tych stosunków między sojusznikami, nawet skrajny pesymista Karl Rosenow w swoim dzienniku wyraża nadzieję, iż dzięki tym polsko-rosyjskim niesnaskom Niemcy mogą z czasem odzyskać niepodległość i utracone tereny.

Latem 1946 roku udzielałem lekcji angielskiego kapitanowi portu - Juszczakiewiczowi; odwiedzali go często dygnitarze z Warszawy. Pewnego wieczoru lekcję naszą przerwał przyjazd dygnitarza; pani kapitanowa przygotowała wystawną kolację, mnie również zaproszono na tę ucztę. Raz przynajmniej najadłem się dobrze.

W Warszawie zaznajomiłem się przypadkowo z panią Kay - sekretarką U.N.R.R.A.¹⁹, pożyczyłem od niej angielskie książki.

Na Wielkanoc w roku 1946 miss Kay zaprosiła mnie do "małego Hotelu" na Pradze, w którym mieszkała, na podwieczorek; przybyło również kilka pań - pracowniczek UNRRA. Rozmawialiśmy o Kanadzie, o Quebecu, Peribonco, a najwięcej o Montrealu, gdzie wychowała się moja ś.p. matka. W toku rozmowy Kanadyjka miss Kay zapytała mnie dlaczego nie czynię starań celem otrzymania pracy w UNRRA, nadmieniła, że jest ona w dobrych stosunkach z generałem Drury, który na święta odjechał do Ameryki.

¹⁹ UNRRA ang. *United Nations Relief and Rehabilitation Administration*, Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy, powstała w USA w 1943 r. dla niesienia natychmiastowej pomocy krajom alianckim zniszczonym w wyniku II wojny światowej; rozwiązana w 1947 r

- Ale, pani Kay - mówię - przecież UNRRA znajduje się w stadium likwidacji.

- Niezupełnie - odpowiada miss Kay - w Paryżu są potrzebni urzędnicy znający romanistykę, germanistykę i slawistykę ! Niech pan jutro złoży u nas deklarację, po powrocie generała z Ameryki przedstawię mu tę sprawę, jestem pewna, iż zostanie pan przyjęty.

Deklarację złożyłem, chociaż byłem przekonany, że nic z tego nie wyjdzie.

W tydzień po złożeniu deklaracji odjechałem do Gdyni. W lipcu otrzymuję w Darłowie zawiadomienie od miss Kay, że generał wrócił i wyraża życzenie porozmawiać ze mną w sprawie zatrudnienia i wyjazdu za granicę; miss Kay zapewnia mnie, że pensja wyniosłaby 22.500 złotych miesięcznie! a ja zarabiam tylko 900 złotych. Z podróży do Warszawy mimo świetnej oferty zrezygnowałem.

W sierpniu 1946 roku przeglądając "dokumenty pomorskie"/Pommersche Urkunden/ przeczytałem ze wzruszeniem dokument z dnia 15 lipca 1304 roku. W dokumencie tym pan Wącek z Sulechowa (powiat sławieński) potwierdza dotację swego ojca Lutomira 60 łanów gruntów dla klasztoru w Bukowie.

Brawo panie Sulechowski, szlachetny polski rycerzu!

Z początkiem wieku XIV zaczęły się represje przeciw ludności słowiańskiej, w niektórych miejscowościach najeźdźcy niemieccy izolowali niesfornych Słowian, powstawało coś w rodzaju getta; takie getto założono w Darłowie w roku 1312. Rasiści niemieccy (rasizm przecież nie jest wynalazkiem Hitlera) wówczas pozbawili ludność słowiańską wszelkich praw, między innymi nie wolno im było należeć do bractw kościelnych i do cechów.

Większość książąt, szlachty i bogatych kupców zdradziła swój naród, mniejszość zaś razem z ludem pomorskim stawiała opór najeźdźcy niemieckiemu. Jeden kronikarz niemiecki o patriotycznej szlachcie pomorskiej powiedział następujące słowa:

"Szlachcic Polak warcząc jak pies polazł do swej budy".

Z wyżej przytoczonego dokumentu z roku 1304 wynika, iż szlachcic pan Sulechowski uważał się za prawej krwi syna t.j. Polaka i na pewno naraził się średniowiecznym rasistom niemieckim.

Niestrudzona pani Łączyńska czasem wyjeżdża w teren i wraca z cennymi zabytkami, niestety środki nasze są bardzo ograniczone; władze powiatowe i miejskie nie okazują zainteresowania muzeum i

nie udzielają nam tak potrzebnej pomocy finansowej, zaś subwencja Ministerstwa wynosiła w roku 1946 tylko 10.000 zł miesięcznie, połowa tej kwoty przeznaczona była na pobory pracowników muzeum. Niestety część zabytków ruchomych znajdujących się w siedzibach magnatów niemieckich wpadła w łapy szabrowników i spekulantów grasujących z ciężarówkami po całym Pomorzu.

Z dniem 15 września 1946 roku zacząłem wykładać język angielski w 11-letniej ogólnokształcącej szkole, w czasie mojej nieobecności w muzeum zastępowała mnie żona i Karl Rosenow.

Dnia 1 października pani Łaczyńska z córką odjechała na posadę do Gdańska, zostałem w muzeum sam z Niemcami.

W listopadzie 1946 roku przybyła do muzeum pani Quirini - delegat Ministerstwa Oświaty i poprosiła o posegregowanie i powiązanie w paczki liczącego 10000 tomów księgozbioru niemieckiego zgromadzonego przez kierownictwo muzeum w roku 1946. Pracowałem nad tym z Anną Moczall prawie dwa miesiące. W styczniu 1947 roku pani Quirini zabrała posegregowany zbiór (34 pozycji) na dwa ciężarowe samochody. Zostawiłem w muzeum 280 tomów medycyny i kwartalniki "Nautiius", które przekazałem Uniwersytetowi Poznańskiemu.

Pani Quirini podziękowała za ofiarną pracę i opiekę nad księgozbiorem. Podobno na całym Pomorzu tylko Muzeum w Darłowie przekazało tak bogaty księgozbiór. P. Quirini mówiła z goryczą, że w jednym z pałaców, którego właścicielem był znany sinolog niemiecki znajdował się blisko 1000 tomów liczący zbiór chińszczyzny, więc pojechała tam i znalazła w otaczającym pałac parku zbutwiały i zgniły księgozbiór znakomitego sinologa...

Za swoją pracę otrzymałem od pani Quirini 3 tys. złotych, Anna Moczall 1.500 zł.

Zima w 1946-1947 była nadzwyczaj surowa i długotrwała. Karl Rosenow marzył okropnie w swoim letnim paletku, mieliśmy trudności z opałem, czasem brakowało chleba. Rosenow człowiek inteligentny i wykształcony wierzył w absurdalne plotki i często mi je powtarzał, na próżno tłumaczyłem starym bezpodstawność plotek, czytałem mu polskie dzienniki - nic nie pomogło: Rosenow wierzył tylko plotkarkom niemieckim.

Stare, skołatane, zbiedzone biedaczysko nie przestawał narzekać na Rosjan, Polaków i... Hitlera.

Nie usprawiedliwiałem napadów rabunkowych na niemiecką i polską ludność miasta, które czasem się zdarzały, panował u nas wówczas pewien nieład, nasza młoda milicja nie potrafiła zapobiec tym wypadkom.

Rosenow darzył szczególną nienawiścią Polaków z kongresówki (Kongress Polen) przypuszczalnie tylko dlatego, że nie znali języka niemieckiego.

W imię prawdy należy stwierdzić, iż ogromna większość Polaków i żołnierzy radzieckich zachowywała się bez zarzutu; widziałem na własne oczy jak pomagali jedni i drudzy niemieckim dzieciom i starcom. Zziębniętego Rosenowa zapraszaliśmy często na szklanekę zbożowej kawy, popijając tę kawę z razowcem gawędziliśmy o zamku, muzeum, historii Pomorza, onomastyce.

- Pan mówi, panie Rosenow, że zajmujesz się pan tłumaczeniem nazw (Deutung der Namen) więc co znaczy według pana "Wipper", mi się zdaje, że "Wipper" to nasz rapolski "Veprj".

- Nein - odpowiada Rosenow - das ist Illyrisch !

- No, a dopływ Wieprzy Grabów i nieistniejący już Lutów też Illyrisch? Nie mój panie! Wszystkie nazwy rzek, jezior, gór, olbrzymiej większości wsi, większości miast aż do Hamburga zachowały nazwy staropolskie, lechickie. Prócz Wieprzy mamy Parsętę (Prosięta-Prośnicę), Pianę, Dziwną, Drawę, Warnę i szereg innych rzek o słowiańskim brzmieniu.

- Zgadzam się z panem - mówi Rosenow - powiedziałem naumyślnie "Illyrisch", ciekawy byłem jak pan na to zareaguje, chciałem po prostu zbadać pana wiedzę z zakresu sławistyki. Nie zaprzeczam panie Tarnowski, że te obszary były lechickie ale przyzna pan, że te czasy dawno minęły; obecnie te tereny zamieszkuje od wieków ludność niemiecka, Słowian dawno zgermanizowano, osiedlono tu miliony Niemców z zachodu. Nie wiem dlaczego wy nazywacie naszych książąt pomorskich Piastami, przecież nasi obiektywni historycy - nie hitlerowcy ! - dokładnie ustalili, że "Greifengeschlecht" nie ma nic wspólnego z waszymi Piastami.

- Wasi historycy w ogóle nic nie ustalili; dla was historia Pomorza zaczyna się dopiero w roku 1107, według waszych historyków pierwszym księciem Pomorza ma być Swantibor, a co było przed rokiem 1107 nic się o tym nie mówi. Otóż panie Rosenow nasi historycy ustalili, że przed Swantiborem było już siedmiu książąt, potom-

ków Mieszka I i jednej z jego żon. Na tych ziemiach przeszło 1000 lat rozbrzmiewała mowa polska, prapolska i staropolska, zaś okres kompletnej germanizacji tej ziemi można liczyć przeciętnie na 250 lat. We wschodniej części powiatu słupskiego jeszcze na początku bieżącego wieku część ludności znała język słowiański, a w powiatach Człuchów, Złotów Wałcz, Bytów i Piła większa część ludności mówiła po polsku. Daleko na zachodzie nad Łabą i poza Łabą jeszcze w XVIII stuleciu część ludzi znała język praojców. Książęta pomorscy pochodzący rzekomo z tajemniczego "Greifengeschlecht" mają wszyscy imiona słowiańskie: mieliśmy 14 Bogusławów, 12 Barnimów, 8 Wartisławów, 6 Kazimirów. Przystawiając spółgłoskę "r" otrzymamy zamiast Barnima Bronina /sta-rop. broniti/ Bronisza; Wartisław jest polskim Warcisławem, zdrobniale Warsz, Warszek.

- Słyszałem, że nasi sławiści na zachodzie krytykują wasze przemianowanie miejscowości na Pomorzu, zapewniam pana, że my Niemcy mamy tęgich sławistów; słyszał pan na pewno o Lorentzu, to właśnie on napisał i wydał gramatykę pomorską i słowiańską, nie był on hitlerowcem, ja również trochę zajmowałem się tym Deutung der Namen, posługiwałem się słownikami Berneke'go i Miklosic'a, a i pan zgodzi się chyba ze mną, że sporo nazw, które w przeciągu setek lat zachowały pierwotne słowiańskie brzmienie obecnie zniekształcono, albo nieudolnie przemianowano, np.: Scheddin powinien nazywać się Schodzin, a to z powodu kilku dróg, które się tam schodzą, a nie Wszedzien-Alltag jak wy to nazwali.

A te wasze Kalinowe, Emilianowo, Wickowo, Gleczanowo, Barzewiec, Ryszczewo i inne cuda? Ja bym je nazwał inaczej. A co do pochodzenia książąt, to mnie pan źle zrozumiał: wcale nie twierdzę, że "Greifengeschlecht" jest niemiecki - nasi obiektywni historycy przypuszczają, że Gryfici wywodzą się z teraźniejszej Meklemburgii, tj. z byłych obszarów obotryckich, są oni podobno potomkami słynnego księcia Niklota.

- Zgadzam się z panem, panie Rosenow. Kalinowe i Emilianowo powinny zniknąć tak jak zniknie i zwiędnie piękność Kaliny i Emilii, na cześć których przemianowano te osady, gorliwi wielbicieli Kaliny i Emilii stanowczo przeholowali. Uważam niemiecką nazwę Notzkow za słuszną, przecież imiona Naczmir i Naczslaw, zdrobniale: Nocek, Naczek były kiedyś na Pomorzu bardzo rozpowszechnione.

Wickowo nazwałbym Wysokie, Gleczanowo - niem. Glaznow, przemianowane później na Steinort nazwałbym Głazowe, albo Głaznowo, Barzowicom przywróciłbym niemiecką nazwę – Barciewice; Riste nazywano w staropolskim niskie, bagniste miejsce, mamy w Serbii i Bułgarii cały szereg Kistowów i Ristivacov, chociaż nie jestem pewien czy bałkańskie Ristov ma ten sam stymen co nasz pomorski, nie jest wykluczone, że południowo-słowiańskie Ristov wymawiano Christow, Ghristowac.

Zgadzam się z panem, że popełniliśmy trochę błędów, ale wkrótce my je naprawimy. Waszym naukowcom w Tryzonii nie podoba się, że staramy się przywrócić miastom i wsiom na zachodzie stare słowiańskie nazwy. Wiemy, że szowinistom niemieckim wszystko się nie podoba co u nas się dzieje, przelewają krokodyłe łzy z powodu nieznacznych błędów popełnionych przy przemianowaniu. Pytam dlaczego wasi sławiści nie protestowali kiedy administracja pruska przemianowała na Pomorzu wschodnim setki miejscowości o polskim brzmieniu na bezsensowne, chamskie "Butterbrot", "Wurstfleische" itp.?

Nie zaprzeczam, że Lorentz był wybitnym językoznawcą i uczciwym człowiekiem, ale chyba pan sam wie, że takich naukowców u was nie było i nie ma zbyt wielu.

- No dobrze, a od czego pochodzi nazwa Rugii? - pyta Rosenow - my przypuszczamy, że pochodzi ona od germańskiego szczepu "Rugiener".

- Nie wiem, panie Rosenow, ale wątpię w istnienie germańskiego szczepu "Rugiener". Niedawno przeczytałem "Slawische Altertuemer" Safarika i czwartą księgę "Pommersche Urkunden" i przekonałem się, że na Rugii dotychczas zachowało się nazewnictwo słowiańskie tak samo, jak na Pomorzu i na byłych obszarach Lutyków, Wągrów, Obodrzyńców i Załabian.

- Nie niezupełnie! Na przykład Berg, Grac i sama Arkona nie są nazwami słowiańskimi.

- A jednak tak, panie Rosenow! Berg to jest staropolski Breg, Graz - Gradec, zaś Arkonie należy przeprowadzić leciutką operację: przedstawimy "R" i otrzymamy Rakona. Istnieje prawdopodobnie staroruska osada nad jeziorem Ilmen tej samej nazwy. W języku prasłowiańskim i cerkiewno-słowiańskim "raka" znaczyła mogiłę, grób; dotychczas prawosławni i Słowianie nazywają relikwie świętych

"raka". Może według pańskiej opinii bohater rugijski Kruko, różni Jaromiry, Wyszesaławy, Świątosławy byli Germanami?

- Nie sprzeczkajmy się na ten temat, przecież nasze języki są bardzo podobne - ironizuje Herr Rosenow - na przykład wasz ratusz przypomina i to bardzo nasz Rathaus, gmina Gemeide, sołtys - Schultheis, wójt - Vogt, rada - rat i bodajże tysiące innych wyrazów.

- Słusznie nie sprzeczkajmy się, mamy dużo pożyczek niemieckich, lecz to nie znaczy, że nasz język jest uboższy od niemieckiego. Moglibyśmy ratusz nazwać wietnicą, gminę włością, albo opolem, radę można zastąpić wietem, wiecem, a może nawet i sąwietem, tylko nie sowietem, bo to uważa pan, byłaby znów pożyczka z rosyjskiego.

- A co pan sądzi o Wenecie, Jomsburgu, Julinie? - pyta się uśmiechnięty Rosenow.

- Nie zastanawiałem się nad tym problemem. Przypuszczam, że Wioletta jest tylko przymiotnikiem, może miasto nazywało się Wolin Wenedzki, albo Jamno Wenedzkie, pan zresztą wie, że nie jestem naukowcem, są to li tylko hipotezy laika-amatora.

- Trop de modestie ! - powiedział po francusku Rosenow. -A dlaczego Niemcy nazywali Słowian Wendami?

- Nie wiem. Gdybym nie wiedział, że nazwa "Wenedzi" istniała już w II wieku n.e. przypuszczałbym, że pochodzi ona od prapolskiego czasownika "veniti" - "wymieniać", "kupować", Przodkowie nasi nie zawsze darli koty między sobą; w przerwach między wojnami załatwiali oni interesy handlowe. "Veniti", "veniti"! wołał nasz kupiec wizytując osiedla germańskie, zaś wasi praojcowie, słysząc z ust Słowian wyraz "Veniti" przezwali nas Weneti, Wenedzi. Oczywiście przypuszczenie to pozbawione jest wszelkich podstaw i uzasadnień naukowych i jest li moim fantastycznym urojeniem. A teraz, panie Rosenow, proszę mi opowiedzieć o tym słowiańskim zamku w Darłówwku.

- Przypuszczalnie zamek ten istniał już w XI stuleciu. Miejsce na którym dotychczas stał zamek nie jest ustalone. Według jednej wersji stał on w widłach rzek Wieprza i Lutowa, według drugiej na wzgórzu Derłowberg (Darlowberg). Nasi archeolodzy badali te tereny, lecz niestety bez rezultatywnie. A jak tłumaczą polscy uczeni nazwę "Tirlov", Dirlov"?

- Nie wiem, ja osobiście przypuszczam, że nazwa ta pochodzi od prapolskiego lub staropolskiego "derti", co znaczyło tyle co "terviti",

"trebiti", zaś miejsce gdzie wydarto, wytrzebiono las nazywało się "derło", "trebież", "terbina". Zresztą nie jestem pewny, nazwa ta może także pochodzić od "terła", "tarła". Język nasz jest bardzo bogaty.

- Mam pewne wątpliwości co do bogactwa waszego języka -mówi z przekąsem Rosenow. - Fakt pozostaje faktem, Herr Tarnowski, macie masę pożyczek z niemieckiego, świadczy to, kochany panie, o tym, że staliśmy na wyższym stopniu cywilizacyjnym i kulturalnym od Polaków.

- Mamy różne zapatrywania na kulturę, panie Rosenow, np. wasi krzyżacy pobłogosławieni przez Ojca Świętego wyruszyli do Prus rzekomo celem nawrócenia pogańskich Prusów na wiarę chrześcijańską. Po długich zmaganiach krzyżacy pokonali dzielnych, bezbronnych Prusów, wycięli w pień bohaterskich Bartów i Pogazańczyków, inne pruskie szczepy zdziesiątkowali i ujarzmili, kraj Prusów skolonizowali, przybysze niemieccy nazwali się Prusakami, a działo się to wszystko w imię Chrystusa i niemieckiej kultury.

Słowianie zaś nie eksterminowali innych słabszych narodów, nam była nieznaną dyskryminacja rasowa, myśmy nie urządzali getta dla ludności niesłowiańskiej, nie pozbawiali jej praw.

Także kultura materialna Słowian nie ustępowała bynajmniej niemieckiej, np. urny zrobione przez naszych praojców nie były wbrew pańskim twierdzeniom kruche. Zresztą dzieje nie tak stare...

- Ach, dajmy temu spokój - mówi urażony i przygnębiony Rosenow. O mein Gott!²⁰ Ten przekłety Hitler wtrącił nas w straszne nieszczęście, już Niemcy nigdy się nie podniosą, wszystko stracone! Ach tak bym chciał umrzeć, gdybym nie miał żony popełniłbym samobójstwo. Pan Bóg jest miłosierny, on by mi wybaczył. Niech pan mi wierzy, panie Tarnowski, ja nigdy rasistą nie byłem i nie jestem.

- Wierzę, wierzę, panie Rosenow! Wierz mi pan, nie chciałem pana dotknąć, wiem, że jest pan nieszczęśliwym człowiekiem, starym, współczuję panu. Przytul się pan do pieca, ogrzej się porządnie zanim pójdziesz do domu; zaraz napijemy się jeszcze gorącej kawki z chlebusem.

Kilka razy odwiedzał muzeum Ob. Komendant Bezpieczeństwa, nigdy z nikim się nie witał, milcząc otwierał ponemieckie kufry.

²⁰ O mój Boże

Jakby czegoś szukał, oglądał pospiesznie sale i nie przemówiwszy ani słowa wynosił się.

Przypuszczam, że wykonywał instrukcje władz wyższych. Wizyty te ustały po zwiedzeniu muzeum przez Szefa Bezpieczeństwa w Sławnie kulturalnego i grzecznego peperowca Ob. Z.

W zimie 1946-1947 ludność polska Darłowa urządzała ciągle zabawy; jeden pan dyrektor prosił mnie o zezwolenie na urządzenie zabawy tanecznej w sali Audiencyjnej zamku. "Zrobiłby pan nam przyjemność, sam by pan zarobił na tej imprezie" - powiedział rozbawiony pan dyrektor. Przewracało się ludziom od dobrego życia w głowie... Odpowiedziałem lakonicznie; "nie zezwalam!".

W grudniu 1946 roku przed samym Bożym Narodzeniem w czasie pauzy podeszli do mnie dwaj uczniowie Liceum J. i Z. i grzecznie zapytali; - Panie profesorze, niech nam pan powie szczerze czy nastąpi u nas nareszcie jakaś zmiana?

- Nie będzie żadnej zmiany, ucicie się chłopcy!

- No to dobrze, bo widzi pan profesor byliśmy akowcami, a wczoraj wstąpiliśmy do KZPRK PPR, uważamy, że pomoże nam to w nauce i ułatwi handel śledziami, wysyłamy całe beczki tego towaru do Białegostoku, mamy morową, młodą kasjerkę na dworcu, załatwia nam wszystko bezpłatnie. A może pan profesor życzy sobie zrobić wycieczkę, dajmy na to do Warszawy, to moglibyśmy mu służyć bezpłatnym bilecikiem.

- Dziękuję chłopcy - nie skorzystam!

Dnia 31 grudnia wracałem po dwugodzinnej przechadzce za miastem do domu, na ulicy Kanałowej jakaś podpita baba wczepiła się w moje wąsy, przytuliła się do mnie i koniecznie chciała mnie wciągnąć do swego mieszkania.

- Chodźże do mnie ty stary byku, jestem sama, mam wódkę i przekąskę, będzie nam dobrze, chodźże, stara fujaro!

Odrąciłem dość szorstko babę i przyspieszyłem kroku, a ponieważ zmarzłem porządnie wstąpiłem na kieliszka do starego Jędrychowskiego; ze starym pepesowcem rozmawialiśmy często o miejscu jego zesłania - Wołogodzkiej guberni, o 1905 roku, o naszej walce z caratem, o strajkach w byłej Kongresówce, etc. Pijana pani M. z drzemającym przy stoliku mężem mówi do mnie rozkazująco:

- Chodź tu, ucałuj mnie stary wąsalu!

- Ani mi się śni - odparłem oburzony.

- Co nie chcesz? Ty złodzieju, gdzie skradłeś oficerki? Ubrałeś się w zrabowane oficerki i udajesz niewiniątko!

Chciałem jej wybrzyk obrócić w żart, lecz kobieta wrzeszczała dalej.

- Stary złodzieju, kryminalisto, zdejmi zrabowane buty, a jak nie zdejmiesz to zaraz dostaniesz butelką w ten siwy łeb !

Jędrychowski chwycił pijaczkę za kołnierz i wyrzucił ją za drzwi, pijany mąż podążył zataczając się za nią, za drzwiami baba płacząc darła się na całe gardło:

- Towarzysze, co się dzieje w naszej Polsce Ludowej? Złodziej, morderca skradł buty i pije z Jędrychowskim, a porządnych ludzi, proletariuszy wyrzuca się na łeb, na szyję z lokalu!

Dnia 2 stycznia 1947 roku rozmawiałem z jednym z czołowych pesowców w naszym mieście - tow. profesorem Y.

- Panie Tarnowski - mówił kolega - niech pan wstąpi do PPS, będzie pan wtedy w porządku, bezpieczeństwo nie będzie się pana czepiać, radzę jeszcze dziś wypełnić deklarację.

- Dobrze panie, ale muszę się nad tym dobrze zastanowić, co prawda bezpieczeństwa się nie boję, nie mam powodu się bać. Więc chcę wstąpić do partii nie z powodu obawy, lecz z pobudek ideologicznych, przecież do roku 1914 należałem do PPS, znałem wielu bardzo porządnych towarzyszy rewolucjonistów, zresztą i po 1914 roku sympatyzowałem z lewicą PPS, w okresie międzywojennym należałem we Francji do rewolucyjnych związków zawodowych - GGTU.

- My także jesteśmy rewolucjonistami. Wszyscy porządni ludzie w Darłowie należą do PPS, na przykład pan dyrektor Gimnazjum, pan inżynier Korycki, urzędnicy, kupcy a nawet robotnicy. My nie pozwolimy na kierenszczyznę w Polsce, idziemy drogą wytkniętą przez marszałka Piłsudskiego; partia liczy 50 lat walki o niepodległość, sprawiedliwość społeczną i socjalizm.

- A jak długo kolega jest w PPS?

- A już przeszło rok czasu, kochany kolego.

- A czy macie w partii towarzyszy z dłuższym stażem?

- Prawie wszyscy wstąpili do partii dopiero po wojnie, ale mamy dwóch czy trzech weteranów, na przykład restaurator Jędrychowski należał do PPS jeszcze za czasów caratu.

- Tak, partia stara, a członkowie młodzi, czy nie tak panie kolego?

Nazajutrz po tej rozmowie udałem się do Komitetu PPR, tam rozmawiałem z sekretarzem tow. M.

- Towarzyszu sekretarzu - zagadnąłem Maliszewskiego - proszę mi powiedzieć czy istnieje różnica w programie KPP i PPR, czy jesteście na przykład za uspołecznieniem gospodarki rolnej?

- Różnicy w programie KPP i PPR nie ma. Jesteśmy rewolucjonistami, uczniami tow. Wiesława i Józefa Stalina. Ja jeszcze przed, wojną należałem do PPS, nie do prawicy, lecz do frakcji rewolucyjnej, panie obywatelu. Jestem robotnikiem z dziada pradziada; w 20. roku wszyscy pepesowcy z Warszawy, w tej liczbie i ja, wyruszyliśmy na wroga z pieśnią "O cześć wam panowie, magnaci...". Nasza partia PPR jest partią robotniczą, mamy w Komitecie tylko dwóch kupców, a reszta to chłopi i robotnicy, natomiast w PPS siedzą burżuje. A co do rolnictwa, to zapewniam was towarzyszu, u nas kolchozów nigdy nie będzie, dla komunistów i warcholów nie ma miejsca w naszej partii - zakończył stary M.

W kilka dni później spotkałem się z członkiem komitetu PPR - W.

- Powiedźcie towarzyszu W. dlaczego wybraliście na sekretarza tow. M., on chyba nie zna statutu PPR i słabo orientuje się w polityce.

- M. jest porządnym i uczciwym robotnikiem i dużo nad sobą pracuje; zresztą co chcecie, Darłowo nie jest Warszawą czy Łodzią, musimy pracować, uświadamiać ludzi, należy brać przykład od naszych komunistów i rosyjskich bolszewików, wprowadzać ich idee w życie, musimy walczyć o socjalizm tak, jak walczyli nasi radzieccy towarzysze.

Dnia 7 stycznia 1947 roku wstąpiłem do PPR.

W latach 1945-1946 niektórych członków partii cechowała pycha, ambicja i karierowiczostwo. Ci panowie zachowywali się arogancko, a jeśli ktoś ośmielił się zwrócić im uwagę na niewłaściwe zachowanie się, partyjniak wtedy z dumą pokazywał obecnym legitymację partyjną i butnie oświadczał; "Jestem peperowcem, ch... mnie zrobicie, mam was wszystkich w d...".

Niestety towarzysze z komitetu powiatowego patrzyli na te dzikie wybryki zdeprawowanych pseudopartyjniaków przez palce. Niektórzy członkowie partii popełniali malwersacje i oszustwa.

W końcu stycznia przysłała do muzeum młoda robotnica partyjna i skarży się na zachowanie swego dyrektora - członka komitetu i egzekutywy:

- Jak to jest towarzyszu kustoszu z tą naszą partią? Nasz dyrektor z awansu społecznego udaje wielkiego pana, na przykład pan towa-

rzysz dyrektor nie raczy sam sięgnąć po suszkę, którą ma na swoim biurku, a zawsze zwraca się do mnie w tym wypadku, a ja przecież siedzę przy innym stole - ze słowami: "podajcie no mi suszkę towarzyszo!" Jak ja mam postępować w tym wypadku?

- Bardzo prosto ! Kiedy dygnitarz poprosi o podanie suszki powiedzcie mu: "a weźcie se, panie towarzyszu dyrektorze !" Zobaczycie, że ta odpowiedź wyleczy go z manii wielkości.

W lutym 1947 roku partia liczyła około 200 członków, z tej liczby było około 20 prawdziwych peperowców. Byłem przyjemnie zaskoczony gdy na ogólnym zebraniu (obecność na tym zebraniu obowiązywała "pod rygorem partyjnym") zobaczyłem przepelnioną salę gimnastyczną Szkoły Podstawowej. Referat wygłosił aktywny i uczciwy Janek J. Po referacie zabierało głos wielu towarzyszy, mówili rozsądnie z zapałem rewolucjonisty, byli to ludzie bezgranicznie oddani Polsce Ludowej i partii. Niestety karierowiczowska, chciwa mniejszość też "występowała", sypały się niesamowite pytania:

- A kiedy ja nareszcie dostanę konia z UNRRA?

- Towarzysze obiecaliście mi krówkę, ale widzę, że obiecanka cackanka. Przekonałem się, że nie można wam wierzyć, taka widać jest ta wasza partia!

- Towarzysze - mówi ochryłym głosem zapijaczony dryblas - chodzę i chodzę cały tydzień do Komitetu w sprawie obiecanej posady kierownika zakładu X, a tymczasem dowiaduję się, że posadę tę objął bezpartyjny i to akowiec; mówią, że on ma wykształcenie techniczne, cóż robić, nie każdy mógł się kształcić, ja jestem proletariuszem z krwi i kości i uważam wasze postępowanie za oburzające.

Jeszcze kilku towarzyszy przemawiało w tymże duchu. Dali im należyłą odprawę Urbaniak, Wachowiak, Jałoszyński i Konicz, poprosiłem i ja o głos i króciutko zaapelowałem do sumienia towarzyszy wysuwających co najmniej dziwne pretensje do Komitetu.

- Towarzysze oczekujący na konie, krowy, przydziały gospodarstw, synekury itp. idźcie i uczciwą pracą zarabiacie na konie, krowy i świnię, nie domagajcie się lekkich i intratnych stanowisk, pracujcie i nie żądajcie przywilejów. Doprawdy przykro słuchać wasze niesamowite pretensje i nieuzasadnione żądania. I po co właściwie wstąpiłście do partii? Partia nie jest stadniną, hodowlą krów, świń. Ja zaproponowałbym wydalenie z partii koniarzy, krowiarzy, spekulantów, awanturników i karierowiczów.

W latach 1945, 1946 i w zimie 1946-1947 muzeum zwiedzali prze-
ważnie mieszkańcy ziemi darłowskiej i ziemi sławieńskiej, turystów
mieliśmy bardzo mało. Trzeba było pilnie baczyć na "parki"; zdarza-
ło się bowiem, że kawaler wynosił z muzeum jakiś obiekt i obdarzał
nim wspaniałomyślnie swoją oblubienicę, ofiarą tych parok padł
piękny rozpylacz biedermeierowski, kilka ptaszków, egzotyczna fi-
gurka z drzewa i parę innych obiektów. Nie sposób było upilnować
wszystkich zwiedzających z powodu szczupłego personelu (3 osoby
razem z Rosenowem). Inne parki uważały muzeum za miejsce dosyć
odosobnione, nadające się par excellence do "załatwiania" spraw mi-
łosnych; rzeczywiście tyle ciemnych średniowiecznych schodów,
różnych zakamarków i zakątkowi

W lutym 1947 roku muzeum zwiedziła grupa chłopców, dziwili się
bardzo, że trzymam "stare rupiecie" zdadne tylko na opał.

- Ach, proszę pana - mówi poczciwa starowinka - mieliśmy cały
strych zawalony starymi meblami i różnymi figurami i grubachne
niepolskie księgi, nie można było z nich nic wyczytać, takie były
grube, że trzeba było je porąbać zanim się wepchnęło do pieca.

Do Moczall'ów przychodziły wieczorami trzy panie; Daske, Hoepke,
Graunke: schon dobra ! Herr Tarnowski - witały się ze mną. Te panie
narzekały na ciężkie czasy, najwięcej pokrzywdzoną czuła się pani
Graunke - żona sędziego.

- Proszę pana - mówiła - mojego chorego męża wyrzucili za Odrę,
podobno biedak zmarł gdzieś we wschodnich Niemczech. Gdzież ta
sprawiedliwość, o której wciąż gadacie? Pan opowiada o barbarzyń-
stwach hitlerowskich w Polsce, wierzę panu, ja zawsze byłam prze-
ciwnikiem Hitlera i hitlerowców, ale przecież wtedy była wojna, a
teraz mamy pokój, a wy mścicie się na niewinnych ludziach. Moja
jedyna córka Thea została w 1945 roku wywieziona do Rosji, pracu-
je biedactwo w fabryce pod Moskwą. A co za zbrodnię popełniła na-
sza córka? Wciągnięto ją oszustwem do B.D.M.²¹. a potem do partii,
jako artystka występowała w czasie wojny w Kijowie, Charkowie i
innych miastach rosyjskich, nic nie ukrywała, te podróże zaznaczone
były w jej paszporcie i to odnotowanie w paszporcie zgubiło naszą
Thea. Panu wiadomo, że BDM jest to samo, co Komsomoł w Rosji.

²¹ Bund Deutscher Mädel – Związek Dziewcząt Niemieckich

- Frau Graunke, mąż pani i córka byli hitlerowcami, z pewnością wstąpili do partii z własnej woli, nie znam pani męża, ale wszyscy Niemcy wiedzą, iż córka pani zrobiła karierę za Hitlera, "Sojusz Dziewcząt Niemieckich" z Komsomołem nie ma nic wspólnego, w Komsomole nie ma przywilejów, komsomołki nie uważają naród niemiecki za "herrenvolk", podczas wojny komsomołki nie paradowały w białych bluzkach jak BDM, lecz walczyły na froncie. Współczuję pani, ale niech pani powstrzyma się od tych bezsensownych porównań.

- Powiedz nam pan szczerze - kontynuuje Frau Graunke - czy my wrócimy na Pomorze? Sami Polacy zapewniają nas, że Pomorze jest niemieckie, mówią oni, że Pomorze nie jest potrzebne Polsce, natomiast wszyscy Polacy tęsknią za Wilnem i Lwowem. Wczoraj były u nas dwie polskie handlarki, kupiły różne rzeczy, bo podobno jak one nam tłumaczyły, ewakuowanym zabierają na granicy wszystkie rzeczy.

Mąż jednej z Polek jest na wysokim stanowisku i właśnie on twierdzi, że najpóźniej za rok Niemcy wrócą wraz z Amerykanami na Pomorze. Panie Tarnowski, pan nie jest człowiekiem głupim, powiedz pan szczerze, czy pozostały jakieś ślady po tych dawnych Pomorzanach u nas w Darłowie?

- Mnie mało interesuje co mówią handlarki i spekulantki, chodzi im z pewnością o kupno waszych ciuchów jak najtaniej, dlatego też wam się przypochlebiają i gadają wszelkie bzdury. Myli się pani sądząc, że w Darłowie nie ma śladu po Pomorzanach, pani pochodzi z Berlina, a otóż na przykład pani Daske - nasza polska deska wie - bo rozmawialiśmy z nią na ten temat, że pozostały w Darłowie relikty mowy pomorskiej, co prawda nieliczne, więc darłowianie używali wyrazów: "Blat" /błoto/, "Kollatsch" /kołacz/, "Kate" /chata/, uboga dzielnica miasta za Wieprza nazywała się "Lausnitz" /łożnica/, istniał "Polacken-graben" /Polski Rów/, istnieją "Kopfberg" /kopa/, "Darlowberg" /Darłów Breg/, mamy tu rzekę Wiepr, a jej dopływy nazywają się Grabów i Lutów; a schledz, kale dalej może to są wyrazy niemieckie? Mniej więcej trzecia część mieszkańców Darłowa ma nazwiska słowiańskie. No dosyć polityki Frau Graunke, proszę mi podyktować piosenkę Schuberta; "Am Brunnen vor dem Thore", bardzo ją lubię, ale nie znam niestety tekstu niemieckiego.

W marcu robiliśmy z Rosenowem ewidencję eksponatów; pracując w byłej "Komorze Tortur" pytam się Rosenowa:

- Panie Rosenow, skąd powstała legenda o chłopie Hansie Lange - rzekomo zbawcy księcia Bogusława X i o "okrutnej" księżniczce Zofii, matce Bogusława? Martin Wehrmann - poważny i obiektywny historyk niemiecki twierdzi, że nie było we wsi Łącko żadnego chłopca nazwiskiem Hans Lange; według Wehrmanna księżna Zofia - patriotka polska chcąc wychować swego syna w duchu polskim wysłała go do Krakowa, był on razem z dziećmi Kazimierza Jagiellończyka wychowankiem Jana Długosza. Niemcy pomorscy musieli coś słyszeć o Długoszu, przełożyli to nazwisko na niemiecki i w ten sposób powstała legenda o Hansie Lange - opiekunie księcia Bogusława, przyszłego bohatera pomorskiego i szczerego przyjaciela Polski.

- O okrutnej Polce Zofii - mówi Rosenow - jej synach, Hansie Lange pisał historyk niemiecki z XVII wieku - Kantzow.

Wersja jego o tych osobach opiera się li - jak on sam powiedział - na „Mündliche Überlieferungen" /na podaniach ustnych/. Ja osobiście wierzę Wehrmannowi. Ludność niemiecka nienawidziła Zofii za jej polonofilstwo i to chyba było powodem legendy o jej okrucieństwie. Uważam Bogusława X za nieprzeciętnego męża stanu; prócz tego księcia cenię umysł Barnima I, Eryka I i mecenasa sztuki Filipa Szczecińskiego.

- Na Pomorzu było wielu mądrych i sympatycznych książąt: Bogusław V, Bogusław VIII, Bogusław IX, Bogusław X, Eryk I, Eryk II. Barnima I nazwaliście "der Gütige", a my "Pobożnym". Nasz znakomity historyk Bogusławski twierdzi, że Barnim I był germanizatorem, fundował klasztory niemieckie i otaczał się tylko Niemcami...

Rozmowę naszą przerwała Anna Moczall:

- Panie kierowniku, trzech polskich chłopców wyrzucili przez okno w krzaki trzy zabytkowe szable i uciekli z muzeum.

Biegnę na łeb na szyję na dziedziniec i znajduję wyrzucone szable. Nie udało się młodocianym opryszkom wyprawa do muzeum po szable.

- Wie pan co? - mówi znów po pewnym czasie jakby rozmarzony Rosenow - ja największą sympatią darzę tego bohaterskiego awanturnika i urwisa Eryka I. Co za romantyczna postać? Nawet w podeszłym wieku, po wygnaniu ze Skandynawii urządzał na tym zamku rozmaite sztuczki; kpł on sobie z napuszonych mieszczan niemieck-

kich, podobno od czasu do czasu bombardował miasto dla rozrywki z armatki ustawionej na baszcie zamkowej...

- A co się stało ze skarbami przywiezionymi przezeń z Visby: posąg Chrystusa, trzymetrowej długości ze szczerego złota, złota gęś czy gołąb z Kronborga, zegar "perpetuum mobile" i inna cuda?

- Nic nie wiadomo, skarbiec na baszcie zamkowej jest pusty od stuleci - powiada smutnie Rosenow.

- A dlaczego nazywacie "Komorę tortur" /katownię/ również "Komorą Strachu"?

- Podobno w komorze strachu jeden z książąt zarząbał własną córkę. A propos: czy wierzy pan w duchy? Widzi pan, ja jestem wierzący, wierzę w duchy. Czasem w "Komorze Strachu" dzieją się dziwne rzeczy: pracuję sobie w biurze i nagle słyszę, że tam coś się przewraca, słyszę wyraźnie brzęk stłuczonego szkła; zrywam się, spieszę do "Komory" a tam wszystko w porządeczku ! W zimowe wieczory nie raz tam słyszałem, jak ktoś hałasował, krzyczał, jęczał. Frau Moczall też słyszała te hałasy.

Anna Moczall potwierdziła wynurzenia Rosenowa.

- Herr Rosenow, ja w duchy i inne strachy nie wierzę. Strachy na lachy! Ja te tajemnicze wybryki duchów przypisuję akustyce; mamy tyle wąskich schodów średniowiecznych, podwójnych murów, a prócz tego bezpośrednie sąsiedztwo z dwiema zagrodami chłopskimi tej właśnie "Komory Tortur"...

Dnia 30 kwietnia odbyło się ogólne zebranie członków PPR "pod rygorem partyjnym". Stary M. upominał peperowców:

- Wszyscy powinni uczestniczyć w pochodzie pierwszomajowym, ja wiem, że się boicie czerwonego sztandaru i staracie się wymigać, ale nic z tego, musicie się jutro wszyscy stawić "pod rygorem partyjnym", bo inaczej...

- Towarzyszu sekretarzu, zaszło chyba jakieś nieporozumienie, przekonany jestem, że polska klasa robotnicza nie może unikać czerwonego sztandaru, jak towarzysz twierdzi: pod tym sztandarem dumnie maszerowali towarzysze z PPS, SDKPiL, komuniści; najlepsi z Polaków walczyli pod tym sztandarem z caratem, z rodzimą burżuazją; sztandar ten jest emblematem rewolucyjnej awangardy klasy robotniczej.

- Niech mi towarzysz nie przerywa, wiem co mówię i nie potrzebuję pouczeń, sam w roku 1920 wyruszyłem pod tym sztandarem na pole

walki z najeźdźcą, to właśnie chciałem powiedzieć zebranym towarzyszom: jestem starym pepesowcem i to nie prawicowcem lecz lewicowcem z frakcji rewolucyjnej.

Dnia 1 Maja zebraliśmy się na Rynku i wyruszyliśmy do Darłówka. Na czele pochodu maszerowała młodzież szkolna, za nią PPR, PPS, Ludowcy, zakłady pracy, urzędy. Pochód liczył około 200 osób. Peperowcy "pod rygorem partyjnym" kroczyli z czerwonym sztandarem, każdy członek miał na rękawie czerwoną opaskę; drogi memu sercu czerwony sztandar pepesowców z napisem "Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" budził wspomnienie z mych lat młodości; zielony sztandar ludowców zdobił wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Na ulicy Morskiej (obecnie Obrońców Stalingradu)²² peperowcy zaintonowali "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...", pepeesowcy - "Rozszumiały się wierzby płaczące...", a ludowcy "Z dymem pożarów".

Za miastem w szeregach pepesowców nagle zagrzmiała stara rewolucyjna pieśń: "Na barykady ludu roboczy", śpiewali ją dwaj starzy pepeesowcy, trzech pepeerowców podchwyciło ten śpiew, pomimo dżdżystej pogody zrobiło się jakoś raźniej..., "młoty w dłoń, kujmy broń" - rozbrzmiewała wspaniała pieśń bojowa. Po odśpiewaniu tej pieśni robimy pauzę, wtem usłyszeliśmy w szeregach ludowców drugą pieśń rewolucyjną, śpiewał ją samotnie stary, wąsaty chłop kroczący pod zielonym sztandarem z Matką Boską ... Dalej więc, dalej więc... śpiewał wąsał. Podchwytyjemy tę melodię, śpiewając przypominamy sobie przedwojenne pochody pierwszomajowe, entuzjazm robotników warszawskich, ich bohaterskie walki, cierpienia... Jest nas tu za mało znających piękne pieśni rewolucyjne. Zmęczeni przestajemy śpiewać, maszerujemy milcząc pod deszczem, dopiero w Darłówku cały pochód zaczął śpiewać smutną piosenkę polskich żołnierzy na wschodzie: "Szumi dokoła las".

W Darłówku tuż nad wzburzonym morzem ustawiono ołtarz polowy. Nabożeństwo odprawił wesoły, dowcipny, powszechnie lubiany - ks. T. Staliśmy z odkrytymi głowami i z czerwonymi sztandarami przy ołtarzu, zrobiło się zimno, zaczął padać śnieg, a Bałtyk szalał, bryzgi rozbijających się o molo bałwanów dosięgały ołtarza i stojących przy nim rozmodlonych manifestantów. Zdawało się, iż "mare monstrum"

²² obecnie: Morska

zgorzone było widokiem ołtarza otoczonego czerwonymi sztandarami. Żałowałem, że nie włożyłem ciepłego szalika; zrobiłbym zeń wschodni zawój i stałbym w tej czałmie pod czerwonym sztandarem podobny do stracha na wróble.

W czasie uroczystości pierwszomajowych mocno się przeziębilem i leżałem dwa tygodnie w łóżku.

Znawcy sztuki w Darłowie twierdzili, że pan dyrektor Urzędu Likwidacyjnego posiada stare intarsjowane meble z muzeum w Dusseldorfie. Dowiedział się o tym mój zwierzchnik pan Z. - kierownik Oddziału Kultury w Sławnie. Poszliśmy z panem Z. do pana dyrektora U.L. Ten pan wyszedł na nasze spotkanie, ujął pana Z. pod rękę i zaprosił do mieszkania, do mnie zaś powiedział: "pan Z. za chwilę wróci, proszę na niego poczekać w sklepie p. Niedźwiedzińskiego. Po pół godzinie pan Z. wraca i oświadcza, że meble do muzeum się nie nadają. (Pan Z. na sztuce się nie znał.). Po pewnym czasie muzeum w Darłowie odwiedził pan Ł. z Warszawy. Podobały mu się bardzo barokowe meble na sali Recepcyjnej, szczególnie zaś łoże hrabiowskie z XVIII wieku z napisem: "Talvolta morfeo amore vinca" (często sen zwycięża miłość). Po obejrzeniu sali pan Ł. kategorycznie oświadczył, że meble z tej sali zabierze do Warszawy! Prosiłem go by nie zabierał tych mebli, wszak są one związane z naszym terenem. Kierownictwo muzeum gromadzi te eksponaty, wydiera je z łap szabrowników i spekulantów, a wy te z takim trudem zdobyte obiekty chcecie zabrać do Warszawy. Pan Ł. był jednak nieugięty. Świadek tej rozmowy - nauczyciel Szkoły Ogólnokształcącej w Sławnie powiedział panu Ł.: "Niech się pan zainteresuje przede wszystkim prywatnym muzeum pana dyrektora Urzędu Likwidacyjnego miast grozić zabranieniem z takim trudem zdobytych eksponatów z naszego muzeum, byłoby to przecież zwykłym szabrownictwem, czy Stołeczna Rada Narodowa nie wstydzi się postępować w ten sposób?".

Nie wiem czy pan Ł. odwiedził siedzibę dyrektora. Latem 1947 roku w "Życiu Warszawy" i kilku innych dziennikach (nawet w jednym z dzienników wychodzących w Paryżu) ukazał się artykuł zatytułowany "Postrach Muzeum Darłowskiego"; w artykule tym zarzucano panu Ł. arbitralną decyzję co do zbiorów Muzeum w Darłowie i wyrażono współczucie kustoszowi Muzeum, który miał rzekomo powiedzieć: "w skrajnym wypadku zwrócę się w tej przykłej sprawie

do Pana Prezydenta!". Po pojawieniu się wyżej wspomnianego artykułu dostałem naganę od Ministerstwa Kultury i Sztuki, żądano ode mnie sprostowania artykułu i zabroniono mi kategorycznie udzielania wywiadów dziennikarzom.

Jeden z nauczycieli Gimnazjum posiadał piękne zabytkowe meble, lecz podobno przekazał je sekretarzowi KW PPS w Szczecinie. Murarz Z., naprawiając dach w muzeum powiedział mi, że sam ładował te meble o godzinie 5 rano.

W drugiej połowie czerwca odbyły się w Gimnazjum Darłowskim egzaminy maturalne. Przybył ubrany w battle dres wizytator ze Szczecina. Między innymi podręcznikami pan wizytator miał gruby polsko-angielski i angielsko-polski słownik. Pan wizytator - pedagog przedwojenny wrócił niedawno z zachodu. Przywitałem się z panem wizytatorem i zacząłem mówić po angielsku, lecz pan wizytator oburzył się: "niech pan nie mówi do mnie tym świńskim językiem, nie cierpię Anglików i Amerykanów" .

- Nie rozumiem panie wizytatorze. Dlaczego pan język Szekspira, Byrona, Beechera, Stów, Lonfellow'a itd. nazywa świńskim językiem? Nie można nienawidzić jakiegoś kraju czy narodu, nie jesteśmy rasistami! Zrozumiałbym niechęć pana dajmy na to do Chamberlaina, Lloyd Georga, Churchilla, ale do całego narodu?

- Bo pan nie był na zachodzie i nie wie pan co to są za dranie!

Na egzaminie pan wizytator głupio przedrzeźniał uczniów czytających po angielsku:

- Czytaj po polsku, nie wysilaj się na głupią wymowę angielską! - krzyczał pan wizytator.

- Panie wizytatorze - powiedziałem dość ostro - niech się pan nie wtrąca, bo zdaje mi się, iż pomimo swego battle dres nie zna pan angielskiego !

- Znam, znam, niech pan nie będzie takim zarozumiałym - prawie skromnie odpowiedział wściekły "anglofob".

Podczas egzaminu zdarzył się komiczny casus: nauczyciel historii ksiądz T. pyta ucznia N. o rewolucji francuskiej, N. odpowiedział świetnie, potem zapytuje go kiedy wybuchła Rewolucja Październikowa.

- W marcu - odpowiada N.

- Chcesz powiedzieć, że w marcu obalono carat?

- Właśnie; a cara zastąpił wpierw Kiereński, a potem Lenin.

- No więc kiedy Lenin objął władzę: w październiku? A czy Lenin żyje?

- Tak!

- Może chcesz powiedzieć "żyje w naszych sercach"?

- Żyje w sercach Arabów, Murzynów i Chińczyków.

- A w twoim sercu nie żyje?

- W moim już dawno umarł!

- No jak to, mój drogi, przecież jesteś członkiem partii?!

- A księdzu to się nie podoba? Powiedziałem, że Lenin nie żyje w sercu moim, bo myśmy już zrobili rewolucję, a inni zacofane narody mają go w sercu, bo dążą do rewolucji. Widzę, że ksiądz chce mnie potępić.

- Nikogo nie potępiam, moim obowiązkiem jest pomagać, a nie potępiać. Tu jestem tylko nauczycielem historii i powiem ci, iż siódma klasa Szkoły Powszechnej wie i to dokładnie kiedy Lenin zmarł.

N. nie złożył egzaminu, ale mimo braku świadectwa maturalnego udało mu się dostać do Szkoły Nauk Politycznych. Brak świadectwa N. tłumaczył złośliwością księdza, który go ściał, bo nie podobała mu się przynależność N. do PPR.

Anna Moczall z pomyłonym mężem odjechała na zachód w lipcu 1947 roku, byłem wtedy w Warszawie. Moja żona opowiadała, że Adolf przed wyjazdem wskazywał na poszczególne pozostawione przedmioty i powtarzał; "Schrank ist aber mein, Tisch ist mein, Bett ist mein, Stulle sind mein"²³. A gdy zmęczona i zdenerwowana Anna włożyła mu na plecy wyładowaną torbę Adolf przestraszył się i nie chciał opuszczać mieszkania: "wohin?, warum? das ist mein Wohnung"²⁴. Nareszcie zrezygnowany podążył za obładowaną żoną. Muszę stwierdzić, że Anna Moczall była uczynną, pracowitą i uczciwą kobietą.

Karl Rosenow odjechał na zachód do syna w sierpniu tegoż roku i to zupełnie nieoczekiwanie, niespodzianie; dopiero nazajutrz dowiedziałem się o jego wyjeździe.

Po wyjeździe Niemców zostałem w muzeum sam z żoną, która przedtem dwa lata pracowała bezpłatnie. Mieliśmy do sprzątnięcia 14

²³ Szafa jest moja, stół jest mój, łóżko jest moje, kanapa jest moja

²⁴ Dokąd?, dlaczego?, to jest moje mieszkanie

sal, 4 klatki schodowe i podwórze zamkowe. W poniedziałki robiliśmy generalne sprzątanie.

Pewnego poniedziałku przed wejście do muzeum zajechał samochód; spokojny pan w średnim wieku podchodzi do mojej żony sprzątającej podwórze i grzecznie prosi o udostępnienie mu zwiedzania muzeum:

- Proszę pani, przyjechałem z Warszawy i chciałbym odwiedzić tujsze muzeum! Żona na to:

- Proszę pana, muzeum w poniedziałki nieczynne, proszę przeczytać tabliczkę nad drzwiami.

- Ale może jednak wyjątkowo...

- Nie robimy wyjątków, mamy za dużo pracy. Nie zrobilibyśmy wyjątku nawet dla ministra.

- Chciałbym jednak porozmawiać z kustoszem!

- Proszę bardzo, kustosz myje schody! Ej, Olku, wyjdź no na ganek!

- krzyczy do mnie żona, zgarniając krowie łajno na podwórzu.

Wychodzę brudny w roboczym ubraniu na ganek i dosyć ostro strofuję pana z Warszawy:

- Proszę pana, muzeum dziś nieczynne, musimy sprzątać cały dzień, zrozumie pan chyba, że muzeum nie jest stajnią, należy go utrzymać w należytej czystości, a teraz właśnie mamy okres masowego zwiedzania naszego muzeum.

- Przyjechaliśmy z Warszawy - mówi spokojnie i łagodnie Warszawianin.

- No i co z tego? Posiada pan auto, może pan jeździć sobie po całej Polsce, a my na stare lata nie mamy ani jednego wolnego dnia. Niech pan zabiera się stąd i nie przeszkadza nam w pracy.

- Ale ja jestem ministrem! - skromnie oświadcza pan z Warszawy.

- Ach, przepraszam bardzo, pozwoli pan, że się przebiorę, za chwilę jestem do dyspozycji pana Ministra !

Gościem z Warszawy był Leon Kruczkowski z małżonką. Pan Minister pobieżnie obejrzał muzeum i zwraca się do mnie:

- Dlaczego pan myje schody i sam sprząta, jest pan za stary do takiej pracy!?

- Istotnie jest tu dla mnie trochę ciężko - Panie Ministrze - przyzwyczajony jestem do pracy fizycznej, bardzo ją lubię, lecz jak powiedział Pan Minister jestem za stary. Otrzymujemy 10.000 zł miesięcznie od ministerstwa, z kwoty tej pobieramy pensję, robimy bieżący

remont, a czasem wyjeżdżamy w teren celem poszukiwania zabytków, więc innego wyjścia nie ma, musimy nadal harować.

- Nie powinien pan tak ciężko pracować, niech pan zaangażuje woźnego, zwiększymy subwencję ministerstwa o 10.000 zł.

W lipcu 1947 roku przybyło do Darłowa na wypoczynek około 100 nauczycieli, w szkole odbyła się konferencja; przemawiał pan W. z Ministerstwa Oświaty, przybyłem na konferencję z opóźnieniem; pan W. mówił o "Monachium", potępił politykę sanacji w stosunku do Hitlera i odezwał się lekceważąco o Czechach:

- No, a Pepiczków my dobrze znamy, owszem są mądrzy, ale wojenka to nie ich rzemiosło!

Sala nagrodziła tę wypowiedź peperowca hucznymi oklaskami. Podczas przerwy powiedziałem na korytarzu panu W., że nie zgadzam się z jego "oceną" Czechów. Opinia, że Czesi są mało wartościowymi żołnierzami pokutuje od pierwszej wojny światowej; nasi legionści zarzucali Czechom tchórzostwo, bo ci ostatni nie mieli chęci - i zupełnie słusznie - bronić austriackiej monarchii. Polacy nie bez racji uważali Rosję za najgorszego wroga, Czesi zaś Austrię i Niemcy. Byłem naocznym świadkiem jak cały pułk Czechów w roku 1915 przeszedł z bronią na stronę Rosji. Gdy od nich zażądano by złożyli broń oświadczyli, że tą bronią chcą walczyć z Austrią i poprosili o natychmiastowe skierowanie ich na pierwszą linię. A przecież wiemy, iż Czech dezerterski narażał się więcej niż Rosjanin; jeżeli zdarzyło się, że taki Czech dostał się do niewoli, Austriacy wieszali go na miejscu. Wiemy również, że dezerterscy czescy walczyli odważnie w armii włoskiej i francuskiej.

Zażenowany pan W. zgodził się ze mną, zaś znajdujący się przy tym jego kolega z Ministerstwa Oświaty pan K. spojrzawszy na mnie złośliwie i ironicznie i krzyknął na cały korytarz:

"tak, tak Pepiczki są tchórzami!".

Po zakończeniu konferencji wróciłem do muzeum i zastałem w dziale etnograficznym młodzieńca, mówiącego płynnie po francusku; ukończył on szkołę podstawową w Lens i wrócił do Polski przed rokiem. Nadeszła właśnie wycieczka nauczycieli, młody "Francuz" mówi: "Jeśli pan pozwoli, przyłączę się do tej wycieczki i wysłucham pańskich objaśnień". Objaśniałem zwiedzającym w duchu demokratycznym, mówiąc o historii Pomorza potępiłem niektórych książąt, nie oszczędziłem Watykanu, na zakończenie podkreśliłem

wybitną rolę Związku Radzieckiego w wyzwoleniu Pomorza. Część nauczycieli nie była zadowolona z moich objaśnień; wściekły pan K. z Ministerstwa Oświaty patrzył na mnie jak na wariata. Wycieczka opuściła muzeum, a mój "Francuz" wszedł ze mną do biura i oświadczył:

- Dobrze im towarzysz wygarnął! Oby Polska miała jak najwięcej takich komunistów jak towarzysz, naprawdę czułem się jak na mityngu komunistycznym na "Vel d' hiv" w Paryżu. Niesłusznie posądzają was niektórzy z tutejszych peperowców o chwiejność i burżuazyjne pochodzenie. (Ten towarzysz siedział we Francji 3 lata za działalność komunistyczną).

W sierpniu 1947 roku odbyło się zebranie TPPR, wygłosiłem krótkie przemówienie o wspólnej walce demokracji polskiej i rosyjskiej przeciw tyranii carskiej, o rewolucji w roku 1905, o Wielkiej Rewolucji Październikowej, o drugiej wojnie światowej etc. Jeden oficer WOP opowiedział o walce pod Lenino. Jeden z nauczycieli stosunki polsko-radzieckie określił w ten sposób:

- Proszę państwa, państwo radzieckie jest naszym potężnym sąsiadem, a więc musimy żyć z nim w zgodzie i przyjaźni. Anglia i Ameryka są daleko. Gdybyśmy graniczyli z tymi państwami, byłibyśmy ich szczerymi i oddanymi przyjaciółmi.

Jednego sierpniowego poranka sprzątałśmy z żoną muzeum. Pogoda była - jak na pomorskie warunki - cudowna; wczasowicze masowo maszerowali do Darłówka nad morze, a morze było spokojne, woda ciepła, wszyscy używali kąpieli. Przed wejściem do muzeum przystanął samochód: elegancy pan i pani chcą zwiedzić muzeum.

- Przyjechaliśmy z Krakowa - zwraca się do mnie pan - chcielibyśmy obejrzeć tutejsze muzeum.

- W poniedziałki muzeum nieczynne. Cały dzień sprzątamy - brzmi moja odpowiedź.

- Prosimy zameldować nas panu dyrektorowi, jesteśmy pewni, że on umożliwi nam zwiedzenie muzeum; nie zabierzemy wam dużo czasu, a pan też dostanie coś ekstra.

- Dyrektorów w małych muzeach nie ma, są tylko kierownicy, właśnie ja jestem kierownikiem tego muzeum.

Wytworna pani obejrzała mnie od stóp do głów, ubrany byłem "na roboczo" jak kiedyś we Francji; sprawiłem widocznie na niej niekorzystne wrażenie, bo roześmiała się ironicznie i powiedziała do męża

po francusku: "Oui, en effet, il en a l'air de chef de cuisine" (a jakże, akurat wygląda na kierownika ten cham).

Masz ci los! - myślę sobie - Człowieka, którego "Dziennik Bałtycki" nazwał "przystojnym staruszką, typem sienkiewiczowskim" nazwano chamem. Dotknęła mnie wypowiedź eleganckiej i przystojnej pani, a więc zrewanżowałem się w sposób godny "goujat":

- Pozory mylą, proszę pani! Na przykład pani ma wygląd kucharki, chociaż z pewnością nią pani nie jest!

- Co za bezczelność - krzyczy zagniewany jegomość - złożymy na niego skargę w Ministerstwie Kultury i Sztuki, niech się dowie z kim ma do czynienia.

- Radziłbym państwu wnieść zażalenie również do kancelarii pana Prezydenta. A teraz wynoście się państwo - szczęśliwej podróży.

W końcu sierpnia 1947 roku w willi pana Dulewicza spotkałem po raz pierwszy dra Ł. Pan burmistrz i dyrektor gimnazjum ubierał się - jak na stosunki darłowskie - wykwintnie: w sztywniaku, eleganckim garniturze, a w zimie w drogim futrze, pan dr Ł. w przeciwieństwie do burmistrza ubrany był ubogo, ale wygląd miał inteligentny i sympatyczny. Pan burmistrz przedstawiając mnie panu dr Ł. powiedział: "pan doktor Ł., absolwent wszechniczy w Oxford".

- Ach, jakże się cieszę, panie doktorze, że mamy w osobie pana anglicystę w Darłowie, będę z panem rozmawiać po angielsku, mogę dużo skorzystać z tej rozmowy, bo widzi pan, od lat nie słyszałem angielszczyzny i dużo zapomniałem.

I zacząłem doń mówić w tym języku: pan Ł. odpowiadał ciągle "yes". Well, I think you have never been at Oxford? - zapytałem - "Yes" - odpowiada pan doktor. Przekonałem się, że pan Ł. studiował ten język w kraju.

Widzi pan - mówi pan Ł. - jestem raczej skandynawologiem, lepiej władam szwedzkim niż angielskim.

Lecz okazało się, że pan Ł. jest takim samym "Szwedem" jak ja "Kijajcem". Nie wiem po co się chwalił znajomością języków. Jest on bezsprzecznie człowiekiem wybitnie inteligentnym, jest świetnym polonistą, literatem, pierwszorzędnym mówcą.

Pewnego razu spotkałem na ulicy Kolejowej p. P., przybył on z Anglii z bardzo sympatyczną żoną - Angielką. Pan P. żałował, że wrócił do kraju, pomstował na nasze porządki, narzekał na sowietyzację Polski. Po kilku dniach spotkałem pana P. w komitecie PPR robotni-

cy portowi wprowadzali go do partii, pan P. zaczął pracować jako makler. Miałem z tym panem kłopot nie lada, przyprowadzał on do muzeum marynarzy szwedzkich, duńskich, norweskich i na dziedzińcu zamkowym dumnie i butnie objaśniał obcokrajowców: "das ist deutsches Schloss", "that is a german. castle".

- Panie P. - prosiłem go - niech pan tu do nich nic nie mówi, tu rządzą ja i ja ich objaśnię lepiej niż pan.

Po kilku miesiącach pracy w porcie pan P. uciekł do Anglii.

Mniej więcej w tym czasie jeden marynarz Szwed, wręczając mi "Syenska Dagbladet" wskazał na artykuł o "Stolpmuende" - Ustce - podpisany "kapitan K.L.". W artykule tym pan kapitan K.L. opowiada o swych spotkaniach w Ustce z pepeerowcami, pepeesowcami, peeselowcami; wszyscy ci panowie z różnych stronnictw chwalili rzekomo niemieckie porządki i jakoby istnienie obozów zniszczenia w czasie wojny za propagandę sowiecką. Po przeczytaniu artykułu powiedziałem marynarzowi szwedzkiemu, że nie wierzę w istnienie kapitana K.L., że artykuł jest wymysłem jakiegoś gestapowca albo faszysty szwedzkiego.

Ponuro wyglądają małe domki na bocznych ulicach, po ewakuacji Niemców; wewnątrz tych opuszczonych budowli gromadzą się wszelkiego rodzaju nieczystości. Te przybytki śmieci, odpadków kuchennych i ludzkich ekskrementów są plagą naszego miasta. Znikły prawie wszystkie ławki w parkach miejskich, miejscowi łobuzy zanieczyścili je i zrzucili w dół, albo tak jak w parku między miastem a morzem - wrzucono je wprost do stawu. Rada miejska zastępuje je nowymi, ale jakże na krótko! Koszyki na śmiecie, parkany, kwietniki, zieleńce, huśtawki dla dzieci itp. wszystko niszczy barbarzyńska ręka młodocianych chuliganów. Idąc szosą sławieńską zauważyłem przed opuszczonym przez Niemców blokiem zbiorowisko ludzi, przeważnie dzieci w wieku od 6 do 15 lat; stały one w szeregu, wybijali szyby gmachu, rodzice podziwiali wyczyny swych pociec. Jedna kobiecina z Radziejowa była dumna ze swego 6-letniego Franusia:

- Patrza no, mój Franuś będzie dobrym strzelcem, o jak zręcznie majstruje ! - Zwracając się do synka zachęca go - Franczku, a do tej szyby środkowego okna na pierwszym piętrze nie trafisz?

Krzyczę do nich:

- Ludzie co wy robicie? Wstydzicie się! Jesteśmy przecież krajem zrujnowanym, biednym, a wy świadomie niszczyacie dobro państwo-
we, w tym bloku ulokować można kilka rodzin polskich.

- A bo to nasze, - krzyczą baby - to je niemieckie; oni u nas wszystko zrujnowali, a nam u nich nie wolno?

- Głupie jesteście! Ziemię zachodnie - odwiecznie polskie - pozosta-
ną polskie, nigdy tu Niemiec nie wróci!

Jedna z bab odchodząc krzyknęła: "nasze są Wilno i Lwów, a nie za-
chód!".

Po chwili niszczycielska banda opuściła improwizowaną strzelnicę. Zawróciłem ku miastu; przy wejściu do jednego domku zauważyłem bladego o cienkich, jakby chorych nóżkach - smutnego chłopczyka, siedział sobie spokojnie nucąc jakąś piosenkę. Podobał mi się ten nie bawiący się w tłuczenie szyb chłopczyk, podchodząc do niego mówię łagodnie; "jesteś miłym dzieckiem, jesteś taki blade, może cię nóżki bołą synku?" A 5-6-letni miły synek nagle zmienił wyraz twarzy, podniósł się i łapiąc spory kamień warknął: "Odejdź dziadu k. t. m. bo ci łeb tym kamieniem rozwalę!". "O rany boskie, co za zdziczenie!" - myślę sobie. Na szczęście ci urwisy stanowią tylko niez-
naczną mniejszość wśród naszych miłych, grzecznych i dobrych dzieci darłowskich.

Na początku września 1947 roku pan dyrektor szkoły wyjechał na wypoczynek do Połczyna Zdroju, podczas jego nieobecności przyje-
chała delegacja z kuratorium, skonstatowała ona, że w naszej szkole panuje ogólny chaos, bałagan; nie wiem dokładnie co się tym panom nie podobało. Delegacja postanowiła wyznaczyć na stanowisko dy-
rektora inną osobę. Po paru dniach urzędnicy z kuratorium odwiedzi-
li kilku nauczycieli, w tej liczbie i mnie; pytali o moje zdanie co do osoby pana Łakomego, o jego zdolnościach pedagogicznych, wy-
kształceniu. Odpowiedziałem wręcz, że jestem pedagogiem tymcza-
sowym, uważam swoją pracę w szkole za poboczną, nie mam kwalifi-
kacji nauczycielskich. Co prawda po demobilizacji z armii rosyj-
skiej byłem nauczycielem gimnazjalnym w Amewirze na Kaukazie,
pracowałem tam dwa lata. Pana Ł. nie znam dobrze, podobno jest on
absolwentem czterech uniwersytetów, wiem tylko, że jest on ultra
postępowym.

W październiku 1947 roku Ł. został dyrektorem naszej szkoły. W drugim półroczu szkołę tę przekształcono na szkołę "Spółdzielczości Morskiej".

Prócz angielskiego wprowadzono wykłady z języka szwedzkiego i rosyjskiego. Miałem wrażenie, że nowy dyrektor 11-letniej Ogólnokształcącej Szkoły im. Żeromskiego przekształcił na szkołę "Języków obcych. Śpiewu i Tańca". Rzeczywiście już po kilku miesiącach istnienia tej pierwszej w Polsce Szkoły "Spółdzielczości Morskiej" pan dyrektor rozkazał mi, bym wykładał dodatkowo język duński.

- Panie dyrektorze - mówię doń - nie znam wcale duńskiego języka i oczywiście nie mogę podjąć się uczenia tego języka; duńszczyzna jest dla mnie chińszczyzną!

- Zna pan duński, a jeżeli pan nie zgadza się go wykładać, to w takim razie sam go będę wykładał.

- Ależ, panie dyrektorze, pan nie ma pojęcia o duńskim, jakże będzie go pan wykładał?

- Niech się pan nie martwi, dam sobie radę! - odparł pan dyrektor.

Na szczęście dla młodzieży języka tego nigdy nie wprowadzono w naszej szkole. Nie przeszkodziło to panu dyrektorowi ogłosić w kopenhaskiej "Berlingske Tidende", że młodzież Szkół Spółdzielczości Morskiej w Darłowie studiująca język duński pragnie nawiązać kontakt z młodzieżą duńską. W rezultacie tego ogłoszenia posypały się listy z Danii, wyrażające chęć korespondowania z naszą młodzieżą, w większości listów Duńczycy zapraszali studentów z Darłowa na ferie letnie do Danii.

Prócz języków obcych pan dyrektor miłował śpiew i taniec. Młodzież naszej szkoły śpiewała poprawnie Międzynarodówkę, co było wówczas rzadkością nie tylko w Darłowie, lecz na całym Pomorzu; refren tej wspaniałej pieśni śpiewano w czterech językach. Pan dyrektor - poeta i meloman - sam pisał i komponował nowe piosenki. A tańce... Nasi tancerze występowali z powodzeniem nie tylko w Darłowie, Sławnie, lecz i w samym Szczecinie! Bardzo ładnie tańczono mazura, poloneza, rybackiego, taniec marynarski (w tym ostatnim tańcu pan dyrektor uwiecznił chwałę portu Darłowa słowami; "Po cieśninie Marmara płynie okręt z Darłowa!.... Ech, marynarze my z portu Darłowa..."

A ja też nie w ciemną bity, nauczyłem młodzież śpiewać "Tipperary", "Home, sweet Hoffie", "Sjeman alakar havets vag", "Du gamla, du tria", "Wariag", "Ermak", "Drużne towarzyszczi w nogu".

Roztańczyliśmy się i rozśpiewaliśmy na całego! A co o tym bałaganie sądziła młodzież, szczególnie ta ze starszych klas? Z pewnością nie zachwycała się takim stanem rzeczy w szkole, bo cóż oni za багаż naukowy wyniosą z tej szkoły języków obcych, śpiewu i tańca?

Jedna z uczennic 15-letnia "pyskata" T. w czasie pauzy mówi do mnie:

- Panie profesorze, no i co dalej, czy wciąż będziemy śpiewać i tańczyć? Przyjechałam z rodzicami z Kazachstanu. Muszę przyznać, że tam szkolnictwo stało na wyższym poziomie. A gdyby tam nie było tych kołchozów, bo w tych kołchozach panuje straszny bałagan; pola uprzątano byle jak, w zwożonych snopach pozostawała tylko połowa ziarna.

- Jak to? - pytam T.

- Bo widzi pan profesor, lata tam są upalne, suche snopy tygodniami stoją w polu, a gdy je załadowywano połowa ziarna pozostawała na ziemi; w roku 1944 mamusia nazbierała na polu dwa wory pszenicy.

- Kochane dziecko, wszyscy mężczyźni poszli na front, brak było ludzi i sprzętu, nie zapominaj, że tylko zawdzięczając bohaterstwu Armii Radzieckiej mamy Polskę Ludową, a wy dzieci pobieracie naukę w języku ojczystym i to bezpłatnie.

- Taka tam nauka! - nie ustępuje "pyskata". - A Rosji niech pan profesor tak nie chwali. My mamy żal do Rosjan za oderwanie Kresów; ja nie mam żalu do narodu rosyjskiego, jest on dobry, serdeczny, ostatnim się podzieli i szkoły są dobre, nie takie jak ta nasza, ani morska ani lądowa, a pan dyrektor zaprowadza tu obce porządki, na przykład chce bym nauczyła się tańczyć "Lezginkę" do święta rewolucji, dziękuję! Tatarką nie jestem i Lezginiki tańczyć nie będę. Jeżeli, jak pan dyrektor twierdzi mamy wolną niepodległą Polskę, to nie potrzebujemy jej tańczyć.

Rozmowę naszą przerwał wzywający na lekcję dzwonek. Z dniem 1 października 1947 roku w muzeum zaczął pracować w charakterze woźnego Ob. J.D., miał on przedtem dobre polskie gospodarstwo we Wrześnicy, miał kupę pieniędzy, zdobył sporo cennych rzeczy, lecz Józio pił za dużo, w tej Wrześnicy - jak twierdzą jego znajomi - potrafił przepić za jedną noc od 5 do 20 tysięcy złotych. D.

przed pierwszą wojną światową odwiedzał swego wujka - służącego w Krasicy w Potockich, młody Józio zachwycił się tam dziełami sztuki, którą swym prostym sercem szczerze kochał. Jako kilkunastoletni chłopak spędził pewien czas w jakimś klasztorze i opowiadał śmieszne historie z czasów pobytu u zakonników. Najciekawszą postacią był pewien mnich, który lubił "pociągać", lecz był świetnym kaznodzieją, podczas swych kazań rzucał chłopków na kolana, skruszeni chłopkowie płakali, ryczeli, wyli. Po nabożeństwie kaznodzieja "pociągał" i chwalił się: "nauczę tych chamów moresu". Józio znał wodzirejów chłopskich, opowiadał im o pijaństwie i pogardzie dla chłopów kaznodzieja. Otóż podczas następnego kazania na próżno mnich powtarzał swoje zwykłe: "na kolana", chłopci ani drgnęli, stali ponurzy i milczący. Po powrocie z kościoła znieważony kaznodzieja - według relacji Józia - łyknął za dużo. Na wpół rozebrany tańczył i śpiewał w swej celi i w nocy skonał... "Mnich chudziaczek czaszę wina łyknął, szaty go opadły, gołym tyłkiem błysnął".

D. ożenił się w roku 1946 mając lat 47, młodsza od niego o 10 lat żona miała małą matureę, Józio zaś ukończył tylko 5 klas szkoły powszechnej. Mimo tej różnicy w wykształceniu jego żona uważała go za inteligenta, znawcę sztuki; nic więc dziwnego, że według jej zdania, fizyczna praca w muzeum, a zwłaszcza zamiatanie podwórka uwłaczało honorowi jej męża. Stała nad nim jak kat nad duszą i złośliwie mruczała: "Ach, co za hańba, nie przeżyję tego, inteligent zamiała podwórze!" Często też zwracała się do mnie ze słowami: "Panie kierowniku, jak to jest, że mój mąż - człowiek inteligentny macha miotłą jak zwykły robotnik?"

A biedny zawstydzony Józio, odwrócony plecami do przechodniów, z nasuniętą na oczy czapką milcząc zamiatął. Żal mi się zrobiło chłopaka, podchodzę do niego i mówię:

- Panie Józefie - niech pan sprząta wewnątrz, zaś podwórze zamiatać będę ja z żoną, my się nie wstydzimy, nikt nam się nie przygląda, my już mamy wprawę do tej roboty.

Józio namówił swoją małżonkę na kupno kozy. Przeprowadzili więc kozę i zamknęli ją w szopie; nazajutrz otwieramy szopę i... o zgrozo! biedna koza leżała zdychająca, okazało się, że wyżarła cały garnek jakiegoś smarowidła. Józio przyprowadził drugą kozę, nie poszcześnieściło się również i z tą kozą, obżarła się żytem i wyciągnęła nogi! Kupiona następnego lata trzecia koza z rzędu wypijała własne mleko,

żona uszyła woreczek i wciągała na wymię złodziejki. Cwana koza nie dała się nabrać; ściągnęła woreczek, zżarła go i gruntownie się wydoiła! "Samowystarczalną kożę sprzedano na zarżnięcie".

Nie powiodło się nam także z drobiem; żona zaczęła hodować indyki, gęsi, kaczki. Ale cóż? Kradli je nam albo niszczył nienasycony tchórz, gnieźdzący się w niedostępnych podziemiach zamkowych.

Przed Wielkanocą w 1948 roku przyjechała do nas siostrzenica z córeczką, ucieszyliśmy się bardzo; żona poszła do szopki, by zarżnąć indora. Po chwili wraca do domu zapłakana; w nocy z czwartku na piątek przyszli złodzieje, wyrznęli na miejscu cały nasz dobytek pozostawiając nam tylko łebki zmasakrowanego drobiu. Milicjanci byli zdania, że musiał to zrobić ktoś ze swoich. Nie zrażając się stratą, żona nadal chowała drób, chociaż złodzieje i tchórze nie przestawali go niszczyć. W latach następnych przyszedł złodziejom w sukurs jastrząb. Pewnego letniego dnia obserwowałem walkę dwóch kogutów; po dziesięciominutowej walce czarnosrebrzysty "Litwin" uległ czerwonemu "Rusinowi". Zwyciężony "Litwin" schował się w szopie, zaś dumny zwycięzca "Rusin" wleciał na parkan i gromko wszem i wobec obwieścił swe zwycięstwo. Nie wiadomo skąd nadleciał jastrząb i zanim zdążyłem przyjść z pomocą "Rusinowi" w oka mgnieniu zakatrupił go i odleciał. Przypomniała mi się czytanką o dwóch kogutach z rosyjskiego podręcznika dla klasy I Szkoły Powszechniej. Jako siedmioletni chłopak wstąpiłem do szkoły rosyjskiej na Litwie; przeczytaliśmy bajeczkę o dwóch kogutach, nauczyciel przetłumaczył tekst na język polski i litewski, ale byłem nieuważny, wcale się tym nie przejąłem, bo przecież - myślałem sobie - mój dziadzio zna wszystkie języki i wszystko wie. W domu zastałem tylko babcię i pytam jej się, co znaczy po rosyjsku: "i unieś jowo k siebie na użyn?".

- Nie umiem po rosyjsku mój kochany. Zaczekaj, zaraz wróci dziadzio, on wszystko wie.

Niebawem wrócił dziadek, zwracam się doń z pytaniem.

- A co, nie rozumiesz mój chłopaczkę? Nic łatwiejszego! "Użyn" /naciskaj na ostatnią sylabę/ znaczy się "zarżnięcie". Jastrząb uniósł koguta na zarżnięcie. Zrozumiałeś?

- Kiedy dziadzio, nauczyciel naciskał na pierwszą sylabę, to brzmiało mniej więcej "uuużyn".

- Twój nauczyciel jest skończonym durniem ! - zawyrokował dziadek.

Tego wieczora przyjechał do nas staruszek - ksiądz, miły i bardzo inteligentny; grywał często z dziadkiem w karty.

- Czy to prawda, proszę księdza - pytam się go podczas chwilowej nieobecności dziadka - że rosyjski "użyn" znaczy zarżnięcie?

- Skądże, kochany Olesiu - odpowiada staruszek, przyjmując ode mnie naładowaną fajkę - rosyjski "użyn" to nasza staropolska "jużyna". Niemcy zaś mają zapożyczoną od nas "Jause". Widzisz moje dziecko, nasi przodkowie nazywali "południe" -"jug", skąd pochodzi "jużyna", czyli podwieczorek, po rosyjsku zaś kolacja.

Dotychczas pamiętam tłumaczenie poczciwego staruszka –księdza.

Niemcy wyjeżdżając na zachód pozostawili psy i koty, tych ostatnio pełno było w naszej szopie, przykro było patrzeć na te zgłodniałe i zdziczałe stworzenia. Litując się nad nimi moja żona dłuższy czas opiekowała się tymi kotami, wreszcie wszystkie koty w tajemniczy sposób zginęły.

Obok zamku mieszkał poczciwy i pracowity Niemiec, przeprowadzał on często w zamku drobne remonty; był zdunem, murarzem, stolarzem, szklarzem, ogrodnikiem. Wykonywał fachowo, sumiennie i niedrogo powierzoną mu robotę. Na jesieni 1947 roku stary Vieck przyszedł do nas pożegnać się; wyjeżdżał z żoną, synową i wnuczkami na zachód.

- Opuszczam Darłowo, panie Tarnowski! - mówi raźnie staruszek.

- No cóż - jedź pan z Panem Bogiem, panie Vieck. Wiem, że przykro wam opuszczać na zawsze te strony.

- Nie na zawsze, nie na zawsze, panie Tarnowski! Jeden starszy pan - Polak, der einem hohen Posten bekleidet (który zajmuje wysokie stanowisko) zapewnia nas, że najpóźniej za sześć miesięcy wrócimy na Pomorze, wy zaś pojedziecie na swoje za Bug; ten pan mówi świetnie po niemiecku, bo był w czasie pierwszej wojny światowej austriackim oficerem. O, on wie, co się na świecie dzieje. Zresztą wielu innych Polaków mówi to samo, tylko pan nie wierzy w powrót Niemców na Pomorze.

- Pan wie panie Vieck, że nie jestem wrogiem narodu niemieckiego, tylko hitlerowców, mam dużo sympatii do robotników niemieckich jak pan, do chłopów i do postępowej inteligencji niemieckiej. Nie wierz pan tym wszystkim, którzy pocieszają was powrotem na Po-

morze, wprowadzają oni was w błąd; jesteś człowiekiem niegłupim i wkrótce już sam się przekonasz, że nie ma co marzyć o powrocie.

- A jednak za sześć miesięcy wrócimy! - powiedział na odchodnym uparty Vieck.

Odszedł, lecz na dole namyślał się i jeszcze raz wrócił do mnie.

- A może ma pan rację - powiedział do mnie smutno. - Ach Bóg tylko wie co z nami będzie! No - zostańcie z Bogiem, już musimy iść.

Ach byłbym zapomniał! zrób pan klucz do odmykania oberluftów na Sali Przyjęć i na Sali Zielonej; na razie masz pan wszystkie szyby całe, a gdyby później zaszła potrzeba wstawienia szyby albo okitowania okien, to bez klucza pan by ich nie otworzył.

- Dziękuję bardzo - panie Vieck. Weź pan tytoniu na drogę, ja mam sporo tych liści, wiem, że stara nie da panu na papierosy.

- Oj nie da, nie da! Dziękuję ci kochany przyjacielu, więc żegnajcie. Zamyślony i zasmucony pocziwina Vieck odszedł na zawsze.

W październiku 1947 roku wygłosił referat w naszej szkole kapitan Rodin. Po referacie rozmawiałem z nim na temat polityczny.

- Proszę mi powiedzieć towarzyszu kapitanie, dlaczego wy przemianowujecie stare historyczne miasta. Na przykład Twer nazwaliście Kalinin, Niżni Nowgorod - Górk, Samara -Kujbyszew, Wiatka - Kirów, Perm - Mołotow itd. Jeżeli tego szalonego pędu do nowych nazw nie zahamujecie, to za 20 lat dokonacie zmiany nazw wszystkich miast Związku Radzieckiego. Doprawdy nie wiem jak może sobie dać radę wasza poczta z tymi niezliczonymi: Kirów, Kirowo, Kirowsk, Kirowograd. Nie neguję, iż tow. Kirów był nieprzeciętnym, zasłużonym i ofiarnym bolszewikiem, należało więc przemianować jego rodzinne albo jakieś inne miasto na Kirów, ale nie stwarzać kilkudziesięciu "Kirowów". Zresztą niektóre miasta przemianowujecie już po raz drugi, na przykład przedrewolucyjny Blizawetgrad - obecny Kirowograd nazywał się już Zinowjewsk, Gaczcyna nazywała się Tock. Nie rozumiem także, dlaczego codziennie umieszczacie w prasie podobiznę generalissimusa Stalina. Wszyscy wiemy, iż jest on wielkim człowiekiem, stawiamy go na równi z Leninem, czcimy go jako wyzwoliciela Polski z jarzma hitlerowskiego, lecz tego bezgranicznego ubóstwiania zrozumieć nie mogę. Pamiętam przed rewolucją burżuazyjną prasa rosyjska umieszczała podobiznę cara - kata mniej więcej 10 razy do roku, w okresie międzywojennym oglądaliśmy fizjonomię marszałka Piłsudskiego około 30 razy do roku.

- Jestem przekonany, że jesteście porządnym - odpowiada Rodin - uczciwym człowiekiem, ale do komunisty wam daleko, gdybyśmy chcieli budować komunizm według waszej recepty, to nigdy byśmy go nie zbudowali. Czy wy wiecie co to za człowiek był Kirow? Czemu właściwie żałujecie różnych Tweri, Wiatki, Samary, Mikołajewska, Aleksandrowska? Były czasy kiedy rządili książęta twerscy, chany samarscy, przeklętej pamięci Mikołaje, Aleksandry, obecnie zaś rządzi proletariat. Każde miasto pragnie uczcić tow. Stalina, Kirowa, Swierdłowa, Mołotowa itd. Nie potrzebujecie obawiać się o sprawne funkcjonowanie naszej poczty, pracuje ona w naszym kraju sprawniej niż u was. Gdybyście byli komunistą zrozumielibyście, że oddając cześć Stalinowi, oddajemy ją naszej partii, Stalin jest symbolem naszej sławnej komunistycznej partii. Wiem, że wy też macie w Polsce bojowych, aktywnych komunistów, nawet w Darłowie są dzielni komuniści jak na przykład tow. Ł. i W.

- Ale zrozumcie, towarzyszu kapitanie, Polska nie jest Ukrainą czy Białorusią; my mamy świetną historię i wysoką kulturę. Nasz naród był ciemniony przez carat, a wy nie byliście narodem ujarzmionym; przecież nie można nas przyrównać do Czuwaszów, Kirgizów czy Buriatów, trzeba się liczyć z naszą odrębnością.

My też dążymy do budowy socjalizmu w naszym kraju, ale droga nasza musi być nieco inna; my uznajemy czołową rolę Związku Radzieckiego w obozie państw budujących socjalizm, będziemy korzystać z waszych doświadczeń. Zdajemy sobie sprawę, że droga do socjalizmu jest trudna i długa; można się zagalopować i nic nie stworzyć. My mamy przysłowie: "Co nagle to po diable", co odpowiada waszemu przysłowiu: "Pospieszysz - ludzi usmieszysz".

- To nie są tezy bolszewickie, drogi profesorze. Jesteście starzy, byliście pepeesowcem, więc nie ma co się dziwić. Z pewnością nie jesteście wrogiem Związku Radzieckiego, a to jest fakt bardzo ważny, no a więcej od was nie możemy żądać. W Polsce socjalizm budować będzie młodzież robotniczo-chłopska nie obciążona jak wy, balastem z czasów bezpowrotnie minionych. Jesteśmy wychowani w duchu marksizmu-leninizmu- stalinizmu, zahartowani, nieugięci, przyszłość należy do komunistów.

- Ale niestety nie wszyscy wychowani jesteście w tym duchu, są wśród was pijacy i awanturnicy.

- Niezaprzeczalnie, mamy w Darłowie kilku zdemoralizowanych żołnierzy.

- Nie tylko żołnierze tow. kapitanie, porucznik Świderski jest notorycznym, powszechnie znanym awanturnikiem.

- Acha, słyszałem już o nim. Mogę was zapewnić, że Świderski za trzy dni wyjedzie do Rosji.

Kapitan Rodin słowa dotrzymał; Świderskiego nikt więcej w Darłowie nie widział.

W dniu 6 listopada 1947 roku kilku pracowników magistratu, TPPR i PPR byli zaproszeni do jednostki radzieckiej stacjonującej w Darłówwku na uroczystość 30-lecia Rewolucji Październikowej.

Przyjęto nas bardzo gościnnie, podczas bankietu przemawiał dowódca jednostki radzieckiej, burmistrz - Sławiński i ja.

W ogóle nie mam talentu oratorskiego, ale na tym bankiecie moje przemówienie było niesłychaną plajtą; zaplątałem się w stosunkach polsko-radzieckich; Dzierżyński podstawił mi złośliwie nogę; wołałam patetycznie: nasz wielki rewolucjonista Edmund Dzierżyński - Rosjanie poprawiają - Feliks Dzierżyński, po ich poprawkach zbaraniałem zupełnie; zacząłem bełkotać bez sensu. Widząc moją niezadradność Rosjanie zaczęli wołać... Stalin, Stalin, Stalin,... powtórzyłem za nimi jak papuga Stalin, Stalin, Stalin, i burzliwie okłaskiwany usiadłem zawstydzony i skonfundowany.

Po sutej uczcie zaczęto tańczyć; milutka Rosjanka zaprosiła mnie do walca, lecz po paru turach zgubiłem moją partnerkę, chciałem ją odzyskać i zaprosić do mazura; po chwili zauważyłem moją przygodną partnerkę - tańczyła ogniście z burmistrzem S. hopaka; dziesięcioletnia córeczka burmistrza płakała rzewnymi łzami, bo jej zwykle spokojny i stateczny tatuś wyprawiał niesamowite skoki i prysiudy.

Biedna dziewczynka była przerażona atakiem szału jej tatusia. Przyśiadłem się do pani pułkownikowej i mówię do niej:

- Proszę pani, oficerowie radzieccy przypominają mi oficerów byłej armii rosyjskiej, te same złote naramienniki, a mój wujek, kapitan rangi I zginął pod Cuszimą.

- Co za dziwne porównanie? Pan chyba za dużo łyknął, bo i w przemowie pana, mimo świetnej ruszczyzny, było zagmatwane, chaotyczne, jakaś wieża Babel; a przecież pan nie jest taki głupim jak pan wygląda. A może pan dostał tremy, jak pewien burmistrz za carskich czasów; anegdotę tę opowiadała mi moja babcia, dotychczas

mieszkająca w Leningradzie. Otóż przy rogatec jednego z powiatowych miast delegacja z burmistrzem na czele oczekuje na jego ekscelencję gubernatora. Nadszedł pan gubernator; wystraszony i zbaraniały prezentują dostojnemu gościowi chleb, sól, wita go: "...ekscelencjo, u worot etowo goroda ...u worot ...u worot...". Ubawiony tym zajściem generał wesoło dokończył: "Oj luli u worot, stoit diewok chorowod" (rosyjska - ludowa piosenka).

- Więc babcia pani pułkownikowej jest petersburżanką, bardzo mi przyjemnie. Widzi pani, mam sentyment do tego miasta, spędziłem w nim 15 lat. Sądzę, iż babcia pani bywała u "Gubas", w "Miedwied", w "Europejskiej", uczęszczała do teatrów Marlińskiego, Aleksandrinskiego, Małego itd.

- Skądże mój panie! Widzę, że pan jest mocno "nadwerężony" i wyjeżdża z głupia frant z restauracjami i teatrami. Moja babka była robotnicą, ciężko zarabiała na chleb powszedni, a o teatrach nie mogła i marzyć; och ciężkie było życie robotników w tym carskim Petersburgu.

- Ja też nie byłem ani razu u "Gubas", ot tak sobie klepię, sam nie wiem po co, może po prostu chciałem pani zaimponować. A słyszała pani o Wiałcewej? Wie pani, w roku 1911 otrzymałem od niej miły, kochany list, który przechowywałem prawie 20 lat, straciłem go we Francji; pracowałem wtedy w kopalni rudy żelaza w Saint-Remy w Normandii, a mieszkałem na poddaszu, była tam masa szczurów. Jednego majowego dnia rozmarzony po wypiciu litra czerwonego wina wyjąłem tę drogą pamiątkę i przeczytałem po raz chyba tysięczny. Wzruszony i zażawiony poszedłem do pracy zostawiwszy nieopatrznie list Wiałcewej na stole. Powróciwszy po odrobieniu "szychty" do domu - listu nie znalazłem, pożarły go szczury, zostały mi tylko malutki skraweczek ze słowem "kochany".

Pani pułkownikowa powiedziała: "ach, co z was za romantyk" ciężko westchnęła.

- Pozwoli pani, że jej zaśpiewam pierwszą strofę "Hajda trojka".

- Da nu už pojtie (już niech pan śpiewa). Dziś mamy święto, wszyscy śpiewają i tańczą.

Długo jeszcze naprzykrzałem się miłej, inteligentnej i dowcipnej pułkownikowej. Nareszcie sala zaczęła się opróżniać, poszedłem ze swoją panią do szatni, pomogłem jej włożyć futro.

- Czy wolno pocałować panią na pożegnanie w rękę?

- Ach słuszajcie, łuczsze nie nada (ach, wie pan lepiej nie) !
- Ach, proszę pani, my mamy w Polsce taki zwyczaj.
- Da nu už całujtie (niech już pan całuje).

W latach 1946-1947 sporo oficerów i żołnierzy radzieckich zwiedziło nasze muzeum, muszę powiedzieć, iż zachowywali się wszyscy bez zarzutu, kilku oficerów zadziwiło mnie erudycją.

Wiosną i latem spotykałem często niemieckie dzieci zbierające trawę dla królików. Zawsze w wolnych chwilach wprowadzałem je do muzeum, pokazywałem im wielką gablotę ornitologiczną, dla większego efektu oświetlałem ją rześnięciem. Zachwycone maleństwa przyglądały się tym cudom, a ja się ogromnie cieszyłem, że sprawiłem taką przyjemność tym małym biedakom.

W pierwszych latach po wyzwoleniu w muzeum zdarzały się - i to dosyć często - wypadki kradzieży, na przykład jeden inteligentny pan znawca sztuki - skradł wartościową drewnianą figurkę z Polinezji, dzieci z naszej szkoły podstawowej skradły kilkadziesiąt kamieni ze zbioru geologicznego, naruszyły zbiór entomologii, młodziaki ze "Służby Polski" skradli kilka ptaków, marynarze dwa zabytkowe pistolety etc. Personel muzeum składał się z dwóch - trzech osób /w roku 1949 jednej osoby/. Sale wystawowe znajdują się w trzech skrzydłach zamku: w lipcu i sierpniu przeciętna frekwencja w muzeum wynosi razem 6000 osób. Rzecz jasna, że w takich warunkach przy najlepszej chęci wszystkich zwiedzających upilnować się nie da.

Na jesieni 1947 roku przybyła do Darłowa czechosłowacka delegacja handlowa. Tuż przed jej przybyciem nauczyłem uczniów klas licealnych piosenki: "Hej słowane, jeste nasa słoweńska rat žije", piosenkę tę młodzież zaśpiewała przed magistratem na przywitanie gości czechosłowackich. Oczekiwałem, że bracia Czesi ucieszą się z tej przyjaznej manifestacji, lecz srodze się zawiodłem: Czesi nie spojrzawszy na nas poszli z naszymi władzami na bankiet. Po bankiecie spotkałem jednego z Czechów i zapytałem jak im się spodobała przyjacielska manifestacja naszej młodzieży? Czech odpowiedział, że tej piosenki się więcej nie śpiewa w Czechosłowacji. Masz ci los. Potem komunista czeski zaczął narzekać na naszych komunistów:

- Przywitani nas jak braci, urządzili wspaniały bankiet, a potem podpiwszy zaczęli nam zarzucać imperializm i szowinizm, drwili z Benesza i Masaryka, usprawiedliwiali polskich polityków sanacyjnych,

twierdzili, iż Cieszyn, Frydek, Bohumin, Karwina są miastami polskimi. Według ich zdania Słowacja powinna by połączyć się z Polską.

- Przecież na bankiecie byli nie tylko komuniści; nie sądzę żeby na przykład nasz burmistrz W. mógł przemawiać w tym duchu.

- O nie, burmistrz jest porządnym chłopem, nic mu zarzucić nie można, niestety nie powiedziałbym tego o jego mówiącym po czesku bracie i jednym partyjnym nauczycielu.

- No ale, popiliście porządnie, nieprawda?

- O tak, Polacy są bardzo gościnni.

- A więc towarzyszu, puśćcie w niepamięć słowa wypowiedziane po pijanemu, przecież i wy nie zawsze macie rację. A swoją drogą szkoda, że nie śpiewacie w Czechosłowacji pięknej piosenki "Hej slowane", melodia jej przypomina naszego Mazurka Dąbrowskiego.

W styczniu 1948 roku pan dyrektor Łakomy przebrał uczniów za rybaków i w asyście honorowej kompanii marynarki polskiej wyprawił nad morze.

Tam po przemówieniu dyrektora i komandora Sitnickiego odbyły się zaślubiny - naszej nic z morzem wspólnego nie mającej szkoły - z morzem.

Uczennica W.N. rzuciła do morza pierścioneł. Dowiedziałem się o tej wyprawie i uroczystościach od uczniów.

Mieszkańcy Darłowa po tych uroczystościach ironicznie mówili:

- Patrzcie państwo, co się dzieje z tą naszą szkołą. Pan dyrektor jest człowiekiem rzutkim, już się przerzuca ze śpiewu i tańców do rybołówstwa, ale bądźmy pewni, że to jeszcze nie koniec, wymyśli on jeszcze coś, jest czołowym działaczem partii, jemu wszystko wolno.

Oj myślał, myślał pan dyrektor. Ten bezustanny "myślunek" doprowadził go do stanu graniczącego z obłąkaniem. Ubrdał sobie nieborak, że jest otoczony reakcją; o reakcję posadzał grono nauczycielskie, woźnego, prawie wszystkich uczniów; za największego reakcjonistę uważał jednak byłego dyrektora p. D.

W lutym 1948 roku miałem przykre zajście z p. dyrektorem: p. Ł. zawołał mnie do swego gabinetu i surowo mówi do mnie:

- Panie profesorze, pan nie wykonał mego zarządzenia. Przed wyjazdem do Gdańska rozkazałem, żeby cała szkoła w czasie mej nieobecności uczyła się z moją małżonką tańczyć mazura. Całe grono nauczycielskie zastosowało się do mego zarządzenia, a pan się wy-

łamał; mimo ostrzeżenia ze strony mej małżonki wykladał pan dwie godziny język angielski.

- Panie dyrektorze, czy nie za dużo mamy tego "mazurzenia"?

- To jest moja sprawa. Zdaje mi się, że pan zwąchał się z reakcją, pewny jestem, że intrygujecie przeciwko mnie z panem D.

- Nie widziałem pana D. od pół roku, jestem partyjnym, nie podzielam jego przekonań, zresztą pan zna pana D. lepiej niż ja; przesiadywał pan u niego całymi dniami, korzystał pan z pomocy materialnej pana D., między innymi całe lato ten pan dawał panu bezpłatnie mleko.

- Reakcja... - krzyczy histerycznie pan dyrektor - wie pan, że z powodu niezdiscyplinowania pana, małżonka moja nie chce więcej udzielać lekcji tańców? Pan swym zachowaniem stawiasz mnie w położenie bez wyjścia; małżonka moja gniewa się na mnie, że nie potrafię jako dyrektor utrzymać w korbach grona nauczycielskiego i ma zamiar mnie opuścić. Wszystkiemu jest winien pan.

- To wasza prywatna sprawa, opowiadasz pan duby smalone; idź pan do diabła ze swoją reprimendą nie z tej ziemi. Dostyc już tej komedii, panie dyrektorze!

- Ach tak. Więc oświadczam, że nie chcę z panem współpracować; zabieraj pan urzędowe pieczęcie, ja odchodzę...

- A idźże pan do cholery ciężkiej! Po wypowiedzeniu tego krótkiego i wysoce niekulturalnego zdania wyszedłem z gabinetu dyrektorskiego.

- Reakcja... - krzyczał osamotniony pan dyrektor w swoim gabinecie. W przeddzień Pierwszego Maja dekorowałem ganek basztowy sztandarami, zielenią i portretami przywódców rewolucyjnych: Lenina, Stalina, Dzierżyńskiego, Marchlewskiego, Bieruta, Gomułki. Znaczna część Darłowa brała „lanterne pour la vessie" /latarnia za pęcherz/, portret zasłużonego działacza rewolucyjnego za portret kierownika muzeum.

Wieczorem dnia 30 kwietnia 1948 roku grupa odświętnie ubranych darłowian z żonami i dziećmi korzystając z ciepłej, słonecznej pogody, spacerując oglądała dekoracje pierwszomajowe, grupa ta zawitała również na dziedziniec zamkowy. Udekorowany ganek wyglądał naprawdę ślicznie. Odpoczywałem po dokonaniu dekoracji w "Komorze Sądowej", tuż za gankiem. Dzieci wskazując na portret Julia-

na Marchlewskiego wesoło zawołały: "patrzcie tam na górze wisi portret Dziadka z muzeum!".

- Rzeczywiście kierownik wywiesił swój własny portret - mówi jeden z dorosłych. - Niektórzy chwalą starego profesora, ale ten portret jest dowodem, że brak mu skromności. Przecież jest partyjnym, rzekomo skromnym, uczciwym, ideowym komunistą, a tu ten portret.

- Jaki tam profesor - komentuje drugi - jest przedwojennym kolejajczym, a że zna języki obce, to nie jest jeszcze dowodem, że jest uczonym; włóczył się całe lata po świecie, to się nauczył języków. Udaje ideowego komunistę, ale podobno wódę chłja jak dorożkarz i robi po pijanemu awantury.

- Słyszałem o nim w Wilnie - mówi śpiewnie trzeci - wypędzono go z dwóch uniwersytetów i to nie za politykę - jak mówi Jędrychowski, lecz za awantury. Był oficerem podczas pierwszej wojny światowej, ale w 1925 roku Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz zdarł mu złote pagony za awantury, dał mu kopniaka w d... i wysłał jako szeregowca na turecki front.

W mojej obronie stanęła młoda i przystojna kobieta:

- Nie wiem ile w tym prawdy co mówicie. Tu w Darłowie ten pan zachowuje się bardzo dobrze, nie jest on, jak wielu innych, ani szabrownikiem, ani złodziejem, jest pracowitym, inteligentnym człowiekiem; spójrzcie jaki tu wszędzie ład i porządek, miło popatrzeć.

Sama czytałam w "Dzienniku Bałtyckim", że ten pan jest starym działaczem rewolucyjnym, a jeżeli tak jest to dlaczego by nie mógł wywiesić swego portretu? A najwięcej mi się podoba to, że pana kierownika lubią dzieci nasze, a on chociaż udaje bardzo surowego też je bardzo lubi.

Grupa opuściła dziedziniec. Zdjąłem portret Marchlewskiego i wywiesiłem Wilhelma Piecka. "Towarzyszu Marchlewski - mruczę, chowając portret za szafę - dumny jestem, że mnie biorą za Ciebie, posiedź tu sobie do 1 Maja przyszłego roku, a wtedy wyleziesz z za szafy i z wysokości ganku całe dwie doby oglądać będziesz ruch na dziedzińcu, bo ja wkrótce zgolę swoją brodę i przestanę być podobnym do ciebie.

W latach 1946-47-48 Darłowo było jednym z miejsc na wybrzeżu skąd można było nawiać do Szwecji i Danii; najczęściej uciekano do Bornholmu. Głównym przemytnikiem był pan D., posiadający wła-

sny kuter - płacono mu w roku 1946 70 tyś. od łebka, w latach następnych podwyższył cenę do 300 tysięcy, a nareszcie kiedy mu się zaczął grunt palić pod nogami sam uciekł do Norwegii, gdzie miał żonę Norweżkę.

Kapitan portu Juszczakiewicz w roku 1948 wyjechał rzekomo na pomoc statkowi szwedzkiemu. Nie wiem w jaki sposób dostał się za granicę polonista naszego gimnazjum - pan Haska, aktywny członek PSL. Jest on obecnie profesorem w Ameryce. Nawiał do Belgii młody urzędnik bezpieczeństwa, udzielono mu tam azylu jako ofiarze reżimu warszawskiego.

Przychodziła do nas prawie co dzień zawszawiona staruszka pochodząca z b. Prus Wschodnich, zjadała talerz gorącej stawy na schodach (do pokoju wejść nie chciała) i skarżyła się na swój los:

- Dlaczego nie wysyłają mnie do Niemiec? O, mein Gott! za co ja tak cierpię? Jestem katoliczką, mam polskie nazwisko, mówię trochę po polsku, mimo to wciąż mnie prześladują, nie mają litości nad starą nieszczęśliwą kobietą.

- A dlaczego nie chcecie zostać w Polsce, jesteście przecież Mazurką. Radzę wam przyjąć obywatelstwo polskie, a wtedy niewątpliwie los wasz poprawi się.

- Ach, gnaadigor Herr, co ja bym stara robiła w Polsce? Mój mąż zmarł podczas wędrówki z Prus na Pomorze, dzieci zaś są w Niemczech, błagam pana o wstawiennictwo w mojej sprawie u władz, żeby mi pozwolili wyjechać do dzieci, będę się modliła za pana całe życie.

W dwa tygodnie po tej rozmowie wszawa znekana staruszka odjechała do dzieci.

W roku 1947 odwiedził muzeum wyższy urzędnik Ministerstwa Kultury i Sztuki, wyraził uznanie za porządek i czystość, nie podobały mu się tylko napisy propagandowe w rodzaju: "Demokracja Ludowa stworzyła kadry naukowców pochodzenia robotniczo-chłopskiego".

- Proszę pana - powiedział pan inspektor - muzeum jest przybytkiem sztuki, jest instytucją apolityczną, nie należy w nim uprawiać propagandy rewolucyjnej; niech pan usunie te napisy.

- Ale proszę pana - próbuję replikować - to jest signum temporis (znamię czasu).

- Niech pan te napisy jak najprędzej sprzątnie - powtórzył pan z Ministerstwa.

W roku następnym ponownie zjawił się w muzeum ten pan z Warszawy, pochwalił kierownictwo za porządek i czystość, nie podobał mu się tylko brak napisów propagandowych:

- Proszę pana, muzeum nie jest przybytkiem sztuki, lecz również placówką kulturalno-oświatową, żyjemy przecież w państwie socjalistycznym, czyli raczej w państwie budującym socjalizm.

- Tak jest, proszę pana. Napisy usunięte w zeszłym roku będą umieszczone na starych miejscach.

Woźny Józef D. okazał się dobrym pomocnikiem w sprowadzaniu do muzeum zabytków; znał się on nie najgorzej na starych meblach, odróżniał barok od renesansu czy rococo. Przyczynił się w znacznym stopniu do odnalezienia 6 ksiąg Recesów Gdańskich, które przekazałem Archiwum Miejskiemu w Gdańsku.

Jeździliśmy z nim do byłych siedzib junkrów pomorskich i wzbogaciliśmy zbiory naszego muzeum; w Kręgu - byłej siedzibie Podewilśów i Rippenhausenów załadowaliśmy ogromną ciężarówkę cennymi zabytkami, przy wyładowywaniu tych rzeczy spostrzegliśmy, że zapomnieliśmy zapakować precudną drewnianą barokową latarkę. Nazajutrz Józio wsiadł na rower i pojechał do oddalonego o 60 kilometrów Kręgu po latarkę. Mija jeden dzień, drugi, trzeci - Józia nie ma. Dopiero po 5 dniach zjawia się potłuczony i posiniaczony Józio, bez lataraki.

- Bój się Boga, Józiu, co się z tobą działo?

- Ach, panie dyrektorze. Wypiłem w Kręgu z zarządzającym majątkiem Żydem pół litra wódki, w drodze powrotnej przewróciłem się i to dzieło sztuki - naszą precudną latarkę - stłukłem w drebezgi, z rozpachy położyłem się w krzakach i spałem całą dobę, a potem spotkałem w Sławnie znajomego, zabawiliśmy się trochę i oto jestem znów do dyspozycji pana dyrektora. Ech panie dyrektorze, nie mogę przeboleć barbarzyńskiego zniszczenia tego wspaniałego dzieła sztuki.

Pewnego dnia latem 1948 roku Józio przyszedł pijany do muzeum, w takim stanie chciał oprowadzać zwiedzających, kazałem mu opuścić muzeum i nie przychodzić w stanie nietrzeźwym. Zawstydzony Józio odszedł; po kilku minutach przychodzą do mnie dzieci zwiedzające skrzydło wschodnie zamku i zapewniają mnie, że w Sali Przyjęć Książąt Pomorskich straszy:

- Panie dziadku, słyszałem wyraźnie chrapanie, obejrzałyśmy wszystkie zakątki - żywej duszy nie ma, a chrapanie nie ustawało. Poszedłem z nimi do tej sali, panowała tam kompletna cisza - żadnego chrapania nie słyhać.

- To wasze chrapanie jest złudzeniem, nie ma tu nikogo prócz was, a w strachu wierzyć nie warto. No, powiedzcie czy słyszycie chrapanie?

- Teraz nie słyszemy dziadku, ale przed chwilą słyszałyśmy wyraźnie!

- Zwiedzajcie dalej, stąd pójdziecie na górę do Prehistorii, ja mam po tamtej stronie 3 grupy, objaśnię ich i wrócę do was.

Po chwili dzieciaki znalazły mnie w Etnografii i przestraszone jeden przez drugiego mówią:

- Panie dziadku, na miły Bóg, tam straszny. Niech dziadek idzie z nami. Wkraczamy na salę, przysłuchujemy się. W sali cisza zupełna.

- Dość tych żartów, moje dzieci, mam około 150 zwiedzających, nie odrywajcie mnie więcej od pracy.

Po chwili wystraszone dzieci ze słowami; "a jednak straszny Dziadziu" - opuściły muzeum. Nazajutrz pytam trzeźwego Józia, czy się dobrze wyspał.

- Pierwszoraz - odpowiada Józia - wpakowałem się w sali przyjeżdżając do rzeźbionej skrzyni z "Sądem Salomona" i smacznie spałem aż do godziny 6 rano.

- Acha, to ty straszylesz dzieci swym chrapaniem, no dobrze, ale dlaczego ja twego chrapania nie słyszałem?

- Bo pan dyrektor wchodząc na salę mówił głośno, prawie krzyczał, więc budziłem się i przestawałem chrapać.

W pierwszej połowie lipca 1948 roku weszła do mojego mieszkania księżna D. i mówi z przejęciem:

- Panie dyrektorze, byłem w pańskiej kancelarii i przestraszyłam się nie na żarty, w dyrektorskim krześle siedzi podejrzany, pijany typ z rozdziawioną bezzębną gębą i okropnie chrapie, sądzę "ou il n est dangereux ? (że nie jest on niebezpieczny).

- On jest woźnym muzeum i śmiem zapewnić panią, że jest zupełnie spokojnym człowiekiem. Mamy przerwę obiadową, niech on sobie wypocznie, a ja oprowadzę panią, o ile ma życzenie zwiedzić muzeum.

W trakcie oprowadzania pani księżna nagle mnie zapytała:

- Niech mi pan powie co ja mam robić? Nigdy w życiu nie pracowałam i nic nie umiem robić; znam 5 języków i to wszystko. Wyprze-
dałam co udało mi się zachować po reformach bolszewickich, muszę
coś robić aby nie umrzeć z głodu. Rodzinie udało się wyjechać za
granicę, a ja męczę się w tym piekle.

- Pani zna świetnie języki, niech pani spróbuje pracować w szkolnic-
twie, chociażby. Jestem pewny, że z łatwością dostanie pani posadę
nauczycielki w gimnazjum.

- Niech mi pan powie, jak się pan przyzwyczaił do pracy?

- Jak to? Que dites vous, Madame la Princesse? /co też mówi księżna
pani?/. Ja w okresie międzywojennym wykonywałem najrozmaitsze
obowiązki, czasem nawet wprost upokarzające ,ale mówię szczerze,
nic nie żałuję. Poznałem świat, ludzi, niedolę robotników, biednych
chłopów, urzędników. Dumny jestem, iż większość moich świadectw
pracy ma adnotację: "Z żalem rozstajemy się z panem Tarnowskim".

- Jak to, to pan niby nie pochodzi z tych...

- Nie mam z nimi absolutnie nic wspólnego. Pochodzę ze skromnej,
dobrej i uczciwej rodziny urzędniczej.

- Dziękuję panu bardzo, chciałam porozmawiać z panem dłużej,
lecz czas nagli, a mam jeszcze spotkać się z tutejszym księdzem pro-
boszczem.

W kilka dni po tej rozmowie spotkałem księdza Tynieckiego.

- Wie pan co? Onegdaj miałem zaszczyt powitać u siebie panią ks.
D. Mówiła ciągle o panu, bardzo jej się pan podobał, oświadczyła, iż
znalazła w naszym mieście pokrewną duszę w osobie pana Tarnow-
skiego. Powiedziałem jej prosto z mostu, że przecież nasz kustosz
jest peperowcem, a ona mi na to:

"Ksiądz proboszcz rozumie, że człowiek musi się jakoś ratować".

W latach 1947-48-49 do portu naszego często zawijały statki
szwedzkie, norweskie i duńskie. Część marynarzy zwiedziła mu-
zeum, lecz większość ich przesiadywała w knajpach albo ro-
mansowała z naszymi dziewczuchami.

Pewnego wiosennego wieczoru przyszła do mnie 16-letnia uczennica
naszej szkoły H. z prośbą o udzielenie jej lekcji języka szwedzkiego,
nadmieniła, że pragnęłaby się nauczyć tego języka w jak najkrót-
szym czasie. Zapłaciłabym panu profesorowi najwyższą stawkę do-
dała młodzieńca i przystojna H.

- Moje dziecko, nie rozchodzi się tu o wynagrodzenie, lecz o ten, jak powiedziałaś najkrótszy czas. Żeby jako tako rozmawiać po szwedzku trzeba go studiować co najmniej trzy miesiące, a tobie tak się spieszy. Powiedz konkretnie jaki czas mogłabyś poświęcić nauce szwedzkiego?

- Jeden miesiąc, panie profesorze - odpałała H.

- Nie dziecinko, nie podejmuję się nauczyć Cię szwedzkiego za jeden miesiąc.

Za miesiąc H. odjechała ze starym, bogatym właścicielem statku do Malmö i tam wyszła za niego za mąż.

Młodzi marynarze szwedzcy z początku ubierali się bez pretensji, bardzo skromnie, ale po zaznajomieniu się z naszymi dziewczętami i chłopakami przekonali się, że w porównaniu z naszymi dandysami wyglądają ubogo. Przecież niektórzy z naszych chłopców robią sobie ondulację pormanente et indefrisable.

Po pewnym czasie Szwedzi zaczęli paradować w naszym mieście w źle uszytych garniturach z 100% wełny, modnych bucikach, w rękawiczkach glace; nawet w największe lipcowe i sierpniowe upały nie zdejmowali rękawiczek. Względna elegancja Szwedów, ich pewne sukcesy w romansowaniu z Polkami wzbudziły zazdrość naszych chłopców. Większość Szwedów miała słabość do naszej wódki, kupowali ją litrami. Widziałem jak Skandynawowie przytulali do serca litrówki polskiej wódki, z twarzą rozjaśnioną błogim uśmiechem.

Jednego przedpołudnia, wracając ze szkoły natknąłem się w bramie zamkowej na śpiącego, do gaci rozebranego młodego Szweda; budzę go i pytam, kto go tak rozebrał i kto go tu przyprowadził? Szwed odpowiedział, że upił się z Polakami, a potem przegrał z nimi w karty pieniądze, ubranie i bieliznę, zostawiono mu gwoli przyzwoitości gatki. Jeden z moich, dosyć zaawansowanych w szwedzkim uczniów podjął się zaprowadzić szwedzkiego hulakę na statek.

Kiedyś wieczorem siedziałem w restauracji "Gdanianka", której właścicielem był nasz kolega, nauczyciel rosyjskiego w naszej szkole, wtem patrząc wchodzą gęsiego siedmiu Szwedów i pytają się czy będzie w restauracji dancing. Odpowiedziałem, że w tej restauracji nie tańczy się. Szwedzi podziękowali i wyszli, lecz po pięciu minutach wrócili i znów pytają się o dancing.

Zdziwiło mnie ich zachowanie się, pytam się więc ich dlaczego krążą dookoła restauracji i nie idą poszukać dancingu?

Jeden z nich powiedział cicho i nieśmiało, że boją się Polaków, którzy schowali się w krzakach w pobliżu restauracji i chcą ich napaść.

- A coście zawinili? - pytam Szwedów.

- Nic nie zawiniliśmy; jedna dziewczyna prosiła nas o nylonowe pończochy, więc przywieźliśmy dla niej kilka par pończoch i inne drobiazgi, a jej narzeczony Polak ma nam to za złe, zebrał kilku opryszków i czyha na nas.

Poszedłem do schowanych w krzakach chłopców, porozmawiałem z nimi, zapewniłem narzeczonego amatorki nylonowych pończoch, że Szwedzi nigdy więcej jej nie zaczepią i jakoś się sprawę załatwiło. Szwedzi zaopatrzwszy się w 7 litrów wódki bez przeszkody przedostali się na swój statek.

Tegoż lata 1948 roku przyszli do muzeum młody przystojny, z polską elegancją ubrany Szwed i młoda, miła i przystojna Kasia K. Szwed prosił mnie abym służył mu za tłumacza.

- Proszę powiedzieć tej fröken, że bardzo mi się podoba i gdyby ona się zgodziła, chętnie bym się z nią ożenił. Ubrałbym ją jak lalkę, kupiłbym jej od razu tuzin nylonowych pończoch i kupę innych cennych rzeczy.

Tłumacząc to dziewczynie, a ona odpowiada:

- Chciałam go prosić, by doręczył list do wujka w Malb, on tu prawi o małżeństwie. Ja już mam narzeczonego z Bydgoszczy, a do nylonowych pończoch nie tęsknię.

- List do wujka, proszę bardzo doręczę - mówi Szwed. - Powiedz jej pan, że posiadam domek z ogrodem, rower, motocykl, dwa aparaty fotograficzne, dobre radio, 5000 koron w banku (tu pokazał mi książeczkę oszczędnościową), a jak wyjdzie za mnie za męża, to za rok kupię telewizor i samochód; własnym samochodem pojechalibyśmy do Sztokholmu, pokazałbym jej Skansen, Nordiska, Musseet - nie takie ubogie muzeum jak tu pan ma - pałac królewski, a może zobaczylibyśmy i samego staruszka króla. Niech pan sobie wyobrazi, nasz król, mimo sędziwego wieku grywa jeszcze w tenisa. Powiedz jej pan to wszystko.

Przetłumaczyłem wypowiedź Szweada pannie Kasi. Ani jego stosunkowy dobrobyt ani ewentualna wycieczka do Sztokholmu nie wywarły na niej wrażenia:

- A cóż to wielkiego domek z ogrodem? Mój narzeczony ma dobry fach, zarabia świetnie; Bóg da za parę lat kupimy sobie domek. My

też mamy rowery, narzeczony ma aparat fotograficzny, radio, chce mi kupić futro i motocykl. A co najważniejsze, to ja kocham mego narzeczonego, a tego pana nie. A co do samochodu, to wcale nie zazdroszczę ludziom, którzy posiadają go, wypadki samochodowe są bardzo częste. My pojedziemy po ślubie do Warszawy pociągiem, bo jest bezpieczniej. Pałaców i muzeów nie brak i w Polsce. On mi chce pokazać króla, a cóż to takiego król. Jest takim samym człowiekiem jak my; nie jest przecież ani Panem Bogiem, ani jakąś małpą, że gra w tenisa! A niech sobie gra. Ja byłam z rodzicami w Ungardzie i na własne oczy widziałam króla murzyńskiego; gruby jak beczka tańczył murzyńskiego tańca, cały pływał w tłuszczu, a wyrzucał te czarne, grube nożyska powyżej głowy, zręczna bestia. To ci było widowisko; niechże się schowa ich staruszek król ze swoim tenisem.

- Więc, pani Kasiu, czy mam powiedzieć Szwedowi, że z jego projektów względem pani nici?

- Tak jest, proszę pana. Gdyby on chciał mogłabym zaznajomić go z moją koleżanką, jest niebrzydka, pracowita i uczciwa.

- Mój przyjacielu - mówię do Szweda - ta dziewczyna ma narzeczonego, wkrótce odbędzie się ich ślub. Owszem jest z pana zgrabny, przystojny i miły chłopiec, tak mówi Kasia - lecz zjawił się pan za późno. Panna Kasia ma koleżankę - przystojną, uczciwą dziewczynę i chce pana z nią zapoznać. Zgoda?

- Men jag tycker om Kasia (Ale Kasia mnie się podoba) - powiedział smutno Szwed, lecz jednak poszedł za nią do jej koleżanki.

W lipcu 1948 roku rozmawiałem w muzeum z jednym kapitanem szwedzkim; zdziwiło go bardzo, że na zamku darłowskim spotkał starego poliglotę. Wynagrodzenie moje zdawało mu się minimalnym, a praca mało ciekawa i ciężka w moim wieku.

- Znasz pan świetnie języki, jesteś nie głupim, doprawdy nie rozumiem po co pan tu siedzi. Przy takim zarobku nie oszczędzisz pan na stare lata, a co będzie jak nie będziesz pan mógł pracować? Torba albo kula w łeb? A u nas w Szwecji miałbyś pan świetną posadę, zarabiałbyś i oszczędzał prawdziwy pieniądź, a nie jakieś tam bezwartościowe papierki. Nasz kraj jest bogaty, rządzą w nim ludzie mądrzy, w naszym królestwie mamy większe wolności niż w burżuazyjnych i socjalistycznych republikach, mamy dobrego króla, którego szanuje i kocha cały naród szwedzki. A u was ludzie nie są zadowoleni, macie w Ruegenwaldzie (Darłowie) setki Polaków świet-

nie władających językiem niemieckim, rozmawiałem z kilku Polakami, wszyscy nie lubią tak Niemców jak i Rosjan. Co pan o tym sądzi?

- Sądzę, iż nie należy nienawidzić żadnego narodu. Nienawidziłem reżimu carskiego, nienawidzę faszystów i militarystów niemieckich, ale narodów niemieckiego i rosyjskiego za wrogów nie uważam. Hitlerowcy i rewanżyści opanowują stopniowo Tryzonie, naród Polski poznał ich dobrze, "naród panów" dał się we znaki okupowanym krajom, a zwłaszcza Polsce i Rosji, te dwa kraje poniosły największe ofiary, ucierpiały najwięcej.

Wy Szwedzi wiecie o tym bardzo mało. Sojusznicy zachodni wyładowali dopiero, gdy Rosja już zdruzgotała gros armii hitlerowskiej, gdy zwycięstwo Rosji było już niewątpliwe. My Polacy zawdzięczamy wyzwolenie z najokrutniejszego jarzma Związkowi Radzieckiemu i o tym zapominać nie wolno nam.

- Mogę zapewnić pana, że my Szwedzi nie mieliśmy sympatii do Niemiec hitlerowskich, nie mamy również sympatii do Sowietów, chociaż zdajemy sobie sprawę, że Rosja odegrała decydującą rolę w rozgromieniu hitlerowców - najgorszych wrogów ludzkości.

Jeżeli chce pan ujrzeć rzeczywiście wolny świat, to mógłbym panu pomóc. Mógłbym zabrać pana z żoną do Sztokholmu, jestem człowiekiem zamożnym, mam znajomości, dałbym panu posadę szefa recepcji w jednym z najlepszych hoteli Sztokholmu. Za 5 lat zrobiłbyś pan majątek.

- Panie kapitanie, gdyby pańska ojczyzna - piękna wolna Szwecja - przeżyła taką katastrofę jak Polska i gdyby panu w tym to zdewastowanym i umęczonym kraju powierzyli jakąś skromną posadę w rodzaju mojej, czy byś pan zdezerterował ?

Kapitan zamyślił się, a potem uściśnął moją rękę ze słowami: "ma pan rację, postąpiłbym jak pan, nie zdezerterowałbym nigdy".

- A propos Rosji - mówi Szwed - znam jednego sławistę, który przed rewolucją spędził kilka lat w Petersburgu; opowiadał on, że w naszym "historiska Musset" w Sztokholmie są ciekawe dokumenty o weregach i powstaniu Rusi. Nestor mówi o trzech braciach Rosiku, Sineusie, Truvorze, którzy mieli przywędrować do Nowogardu; otóż on twierdzi, że Nestor mylił się; według szwedzkich dokumentów "Rorik tog sithus och tru vaar", co znaczy: "Rorik wziął ze sobą swój dom i wierną drużynę".

Potem oglądaliśmy moje białe kruki i przyniesione przez kapitana tygodniki szwedzkie.

W jednym z tygodników oglądaliśmy karykatury poczciwego starego króla; stary, chudy olbrzym spaceruje w stolicy, za nim idzie dwóch urwisów; jeden mówi do drugiego: "Spójrz co za brzydki dziadyga", król zaś odwraca się do nich ze słowami: "brzydki, ale słyszy". Drugi obrazek; król z adiutantem zmęczeni polowaniem i zgłodzeni idą do samotnej chłopskiej zagrody i pytają małej dziewczynki, stojącej przy płocie, czy jej mamusia ma mleko; wystraszona dziewczynka z podniesionymi do góry rękoma krzyczy: "mamusia bandyci".

- Wasz król jest porządnym chłopem - mówię do kapitana - i wierz mi pan my też go lubimy i szanujemy.

Powiedziawszy to zaintonowałem po cichu: "Du gamla, du fris, du fjall hoga Nord...".

Pozegnaliśmy się z kapitanem jako starzy znajomi.

W końcu lipca 1948 roku wynająłem ciężarówkę od Edelmana i razem z nim i Dekutowskim pojechaliśmy do Ostrowca w powiecie sławieńskim po zabytkowe meble. Majątek Ostrowiec był wtedy administrowany przez Armię Radziecką. W zarządzie majątku powiedzieli mnie, iż zarządzający sowchozem pułkownik NKWD jest w polu, dogląda tam żniwiarzy i powróci dopiero wieczorem (była dopiero godzina 3 po południu).

- No cóż, zaczekam do wieczora.

- Wie pan, możliwe, że pułkownik wróci dopiero jutro rano - mruczy urzędnik.

- Trudno, zaczekam do jutra.

- A wie pan, że u nas nocować nie wolno?

- Wiem, pójdę do sołtysa Polaka, on mnie ulokuje gdziekolwiek na noc.

- A wie pan, że u nas wszystkie obiekty są zakatalogowane i my ich wam przekazywać nie możemy?

- Ja mam odpowiednie pisemko od dowództwa . Odprawiłem Józia i Erdmana z ciężarówką do Darłowa, usiadłem w parku otaczającym pałac i czytałem do wieczora "Gone with the Wind". Po kolacji oficerowie zaczęli grać w karty, a ja siedziałem i przyglądałem się im z daleka.

- Dlaczego pan nie stara się o nocleg? - pyta jeden z oficerów.

- Zaczekam jeszcze, może towarzysz pułkownik wróci. Milczenie. Potem podnosi się z krzesła pułkownik i mówi:

- No cóż z panem zrobić? Żal mi pana, widzę, że zależy panu bardzo na tych zabytkach. Jestem właśnie pułkownikiem, na którego pan czeka. Pokaż pan papiery z dowództwa.

Po przeczytaniu polecenia z dowództwa pułkownik oświadczył:

- Zabytkowych mebli nie posiadamy, może pan to sam stwierdzić, ale damy panu kilka popiersi egzotycznych zwierząt i żyrandol. Obiekty te znajdują się w hallu pałacu w Podgórzu²⁵. Proszę przyjechać ciężarówką o godzinie 17.00 jutro, a teraz idź staruszkę spać, bo jest już późno.

Przenocowałem u jednego rodaka z Wilna, nazajutrz skorzystałem z radzieckiej ciężarówki, udającej się do jednej wsi o 9 km od Sławna. Resztę drogi przebyłem pieszo i boso (w czasie wojny całe lato chodziłem boso), spieszyłem się, trzeba było dostać się jak najprędzej do Darłowa, wynająć samochód od Erdmana i pędzić do Ostrowca i Podgórza.

W Sławnie spotkałem znajomego nauczyciela, patrzy na mnie i własnym oczom nie wierzy:

- Panie, wszyscy mówią, że pan uciekł do Szwecji, zaalarmowano całe wybrzeże ! ,

Idę do Komitetu Powiatowego PPR i mówię do sekretarki, tow. Pyrzak:

- Proszę towarzyszki, kto puścił bezsensowną plotkę o mojej ucieczce do Szwecji? Nocowałem w Ostrowcu, staram się ratować zabytki, a wy zamiast mi pomóc w tej żmudnej pracy przeszkadzacie. Szedłem 5 km pieszo, mam 63 lata, ledwo dojechałem do Sławna. Jeżeli partia nie ma do mnie zaufania, to gotów jestem w tej chwili oddać legitymację; dajcie mi święty spokój z waszą "czujnością", w tym wypadku była ona źle uplasowana!

- Towarzyszu, darłowska organizacja partyjna, a raczej tow., tow. W. i D., zameldowała bezpieczeństwu o waszym nagłym zniknięciu. Daję wam słowo honoru, że my w komitecie nie wierzyliśmy tej głupiej plotce, tak samo jak nie wierzyliśmy tow. U. o tajemniczym panu z Dzikowa, który ożenił się z chłopką z Wileńszczyzny. My dokładnie

²⁵ Podgórk

wiemy o tym, gdzie towarzysz przebywał przed wojną i co robił, i nic tow. zarzucić nie możemy.

- Dzikowo? Ten towarzysz jest "dzikowaty". W Dzikowie siedzieli panowie reprezentacyjni, piękni, rasowi, nie taki jak ja chudopacholek, niedołęga życiowy. No, towarzyszeko, czas na mnie, muszę się spieszyć; pies ich j... tych intrygantów.

Po przywiezieniu eksponatów z Podgórza pojechałem do Tychowa - byłej rezydencji hrabiego von Kleista (przodkowie jego nazywali się Kleszt albo Kleszcz). Przed wojną pułkownik von Kleist był kustoszem działu Prehistorii Muzeum w Darłowie.

Rządca sowchozu - młody, grzeczny Rosjanin spod Saratowa oprowadził mnie po całym pałacu, porządek był wzorowy, jak zresztą we wszystkich majątkach pod zarządem Armii Radzieckiej w naszym powiecie, niestety nic ciekawego nie znalazłem. Otrzymałem tylko podniszczoną głowę lwa.

- Teraz może zapalimy papierosa i wypijemy po kieliszku, towarzyszu zarządzający?

- Dziękuję, nie piję i nie palę. Jedź pan do mieszkania von Bonina, może tam coś znajdziecie, podobno miał on stare księgi, powiedzcie tam Niemcom, że pozwalam te księgi zabrać.

Znalazłem tam 10 starych, bardzo cennych ksiąg z rodziny "kruków".

Tego dnia miałem jeszcze zwizytować majątek Sulechowo, w tym majątku zarządzający nie chciał w ogóle ze mną rozmawiać, burknął tylko: "Nie pokażę wam nic, ja tu jestem gospodarzem, a nie dowództwo, a więc nie ma o czym "tołkować".

Tak myślę sobie: "tołkować" po szwedzku "Tolka", po angielsku "talk", "tłumacz", "tołmacz", "Dolmetscher" i nie pożegnawszy się z "gościnnym" gospodarzem odjechałem do domu.

Powróciliśmy z Józkiem do Darłowa o godz. 14.00. W biurze czekał na mnie tow. Jarominiak - przedwojenny członek PPR, uczciwy, odważny, bezinteresowny towarzysz.

- Towarzyszu - zwraca się do mnie Jarominiak - chodźmy do Komitetu PPR, zwołajmy zebranie, powiecie nam coś o wypadkach w Jugosławii.

Złożyliśmy pośpiesznie przywieziony księgozbiór von Bonina w pracowni (prócz starych ksiąg zawierał on około stu pozycji literatury w języku angielskim). Przed udaniem się na zebranie wręczono mi

pismo ze starostwa w Sławnie; mam natychmiast wyjechać do Otwocka na miesięczny kurs ideologiczny dla nauczycieli, członków PPR i PPS.

- Józiu - mówię do woźnego - wyjeżdżam o godzinie 17.00 do Warszawy, musisz mnie zastąpić, przywiezionych przed chwilą książek proszę nie ruszać, po powrocie z Otwocka posegreguję je i wciągnę do katalogu. Do pracowni proszę nikogo nie wpuszczać.

Na zebraniu powiedziałem:

- Towarzysze, uważam, że należałoby trochę poczekać z omawianiem wypadków w C.K.J.P.K., wiadomości stamtąd są na razie skąpe, chaotyczne.

- Mówcie towarzysz, o tym co wiecie - wołają zebrani.

- Wiemy, że Komitet Centralny J.P.K. przeciwstawił się wezwaniu partii komunistycznych Związku Radzieckiego i Krajów Demokracji Ludowych. Tow. tow. Nebrang i Zujowica aresztowano, Arsena Javonowica zamordowano. Tito i Rankowic wysyłają całe transporty robotników do obozów odosobnienia. Partia jugosłowiańska nie jest już partią robotniczą, lecz partią urzędników i oficerów z domieszką kułaków i kupców. Tito, Rankowic, Dżilas, Sebler, Kardelj, Yelebit i tutti quanti zdradzili klasę robotniczą, zadali cios w plecy walczącej rewolucji armii greckiej...

- Jak to się stało? Przecież Jugosławia najaktywniej popierała powstańców greckich, uważaliśmy Tita za bohatera, a tu nagle stało się coś niezrozumiałego. Czyżby Tito tak od razu się odmienił? Nie tak dawno gościliśmy Tita w Polsce, Georgii Dymitrov, którego nie można nazwać oportunistą uważał Tita za serdecznego przyjaciela i wielkiego komunistę i doprawdy towarzysze nie wiem czy mamy prawo nazwać go zdrajcą - powiedział Czerepak.

- Nie przeczę, że Tito był bohaterem i komunistą - mówi Jarominiak.

- Dla nas partyjniaków rzecz jasna, bez Związku Radzieckiego socjalizmu zbudować nie można, tylko Potęga Kraju Rad może przeciwstawić się kapitalistom i dlatego kraj, który chce budować socjalizm nie opierając się o Związek Radziecki, nie uznając jego czołowej roli, socjalizmu nigdy nie zbuduje.

- Moim zdaniem Tito się odmienił, sodowa woda uderzyła mu do głowy, nie jest to nowością w historii ruchu robotniczego, odmienili się Plechanow, Kautski, Trocki, Doriot i wielu innych.

Po dyskusji darłowska organizacja partyjna potępiła Tita i Komitet Centralny Jugosłowiańskiej Partii Komunistycznej.

Po powrocie z kursu, przeglądając księgę zwiedzających znalazłem wypowiedź jednej nauczycielki; zarzucała kierownictwu karygodne niedbalstwo: "Wartościowe książki leżą w pracowni, nikt się nimi nie opiekuje" - skarżyła się nauczycielka.

- Panie Józefie - zwracam się do Józia - dlaczego nie powiedziałeś tej nauczycielce, iż kierownik musiał nagle wyjechać, że pan się na tym nie znasz. Znów jak widzisz wstydziłeś się powiedzieć nauczycielce prawdy, że sam nie znając obcych języków nie mogłeś ich uporządkować. Jestem mądrzejszy od ciebie, ale nigdy się nie wstydzę, zawsze przy sposobności uczę się od zwiedzających muzeum archeologów, przyrodników, etnografów; nie przynosi mnie to ujmy. Rosjanie mają dobre i mądre przysłowie: "człowiek uczy się całe życie i umiera dumnie".

- A słyszał pan, panie dyrektorze, że z dniem 1 stycznia 1949 roku Muzeum przejmuje Zarząd Miejski i w Muzeum ma pozostać tylko jedna osoba. Wielu towarzyszy z Zarządu Miejskiego proponuje mnie objąć stanowisko dyrektora Muzeum, ale jestem za skromny i za wyrozumiały, zdaję sobie sprawę, że w tym wypadku pan, będąc człowiekiem starym byłby skazany na poniewierkę i nędzę i właśnie dlatego odmówię przyjęcia stanowiska dyrektora, pójdę sobie do młyna na świetlicowego.

- Na razie jeszcze nic nie wiadomo, panie Józefie. Prócz Zarządu Miejskiego ma dużo do powiedzenia Ministerstwo, któremu podlegamy i skąd otrzymujemy subwencję.

W roku 1948 w Darłowie obchodzono uroczyste dożynki. Zarząd Miejski, szkoły, delegacje zakładów pracy spotkali pana wojewodę przy rogatce koszańskiej. Po śniadaniu w magistracie pan wojewoda w asyście starosty, władz miejskich, partii, bezpieczeństwa udał się na uroczystości dożynkowe do Darłówka.

Rozkazano mnie udekorować Zamek, otrzymałem na ten cel 3.500 zł - przy pomocy dwóch uczniów naszej szkoły - braci Kuryj - ozdobiłem ganek zamkowy zielenią, portretami i okolicznościowymi malowidłami. Po południu pojechałem do Darłówka by zameldować władzy, że muzeum jest przygotowane na przyjęcie dostojnego gościa.

W DarłóWKu było bardzo wesoło; rozbawiona publiczność tańczyła i śpiewała przed trybuną pana wojewody i jego świty. Burmistrz miasta, do którego z trudem dotarłem, powiedział, że niebawem całe towarzystwo wybierze się na obiad do Magistratu, że wizyta w Muzeum nikogo nie nęci. A więc na próżno dekorowałem zamek, na próżno wykaligrafowałem na całym arkuszu brystolu: "Witaj, drogi gospodarzu w starym Piastowskim Zamku".

Wracałem do domu rozczarowany, zły... Na ulicy Morskiej spotkałem czterech dobrze ubranych młodzieńców, przywitali się oni faszystowskim "Heil Hitler" i rozmawiali po niemiecku; słyszę zdanie: "Hast du woziwodę geschen?". Podchodzę do nich i pytam się kto oni są.

- Jesteśmy Polakami - odpowiadają.

- A dlaczego witaliście się ohydny "Heil Hitler"? Po co rozmawiacie po niemiecku i drwicie bezczelnie z naszej władzy?

- Bo nam się podoba. A co chcesz profesorze? Idź swoją drogą i nie zwracaj nam głowy - odrzekli podchmieleni łobuzy.

- Ale chłopcy tak nie można...

- Co nie można, dlaczego nie można? A może chcesz nas zadenuncjować?

Jeden z łobuzów, odchodząc warknął: "jestem D., mój ojciec jest członkiem komitetu PPR, ch... nam zrobisz profesorze.

Wkrótce po wizycie pana wojewody B. odbyły się wybory nowego komitetu PPR. Powiedziałem tow. D. pochodzącemu z Pomorza o zajściu z jego synem. Towarzysz D. zmartwił się, "cóż zrobić z nim, łobuz upił się i gadał głupstwa. Ile razy wyspałem mu porządnie i nic nie pomaga."

Po wyborach członkowie nowo wybranego komitetu utartym zwyczajem udali się z tow. starostą na kolację. Jeden z towarzyszy pokazał staroście dokument stwierdzający, że ów towarzysz w czasie okupacji należał do walczącej z okupantem organizacji chłopskiej, spotykał się kilkakrotnie z tow. B. zaś z tow. Z. "spał pod jednym kocem".

- A ile macie gruntu? - pyta go się tow. starosta.

- Posiadam 8 ha, ale chcę się zrzec tego majątku i poświęcić się całkowicie pracy partyjnej.

- Po co się macie zrzekać? - mówi starosta. - Weźcie sobie większe gospodarstwo, wszak zasłużyliście na to. Ja też chcę wystarać się o

jakiś domek w Darłówwku, mam żonę i dzieci, trzeba im zabezpieczyć dach nad głową.

Stary PPR-owiec Jarominiak zwraca się ironicznie do mnie:

- A wy, towarzyszu, macie grunt i domek na własność? A potem zwracając się do wszystkich współbiedniaków:

- Towarzysze, czy po to przyjechaliśmy na zachód, żeby stać się właścicielami domków, ogródków, koni, krówek, świnek? Nieco skonfundowany starosta Bogdan wyjaśnia:

- Macie w Darłówwku opuszczone jednorodzinne domki, dlaczego partyjniakowi nie wolno nabyć taki domek na własność? Posiadanie domku nie kompromituje członka partii. Polska jeszcze nie jest państwem socjalistycznym; w Sławnie, Darłowie i gdzie indziej bogacze, szabrownicy i spekulanci przywłaszczyli albo kupili za psie pieniądze piękne wille, domki z ogródkami. Czy nam peperowcom nie wolno mieć własnego kąta?

Marzenia tow. B. o własnym domku nie ziszczyły się; dotychczas nie stać go na domek z ogródkiem. Nie lepiej powodzi się towarzyszowi, który "spał pod jednym kocem z Zambrowskim", haruje uczciwie w aparacie partyjnym i chyba w ogóle nie marzy o własnym domku. Zaś poczciwy, bezinteresowny tow. Jarominiak zginął tragicznie przy pracy w roku 1952.

W październiku 1948 roku zmarł nasz poczciwy burmistrz Wachowiak. Delegacja partyjna wkroczyła do kościoła z czerwonym sztandarem. Na cmentarzu przemawiał ksiądz Bałakir, ze słów jego wynikało, że zmarły burmistrz był do śmierci wiernym synem kościoła katolickiego, wychował swe dzieci na dobrych, oddanych kościołowi katolików.

Po księdzu przemawiał starosta tow. B. Wbrew wypowiedzianym słowom księdza, tow. B. twierdził, że nieboszczyk był dobrym marksistą-leninowcem i wychował swe dzieci w tymże duchu. Towarzysz Wachowiak narobi chyba dużo ambarasu św. Piotrowi, był on dobrym katolikiem i dobrym marksistą. Może władcy tamtego świata załatwią jego sprawę kompromisowo; ani raj, ani piekło tylko terminowy pobyt w czyśćcu.

Niech ci będzie lekka, towarzyszu Wachowiak, ta nasza pomorska, przesiąknięta krwią naszych przodków ziemia.

W końcu 1948 roku K.W. w Szczecinie poleciło Komisji Kontroli Partyjnej w Darłowie skontrolować pod względem ideologicznym

towarzyszy nie uczęszczających na zabrania, uchylających się od szkolenia i zalegających w uregulowaniu składek członkowskich.

Wezwanych towarzyszy zasypywano gradem pytań z historii ruchu robotniczego, o Rewolucji Październikowej, o wojnie domowej w Hiszpanii itp.

Członkowie komisji starali się popisać swoją erudycją w tych sprawach i pognębić zacofańców. Na przykład tow. Z. pyta się tow. S. - drobnego kupca:

- Powiedzcie nam towarzyszu S. kto sprowokował wojnę domową w Hiszpanii?

Zapytany po namyśle odpowiada:

- Imperialiści amerykańscy.

- Dobrze. A teraz powiedzcie nam co to byli za panowie:

Franko, Mola, Jordana, Queipo de Lianca?

- Słyszałem tylko o Delanc, tak Niemcy nazywali Rosevelta.

- A może powiecie nam coś o Budionnym?

- Budionny? A jakże wiem kto to był; to właśnie on w roku 1920 zebrał różną hołotę i zdradziecko uderzył na Polskę, cała Lubelszczyzna i Małopolska pamiętają o jego wojsku.

- Niech Obywatel złoży u nas legitymację partyjną - rozkazuje kontroler - i do widzenia.

Potem wezwano tow. M. - starszego chłopca z poznańskiego.

- Towarzyszu - zwraca się doń jeden z kontrolerów - otrzymaliście dobre gospodarstwo po Niemcach; uczęszczaliście na zebrania dopóki nie otrzymaliście konika z UNRRy.

- A broniliście mnie jakem dostał trzy razy po pysku od Ruska w "Warszawiance"? - odpowiedział kontrpytaniem tow. M. - Było wtedy pięciu partyjniaków, a tylko trzech Rusków. Nie pytajcie mnie o nic więcej, bo nie chcę należeć do partii, co nie broni swych członków.

Obywatel M. złożył legitymację partyjną i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Następnym delikwentem był rybak w średnim wieku.

- Wiemy, towarzyszu N., że uczęszczacie na zebrania, orientujecie się świetnie w polityce, regularnie wpłacacie składki, lecz jak się okazuje często pijecie i po pijanemu wszczęliście awanturę ze spokojnym towarzyszem L., kompromitujecie waszym zachowaniem się partię, podkopujecie jej autorytet - powiedział tow. U.

- A wy nie chłacie i nie kompromitujecie partii? - odparł energicznie tow. N.

- Cały Komitet pił onegdaj u Basowej, nie brakowało tam dyrektora Ł. i profesora T. A kto wtedy śpiewał sprośne piosenki rosyjskie tow. F. , czy ja? Przyczepiliście się do uczciwego, ciężko pracującego robotnika o byle gównu, powiedzcie mnie towarzysze, kto w Darłowie nie pije? Nawet ksiądz T. popija, i to nie tylko ze swymi wierzącymi owieczkami lecz także z bezbożnymi urzędnikami bezpieczeństwa. Rzeczywiście powiedziałem szyprowi Ł., że jest wyzyskiwaczem, szabrownikiem, farbowanym lisem, nie zaś pepeerowcem, i wy to nazywacie awanturnictwem. Waszym obowiązkiem jest poskromienie tych panów partyjnych, a wy pijecie razem z nimi sprzedajecie się za litra wódki, załatwiacie z nimi różne nieczyste sprawy. A może chcecie, żebym wam złożył legitymację partyjną? Niedoczekanie wasze; ja wam legitymacji nie oddam, nie jestem gorszym od was i basta.

Aczkolwiek nie sprzedawałem się za litra wódki i nie załatwiałem brudnych spraw z szabrownikami i spekulantami, czułem się jednak zawstydzony i przygnębiony.

- Towarzysz N. ma rację. Nie jest on awanturnikiem, naganę powinien otrzymać Ł., a nie on. Nie mamy prawa odbierać legitymacji tow. N. - uczciwym partyjniakom legitymacji się nie odbiera. - powiedziałem smutnie.

Towarzysz N. z tryumfującym uśmiechem opuścił areopag.

Komisja Kontroli Partyjnej w Darłowie od tej pory faktycznie przestała istnieć...

Przeprowadzoną kontrolę, mimo akcentów humorystycznych, uważam za akcję pożyteczną, wydalono z partii ludzi przypadkowych, chętnych zysku, ideowo obcych. Na tym zyskała solidna i bojowa organizacja darłowska. Rybak N. słusznie skrytykował kontrolujących, kontratak rybaka miał dobry skutek; komitet zaniechał uczęszczania do knajpy in gremio, jak się praktykowało dotychczas.

W styczniu 1949 roku przyszła do muzeum grupa wstawionych partyjniaków. Wystawy ich nie interesowały, chodziło im o pogawędkę z kierownikiem na temat polityczny. Przede wszystkim starali się przekonać mnie, iż nie warto należeć do partii.

- Panie towarzyszu - mówi najinteligentniejszy wśród nich - jestem inżynierem z awansu społecznego, buduję mosty na Pomorzu, należę

do partii od roku 1945, ale zastanawiam się czy dobrze zrobiłem, zapisując się do partii. Jesteśmy wszyscy Polakami, powinniśmy kochać się wszyscy jak bracia, a partia właśnie w tym przeszkadza. Jestem proletariuszem z krwi i kości; ojciec mój całe życie pracował u Geyera w Łodzi i zapewniam pana, że wcale nam źle nie było. Doprawdy, żałuję, że nie poszedłem w ślady ojca.

- Nie rozumiem was, panie towarzyszu, wszak nikt wam nie przeszkadza pracować tak, jak ojciec w fabryce. Dlaczego budujecie mosty zamiast zasiać zgodnie z tradycją przy maszynie w jednej z tekstylnych fabryk w Łodzi? Dlaczego, panie towarzyszu nie odrzuciliście promocji i przyjęliście ten awans na inżyniera? Kto was zmusza należeć do partii?

- Byłbym głupi, gdybym odrzucił awans, wszak zarabiam razem z premią około 30.000 złotych miesięcznie, zaś przeciętny zarobek robotnika w Łodzi nie przekracza 17 tysięcy. Do partii należę tak sobie dla pucu; przecież towarzysz sam wie, że gdybym wystąpił z partii mógłbym stracić posadę. Kapuje pan starszy?

- A jakże, kapuję, dobrze kapuję, panie obywatelu.

- Ma pan może kieliszki, wódeczkę mamy ze sobą. Napijemy się co?

- Dziękuję, mam służbę, a w muzeum pić w ogóle nie wolno. Czas już na was, idźcie z Bogiem, panowie towarzysze!

Po odejściu "towarzyszy" skonstatowałem, że jeden z pijaków zbezcześcił stare cechowe puchary i zanieczyścił podłogę w sali "Biedermeier".

Na szczęście z takimi "towarzyszami" spotykałem się bardzo rzadko, ogromna większość partyjnych zachowywała się w muzeum wzorowo; pilnie słuchali moich objaśnień, interesowali się wszystkim, niektórzy robili notatki.

Józef Dokutowski zaczął pracować jako magazynier w Młynie Zamkowym. Od dnia 1 stycznia do dnia 1 maja 1949 roku pozostałem sam jeden; w tym okresie pomagali mi czasem w sprzątanii i odkurzeniu eksponatów chłopcy i dziewczęta naszej szkoły. Wszystkie dziewczynki były uczciwe, niestety nie można powiedzieć tego o wszystkich chłopcach, kilku wśród nich było miłośnikami "mienia narodowego".

Najwięcej awantur ze zwiedzającymi miałem latem w roku 1949. Tego lata prócz wczasowiczów i kolonii letnich do Darłowa przyjeżdżali goście z Mielna i Sarbinowa i to zawsze w godzinach wieczor-

nych, tj. po zamknięciu Muzeum. Woląłem i wolę mieć do czynienia z dziećmi i młodzieżą; dorośli czasem są opryskliwi, łatwo się obrażają. Oczywiście nie zawsze mam rację, z powodu zwiększonej frekwencji i braku wypoczynku jestem przemęczony, zdenerwowany i chyba przewrażliwiony.

Na przykład na początku lipca wchodzi do Muzeum grupa wczasowiczów z małymi dziećmi, prawie każde maleństwo zajadało bułkę z masłem lub szynką i usmarowanymi rączkami dotykali gabloty i inne obiekty.

- Proszę państwa - mówię do nich - woźna uprzedziła państwa, że w Muzeum jeść nie wolno, nie usłuchaliście jej, wepchnęliście się gwałtem i robicie bałagan; proszę spojrzeć do czego są podobne te gabloty, wszędzie są ślady tłuszczu i brudu. Proszę wyjść, niech dzieci zakończą śniadanie na dziedzińcu. Proszę zrozumieć, że nie jesteśmy w stanie wyczyścić 47 gablot dziennie, jest nas tylko dwóch.

- Człowieku, to przecież są dzieci - odpowiada jeden "kulturalny pan" - myślicie, że jestem pierwszy raz w muzeum? Byłem za granicą, zwiedzałem Louvre i szereg innych muzeów we Francji, Włoszech i Niemczech.

- No i ja!ł pan w tych Muzeach?

- A co to was może obchodzić? Jesteście tu po to, by zmywać i sprzątać po zwiedzających, za to wam płacą. Zresztą nie ma co gadać - nie wyjdziemy i już.

Zjawia się pewnego rana jedna pani, podaje mi banknot 1.000 zł i prosi o bilet wstępu.

- Proszę pani, jest dopiero godzina 10.00. Wczoraj pieniądze wpłaciłem do banku i nie mam w kasie ani grosza, więc nie mogę pani wydać reszty.

- Co też pan wygaduje? Co to za instytucja, która nie może wydać reszty z głupich 1.000 złotych? Niech pan wyśle woźną do sklepu, tam rozmienia.

- Woźna jeszcze nie skończyła sprzątanania. Niech pani chwileczkę zaczeka, akurat wchodzi wycieczka do Muzeum.

- Nie mam zamiaru czekać!

- Niech pani zwiedza, za bilet wpłaci pani później.

- Nie będę miała czasu, chcę wpłacić teraz. Niech pan mi konkretnie powie, wydaje pan resztę, czy nie?

- Nie! - odpowiadam kategorycznie.

- Grzecznością pan nie grzeszy.

Do biura wkracza majestatyczna, starsza, dorodna wilnianka i ratuje sytuację, tj. rozmieniła 1.000 złotych krewkiej toruniance.

- Daj już pani spokój temu panu, męczy się on biednieńki - uspokaja wylewna i dobrotliwa wilnianka tysiączłotową panią.

- Ach panie, jak mi pan przypomina kochanego marszałka Piłsudskiego - mówi do mnie Wilnianka. - A może pan z Wilna?

Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, pani z Wilna zaprosiła mnie na kawę.

- Dziękuję pani, spotkamy się wieczorem o godzinie 6.00 w Darłówku, ale co do podobieństwa z marszałkiem, to muszę panią rozczarować, podobny jestem do niego chyba z waśów i maciejówki, a gdybym, dajmy na to, zapuścił brodę to wyglądałbym raczej jak chłop białoruski.

- Hu już dobrze, pogadamy o tym jeszcze wieczorem, a póki co pan pozwoli, że mu zostawię pomarańczkę.

Dnia 25 lipca miałem wprost urwanie głowy, w dniu tym zwiedziło muzeum około 400 osób, pomagał mnie bezinteresownie były mój uczeń Kazio; nie tylko sale wystawowe lecz i biuro jest zaphane inteligencją pragnącą obejrzeć bibliotekę muzealną; nagle rozlega się dzwon, przybyła nowa wycieczka, proszę oglądających bibliotekę o chwilowe opuszczenie biura. Mam wartościowe książki i pieniądze - wpływ za bilety wstępu. Wszyscy opuścili biuro za wyjątkiem jednej pani, która wręcz oświadczyła, że biura nie opuści.

- W takim razie ja muszę panią tu przymknąć, pani chyba rozumie moje położenie; jestem odpowiedzialny za każdy obiekt Muzeum, na salach jest pełno ludzi i nie jest pożądanym, by w czasie mojej nieobecności wchodzili do biura.

Powiedziawszy to wyszedłem i zamknąłem krnąbrną panią w biurze, wpuściłem wycieczkę, objaśniłem ją, Kazio poszedł ją oprowadzać, a ja wróciłem do biura.

- Jak pan śmiał mnie zamykać? - mówi "przymknięta pani". - Pan nie wie, kto ja jestem, co za chamskie traktowanie zwiedzających.

- Nie wiem, kto pani jest i wiedzieć nie chcę - odciąłem się.

Dwie panie, które były świadkami zajścia wystąpiły w mej obronie.

- Po co pani tak męczy kierownika? I co to za dziwne powiedzenie "nie wiesz kto ja jestem". Panem Bogiem chyba pani nie jest.

Wyniosła pani trzasnąwszy drzwiami wyniosła się. Znowu dzwonią... Tego dnia miałem stanowczo pecha. Przemęczony i zdenerwowany pędzę po krętych schodach na dół, wpuszczam trzech panów i proszę ich o wytarcie obuwia o dwie wycieraczki; panowie "przeskoczyli" przez wycieraczki i zaczęli wycierać obuwie o dopiero w przeddzień umyte przez moją żonę schody z takim trudem.

- Ależ, proszę panów, są przecież wycieraczki, dlaczego zanieczyszczacie z takim trudem wyszorowane schody - powiedziałem dosyć ostro.

Jeden z panów obraca się i ryczy:

- Człowieku, to są profesorowie uniwersytetu. Trzy kroki wstecz.

Jeden z profesorów zdopingowany tym okrzykiem widocznie zaczął mnie strofować:

- Rzeczywiście, ten człowiek za dużo sobie pozwala. Kto was nauczył odzywać się do zwiedzających w ten sposób? Jesteśmy profesorami uniwersytetu, należy nam się szacunek.

- Nie uważam prośby o wytarcie nóg o wycieraczkę za brak szacunku - odparłem może nieco za gwałtownie.

Wtedy asystent panów profesorów znowu ryknął na mnie; "trzy kroki wstecz", a krewki pan profesor podniósł rękę i chciał mnie czynnie znieważać, lecz powstrzymał go jego kolega z siwą bródką.

- Ach, co za bezczelna bestia, ratuje go tylko sędziwy wiek. Ale ja mu tego nie daruję, jeszcze dziś napiszę na niego skargę do Sokorskiego - powiedział oburzony, bitny profesor.

Przypuszczam, że ci panowie byli chyba "podchmieleni", przyjechali bowiem arcywesołym statkiem "Panna Wodna".

Nigdy nie miałem podobnych zajść i kłopotów z dziećmi i młodzieżą. Letnią porą prawie co dzień pełno ich na podwórzu zamkowym. Jedzą cukierki, bułki z masłem i szynką, często rozdeptują te cukierki i rzucają niedojedzone bułki. (Sądzę, że nigdzie na całym świecie dzieci nie zjadają takiej olbrzymiej ilości cukierków). Przyglądam się z ganku konsumującej lub baraszkującej dzieciarni.

- Dzieci - mówię - zjedzcie wszystko, bo w muzeum jeść nie wolno, a kiedy skończycie pobierajcie papierki od cukierków i inne resztki i zanieście to wszystko do śmietnika.

I posłusznie dzieci po jedzeniu sprzątają dokładnie miejsca, na których konsumowały, raz, dwa i dziedziniec jest idealnie czysty. Miłe, kochane dzieci.

Wieczorem tego pechowego dnia spotkałem się w Darłowie na kawie z miłą, w starszym wieku wilnianką - doktorem C. Po kawie poszliśmy na molo i długo gawędziliśmy o Litwie, Wilnie i Petersburgu. Pani doktor C. całe życie opiekowała się biednymi dziećmi.

- Serce mi się kraje, gdy patrzę na biedne, nieszczęśliwe dzieci - mówi pani doktor. Będąc małym dzieckiem dostawałam od rodziców dziennie 10 kopiejek, rozdawałam je napotkanym małym żebrakom, a było tych nieszczęśliwców w Wilnie całe tysiące...

- Ja również całe życie czuję litość dla ubogich, pokrzywdzonych ludzi. Pamiętam, przyjechałem z dziadkiem z Litwy do Petersburga, gdzie mieszkali rodzice i starsze rodzeństwo; miałem wtedy chyba 5-6 lat. Dziadek po paru dniach odjechał do domu, a ja zostałem na kilka tygodni z rodzicami. Większość czasu spędzałem w kuchni z kucharką, z którą bardzo się zaprzyjaźniłem; razem obserwowaliśmy ruch na podwórzu, co dzień przychodzili handlarze i grajkowie. Zdrowy, brodaty chłop z olbrzymim koszem jabłek na głowie zachwalał swój towar: "Tiotki jabłoki, krym kija jabłek". Chłop z takim samym ogromnym koszem na głowie ryczał basem: "Ryba, świeżaja ryba", chałaciarz tatar wołał ponuro: "Chałat, chałat, jest chałat?", handlarz drzewnym węglem, z czarną twarzą i rękami wołał energicznie: "Tiotki ugołja, ugołja nada?". Dla odmiany kataryniarz: "Razłuka, ty razłuka" - chrypiała katarynka. Stary Polak, inwalida śpiewał: "Ty pójdiesz górą" i dziko krzyczał, a nie śpiewał rosyjską, żołnierską piosenkę "Sołdatuszki, brawy rebiatuszki". Brudny chłop z workiem wykrzywił komicznie twarz i tragicznie zawodził; "Kostiej, riapok, butyłok, banok, kałoszy rwany". Przystojny brunet z czarną bródką, ubrany w okropne łachmany kręci korbę przemawiając czule do nieszczęśliwej, zziębniętej małpki i od czasu do czasu rzuca zalotne spojrzenia ku oknom kucharek zasłuchanych w czarowną melodię "Fale Dunaju".

Otóż jednego dnia kucharka gdzieś się zapodziała, byłem w kuchni, na stole leżał rulon dwudziestokopiejek. Rzuciłem 20 kop. wykrzywionemu szmaciarzowi - złapał je i nic nie powiedziawszy opuścił podwórze, rzuciłem kataryniarzowi 20 kop., podziękował skinieniem głowy i długo grał "Razłukę"; rzuciłem 20 kop. Włochowi - złapał i rycersko z uśmiechem podziękował.

"Encore?" - pytam się - "Si Signore, ancora". Zacząłem rzucać 20-kopiejówki, a on szczęśliwie uśmiechnięty nie przestawał wołać "ancora".

Na podwórzu powstał straszny hałas, prócz Włocha zaczęli łapać 20 kop. dwóch oberwańców i stara żebraczka, zwana powszechnie "Wilcza Morda". Wtem wpadła do kuchni mamusia, wydarła mi pieńiądze i dała zdrowego klapsa. Tatuś dowiedziawszy się o wyrzuconych 7 rublach wygarbował mi skórę i wkrótce wyprawił mnie z powrotem na Litwę do dziadków...

Najgorsze są dla nas poniedziałki - dni generalnego sprzątnania. Ludzie nie chcą zrozumieć, że raz na tydzień trzeba dokładnie sprzątnąć sale wystawowe, wymyć trzy klatki schodowe, biuro, gabloty, wyprać chodniki itd. Ludzie wynajdują rozmaite preteksty, żeby im pozwolić na zwiedzanie akurat w poniedziałek. "Wpuść nas pan, bo jutro wyjeżdżamy i nie zobaczymy pańskiego muzeum", "Wpuśćcie nas dziś, wczoraj nie mogliśmy przyjść bo pogoda była cudowna, cały dzień byliśmy na plaży", "Wpuść nas pan, mieszkamy cztery lata i nie widzieliśmy Muzeum", "Wpuść nas pan, przyjechaliśmy z daleka żeby zobaczyć to Muzeum, a jutro wyjeżdżamy" itp.

Jednego poniedziałku młody, arogancki facet mówi do mnie:

- Wpuść mnie stary, jestem z "Głosu Szczecińskiego".

- W poniedziałki Muzeum nieczynne.

- Ale zrozum stary, jestem z "Głosu Szczecińskiego", jestem partyjny.

- Żadnych przywilejów nie uznaję.

- Co nie wpuścisz? Czekaj no stary, ja ci podstawię stołka; napiszę artykuł w dzienniku i możesz być pewny, że wylecisz z posady. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. Poszedł ty k... m... łachudro jedna, - odpowiedziałem bubkowi mieszaniną polsko-rosyjską.

Poniedziałek. Sprzątam razem z woźną zaśmiecone podwórze, wtem podchodzi do nas grupa młodzieńców uczesanych w "mandolinę", jeden z nich klepie mnie poufnie po ramieniu ze słowami: "Otwieraj teściu, chcemy obejrzeć te twoje skarby".

- Ręce precz. Ubrałeś się po amerykańsku i masz amerykańskie maniery, a mnie to się nie podoba, poszukaj sobie odpowiedniejszego teścia. A do muzeum możecie przyjść jutro, dziś sprzątamy.

- No to żegnaj teściu, i pozdrów megerę teściową, pa dziadziuniu.

Poniedziałek. Godzina 6 wieczór; kończymy sprzątanie. Ktoś dzwoni; otwieram drzwi, wchodzi młoda, przystojna panienska: "Ja chcę tylko powiedzieć panu parę słów, może zajdziemy do biura".

W biurze panna (chyba nieświadomie) rozpięła pas szlafroku i ku memu skrajnemu zdziwieniu skonstatowałem, że panienska poza szlafrokiem nie miała nic na sobie... Zażenowany odwróciłem się i zapytałem czego ona sobie życzy.

- Przyjechałam z Wrocławia i nudzę się okropnie, panu chyba też nudno wieczorami, a ja bardzo współczuję takim starszym panom, a więc zapraszam pana na brydża. Mieszkam tuż przy Muzeum u p. Basowej, mam bardzo ładny, przytulny pokoiik.

- W brydża gram rzadko, ta gra mnie bardzo wyczerpuje, czuję się po brydżu osłabionym, a to źle, bo w sezonie mam bardzo dużo pracy. Przed wojną miałem lżejszą pracę, byłem młodszy, wtedy grywałem często w brydża z Amerykanami, Francuzkami i Włoszkami; zdarzyło się w latach trzydziestych zagrać nawet z Murzynkami. A więc dziękuję pani; jestem przemęczony i nie mogę skorzystać z jej zaproszenia. Zresztą w Darłowie nie brak brydżystów i każdy z nich chętnie skorzystałby z zaproszenia tak miłej i przystojnej osoby.

Poniedziałek. Koniec lipca 1947 roku. Muzeum sprzątnęliśmy w niedzielę wieczorem. Chcieliśmy skorzystać z wolnego dnia wybierając się na grzyby, podobno pełno ich w lesie koło Jarosławia; ach, tak lubię grzybobranie. Za czasów mej młodości na Litwie wyjeżdżano na grzyby wozami, taka mnogość była tych grzybów. Lecz zanim wyruszyłem wpadła do muzeum delegacja ze Słupska z wiadomością, że za 2 godziny przyjedzie do Muzeum wycieczka dzieci polskich z Francji, którzy spędzili jeden miesiąc kolonii letniej pod Ustką. Grzybobranie diabli wzięli. Trzeba było przygotować się na przyjęcie tych "Francuzików".

Tuż przed ich przybyciem zdążyłem wywiesić ogromny plakat z napisem: "Witajcie kochani, młodzi przyjaciele" i po francusku: "Soyez les bienvenus nos chers petite amis", a w myśli złorzeczę: "Nie mogliście, psiakrew przyjsć jutro", wszystko dla bachorów, a o starych wcale nie dbają, gdzież te upoczoł starikam?, powinni raczej śpiewać "Starikam tuda im i doroga (na cmentarz) mołodym wiezzdzie u nas poozot".

Przybyli moi "Francuziki", wycieczka liczyła razem 92 osoby w tym 80 "Francuzów" i 12 naszych z Koszalina. Przemówiłem do nich po

polsku i po francusku (niektórzy z nich zapomnieli już mowę ojców), opowiedziałem o tragicznych przeżyciach, męczarniach w czasie okupacji narodu polskiego, o naszym Pomorzu, o Zamku Piastowskim, potem dopiero wprowadziłem do sal wystawowych.

W sali Audiencyjnej jeden 12-letni chłopiec z Koszalina zaczyna mnie:

- Pan cały czas przeklina hitlerowców i chwali Polaków, Francuzów i Rusków. A te rzeźby, co pan tu masz, kto im poutrać nosy i uszy? Może nie Ruskie, co?

- Może Ruskie, może szabrownicy nasi, mniejsza o to; to są drobnostki. Przecież wiesz synku, że nie możemy chwalić hitlerowców - katów Polski.

- Nam za Niemców nie było źle, tatuś miał sklepik w Toruniu, a jak Ruskie przyszli, to tatuś musiał cały rok się chować.

- Widocznie twój tatuś był Niemcem, skoro miał sklep w Toruniu?

- Wcale nie. Mój tatuś jest Polakiem, był tylko eingedeusent, on Niemców nie lubił, ile razy nam opowiadał jak przed wojną łąził bezrobotny po Niemcach. Jednego razu - mówił tatuś - szedł gdzieś do fabryki zapytać o pracę, a dokumenty miał na lipe, a tu patrzy idzie naprzeciw żandarm, więc tatuś skrecił z drogi i przykucnął na łące - pan już wie co on udawał. A żandarm do tatusia: "Papiere", a tatuś odpowiada: "Besten Dank, Herr Gendarm, es gibt Gras genug". Koszaliński smyk przetłumaczył to Francuzom, a ci serdecznie uśmieł się z tego starego dowcipu.

- Powiedzcie mi, mili przyjaciele - zwracam się do Francuzów - co mówią o hitlerowcach i Rosjanach wasi rodzice i Francuzi tam w Lens, Douai, Bethune, Lilie etc.

- U nas wszyscy, tak Polacy jak i Francuzi nienawidzą Hitlera, a Rosjan uważają za przyjaciół; o u nas więcej komunistów niż w Polsce.

- Jestem pewny, że tak myślą nie tylko robotnicy z Nord, i Pas de Calais, lecz olbrzymia większość Francuzów; zgadzam się również z wami co do ilości komunistów we Francji. Nie zapominajcie chłopcy, że w walce z hitleryzmem, w walce o wyzwolenie naszego Pomorza Rosjanie i Polacy wspólnie przelewali krew.

Po zwiedzeniu Muzeum dzieci odśpiewały hymny: polski i francuski. Wcale nie żałowałem, że z powodu dzieci musiałem zrezygnować z grzybobrań; byłem zadowolony, iż przed wyjazdem z Polski zwiedziły nasz Zamek - świadectwo polskości Ziemi Darłowskiej.

W dniu 4 sierpnia 1949 roku siedem luksusowych samochodów zjechało przed "hotel Sass". W muzeum miałem pełno dzieci, oprowadzałem ich po salach skrzydła wschodniego, nagle zaczęto wściekle dzwonić, lecę na dół i na ganku krzyczę na całe gardło: "prześcieście dzwonić psiakrew, nie jestem głuchy. Myślicie, że prócz nóg mam jeszcze skrzydła, co za niekulturalny naród".

Spojrzałem na dzwoniącego - był nim pan Minister Sokorski. Wpuszczam tych panów, pan Minister wszedł ostatni i szeptem poinformował mnie, że przyjechał nie byle kto, tylko panowie Berman, Radkiewicz, Borkowicz z małżonkami i świętą bezpieczeństwa - razem około 20 osób. Dygnitarze zachowali się bardzo grzecznie i skromnie, a przecież nawymyślałem im od "psiakrew". Muzeum sprawiło na nich dobre wrażenie. Odprowadziłem ich po zwiedzeniu do bramy zamkowej, a wracając ujrzałem przed sobą piękną, ślicznie ubraną 4-5 letnią dziewczynkę; dygnęła i nieśmiało zapytała: "To pan jest tu królem?".

- Tak moje dziecko, rozmawiasz z królem we własnej osobie, Dziewczynka obejrzała mnie od stóp do głów i radośnie i dumnie rzekła:

- Powiem wszystkim w Kaliszu, że widziałam króla, będą mi zazdrościć.

Zrobiła jeszcze raz reverence i odeszła.

- Ach jakże, mają czego zazdrościć - pomyślałem sobie. Wchodzę na ganek i rzucam dumne królewskie spojrzenie na moje posiadłości; pod gankiem bujał się zapamiętałe na kotwicy 5-6 letni chłopiec - obdartus.

- Złaż mi z kotwicy, bo możesz się skaleczyć; no już cię nie ma.

Chłopczyk zlażł niechętnie z kotwicy, zadarł główkę w górę, obdarzając mnie nienawistnym, pogardliwym spojrzeniem i ze słowami: "Dziad, kulwa twoja mać" powoli odszedł. "No, no - myślę sobie - co za rażące przemiany w moim życiu, od korony do torby w ciągu niespełna 5 minut",

Dzdzysty wieczór dnia 7 sierpnia 1949 roku; jest godzina 19.00. Na dziedziniec zamkowy wjeżdża grupa rowerzystów w wieku od 17 lat do 20 lat i hałaśliwie domagają się wstępu do muzeum. Jestem już w swoim mieszkaniu, nie mogę znieść tego piekielnego hałasu, otwieram wychodzące na dziedziniec okno i zaczynam energicznie tłumaczyć, iż jest za późno i proszę ich o opuszczenie dziedzińca. Jeden z

urwisów, przyglądając mi się złożył pobożnie ręce na piersi, nadał swej twarzy wyraz śmiertelnego przestachu i głośno, drżącym głosem zawołał:

- Wszelki duch Pana Boga chwalił.

Potem zmienił pozę, teatralnym gestem podniósł rękę do góry i wykrzyknął: "Patrzcie, bracia szlachta, Radziwiłł, Radziwiłł!".

- Dziadku - pyta się drugi nicpoń - czy pamiętasz swego kolegę Onufrego Zagłobę?

Po nim odezwał się jeszcze jeden z szajki: "Na kompana Zagłoby jest za młody, bo liczy sobie dopiero 100 latek. Ten dziadek na pewno był w I Brygadzie.

Po tych słowach grupa wsiadła na rowery i rycząc; "Pierwszą Brygadę" odjechała.

W pierwszej połowie sierpnia przybyła do Muzeum wesoła grupa podchmielonej, wileńskiej inteligencji. Po obejrzeniu ekspozycji towarzystwo wstąpiło na pogawędkę z kierownikiem do biura. Jedna pani w starszym wieku, wpatrując się w portret marszałka Rokossowskiego mówi ironicznie:

- Ach Kostia, Kostia, czy myślałeś kiedyś, że będziesz marszałkiem Polski. Szczęściarz z ciebie Kostia. No cóż, trzymaj się bo sudba igrajet czełowiekim - dodała po rosyjsku, potem skierowała swój wzrok na Bolesława Bieruta i ironizuje;

- Ech Bolku, Bolku, ty skromny wiejski chłopaku, czy pamiętasz swoje gąski i krówkę? Podobno byłeś rewolucjonistą mając lat 7; byłeś pono w szkole powszechnej postrachem nauczycieli Moskali, wodzirejem i organizatorem strajków szkolnych. A czy ty, Bolku kochany, nasz czcigodny Prezydencie, nie sprzeniewierzyłeś się ideałom, które głosiłeś mając lat 7 ? Podobno za bardzo zbliżyłeś się do Moskali; trzymaj się Bolku. Och, tijażela ty szapka manomacha - dodała po rosyjsku podchmielona pani z Wilna.

Odpowiedziałem dowcipnej podchmielonej pani:

- Proszę pani, Rokossowski jest świetnym dowódcą, bohaterem, Bierut jest skromnym, uczciwym człowiekiem, nieugiętym bojownikiem o los pracujących, zasługują oni na szacunek. Pani "dowcipy" są nie na miejscu.

- Niech się pan nie gniewa, pożartować chyba wolno, ale dlaczego chce pan być plus catholique que le Pape? - odcięła się podchmielona pani Wilnianka.

Dnia 15 sierpnia, godz. 18.00. zamknąłem Muzeum i chciałem iść do Darłówka nad morze, ale za bramą ujrzałem wczasowiczów wysiadających z dwóch autobusów, przybyli z Mielna i Sarbinowa. Cóż robić? Trzeba im umożliwić zwiedzenie Muzeum. Podczas wprowadzania podchodzi do mnie milicjant i prosi o udanie się na 5 minut do posterunku MO. Proszę go o poczekanie, tłumacząc się obecnością gości, milicjant odszedł, lecz po chwili zjawiał się znów i powtórzył swoją prośbę, odpowiedziałem, że stawię się na Milicji po opuszczeniu Muzeum przez zwiedzających. Mija kilka minut, milicjant cierpliwie czeka, ale zjawiał się nagle urzędnik bezpieczeństwa i kategorycznie zaprosił do samochodu.

- Rzućcie wszystko, jesteście potrzebni, zamknijcie zwiedzających, niech sobie oglądają, za 10 minut wszystko załatwimy i wtedy ich wypuscicie.

Przeprosiłem gości, prosiłem ich zachować ciszę i porządek, powiedziałem, że wracam za 10 minut.

W milicji zastałem dwóch elegancko ubranych panów, przybyłych w luksusowym, zagranicznym aucie. Tych panów - brytyjskiego i szwedzkiego wojskowych attaches z Warszawy - zatrzymali nasi wopiści z powodu przekroczenia zabronionej strefy nadgranicznej. Trzeba było spisać protokół. Kapitan WOP z Koszalina zadawał pytania, a ja tłumaczyłem ich wypowiedzi na polski.

- Czy panowie wiedzieli, że znajdują się w strefie zabronionej? - pyta kapitan WOP.

- Nie wiedzieliśmy - odpowiadają dyplomaci. Szwed jest dumny, surowy. Anglikowi zaś nie schodzi z twarzy rozbrajający uśmiech.

- Proszę panów - mówi uśmiechnięty Anglik - przed wyruszeniem w tę podróż byliśmy w MSZ, tam nas poinformowano, że możemy wybrać dowolną trasę, nic absolutnie nie mówiono o jakiejś "strefie zabronionej". Doprawdy nie wiemy z jakiego powodu nas zatrzymano.

- Ależ my panów nie zatrzymujemy, my tu stwierdzamy tylko fakt, że panowie podróżowali w strefie niedozwolonej.

- Sądymy, iż tak jest w każdym państwie cywilizowanym, miarodajnym jest w tych sprawach MSZ, nie zaś władze lokalne, lub straż pograniczna.

Dyplomaci notują swoje wypowiedzi, ja czynię to samo. Ta słodko-kwaśna, towarzyska pogawędka trwała około pół godziny. Zupełnie zapomniałem o zamkniętych gościach w Muzeum. Podaję milicjan-

towi klucz i proszę go żeby jak najszybciej biegł do Muzeum i zwolnił uwięzionych.

Za chwilę powrócił milicjant wręczając mi kluczę melduje, że w Muzeum nikogo nie ma.

Po spisaniu protokołu w języku angielskim kapitan prosi panów dyplomatów o podpisy.

- Nie podpiszemy - oświadcza Szwed.

- Podpisać nie możemy - oświadcza rozbrajająco uśmiechnięty Anglik. - Proszę zrozumieć, iż nie wolno nam podpisywać żadnych dokumentów bez porozumienia się z naszymi placówkami dyplomatycznymi.

Wracam do domu. Przy otwartym oknie siedzi żona i płacząc skarży się sąsiadce:

- Za co go aresztowali? Służy wiernie Polsce Ludowej, jest jej całym sercem oddany...

- Już jestem. Nie płacz, wszystko w porządku, byłem w milicji w sprawie służbowej. W jaki sposób zwiedzający wydostali się z Muzeum?

- Wśród nich gruchnęła wieść o twoim aresztowaniu - mówi żona - w obawie przed możliwymi komplikacjami wycieczkowicze na łeb, na szyję powyłazili oknami i pospiesznie odjechali.

Idę pozamykać pootwierane okna, a tu patrzę stoi oparty o siatkę odgradzącą ogródek, 15-16 letni chłopiec i zalewa się łzami, obok niego stoi dziewczyna w studenckim berecie i zalotnie się śmieje.

- Co tu się dzieje, dlaczego płacze ten chłopiec? Dziewczyna mruga na mnie i odpowiada wesoło:

- To mój narzeczony, jest co prawda małego wzrostu, ale ma już 16 lat. On mnie bardzo kocha, za dwa lata się pobierzemy, prawda Leszku?

- Idź ty bezwstydnico, powiem o wszystkim mamusi - zobaczysz.

- No, no bezwstydnica, a dlaczego całowałaś mnie w ogrodzie i podarowałaś mnie pierścionek?

- Idź ty krowo! - wykrztusił, szlochając chłopiec.

- Acha, krowa, a jeszcze wczoraj wieczór pieściłeś mnie w ogrodzie i nazywałaś swoją złotą Basią !

- Poczekaj ty, kobyło jedna, zaraz pójde i opowiem wszystko mamusi.

Chłopiec rycząc w niebogłosey poszedł do domu, dziewczyna śmiejąc się do rozpuku, podążyła za nim.

Dnia 23 sierpnia 1949 roku idę do Darłówka, sezon jest na ukończeniu, we wrześniu wyjadę na urlop, trochę wypocznę, jest mi jakoś weselej. Stoję samotnie na molo, patrzę w bezkresną dal i rozmarzony zaczynam śpiewać marynarskie piosenki:

"Sjöman ölskar havets vög...".

Na próżno śpiewając staram się wskrzesić obraz Sztokholmu - zapomniałem.

Śpiewam "Swet sheet and flowing sea" i nie mogę wzbudzić pamięci Londynu, myśli lecą na krótko ku dalekiej surowej Kanadzie.

Dosyć tej północy, niech myśli moje wędrują na Południe, za którym tak tęsknię.

"Raskinułoś morie sziroko i wołny buszujut w dali..." Śpiewając tę piosenkę przypomniała mi się Odessa, Primorskij Bulwar, Deribasowskaja, teatr, Langeron, Bolszoi Pontan. Przypomniałem sobie jesień roku 1919, pieszą wędrowkę z Odessy do Polski.

Zaśpiewałem "Quand on est matelot, on est toujours sur le sud" i przed moimi stęsknionymi za południem oczyma zamajaczyła piękna, zawsze wesoła Marsylia; zdawało mi się, że stoję na schodach dworca Saint Charles i spozieram na miasto, bulwary, korsa. Stary Port, Notre Dame de la Garde..., nagle zrywa się mistral i płata figle tej świątyni; ugina się, chwieje Notre Dame, a mistral nadal szaleje... Śpiewam dalej: "Voila les gars de la marine..." i wzbudzam w pamięci wizje dalekiej przeszłości: portowe miasta francuskie, włoskie, hiszpańskie nad przepięknym Morzem Śródziemnym.

No dosyć do diabła tych wspomnień; rozczulam się niepotrzebnie. Pójdę, rąbnę sobie starym zwyczajem porządnego kielicha i wrócę do chałupy. Powiedziano - zrobiono, wychyliłem duży kielich wódki, wziąłem dwie bułki z szynką, butelkę piwa i wyruszyłem w powrotną drogę na przełaj przez łąkę. Na łące samotnie paśla się czarna jałówka o białych nogach. Usiadłem obok jałówki, zjadłem jedną bułkę, drugą zżarła z apetytem jałówka, wypilem pół butelki piwa, resztę dałem jałowce - wysączyła butelkę do dna i liznęła mnie w twarz. Objąłem ją za szyję ze słowami: "Mojaś ty... z łąk darłowskich pierwsza krasawica" i wyruszyłem do domu. Jałówka szła za mną. Skręciłem na szosę - ona za mną. Z początku mnie to bawiło, a potem zaniepokoiłem się, starałem się ją odpędzić na próżno.

Jałówka nie chciała ustąpić i uporczywie kroczyła za mną szosą do miasta. Wracający z plaży wczasowicze pytają się: "To pańska jałóweczka, panie kustoszu? Ach co za śliczne stworzenie! "

- Tak moja, t j. właściwie nie moja, a sąsiadów - płacząc się zażenowany.

Przyspieszyłem kroku - jałówka też. Zboczyłem do parku - jałówka za mną. Idzie naprzeciwko chłopiec, wsunąłem mu w rękę parę złotych i proszę go by zatrzymał natrętą jałówkę - chłopak urwał gałąź z drzewa i zagroził jej drogę. Pospiesznie wracałem do miasta uradowany, że nareszcie pozbyłem się natrętnego zwierzęcia. Lecz radość moja trwała krótko, jałówka wydarła się chłopcu i popędziła za mną, za chwilę mnie dopędziła. Na szczęście zaczynał się seans w kinie, wszedłem do kina, zamykając za sobą drzwi, a jałówka stanęła przed drzwiami i ani rusz. Ledwie zdążyłem kupić bilet, a tu wpada znajoma pani z wczasów ze słowami: "Jałóweczka pana kustosza stoi przed drzwiami, co za mądre stworzenie".

- Rzeczywiście, jest tak mądra jak pani - mruczę złośliwie - zaraz ktoś po nią przyjdzie - mówię ni w pięć, ni w dziewięć.

Po tej głupiej przygodzie przestałem chodzić do Darłówka przez łąkę.

Przed rozpoczęciem roku szkolnego 1948/1949 pan dyrektor i ja otrzymaliśmy wezwanie do Wydziału Oświaty K.W. w Szczecinie. Poszliśmy razem na dworzec, kupiłem sobie bilet do Szczecina i mówię do p. Ł. "no jedziemy panie Dyrektorze".

A pan Dyrektor już ma bilet do Gdańska. Muszę jechać na operację do kliniki w Gdańsku, zdarłem się doszczętnie w tej szkole - powiedział p. Dyrektor. Od tej pory więcej pana dyrektora nie spotkałem, dowiedziawszy się później od mojej siostrzenicy pani Marii B. - nauczycielki w Bartoszycach, że pan Ł. pracował pewien czas w szkole T.P.D. w tym mieście. Dyrektorem naszej szkoły został pan N. Wykładałem nadal język angielski, ten język był wtedy nadobowiązkowy, nauczycielem języka rosyjskiego - przedmiotu obowiązkowego był pan I.

Otóż jednego razu przychodzi do mnie uczeń Kazik W., pochodzący z Nowogródzczyzny, dosyć dobrze władający językiem rosyjskim i skarży się na pana profesora.

- Panie profesorze, mieliśmy wczoraj dyktando - pokazuje mi swój zeszyt. Napisałem: "Kogda padał doжд my spriatalisj pod dubem", a

pan profesor poprawił "pod dubym", a zamiast spriałalisj napisał czerwonym atramentem: "schowalisj". Czy on się nie myli, panie profesorze?

- Tak Kaziu, on się omylił, ale ty także się omyliłeś. Po rosyjsku mówi się: "doźdzj idiot", a nie "padajet".

- Pozwoliłem sobie zwrócić uwagę panu profesorowi, że po rosyjsku mówi się "toczka", a nie "krapka" i nie "spajka" tylko "sojuz". Czy miałem rację, panie profesorze?

- Tak miałeś rację.

- A dlaczego pan I. oburzył się i powiedział do mnie "Ty Kaziu milcz, bo nic nie umiesz, nie mądrz się, dostałeś trójkę i bądź zadowolony".

- Niestety nie wiem dlaczego tak p. profesor powiedział - odpowiedziałem pokrzywdzonemu Kaziowi.

W roku 1951 uczelnię naszą przekształcono na Zasadniczą Szkołę Zawodową, język angielski skasowano. W latach 1950-51 przyjeżdżała do mnie na angielski część uczniów klas 10 i 11 ze Szkoły Ogólnokształcącej w Sławnie; ich "Anglik" odjechał na dalsze studia do Poznania. A więc w roku 1951 zakończyłem swoją działalność pedagogiczną.

Z dniem 1 stycznia 1950 roku Muzeum w Darłowie upaństwowiono, od tej pory do dnia 1 stycznia 1958 roku podlegało placówce zwierzchniej - Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie.

Dnia 15 marca 1950 roku pojechałem na naradę roboczą do dyrekcji Muzeum Pomorza Zachodniego. Na tej naradzie dostałem nagane od pana dyrektora mgr M. za udzielanie wywiadów dziennikarzom. Po naradzie udałem się do Wydziału Kultury i Oświaty w WRN; tam otrzymałem od pana G. rzeźbę Utecha, przedstawiającą olbrzymią głowę pogrążonego w zadumie mężczyzny.

W księgarni w Alei Wojska Polskiego kupiłem "Noce i dni" Marii Dąbrowskiej. Z książkami i figurą, która zaczynała mi porządnie dokuczać, wstąpiłem do restauracji, usiadłem w kąciку, a ciężką figurę "myśliciela" postawiłem obok przy oknie. Baranicy i kozucha nie zdjąłem, bo byłem zgrzany i bałem się przeciągów. Knajpiarskim zwyczajem w bufecie tuż przed półkami wisiał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, przed obrazem świeciła się czerwona lampka. Zamówiłem kawę i kieliszek wódki. Siedzący przy sąsiednim stoliku

robotnik, wilnianin obserwował mnie, kręcąc głową, a po chwili przemówił;

- Ech, ty kułak, kułak. Wyzyskiwałeś przed wojną klasę robotniczą i teraz jesteś kułakiem wyzyskiwaczem, nie nauczyła cię moresu nasza socjalistyczna Polska Ludowa; siedzisz w czapce jak poganin, przytaszczyłeś jakiegoś diabła, a tu przecież wisi obraz Przenajświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej. Zdejmże czapkę kułak, stary grzeszniku. Ach warto by ciebie razem z tym bałwanem zaprowadzić na milicję. Patrzcie obywatele, tu mamy święty obraz, a ten stary kułak nic sobie z tego nie robi; z pewnością jest wrogiem naszej socjalistycznej ojczyzny.

Nie zwracałem uwagi na podpitego rodaka, czapki nie zdjąłem. "Mądra bestia - myślę sobie - i wilk syty i owce całe".

Wypiłem pospiesznie kawę i podążyłem na dworzec. W pociągu zacząłem czytać "Noce i dni", im dalej czytam, tym więcej czaruje mnie to wspaniałe dzieło, nie mogę oderwać się od lektury, pochłaniam stronicę za stronicą, zapominając o wszystkim na świecie.

"Biedna pani Barbara, biedny pan Bogumił, biedny, kochany Piotruś" - komentuję głośno.

Wtem słyszę, jakiś rozbawiony jegomość woła:

- Ej, dziadku Piotrze, wysiadka.

- Czy już Sławno - pytam zaskoczony.

- Gdzie tam Sławno; jesteśmy już w Słupsku, pociąg dalej nie jedzie. Masz ci los. Spojrzałem na rozkład jazdy - mam całe cztery godziny do odjazdu pociągu w kierunku odwrotnym.

Znów zagłębiłem się w lekturze. W drodze powrotnej zamknąłem książkę i zacząłem zastanawiać się nad nazwiskiem "Katelba"..

Rzeczywiście, psiakość, tu coś nie tego... zacząłem kombinować: "Katzelbach", "Gatselbach", "Cattebug", "Chatelbeau", "Katalbagh", "Katelbeg", "Kat-el-bab",...

Moje rozważania przerwał głos konduktora na peronie:

"Sławno". Łapię książkę, "bałwana" i podążam ku wyjściu; w wagonie tłok, z trudem przebrnąłem przez ludzką masę, ale zanim zdążyłem wyskoczyć mój "bałwan" rozkleił się i rozpadł na dwie części. Wysiadłem z połową "bałwana", pociąg już ruszył; biegnę za pociągiem i rozpaczliwie wołam: "wyrzucicie prędzej drugą połowę bałwana".

Jeden z panów wyrzucił drugą połowę sponiewieranego "Myśliciela" ze słowami: "masz pan swój skarb, urznąłeś się dziadku, a może brakuje ci coś tu? - zakończył, wskazując na czoło.

Przywlokłem do Muzeum kalekę "Myśliciela", zdarłem sobie do krwi ramiona, pozostawiłem "bałwana" na stole w biurze, skaleczony przyglądałem się z nienawiścią skaleczonemu "bałwanowi".

"Ty cholerna Katelbo" - powiedziałem ze złością. Zmęczony, z zakrwawionymi ramionami usiadłem w krześle i zacząłem drzemać. Obudził mnie telefon, zdejmując słuchawkę słyszę głos jakiejś dziewczyny: "351?".

- Pomyłka, proszę pani, tu Muzeum - 151.

- A ma pan sznur? - pyta się dziewczucha.

- Co takiego, sznur, a po co?

- Powieś się pan - powiedziała bezczelna uganiaczka za żołnierzami. Zrozumiałem dobrze, że chodziło jej o jakiegoś żołnierza, była sobota, więc dziewczucha chciała umówić się z chłopcem na randkę. Ale co jej zawiniłem, winę ponosi przecież sama, powinna nauczyć się nakreślać właściwy numer.

Po pewnym czasie dziewczucha znów się omyliła, ale tym razem nie dałem się tak głupio nabrać; na pytanie czy masz sznur? rezolutnie krzyknąłem: "słuchaj no dziewczucho, gdybym miał sznur powiesiłbym cię niechybnie w tych ruinach, gdzie co sobota tłuczesz się z żołnierzami. Od tej pory pytanie o sznur nie powtórzyło się.

W maju 1950 roku zorganizowałem "Koło Miłośników Muzeum" składające się z 4 chłopców w wieku od 13 do 16 lat, niedługo jednak cieszyłem się z ich pomocy; "miłośnicy" po kryjomu wynieśli z Muzeum album z niemieckim zbiorem "Notgeld" i stary zabytkowy karabin. Odebrałem te rzeczy, a "miłośników" wypędziłem na cztery wiatry.

Po upaństwowieniu Muzeum zaczęły się wędrowki moich eksponatów po różnych wystawach i wystawkach. Wypożyczanie eksponatów, moim zdaniem jest plagą prawdziwą naszego muzealnictwa.

Ile cennych obiektów naniszczono i zagubiono w tych wędrowkach. Pożyczyłem starosłowiańską popielniczkę na wystawę do Szczecinka i więcej jej nie oglądałem; stłuczono ją tam. Pożyczyłem dwadzieścia dwa obiekty z Etnografii na wystawę rolniczą do Sławna, na trzy tygodnie, po trzech miesiącach otrzymałem wypożyczone obiekty z

Koszalina, niektóre z tych obiektów zwrócono w stanie uszkodzonym. Muzeum opiekuńcze w Szczecinie zażądało przekazania mu tzw. "Kluki Pomorskiej". Miał ją zabrać pan dyrektor D. Spróbowałem się sprzeciwić:

- Panie doktorze, nie mogę wręczyć panu "Kluki" bez odpowiedniego pisma Muzeum Pomorza Zachodniego. Jako kierownik Muzeum w Darłowie muszę bronić interesów naszego muzeum. - Powiedziałem panu D.

- Co, nie da pan? - mówi zdziwiony pan doktor.

- Nie dam - odpowiedziałem kategorycznie. Dr D. odjechał do Szczecina. Po paru dniach otrzymuję od pana Dyrektora ze Szczecina naganę: "Dlaczego obywatel nie wręczył doktorowi D. "kluki"; co myślał Obywatel, mówiąc: "muszę bronić interesów Muzeum w Darłowie?" Rozkazuję Obywatelowi wysłać natychmiast "klukę".

Po wysłaniu "Kluki" otrzymałem rozkaz wysłania akwareli Kuske "Tkaczka", potem nasze darłowskie krosna, cep, grempie, szmaciaki, tkaninę darłowską; obiekty te dyrekcja wypożyczyła na wystawę; po pewnym czasie przekonałem się, że dyrekcja Muzeum "Opiekuńczego" wyżej wymienione eksponaty przywłaszczyła. Moją biedną "Klukę" zamknięto w piwnicy, bo na wystawę się nie nadawała.

- Oddajcie mi chociaż tę klukę - proszę dyrekcji - przecież jest u was zmagazynowana, dla naszego Muzeum jest to ciekawy eksponat, przecież ta kluka jest typowo kaszubskim reliktem i nie ma nic wspólnego z regionem szczecińskim.

Młoda panienska (a już magister) pokazuje mnie klukę z przywiązaną do niej etykietką z napisem: "MPZ nr inwent. N". Pan dyrektor obiecał przychylnie załatwić sprawę tej kluki, tj. zwrócić ją prawowitemu właścicielowi - Muzeum w Darłowie, lecz kluka ta później w ogóle zginęła bez śladu.

Gdzie ty kluczysz kluko moja, moja kaszebko kochana?

A te ciągle wędrówki obrazów Kamockiego? Pewnego dnia dostaję zawiadomienie z kolei o nadejściu przesyłki dla Muzeum.

Wynajmuję chłopca i jadę na dworzec; na peronie leżały obrazy Kamockiego bez opakowania, ramy połamane, część obrazów zadrapana, zabłocona. Przed wysłaniem do Darłowa obrazy były zapakowane w tekturę i powiązane drutem.

"Chodźże, kochany profesorsze, na sianko - mruczę, układając obrazy na chłopskim wozie - skrzywdzili cię i sponiewierali muzealnicy

Polski Ludowej; przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią". Przed likwidacją wystawy kazałem zrobić dwie solidne skrzynie, zadowolony byłem, że przynajmniej na pewien czas obrazy te nie będą leżeć na peronie bez opakowania, jak to miało miejsce w Darłowie.

Z dniem 1 lipca 1950 roku zaczęła pracować woźna - Herta Parnow. 23-letnia Herta mieszkała razem z chorą matką, bratem i ciotką w oddalonej o 9 kilometrów od Darłowa wsi Dąbki (Nova Rjeka). Stary ojciec Herty, były rybak pracuje pod Hanowerem. Dziewczyna ukończyła 7 klas Volksschule, mówi dobrze po polsku, jest przystojna, grzeczna, delikatna i bezwzględnie uczciwa; w wolnych chwilach czyta klasyków niemieckich, polskich, rosyjskich, czyta również po polsku i to dosyć dobrze;

najwięcej interesują ją listy czytelniczek w "Przyjaciółce" (może dlatego, że to można najłatwiej zrozumieć). Robi codziennie na rowerze 18 kilometrów.

- Czy wiesz Herto, że masz czysto słowiańskie nazwisko; mamy w Polsce tysiące Parnowskich.

- Wiem - odpowiada skromnie dziewczyna - moja babcia mówiła, że naszymi przodkami byli Pomoranie, a Neuwasser w starych czasach nazywała się Nova Rjeka, a babcia nazywała to "dobra woda". Nie wiem dlaczego przemianowano Nową Rzekę na Dąbki. Nazwę tę powinna otrzymać sąsiednia osada rybacka Damkerort. Rosjanie twierdzili, że Parnow, Krucków, Tarnów, Burow, Bucków itp. są nazwami rosyjskimi. Niektórzy z nich przy pierwszym zetknięciu się z nami myśleli, że jesteśmy emigrantami rosyjskimi, że udajemy Niemców. Ale, proszę pana, my jesteśmy Niemcami, pozostały nam tylko nazwiska słowiańskie po naszych przodkach Pomoranach. Nie wszyscy Niemcy mają takie nazwiska, chyba tylko mniej więcej trzecia część.

- Z pewnością macie żal do Polaków i Rosjan?

- Przyznam się, że tak. My wiemy, co wyrabiał z Polakami ten barbarzyńca Hitler ze swoim gestapo. Nasi chłopci i rybacy na ogół byli przeciwnikami Hitlera; w naszej wsi był tylko jeden członek NSDAP, nieznaczną część młodzieży należała do HJ i BDM. Ani moi rodzice, ani ja nie wierzyliśmy, co o was pisali hitlerowcy, ojciec wyjeżdżając w roku 1944 do Hamburga powiedział żebyśmy w żadnym przypadku nie opuszczały Dąbek. "Bądźcie spokojne, nic wam Rosjanie złego nie zrobią" - twierdził ojciec. Wiemy, że więk-

szość Polaków i Rosjan są porządnymi ludźmi. Najgorzej męczyło nas przeeksponowanie, ciężkie skrzynie, szafy, gabloty dźwigaliśmy sami.

Za niemieckich czasów na strychach mieściły się magazyny ; latem przybyła kontrola i kazała nam w przeciągu 5 dni opróżnić strychy. Pracowaliśmy we trzech, ja, moja żona i Herta. Schody wąskie, strome, kręte, namęczyliśmy się okropnie.

We wrześniu 1950 roku byłem na miesięcznym kursie ideologicznym dla pracowników muzealnych w Szklarskiej Porębie. Prelegenci przyjeżdżali z Warszawy, byli zmęczeni podróżą, czasem spóźniali się, z tego powodu mieliśmy sporo wolnego czasu, spacerowaliśmy po Średniej Porębie, wypuszczaliśmy się często do Górnej Poręby, łaziliśmy po górach. Kierownikiem kursu był młody, łagodny tow. Ł.

Najsurowszym wykładowcą była tow. K. Pewnego razu jedna z koleżanek, pani K.Ł. w czasie wykładu narzekała na swego woźnego:

- Proszę pani - mówi pani K.Ł. - mój woźny należy do partii, umie grać na trąbce i jest w zespole muzycznym przy magistracie. U nich tam ciągle jakieś uroczystości, więc mój woźny więcej trąbi niż pracuje w muzeum. Nareszcie zgiewało mnie to wszystko, powiedziałam, że nie puszcze go więcej na to trąbienie, a on usiadł i zaczął płakać, żal mi się go zrobiło, zwolniłam go na 1 godzinę. Mija, proszę pani godzina, druga, trzecia, czwarta, mój woźny maszeruje w pochodzie i trąbi. Wychodzę na ulicę i rozkazuję mu by natychmiast wrócił do pracy, a on nawet na mnie nie spojrział, tylko trąbił maszerując po mieście. Idę do Komitetu Partii; siedzi tam jakiś dudek, podobno sekretarz...

- Jak pani śmie nazywać sekretarza partii dudkiem! - przerwała jej pani K. - Potem, co to za stosunek do woźnego partyjniaka? Jego udział w pochodach jest ważniejszy od pracy w muzeum. Będę musiała wyciągnąć odpowiednie wnioski z zachowania się pani.

Zastraszona pani K.Ł. zamilkła, a myśmy po wykładzie starali się uspokoić i udobruchać zdenerwowaną i oburzoną prelegentkę, tłumacząc jej, że woźny, były restaurator wstąpił do partii dopiero po likwidacji restauracji.

Towarzysza Ł. - kierownika kursu - odwiedziłem w roku 1951; mieszkał on z rodziną pod Warszawą, w willi położonej w lasku i ogrodzonej ze wszystkich stron drucianą siatką.

- Zarabiam około 7 tysięcy miesięcznie, bo prócz posady mam prace zlecone. Praca jest przyjemna, wszyscy mnie szanują i lubią, jestem bardzo zadowolony.

- Tak, towarzyszu, nasza kochana Polska Ludowa dba o ludzi pracy, wszyscy dobrze zarabiają, wszyscy są zadowoleni; warto żyć w takim kraju, nie prawda towarzyszu - powiedział tow. Ł.

- Tak, warto żyć i pracować dla naszej Polski Ludowej. Chociaż co do zarobków, to oczywiście nie wszyscy dobrze zarabiają, u nas woźna zarabia tylko 450 złotych, a sprzątaczką 360 zł miesięcznie.

- Ja nie lubię tych co narzekają, u nas wszystkim dobrze - powiedział nachmurzony tow. Ł.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć tow. profesorze; ja mam 700 zł miesięcznie, moja kobieta też pracuje, narzekać nie mogę i zazdrościć wam nie powinienem; zdaję sobie sprawę, iż tow. profesor jako partyjny naukowiec przyczynia się 10 razy więcej do budowy socjalizmu w naszym kraju, niż ja, skromny urzędnik, lecz przyznam się szczerze, że gdybym zarabiał 360 zł miesięcznie byłbym narzekał.

Długo gawędziliśmy z tow. Ł. na różne tematy, ale pogawędkę naszą przerwała nagle małżonka pana profesora:

- Gdzie się podziała nasza M.? - pyta przerażona pani Ł.

Powstał straszny rejwach, ojciec jak oparzony zerwał się z krzesła i krzyknąwszy "Oj, gdzie ona jest!" wyleciał jak szalony z willi.

Po chwili uradowani rodzice przyprowadzili małą delikwentkę do domu. Okazało się, że ich córeczka podeszła do ogrodzenia i rozmawiała z jakąś umorusaną dziewczynką, może ten obdartus przez siatkę dotknął ich ukochanego dziecka, maleństwa, a to jest przecież niebezpieczne, bo sporo dzieci choruje na Heinemedina.

Małą, milutką M. umyto, posmarowano jej rączki jakimś lekarstwem, zmienili jej ubranko.

Wypiliśmy z gościnnym tow. profesorem po kieliszku i rozmowa potoczyła się dalej.

W połowie grudnia 1950 roku personel muzeum (trzy osoby) zajęty był spisem z natury, do Muzeum weszli młody oficer i szeregowiec. Oprowadziłem ich po wystawach skrzydła basztowego, zwiedzali bardzo dokładnie, a mnie się spieszyło do spisu, więc skierowałem ich do prehistorii i wróciłem na miejsce pracy.

Po kilku minutach zwiedzający przychodzą do nas i proszą ich wypuścić; "cudowne rzeczy ma pan w muzeum - mówi oficer - ale nie-

stety spieszy nam się bardzo, przyprowadzę tu w niedzielę całą kompanię".

Wypuściłem ich, jakimś dziwnym zdawał mi się ten pośpiech, poszedłem obejrzeć Dział Prehistorii i skonstatowałem kradzież pierścionka z okresu Rzymskiego; złodziej otworzył gablotkę wytrychem. W tym przypadku kradzieży winę ponoszę ja: lekkomyślnie zaufałem złodziejowi w mundurze, oficera puściłem w samopas. Może oficer chciał zaimponować tym pierścionkiem jakiejś dziewczę, wydając go za sygnet rodowy. Wiadomo przecież, że chorujemy na wielkopaństwo. Jest u nas modnym przyczepianie do pięknych ludowych nazwisk sufiksu "ski", albo nieuzasadnione dublowanie spółgłoski "l" w nazwiskach litewsko-białoruskich (Kozieł, Osieł, Kocieł etc.). Rozmnożyły się również w sposób zadziwiający, zwłaszcza po drugiej wojnie światowej, nazwiska arystokratyczne: Branicki, Lubomirski, Zamoyski, Sapieha etc.

Dnia 20 grudnia miałem trzy wycieczki; przed południem były dzieci polskie, zdaje mi się z Jeżyc; po południu dzieci rosyjskie i niemieckie. Szkolnictwo niemieckie powstało w roku 1949, od tej pory zaczęły się wycieczki niemieckie.

Udzielałem objaśnień po niemiecku. Wśród nauczycieli niemieckich spotykałem ludzi wykształconych i kulturalnych, ale były to raczej wyjątki; większość tych nauczycieli i nauczycielek posiadali tylko niższe wykształcenie. Większość młodzieży niemieckiej nie uczęszczała do szkoły od roku 1944 i była nieco zdziczała (verwildet).

Wracam do wycieczek w dniu 20 grudnia. Mali obywatele i obywatelki radzieccy uważnie wysłuchali moich objaśnień w języku rosyjskim, zwiedzając sale wystawowe zachowali porządek i absolutną ciszę; jedna z dziewczynek chciała dotknąć zbroję z XVI wieku, ale stojący obok niej chłopczyk ostrzegł surowo: "Nie trogaj, dzieduszka nie wielit" (Nie rusz, dziadek nie pozwala).

Te miłe, mądre i czyste dzieci miały od 6 do 10 lat. Mały chłopczyk Grisza trzymał mnie cały czas za rękę i wciąż mnie napastował: "Dziadek Mroz, jesteś przecież Russkij, opowiedz nam bajeczkę". Nareszcie mówię:

- Nie synku, nie jestem Russkij, ale to nic nie znaczy, lubię was bardzo, bajeczki są długie, a czasu mało; chodźcie wszystkie do mnie bliżej, powiem wam wierszyk.

Otoczony dzieciarnią zacząłem:

"Nie wietier buszujet nad borom,
Nie z gór pobieżali ruczji,
Moroz wojewoda dazorom,
obchodit władienja swoi..."

Skończyłem, a dzieci prosili: "jeszcze, dziadku, jeszcze. ...".

Czułem się szczęśliwy, bo zrobiłem przyjemność małym przyjaciołom.

Mniej więcej po godzinie przyszli mali Niemcy z Palcewic; przyjąłem ich tak samo serdecznie jak polskie i rosyjskie dzieci. Zaczął padać śnieg, po zwiedzeniu wystaw stanęliśmy na ganku, ubrany byłem w filcowe buty i kozuch, wiatr targał moje ogromne, zaśnieżone wiechy. Ku uciesze dzieciaków zacząłem deklamować:

"Von draussen, von Walde komme ich hier,

Ich muss euch sagen es weihnachtet sehr"

Potem gawędziłem z nauczycielką i dziećmi. Między innymi zapytałem ich czy wiedzą, kto to był Goethe. Dzieci odpowiedziały:

"Johann Wolfgang Goethe jest największym niemieckim poetą."

- A kto z was wie, kiedy on się urodził? Zaległo chwilowe milczenie, a potem jedna dziewczynka o "praniemieckim" nazwisku - Malotki, nieśmiało mówi: "urodził się w roku 1749".

- Omyliłaś się trochę, moje dziecko - mówię niepewnie. "I po co się pytam - zarzucam sobie - jeżeli sam dokładnie nie wiem, kiedy on się urodził?" Stawiam to pytanie szepem nauczycielce, a ona zarumieniła się i skofundowana szepce:

- Ach, wiedziałam przecież, lecz zapomniałam. Ach mein Gott.

Zwracam się znów do Malotki:

- Słuchaj Malotki, moja kochana malutka, ja tylko požartowałem, odpowiedziałaś dobrze, jesteś mądrą dziewczynką. Powiedz moja malutka, czy masz mamusię i tatusia?

- Tatusz zginął w Rosji, mamusia była przed wojną pianistką, ale reumatyzm pokreślił jej ręce. Obecnie pracuje w PGR jako dojarka - odpowiedziała smutnie Malotki.

Na odchodnym dzieci zaśpiewały bardzo ładnie: "Am Brunner vor dem Thore" - Schuberta.

Latem 1951 roku odremontowano Kaplicę Zamkową i pobielono wapnem kilka sal. Pracowaliśmy po tym remoncie po 16 godzin dziennie, całą robotę wykonaliśmy bezpłatnie sposobem "gospodar-

skim". Nałykaliśmy się kurzu, czyszcząc zabryzgane wapnem olbrzymie okna Kaplicy Zamkowej.

Na jesieni roku 1951 zachorowałem na ostre zapalenie woreczka żółciowego, pogotowie zabrało mnie do szpitala w Sławnie.

Podreperowany wróciłem na Boże Narodzenie do domu, lecz po dwóch tygodniach podczas spisu z natury znów nagle zachorowałem. Tym razem doktor po zbadaniu powiedział żonie, że mam chore nerki i... raka. Na szczęście w Sławnie uznano tę diagnozę za niecisłą. Dr Granisz stwierdził ponowne zapalenie woreczka żółciowego z pewnymi niebezpiecznymi komplikacjami.

Ten doktor, wspaniały człowiek, po trzech miesiącach postawił mnie na nogi. Dużo pomogła mi również troskliwa i dobra siostra zakonna Gonzaga, o której należy powiedzieć, że rzeczywiście ma Boga w sercu.

Pewnej nocy po zastrzyku penicyliny usłyszałem jak jedna siostra powiedziała szeptem do drugiej: "On już nie pociągnie długo". Właśnie po tych słowach siostry poczułem się od razu lepiej i wbrew przepowiedni zacząłem szybko się poprawiać. No ale kochane siostry, mogę wam powiedzieć na pocieszenie, że mam już 73 lata, chyba długo nie pociągnę; co się odwlecze, to nie uciecze.

Wróciłem ze szpitala strasznie osłabiony, ale lekki, ważyłem tylko 45 kg.

Latem zdarzają się często wypadki zanieczyszczenia podwórza zamkowego. Obok wejścia do mojego mieszkania znajdują się schody do piwnicy. W czasie działań wojennych piwnica służyła za schron, więc wejście do piwnicy przypomina bunkier. Wąską przestrzeń między "bunkrem" a moim mieszkaniem niechluję uważają za dogodną dla załatwiania potrzeb fizjologicznych. Częstokroć, wychodząc rano z mieszkania znajdują tuż przed drzwiami ohydne ślady załatwiania się. Latem w biały dzień, niektóre matki zaprowadzają w to - jak im się zdaje ustronne miejsce - małe dzieci celem wypróżnienia się.

Spędziliśmy z żoną wiele lat za granicą, nigdzie czegoś podobnego nie widzieliśmy. Ten z... interes doprowadzał nas do rozpacz. Zdaje mi się, że lato roku 1952 było pod względem "wypróżniania się" na podwórzu i pod drzwiami naszego mieszkania rekordowym. Może zresztą tak nam się tylko zdawało, bo byłem po chorobie i bardzo zdenerwowany. Ileż to razy użeraliśmy się z niechlujnymi babami.

- Co pani robi - krzyczę jak wariat - dlaczego pani pozwala załatwiać się swym dzieciom przy drzwiach, przecież o parę kroków stąd są tereny "niczyje"?

- Niech mi pan dzieci nie straszy, zrozum pan, że to są małe dzieci, nie mogę pozwolić, żeby mi narobiły w majtki - odszczeknęła baba. Powiedziawszy to zwraca się do dzieci: "róbcie kupki, nie bójcie się, niech se krzyczy, a wy róbcie swoje".

- A gdybym ja to zrobił pode drzwiami pani, jak by pani na to zareagowała?

- Jeżeli nie masz pan wstydu to możesz zrobić. Odczep się pan narzecie, bo dzieci się denerwują. "Róbcie kupki, róbcie prędko kupki" - uspokaja dzieci.

Innym razem miałem do czynienia ze starszym chłopem. Jadłem obiad, przy otwartym oknie wychodzącym na podwórze, gdzie bał się 6-letni chłopczyk sąsiadów. Nagle chłopczyk wesoło zawołał "widzę coś, widzę coś".

- Cóż ty widzisz mój Andrzejku? - pytam się.

- A jeden pan sra w Muzeum - odpowiada wesoło chłopczyk. Wyleciałem jak oparzony na podwórze; przy samych drzwiach wejściowych załatwiał się przykucnięty chłop.

- Wciągnij portki, psia krew i idź precz za bramę, tam są tereny "niczyje" - ryczą jak oszały.

- Kiej nie mogę, mam rżnięcie jak cholera.

- Wynoś się stąd bydlaku, bo cię odstawię na milicję.

- Powiedział żem nie mogę, milicją nie strasz, bo się jej nie boję; może chciałbyś żebym nawalił sobie w portki.

- Musisz to sprzątnąć, brudasie jeden !

- Nie pyskuj, bo jak ci zajadę w tę wąsatą mordę to przekoziółkujesz. Patrza no ludzie, nie wolno się wysrać.

Nareszcie rozzłoszczony chłop wciągnął portki i odszedł klnąc na czym świat stoi "zasrany porzundek"...

Dnia 16 sierpnia 1952 roku zwiedzał Muzeum pan Władysław Broniewski z małżonką. Państwu Broniewskim towarzyszyło dwóch członków K.W. w Koszalinie.

Miałem wrażenie, że powszechnie znanego poetę rewolucjonistę krępowała obecność towarzyszy z K.W. Jednocześnie z panem Broniewskim zwiedzały Muzeum dzieci z przedszkola.

Wychowawczynie przedszkola, młoda dziewczyna rozmawiała cały czas z jakimś kawalerem, pozostawione sobie, rozbawione dzieci trochę hałasowały. Towarzyszka z K.W. zwracała parę razy uwagę wychowawczynie żeby pilnowała swych pupilków, nauczycielka odcięła się; wtedy towarzyszka czując się obrażoną prosi mnie bym wylegitymował niesforną wychowawczynię.

Odpowiedziałem jej szeptem:

- Towarzyszko, w muzeach nikogo się nie legitymuje, legitymowanie zwiedzających byłoby kompromitacją muzealnictwa i co właściwie tak oburza towarzyszkę? Wiem, iż tow. Broniewski jest bardzo skromnym i wyrozumiałym, pewny jestem, że kocha serdecznie te trochę hałaśliwe dzieciaki.

W międzyczasie drugi towarzysz pobiegł do biura i zatelefonował do sekretariatu partii, że dzieci "demolują" Muzeum. Wybryk tego towarzysza przypomniał mi bajkę Kryłowa "Pustynnik i Miedwied".

Udało mi się wreszcie przywrócić porządek zakłócony z tak błahego powodu.

W tydzień po wizycie tow. Broniewskiego miałem zaszczyt rozmawiać ze słynnym sędziwym sławistą profesorem N. z Warszawy:

- Panie profesorze - zwracam się doń - mam tu na tablicy "Ptasie wesele" po połabsku. Otóż mam wątpliwości co do jednego słowa w końcu tekstu - lis mówi: "Ruzplastaite co mują paizdą, bundę wosa daisko". Czyli po polsku: Rozprujcie /rozplatajcie/ moją p... będę waszym pożywieniem /jadłem/. Sądzę panie profesorze, że chodzi tu o pezo /roś. puzo/ a nie o p...

- Tak, tak, p... Przypuszczalnie ten tekst pochodzi z XVI wieku, wtedy piosenki słowiańskie obfitowały w jędrne, soczyste słówka ch..., d..., p... itp.

Niesamowicie brzmiały te słówka w ustach sędziwego czcigodnego pana Profesora.

Później znalazłem tłumaczenie tej piosenki na górną i dolno-łużyckie, po łużycku ten wyraz brzmiał "brjuch". A więc miałem rację: "paizda" znaczy "pezo", roś. "puzo" /brzuch/. A zresztą, kto wie, może i p...

W końcu lata przyjechał z dyrekcji ze Szczecina pan Wilczkiewicz i zawarł umowę z mularzem Kowalskim o odnowienie trzech klatek schodowych za 2.100 zł.

Pracę tę Kowalski i jego pomocnik wykonali za trzy dni. A my personel Muzeum, tj. moja żona i Herta musieliśmy doprowadzić do porządku zalane wapnem klatki schodowe; trzeba było zmyć nie mniej nie więcej tylko 100 stopni, a wodę trzeba było dźwigać z dołu.

Po trzech dniach tej piekielnej harówki mieliśmy wszyscy skaleczone ręce, Herta od tej pory zaczęła narzekać na serce, żona przewróciła się z pełnym kubłem wody i skaleczyła ręce i nogi, mnie znów zaczęła dolegać wątroba.

Pan Kowalski po zakończeniu zleconej pracy przedstawił mi rachunek na zł 3.600,-.

- Co to za rachunek, panie Kowalski? - pytam się go. - Ja tego rachunku podpisać nie mogę. Zgodziłeś się pan wykonać pracę za 2.100 zł, a żądasz aż 3.600. Wykonałeś pan tę pracę za trzy dni, zarobiliście po przeszło 1.000 zł, a wie pan, ja zarabiam 700, złotych miesięcznie, moja żona tylko 500 zł, myśmy po wykończeniu pańskiej roboty szorowaliśmy przez trzy dni schody, nasza praca była 10 razy gorsza i cięższa. Spójrz pan na moje ręce! Za naszą pracę nie dostaniemy ani grosza.

- A co mnie to obchodzi, że masz pan skaleczone ręce i pracujesz bezpłatnie. Żądam za swoją pracę 3.600 złotych i już! Nie wiem dlaczego nie chce pan podpisać rachunku, przecież nie płacisz pan ze swej kieszeni!

- Nie panie Kowalski, tego rachunku nie podpiszę!

- Nie podpiszesz pan. Dobrze! Mam pana gdzieś. Jutro pojedę z tym rachunkiem do Dyrekcji w Szczecinie, nie potrzebuję pańskiej łaski.

- Proszę bardzo! - mówię bezradnie rozkładając ręce. Po paru dniach o godzinie 19 dobija się ktoś do Muzeum.

Wychodzę na ganek i widzę wstawionego p. Kowalskiego. Pytam się go czego sobie życzy, a Kowalski na to:

- Skrzywdziłeś mnie, panie kierowniku, w Szczecinie otrzymałem tylko 2.000 złotych. Dlatego właśnie piję!

- A pij pan sobie na zdrowie!

Kowalski zataczając się z lekka odchodzi. Nazajutrz o tej samej godzinie znów się zjawia i woła: panie Kierowniku, skrzywdziłeś mnie, dlatego piję!

- A pij ta se na zdrowie, kochany majstrze! Potem jeszcze trzy razy zjawiał się o tej samej porze Kowalski, wygłaszał swoje: "Piję, bo mnie skrzywdziłeś!" i odchodził, z lekka się zataczając.

Nareszcie przyszedł trzeźwy i bardzo delikatnie powiedział:

- Panie Dyrektorze kochany, skończyłem z pićciem, zabrakło mi forsy. Cofam swoje oskarżenie, bo w rzeczywistości nie pan mnie skrzywdził, lecz sam siebie skrzywdziłem.

Potem po krótkiej pauzie:

- Panie dyrektorze, mój dobrodziejcu, macie może jakąś robotę?

- Panie Kowalski, pan jest człowiekiem starszym, pracowałeś kiedyś w Kijowie; pamiętasz pan to powiedzonko rosyjskie o malarzach: "Ch... li nam malaram, dien rabotam, dwa gulam". Otóż postępujesz pan według tej zasady. Szkoda pana, jest pan dobrym majstrem, ale właśnie za dużo tego "gulam". Przyjdź pan za dwa tygodnie; muszę namówić pana administratora z Dyrekcji na remont przeciekającego dachu nad gankiem.

Z tymi remontami mam wiecznie zmartwienie. Kapitalny remont zamku przeprowadzili Niemcy w latach 1929-1933. Od tego czasu wykonuje się li częściowe remonty - prowizoria. Najgorzej przedstawia się sprawa z dachami. Na wybrzeżu mamy specyficzne warunki atmosferyczne; jesienią i wiosną mamy gwałtowne burze i wichury, wyrządzające poważne szkody. Wtedy drzę noce i dnie ze strachu o całość dachów i szyb w oknach. Kanalizacyjna instalacja jest stara i wymaga ciągłej naprawy; często pękają rury, zalewając pomieszczenia muzealne. Zasadniczo remonty i naprawy mają wykonywać firmy uspołecznione, do inicjatywy prywatnej zwracać się można tylko w wypadku odmowy firmy uspołecznionej.

Lecz firmy nie zawsze odmawiają, owszem przyjmują zlecenia na remont, a potem czekaj tatka latka! W wielu przypadkach, gdy chodziło o drobny remont, opłacałem dobrego fachowca z prywatnej inicjatywy z własnej kieszeni.

Dnia 30 listopada o godzinie 18.00 wpada do biura tow. Urbaniak z Muzeum Pomorza Zachodniego.

- Przywiozłem panu wystawę radziecką; mam 25 dużych skrzyń na dwóch ciężarówkach. A gdzie są towarzysze z partii, którzy mają nam pomóc z wyładowaniem skrzyń? Komitet Wojewódzki ze Szczecina nie porozumiał się z Komitetem partyjnym w Darłowie, mamy otrzymać sześciu towarzyszy do pomocy.

Telefonuję do komitetu, ale na próżno, nie ma tam nikogo, a jutro niedziela, komitet zamknięty! Szofer nam pomógł wyładować cięż-

kie skrzynie z samochodów i odjechał. Zostaliśmy z tow. Urbaniakiem sami, przemęczeni, spoceni.

- Czy macie trochę gotówki, towarzyszu? Moglibyśmy wynająć parę robotników z młyna, sami nie damy rady, a skrzynie przecież nie mogą pozostać całą noc na dworze pod deszczem.

- Nic nie mam, towarzyszu, musimy tę pracę wykonać sposobem gospodarskim.

Otworzyliśmy jedną skrzynię i zaczęliśmy wyciągać ciężkie plansze, przedstawiające "Plan Pięcioletni Związku Radzieckiego" do Kaplicy Zamkowej.

- Po cholere wy to przywieźliście, przecież ta wystawa nie jest aktualna, ten plan pięcioletni już dawno wykonano.

- A czy to nie wszystko jedno!, ciągnijmy dalej i już, taki mamy rozkaz pana Dyrektora.

- Ale te olbrzymie plansze nie zmieszczą się w kaplicy, jak będzie wyglądała ta wystawa!

Tu podeszła do nas moja żona, spojrzała na naszą robotę i wybuchnęła:

- Przestań Olek, bo się zmordujesz! i do tow. Urbaniaka: Czy Dyrekcja ma chociaż trochę sumienia. Któż to widział, żeby stary, chory człowiek musiał dźwigać tak ciężkie plansze; dlaczego M.P.Z. nie ma na ten cel żadnych funduszy, a inne Muzea Okręgowe mają. Pan też jest przemęczony, rzućcie to wszystko i chodźcie na kolację, w nocy kolejno będziemy pilnować tych skrzyń, a jutro może ktoś nam pomoże.

Po nieprzespanej nocy przystąpiliśmy w niedzielę do pracy, nikt nam niestety nie pomógł prócz słabej Herty. Młody i silny tow. Urbaniak wciągał cięższe plansze, my z Hertą lżejsze, mimo to tak byłem zmęczony, jak nigdy w życiu. Ostatnia najcięższa plansza przedstawiała Józefa Stalina, wciągamy ją we trzech.

- Uf, do cholery ciężkiej!

- Spokojnie towarzyszu - hamuje mnie uśmiechnięty i zziąjany Urbaniak.

- Przecież powiedziałem tylko o tej planszy... Z 79 plansz, stanowiących całość wystawy udało się ustawić tylko 24. Przyglądam się krytycznie ansambłowi wystawy i sugeruję tow. Urbaniakowi:

- Dlaczego ustawiliście Dojarkę obok Miasakombinatu. Precz z nią, można by ustawić ją obok Agromiasta, ale dziewczyna ma obdrapa-

ny nos; nie możecie zaprzeczyć, że uszkodzono ją w Szczecinie, a nie w Darłowie, musimy to zaprotokółować. Proponuję więc usunięcie jej z wystawy. Obok Agromiasta ustawimy Świniarkę, zaś przy Mięso kombinacie Owczarza w kaukaskim stroju.

- Uważam towarzyszu - oponuje Urbaniak - że tak Świniarkę jak i Owczarza należy ustawić obok Mięso kombinatu.

- Ależ zrozum człowieku. Mięso kombinat ma powstać na Kaukazie, a co tam jedzą, a szaszłyk, kochany towarzyszu, szaszłyk z baraniego mięsa!

Zachwycony tym wprost nieodpartym argumentem tow. Urbaniak ze słowami: "ale macie kepełę" przestawił plansze według mych wskázówek.

Niewystawione plansze ułożyliśmy na podłodze, jak również 25 olbrzymich, próżnych skrzyń. Po tej piekielnej pracy zacząłem znów szwankować na zdrowiu.

W końcu stycznia 1953 roku po powrocie z narady robotniczej w Dyrekcji M.P.Z. znów zachorowałem na wątrobę; atak trwał przeszło 12 godzin, tym razem zastrzyk morfiny podziałał zaspokajająco. Po trzech tygodniach pojechałem do Sławna na prześwietlenie. Zaczęto prześwietlać o godzinie 19.00. Pierwszeństwo miały dzieci i kobiety, czekałem przeszło 2 godziny. Ostatni pociąg do Darłowa odchodził o godzinie 20.20, po prześwietleniu nie miałem się gdzie podziąć i znajomi doktorzy pozwolili mi przenocować w dyżurce w Dziale Chirurgicznym. Przez trzy tygodnie odżywiałem się tylko kielkiem, zaś ostatnie 24 godziny przed prześwietleniem nie jadłem nic. Znajoma pielęgniarka W. poczęstowała mnie chlebem i herbatą; chleb był czymś posmarowany.

Rano poszedłem na dworzec, wykupiłem bilet do Darłowa; do odejścia pociągu pozostawało jeszcze 15 minut i tu nagle zaczął się atak. Po pół godzinie zabrano mnie pogotowie do szpitala, tam czekałem w korytarzu pół godziny na wolne łóżko. Młoda pielęgniarka S. ze wstrętem odwracała się od cierpiącego, jęczącego dziada.

Nareszcie zaprowadziła mnie do zimnego pokoju, w którym brakowało szyby i kazała mi się przebrać; atak trwał, drżałem na całym ciele, posadzka lodowato zimna. Z trudem rozebrałem się i włożyłem szpitalną koszulę; do pokoju weszła poczciwa sprzątaczką Piotrusia i patrzy ze zdziwieniem na mnie. Znałem tę dziewczynę z poprzednich pobytów w szpitalu.

- Kto tu zaprowadził pana, panie Tarnowski? Tu jest zimno jak w lodowni, wszyscy chorzy przebiegają się w ciepłej sali, jakże można chorego człowieka wypychać do tej lodowni! Chodź pan ze mną, łóżko już jest gotowe.

Na salce mieści się 10 łóżek, dwa duże okna wychodzą na północ, podłoga betonowa, ze ścian leje się woda, kaloryfery grzeją słabo, w małym ustępie na zimnym korytarzu ciągle kolejka; na 20 osób jeden, ciągle psujący się sedes, umywalnia mieści się w nieogrzewanym pokoju - magazynie, wanny nie ma.

Zamiast dobrego doktora Granisza urzęduje tu sztywny dr H. Wizyta jego trwa 15 minut. Moimi sąsiadami są Wiceprzewodniczący P.R.N. pan Caban i ślusarz z Darłowa pan Kosmalski. Podczas jednej z wizyt stary Kosmalski, chory na ischias skarży się doktorowi na wilgoć w sali:

- Panie doktorze, dlaczego chorych na ischias i reumatyzm umieszcza się na tej samej sali wilgotnej, zimnej, pozbawionej słońca. Czuję się obecnie gorzej niż w domu; co jest z moimi nogami, panie doktorze?

Doktor obejrzał jego nogi i ironicznie powiedział:

- Ja nic nie widzę, ja widzę tylko brudne kolana! - i odszedł.

Pan doktor nie ma pojęcia o pracy pana Kosmalskiego, ten stary ślusarz często całymi dniami łązi na kolanach remontując maszyny, nie ma co się dziwić, że ma brudne kolana. Niestety w szpitalu nie ma ciepłej wody, w której by mógł umyć spracowane, brudne kolana.

Następnie pan doktor podchodzi do mnie, opowiedziałem mu o swej chorobie, o jej przebiegu; pan doktor głupio się śmiejąc zwraca się do moich towarzyszy ze słowami: "ten człowiek ma kobiecą chorobę". Nikt na sali na ten dowcip nie zareagował i tylko młoda, głupiotka pielęgniarka, chcąc się przypodobać panu doktorowi, głośno się roześmiała. Po kilku dniach pobytu w tej wstrętnej dziurze dostałem ataku. Wszyscy doktorzy byli na zebraniu. Poprosiłem sprzątaczkę Piotrusię o sprowadzenie doktora Granisza. Przybyłego doktora poprosiłem o zastrzyk morfiny, doktor nic nie powiedział; badał puls, wiedział, że mam słabe serce. Męcząc się okropnie powtórzyłem prośbę o morfinę. Doktor wstał i odchodząc kazał pielęgniarce zrobić zastrzyk. Zanim nadeszła pielęgniarka z morfiną atak nagle ustał i więcej się nie powtórzył. Zacząłem się poprawiać.

Dnia 5 marca dowiedzieliśmy się o śmierci Józefa Stalina, tego dnia było dużo odwiedzających chorych; wszyscy rozmawiali jeden przez drugiego. Jednemu chłopu żona przywiozła szynki, kiełbasy, masła, wina. Już zdrowy chłop zajał, popijał i opowiadał sąsiadowi o swej smutnej przeszłości:

- Pracowałem z żoną w majątku pana Baczyńskiego. Ten pan latem już o godzinie 3 był na nogach, rządca widocznie nie dowierzał, bo wszędzie wścibił nosa sam. Za 15 lat pracy u tego pana zaoszczędziliśmy z żoną 250 złotych. Żona dziedzica była bardzo dobra; w wypadku choroby robotnika przychodziła do chorego z lekarstwami, pouczała jak trzeba leczyć chorego. Jednego razu jakem był chory na wątrobę, przyniosła nam nie tylko lekarstwa, lecz spory kawał masła, miodu i ugotowaną kurę. Dobra była pani, świeć Panie nad jej duszą! Zmarła ona w czasie okupacji na raka; ryczałem na jej pogrzebie jak wół. Panisko trzymał z Niemcami i z nimi też poszedł do Amerykanów.

Potem zaczął opowiadać głupią anegdotę o Stalinie. Jeden biedny i bardzo pobożny chłop napisał list "do Pana Boga w Niebie". W liście tym prosił Pana Boga o nadesłanie 5.000 zł na budowę stodoły. Na poczcie długo zastanawiali się nad adresem, nareszcie jeden mądrała - urzędnik napisał na kopercie: "Stalin, Moskwa, Kreml". Stalin po otrzymaniu listu zwołał radę, która postanowiła wysłać polskiemu chłopkowi 4.000 zł. "Chłopi są chciwi" miał powiedzieć Stalin - i zawsze proszą o więcej niż im potrzeba. Chłop dostał 4.000 zł, a zauważywszy pieczęć "Moskwa, Kreml" napisał do Pana Boga drugi list, w którym się skarżył "Panie Boże, zamiast 5.000 zł otrzymałem tylko 4.000 zł. Proszę w przyszłości nie wysyłać przez pośredników, bo mi skradli całe 1.000 zł!".

Naprzeciwno siedzą trzy młode kobiety przy chorym kolejarzu. Żona kolejarza opowiada:

- ... Czułam się okropnie. Pocę się i pocę się a serce wali: pikum, pakum, pikum, pakum. Przyjechałam do Leopoldowa, wypitałam tylko szklankę mleka, a szklanka mleka kosztuje tam 20 zł i prosto do księdza. W kolejce stało bodajże do 100 osób, ale poszło dosyć szybko; za jakieś 4 godziny już stałam przy świętym człowieku, wrzuciłam 20 złotych do puszeki, pocałowałam jego świętą rękę, spojrział na mnie tak, że cała zadrżałam, a serce kołacze: pikum, pakum, pikum, pakum... Kobieto - mówi święty człowiek - dolega ci

serce, nieprawda? Tak, proszę Ojca Duchownego - odpowiedziałam prawie szeptem, bo byłam bardzo wzruszona. "Masz dużo kłopotów z małymi dziećmi, zaś mąż twój - kolejarz zarabia tylko 700 złotych".

- Tak ojciec duchowny, święta prawda! - mówię płacząc.

- Nie płacz, nie martw się, ufaj Bogu, a wyzdrowiejesz. To powiedziawszy zaczął pisać receptę, a ja stoję drżąca, nie mogę powstrzymać płaczu, a serce wali: pikum, pakum, pikum, pakum... Wzięłam receptę, przylgnęłam do jego świętej ręki i nie mogę się oderwać, a tu weszła już jakaś elegancka, ubrana pani i wrzuciła 10 zł do puszki, święty człowiek coś jej zarzucił, ale nie słyszałam dokładnie co. Dopiero później ludzie mówili, że to jakaś milionerka, a ofiarowała tylko 10 złotych, więc święty człowiek, który jest wszechwiedzący powiedział do niej: "masz w kieszeni 1.000 złotych, a ofiarowałaś na biednych tylko 10 zł. Bogaczka przeliczyła swoje pieniądze i rzeczywiście miała przy sobie akurat 1.000 zł i skruszona, płacząc wrzuciła całe 1.000 zł do puszki.

Powróciwszy do domu udałam się do apteki, pokazałam receptę i otrzymałam cudowne ziółka, piję je trzy razy dziennie i po trzech tygodniach kuracji czuję się zupełnie zdrowa, pracuję i wcale się nie pocę.

Zdrzemnąłem się trochę, ale jedna z tych kobiet opowiadała za głośno jakąś bajkę, więc znów się obudziłem.

- ... straszny tłok, w Stargardzie jedna kobieta zdejmuje z półki papierowy worek, w którym miała 5 kg mąki. Worek pękł i mąka spadła na kolana jednego, eleganckiego pana. Poszkodowany zaczął niezgrabnie usuwać mąkę ze swych drogich, czarnych spodni, ale nic z tego, zawałał je całkowicie. Poprosił grzecznie sąsiadów, by na chwilę opuścili przedział. Zamknął drzwi, zdjął spodnie i zaczął je wytrzepywać przy otwartym oknie, ale widocznie za słabo je trzymał, bo wiatr je porwał fru ! i nie ma.

Ogólny śmiech słuchaczy; głosy: "no i co dalej".

- Jedna przystojna panienka zlitowała się nad nim, wypożyczając mu swoje narciarskie spodnie, które miała w walizce. Dojechawszy do Szczecina pojechali razem taksówką kupować spodnie temu panu...

Jakiś koślawy staruszek opowiada:

- ... Biały chleb. W winie można się kąpać. Latem co dzień brałem ze sobą na pole dwa litry. Robiłem od świtu do zmroku i byłem zado-

wolony, bo żarcie i picie pirso klasa. Stary i młody gospodarze ciągiem powtarzali: "Żozef tua ba trawa je, mua konta, maże tua, buar tua" (Józef ty dobrze robić, ja zadowolony, ty jeść, ty pić). A wieczorami młoda służąca zapraszała mnie na noc: "Żozef mua tua eme buku, nu kusze asamble" (Józef, moja, twoja kochać bardzo, my spać razem). Takie miałem życie, ech Francjo, Francjo! Jednej soboty orałem cały dzień, zostało tej orki może jeszcze na pół dnia. Wracam do domu, wyprzęgam konie, a tu stary gospodarz woła do kuchni i zaprasza jeszcze przed kolacją do stołu, a na stole cała butelka Żenjewr (jałowcówki). Nu buar Żozef, tua ba trawaje!" (my pić Józef, ty dobrze robić) - mówi gospodarz. Wypiliśmy pół butelki, a tu gospodarz zaczyna mnie drażnić: "Żozef, mogę się założyć, że ty tej reszty nie potrafiłbyś zaorać do rana" - a była godzina 11 wieczorem. Poczułem się obrażony jego słowami. "Jezdem Polakiem - odpowiadam - Polak jak zechce potrafi zrobić wszystko!"

A stary ciągle powtarza swoje: "nie zaorzysz, nie zaorzysz!". Zerwałem się na równe nogi, zaprząłem konie, złapałem kawałek bułki i liter wina i jazda na pole. No i co powiecie. O godzinie 6 rano byłem w domu; fertyg! Stary gospodarz nie spał chyba całą noc, bo przygotował pyszne śniadanie, zajadamy obaj, popijamy Żeniewr, zadowolony gospodarz śmieje się, klepie mnie po ramieniu: Polone ba, tua for kom koszeń, buar, mauże i dormir do midi! (Polacy dobrzy, ty mocny jak wieprz, pić, jeść i spad do południa, dziś niedziela!). Ale popiłem sobie wtedy, ech to było życie!

- Dziadku - pyta się komunista S. - a dużo zarobiliście w tej Francji?
- A nicom nie zarobił, tylko se aligancko ubrał, jadłem, piłem, nie żałowałem se. A ty ile zarobiłeś w socjalistycznej Polsce? Gados i gados o tym socjalizmie, a gównno mas. Ja po wojnie wziąłem se gospodarkę w Polanowie, jezdem gospodarzem całą gębą, mom parobka zza Buga i gwizdę na wszystkich.

Przed opuszczeniem szpitala otrzymałem orzeczenie lekarskie, przyznające mi 28-dniowy pobyt w sanatorium. Dnia 19 marca 1953 roku przyjechała po mnie żona, opuściłem mury szpitalne po raz trzeci. Idziemy na dworzec, w drodze spotykamy szereg wozów załadowanych dopiero co wykopanymi burakami i kartoflami.

Niektóre PGR-y nie zdążyły je wykopać we właściwym czasie, więc wykopuje je się teraz. Przysłowie mówi: "Co kraj to obyczaj". Po-

dobno buraki i kartofle tylko nieznacznie ucierpiały pod śnieżną pokrywą.

Dwa miesiące po wyjściu ze szpitala zachowywałem ścisłą dietę; byłem bardzo słaby.

Nasz miły i dobry dr Mucha powiedział mi, że od czasu do czasu wolno mi skosztować kawałek chudej, ugotowanej szynki. Ucieszyłem się jak dziecko, bo po ryżu, mleku i kaszce mannej, nazywanej tu z niemiecka "grysik" byłem porządnie wygłodzony. W sklepie rzeźnika p. P. stało w ogonku kilka kobiet, były to przeważnie dobre znajome pani P.

- Dla pani szyneczki? - pyta się grzecznie pani P. - Woli pani tłustą czy chudą?

Okazało się, iż wszystkie panie wołały chudą. Podchodzę i proszę o 25 deka chudej szynki, ale oburzona pani P. zaczyna mnie strofować:

- Wszyscy chcą mieć chudą, trzeba żeby ktoś jadł i tłustą i odkroiła mi kawał samego tłuszczu.

- Proszę pani, mnie nie wolno jeść tłustej szynki, jestem chory na wątrobę.

- A kto będzie jadł tłustą?

- A pani znajome nie mogą jeść tłustej?

Powiedziawszy to opuściłem sklep. Na szczęście spotkałem na ulicy znajomą panią K., która miała fory u pani P. i w ten sposób zdobyłem kawałek chudej szynki. Wszyscy wiemy, że niektórzy rzeźnicy naszego miasta rezerwują towar dla miejscowych znakomitości i dobrych znajomych. Ci ostatni nie potrzebują stać w kolejce; przygotowane dla nich paczuski leżą pod ladą. To samo dzieje się i w innych branżach handlu uspołecznionego. Taki patałach jak ja nie dostanie tak zwanych towarów atrakcyjnych. W większej części darłowskich sklepów obowiązuje zasada: "Do ut des" (daję, żebyś też dał).

Cierpią na tym mało zarabiający robotnicy i urzędnicy. Ci właśnie wydziedziczeni, na których kupcom wcale nie zależy, mogą nabyć towary atrakcyjne tylko od przekupniów i oczywiście płacą za nie znacznie drożej. Nie inaczej jest w sklepach GS na wsi. Będąc na urlopie zauważyłem, że biedny chłop i robotnik nic w tych sklepach nabyć nie mogą prócz gatunkowych wódek, drogich papierosów, kaszy i soli; "atrakcyjna" zwykła wódka, tańsze papierosy i rzadkie towary ulatniają się w tajemniczy sposób zaraz po przyjściu towaru, a

więc często jesteśmy świadkami paradoksu: zamożny chłop, którego stać na droższe papierosy, ćmi "sporty", zaś biedak pali drogie papierosy!

Od roku 1947 mam wielkie kłopoty ze strażą pożarną. Z początku kontrolował gaśnice Ob. N. - przedwojenny strażak; po jednej z takich kontroli skonstatowałem, iż pan N. przywłaszczył dwie moje gaśnice i podobno sprzedał je Fabryce Sieci. Potem liczni ze Sławna i Darłowa przyjeżdżali, pouczali jak należy używać gaśnicy, każdy z nich zapewniał, że tylko on ma prawo przeprowadzenia kontroli, tylko on jest kompetentny w tej dziedzinie, inni zaś są samozwańcami, oszustami, pokazywali papiery stwierdzające, że mają prawo kontrolować wszystkie zakłady pracy. Część tych strażaków pozamykano i odebrano im prawo kontroli gaśnic. Walczyłem z tą zgrają i nie dałem się nabierać.

Nie mniejszy kłopot i zmartwienie mam w okresie letnim z młodocianymi złodziejami, kradną oni nie tylko owoce i warzywa, lecz po roku 1956 także i kwiaty, skonstatowałem, że pobożne dzieci zanoszą skradzione kwiaty do kościoła.

W sąsiedztwie muzeum letnią porą odpoczywają dzieci pracowników młynów z Wrocławia. Dzieci te nie tylko kradną niedojrzałe jabłka i gruszki, lecz niestety niszczą drzewa. W roku 1957 oberwały niedojrzałe gruszki i zmalutowały młode drzewko.

Poszedłem do kierownika kolonii ze skargą na młodych wandalów. Kierownik zapewnił mnie, że dzieci przyjdą do mnie i przeproszą, a było to w przeddzień ich wyjazdu do Wrocławia. Oczywiście nikt z dzieci u mnie się nie zjawił, odjechały o godzinie 5 rano "umaiwszy" wejście do Muzeum gałązkami zmalutowanej gruszki.

W sierpniu roku 1953 ze zdziwieniem i oburzeniem przeczytałem afisze na murach naszego miasta: "Koło Z.M.P. w Cisowie urządza zabawę taneczną. Bufet obficie zaopatrzone. Orkiestra różnie od ucha do ucha. Zapraszamy młode panienki na tango z przyciskiem. Mają pierwszeństwo dziewczynki z forszą i ładną buzią."

Pozrywałem tę ohydę. Przewodniczący koła Z.M.P. tłumaczył się, że nic o tym nie wiedział, bo był dwa dni "wyjechany" w teren; afisze te spreparowała rzekomo "różna od ucha orkiestra".

Z dniem 1 października rozpoczęliśmy ewidencję wszystkich eksponatów, praca ta trwała do dnia 28 grudnia.

Przeczytałem długi artykuł o działalności p. Edouarda Herriot na rzecz pokoju. Pana Herriota znam z czasów mego pobytu w Lyonie; dnia 3 grudnia napisałem do niego, zaś dnia 17 grudnia 1953 roku otrzymałem odeń następującej treści pismo:

"Monsieur,

C' est avec beaucoup d emotion que j ai pris connaissance de votre aimable message de 3 decembre. . Je vous remercie vivement de ce temoignage de sympathie auquel et e extremement sensible et qui est pour moi un precieus reconfort.

Veillez agreer Monsieur, les expressions de mes sentiments tres cordieux. La Maire de Lyon, President de l'Assemble Nationale E. Herriot"

"Szanowny Panie,

Byłem wzruszony pańskim pismem. Serdecznie dziękuję Panu za wyrażoną sympatię dla mojej działalności; jestem wdzięczny za cenne słowa uznania, które dodają mi otuchy.

Proszę przyjąć Panie moje serdeczne pozdrowienia. Prezydent Miasta Lyon Przewodniczący Zgromadzenia Narodowego

B. Herriot"

Nieco później napisałem do pani Andrea do Sztokholmu. W swej odpowiedzi pani Andrea między innymi pisze: "Ert brev gjorde mig mycket rodd, inte minst att Ni skrev pa svenska" (Pański list wzruszył mnie bardzo, zwłaszcza to, że napisał pan po szwedzku).

Na leczenie sanatoryjne czekałem cały rok. Wiceprzewodniczący PRN w Sławnie Ob. Caban, z którym byłem w szpitalu w dwa tygodnie po opuszczeniu tego zakładu wyjechał do sanatorium, zaś ja mimo posiadania analogicznego z panem Cabanem orzeczenia lekarskiego nie mogłem skorzystać z pobytu w sanatorium. Pani Niewęgłowska z Ośrodka Zdrowia w Sławnie powiedziała wręcz, że może wysłać tylko na trzytygodniowe leczenie sanatoryjne. W końcu lutego 1954 roku wyjechałem do Szczawna Zdroju. Z Wałbrzycha do Szczawna jechałem tramwajem, siedzący naprzeciwko mnie starszy jegomość z siwą bródką zwrócił się do mnie ze słowami: Zmienileś się, panie sędzio; w roku 1942 wyglądał pan znacznie młodziej, ale nie ma co się dziwić; przeżywamy ciężkie czasy.

Nie jestem sędzią i nigdy nie byłem; jestem pracownikiem Muzeum na Pomorzu.

Jak to, chce pan powiedzieć, że nie jest pan sędzią O. z Olkusza?

Nie jestem i nigdy w Olkuszu nie byłem!

Jegomość popatrzył na mnie i zamilkł. Wyszliśmy razem z tramwaju, a wtedy jegomość znów mnie zaatakował:

- No teraz już nikt nas nie podsłuchuje, kochany panie sędzio, a więc możemy swobodnie pogadać o wszystkim. Jak panu wiadomo w roku 1942 przeprowadziłem się do Krakowa i tam... Ach ta podła Hanka!...

- Ależ, proszę pana, nie jestem sędzią O., nie znam Olkusza i podłej Hanki.

- A co, pan mnie nie ufa. Nie spodziewałem się tego! W takim razie do widzenia panu - nie znamy się!

Zmęczony i zdenerwowany przychodzę do biura rejestracyjnego i proszę o skierowanie mnie do bloku "B" (tak mi radził pan Ebel z Darłowa, który przebywał w tym bloku w roku 1953).

- Nie można, proszę pana - odpowiada grzeczna i miła kancelistka - blok "B" to pałac, w którym mieści się sanatorium, pan ma tylko leczenie sanatoryjne, a nie ma skierowania do sanatorium. Skieruję pana do "Krakowianki", stamtąd jest bardzo blisko do zakładu leczniczego, widzę, że jest pan chory i stary; cóż robić. Mamy w sanatorium około 50 ludzi zdrowych, niektórzy z nich spędzają tam po kilka miesięcy; są to przeważnie urzędnicy Ministerstwa Zdrowia i panowie, którzy mają plecy. W "Krakowiance" ulokowałem się w małym dwuosobowym pokoju na pierwszym piętrze; po pół godzinie do mojego pokoju przydzielono starszego w moim wieku pana.

- Jestem Sylwester - zecer z Wrocławia - przedstawił się starsuszek.

Z mojej wymowy pan S. wywnioskował, że jestem lwowianinem.

- O widzę, że jesteśmy rodakami; pan ze Lwowa nieprawda.

- Nie panie Sylwestrze, nie ze Lwowa.

- Ale śpiewa pan?

-Tak, śpiewam, ale wymawiam "cję", "sję", a nie "cię", "się" jak pan - jestem wilnianinem.

- Bardzo przyjemnie, bardzo przyjemnie! W Wilnie spędziłem parę lat, kocham to miasto. No trzeba się po podróży umyć - zakończył pan S. i wyszedł z pokoju.

Po chwili wrócił rozczarowany:

- Wody w łazience nie ma, ustęp zanieczyszczony do takiego stopnia, że nie sposób doń wejść. Chodźmy kochany panie po wodę do miasta. Wyruszyliśmy z dwiema konewkami po wodę.

Pan S. pomimo podeszłego wieku jest żywy i rozgarnięty. Wyprawa udała się, prócz zimnej dostaliśmy z kuchni konewkę gorącej wody. Po umyciu się pan S. znów znikł na chwilę, a powróciwszy wesoło powiedział:

- Chodź pan, pokażę panu erstklassiger Abort z bieżącą wodą, w którym mógłby załatwiać się, gdyby żył sam cysorz Franciszek Józef! Rzeczywiście na parterze pan Sylwester zgiętym drucikiem otworzył drzwiczki czystego, z bieżącą wodą W.C.

- Nie mów pan nikomu o tym wynalazku, bo ludzie by to na poczekaniu zasrali.

Ach, dobry, praktyczny pan S.

Po dziesięciodniowym pobycie w Szczawnie pan S. zaczął tęsknić za pozostawioną we Wrocławiu małżonką:

- Nie wytrzymam dłużej, muszę chociaż na jeden dzień skoczyć do żony; bo widzi pan, my się bardzo kochamy i nie możemy znieść dłuższej rozłąki, prócz żony chciałbym zobaczyć naszego mądrego psa - wilczura.

I pan S. "wyskoczył do swej ukochanej połowicy". W domach wypoczynkowych potrawy dietetyczne prawie nie różniły się niczym od potraw niedietetycznych, kuchnia dietetyczna istniała tylko w sanatorium. Byłem na diecie i musiałem unikać tłustych obiadów w "Krakowiance", jadłem w niej tylko śniadania, zaś na obiady i kolacje chodziłem do baru mlecznego. Przesiadywałem godzinami we wspólnie urządzonym zakładzie leczniczym. O personelu zakładu od sprzątaczek do doktorów powiedzieć można, iż są to ludzie dobrego serca. Po piątej wizycie w zakładzie zatrzymał mnie przy drzwiach wejściowych jeden robotnik w starszym wieku:

- Panie majstrze, czy pan pamięta jeszcze Józwowiaka? Otóż ja nim jestem. Pracowałem w pańskim warsztacie w Rawiczu od roku 1923 do 1926. Poznaje pan ślusarza Józwowiaka, panie Matczak?

- Pan się myli: nie jestem Matczakiem, nie miałem nigdy i nigdzie warsztatu, w Rawiczu nigdy nie byłem, w latach 1923-1926 byłem za granicą.

- Czyżby? Twierdzisz pan, że nie jesteś majstrem Matczakiem, a ja twierdzę, że tak! Nie wypieraj się pan, jesteś pan Matczakiem z Rawicza. A może nie znasz pan knajpiarza Kostka, wypiliśmy tam nie jedną kolejkę. A pamiętasz pan, panie majstrze, jak ja pana - bodajże

w roku 1925 w dniu 11 listopada odprowadziłem utulanego do domu, gdzie dostałeś pan porządne lanie od żony?

- Nieprawda, widzę pana po raz pierwszy, a więc nie mogłem być z panem u Kostka. Co prawda pamiętam, że w dniu 11 listopada roku 1925 byłem mocno wstawiony, ale było to w Caen we Francji, a do domu odprowadził mnie nie pan, ale pan Raczkowski z Warszawy, lania od żony nie mogłem dostać, bo byłem wtedy kawalerem.

- A może szanowny pan wzbogacił się na współpracy z hitlerowcami i teraz wstydzi się przyznać, że pił kiedyś z robotnikiem? Słyszałem coś o tym, przecież byłeś pan w czasie pierwszej wojny światowej pruskim feldfeblem, co może nieprawda?

- Oczywiście nie prawda; w czasie pierwszej wojny światowej byłem w armii rosyjskiej, a szarżę miałem trochę wyższą.

Wokół nas zebrała się spora gromadka kuracjuszków, widzę, że większość ich jest po stronie ślusarza z Rawicza. Na szczęście nie wiadomo skąd zjawił się pan S., który powrócił od małżonki z Wrocławia.

- Pokaż im panie profesorze, swój przedwojenny paszport zagraniczny - mówi pan Sylwester.

Pokazuję im swój paszport, a pan Sylwester strofuje zebranych: "no i co przekonałicie się, widzicie tu wypisano: "Tłumacz języków obcych", Wilno, a wy wyjeżdżacie z jakimś zasranym Rawiczem!" i do mnie: "Chodźmy do domu, nie warto gadać z byle kim!".

Wróciwszy do swego pokoju długo przyglądałem się w lustrze swej fizjonomii.

- To te wąsy i ta bródka wprowadzają ludzi w błąd. Panie S. - a gdyby tak zgolić wąsy i zostawić małą bródkę?

- Nie rób pan tego - odpowiada przyjaciel - ślicznie wyglądasz pan z tymi wąsami, jak prawdziwy sarmata, jak Dziadek Piłsudski. Zgol pan bródkę, a wąsy zostaw.

- Kiedy nie mogę kochany przyjacielu, brodę poharatał mnie trochę piesek; nasz dobry doktor Mucha załatał to bardzo zręcznie, a jednak widać trochę bliznę. Ech, nie ma co gadać, nie zgolę ani wąsów, ani brody, bo wyglądałbym naprawdę brzydko; spójrz pan na moje szerokie usta, na te sine, grube, murzyńskie wargi, brrr!

Po trzytygodniowym pobycie w Szczawnie wracałem do domu znacznie silniejszy, podreperowany.

Po pracy często wybierałem się do sąsiednich wsi, gawędziłem ze spółdzielcami i indywidualnymi gospodarzami. Sporo zabudowań na wsi chyli się ku upadkowi; część gospodarskich budynków pokrytych słomą znajduje się w opłakanym stanie, od lat nie reperowane dachy wałają się, wiatr szarpie i zrywa resztki starej, przegniłej słomy. W Żukowie wszedłem do dobrze zabudowanego kwadratowego podwórza; narzędzia i maszyny rolnicze stoją pele-mele pośrodku podwórza przy gnojówce. Zaczął padać rzęsisty deszcz.

- Panie gospodarzu - mówię do stojącego w drzwiach chłopca - dlaczego nie wepchniesz pan tych narzędzi do szopy, pada deszcz, szkoda tych maszyn, masz pan dobrą, obszerną szopę.

- Szopa przecieka - odpowiada apatycznie gospodarz.

- Dach szopy jest w dobrym stanie, przecieka tylko w jednym miejscu, o widzi pan, tu wystarczy jeden snopek słomy by załatać tę dziurę.

- Ech, czy warto, i tak przyjdą Niemcy!

- Gospodarzu, jestem starym człowiekiem, doświadczonym i nie głupim, rozumie pan? Zapewniam pana, że Niemcy nigdy tu nie wrócą; niech pan nie wierzy niemieckiej propagandzie w BBC i "Wolnej Europie" - mówię do chłopca podenerwowany i zły.

- Może ma pan rację - mruczy chłop - jutro załatam przeciek i wstawię tam narzędzia rolnicze.

- Widzi pan jak leje; ciągnij pan kosiarkę pod szopę, ja pomogę!

Wciągnęliśmy kosiarkę, pług, grabie.

- A żniwiarki nie masz pan?

- Żniwiarkę pożyczyłem sąsiadowi, a on ją zepsuł i nie ma kto naprawić, bo nie ma części. Pan się do mnie przyczepił, a zajrzyj pan do spółdzielni; tam maszyny miesiącami marnują się na polu.

W Domasłowicach uwagę moją zwróciła świeżo pomalowana fachowo i akuratnie pokryta świeżą słomą chałupa. Wchodzę na podwórze; wszystkie zabudowania w najlepszym (stanie) porządku, podwórze czystutkie, doprawdy przyjemnie patrzeć! Zdecydowałem się wejść do chałupy i znów byłem przyjemnie zaskoczony; wszędzie czystość i porządek, rodzice i czworo schludnie ubranych dzieci siedzą przy suto zastawionym stole (było to w niedzielę), cała masa pieczonego mięsa, zwoje kielbasy, ciasto i piwo własnej produkcji. Pochodzący z rzeszowskiego rodzice narzekają, że dzieci nie mają apetytu, nic nie chcą jeść.

- Jak ja byłem mały - mówi gospodarz - to jadłem kielbasę i ciasto kilka razy w roku, zaś moim dzieciom przejadło się to wszystkim. Czasy się zmieniły.

- A ile macie gruntu, panie gospodarzu?

- Siedem ha, więcej nam nie trzeba.

- Ślicznie tu u państwa, wszędzie ład i porządek, widać, że z pana dobry gospodarz.

- Połowa naszych gospodarzy w ogóle nie są rolnikami, nie mają pojęcia o pracy na roli, część ich wyzbyła się gospodarstw i przeniosła się do miasta. Prawdziwy gospodarz nie ucieka ze wsi.

- Co pan sądzi o gospodarce zespołowej?

- W spółdzielniach jest rozmaicie; jeżeli zespół jest pracowity, zgrany to wszystko w porządku, ale takich spółdzielni w naszym powiecie nie ma tak dużo. W niektórych spółdzielniach są prócz prawdziwych, pracowitych rolników harujących od świtu do nocy łaziki, pijaki, oczywiście z takich spółdzielni państwo nie ma żadnego pożytku. Przyjeżdżają do nas młode chłopaki z partii, namawiają na te spółdzielnie, obiecują złote góry, a sami nie mają pojęcia o rolnictwie. Wychodzi na to, że jajko chce uczyć kurę. Wszyscy chłopci za wyjątkiem kułaków są za Polską Ludową, ale nie można tak na gwałt zaprowadzać spółdzielni. Może ta zespołowa gospodarka jest dobra, ale trzeba ją organizować powoli, rozsądnie, a nie na gwałt. Przecież nie od razu Kraków zbudowano.

Moim zdaniem chłop mówił bardzo rozsądnie. W międzyczasie dzieci wzięwszy na zapas spory kawałek kielbasy wybiegły na ulicę. Tak - myślę sobie - czasy się zmieniły; za moich lat dziecinnych naszym chłopskim dzieciom na Litwie cukierek albo obarzanek sprawiały wielką radość, a teraz chłopskim dzieciom takie łakocie wcale nie imponują.

Przed wyborami do sejmu i rad narodowych chłopaki latają jeden za drugim i przyklepiają byle gdzie i byle jak afisze z odpowiednimi sloganami. Wiatr prawie natychmiast zrywa byle jak przyklepione afisze. Przed Zjazdem Zjednoczeniowym zebrałem na dziedzińcu, zamkowym nie mniej, nie więcej tylko 30 takich afiszów! Co za marnotrawstwo !

Mury naszego miasta "ozdabiają" olbrzymie, koślawe napisy w rodzaju: "3 razy tak", "Wybieramy na Zjazd Zjednoczeniowy najlep-

szych aktywistów", "Pamiętajcie o wyborach, głosujcie na listę Frontu Narodowego", "Najlepsi synowie i córki jadą na zlot" etc.

W maju 1954 roku na ogólnym zebraniu partyjnym prosiłem o usunięcie tych, szpecących nasze miasto napisów, nazajutrz po zebraniu te slogany zostały zmyte albo zamalowane, dzięki tej akcji miasto przybrało przyzwoity wygląd.

Latem 1955 roku zaangażowałem w charakterze sprzątaczkii Niemkę Martę Kruckow. Umiała ona po polsku zaledwie kilka słów jak: "chleb", woda", "dobrze", "nie ma", "do widzenia", a jednak jakoś się porozumiewała z nieznanymi niemieckiego polskimi dziećmi, które bardzo kochała i częstowała je cukierkami, mrużąc dobrotliwie: "o, ihr meine sussen Kinderlein, o ihr unsschuldigen Lammlein!".

Marta Kruckow wyglądała na zwykłą polską babinę ze wsi, często też idące lub wracające z Ośrodka Zdrowia Polki "rozmawiały" z zamiatającą podwórze cicią Martą. Słyszałem pewnego razu następującą rozmowę na podwórzu zamkowym:

- Wie pani, że mamy tyle letników, że zabrakło chleba w piekarniku - mówi Polka.

- Nie ma chleba! - odpowiada, kiwając twierdząco głową cicia Marta.

- Najlepszy chleb ma Piotr.

- Tak, Peter dobsze!

- Pójdę już, powiadają, że można za pół godziny dostać chleb u Rosika.

- Chleb jutro, do widzenia!

- Niech pani nie żartuje, do jutra czekać nie mogę, bo w domu nie ma ani kawałka.

Wesoła, uśmiechnięta cicia Marta krzyczy jeszcze raz: "chleba nie ma, chleb jutro!".

Pewnego letniego dnia pracowaliśmy w biurze; Herta obliczała kasę, Marta szorowała podłogę, a ja robiłem miesięczne sprawozdanie. Nagle słyszymy niesamowity trzask, zdawało się, że obalił się w "Komorze Strachu" jakiś ciężki przedmiot, wyraźnie słyszeliśmy brzęk tłuczonego szkła.

- Ach, psiakrew - krzyczę w rozpacz - coś się przewróciło i stłukło w "Komorze Strachu"!

Lecimy tam wszyscy, lecz wszystkie obiekty stały na swoim miejscu.

- Lećcie na górę do Biedermeier i Etnografii, a ja skoczę do sal na skrzydle wschodnim - rozkazałem łamiącym się z trwogi głosem.

Skonstatowaliśmy, że wszystkie przedmioty stały na swoim miejscu, wszystkie okna i drzwi były zamknięte. Marta Kruckow mówi nieśmiało:

- Proszę pana dyrektora, nie chciałam mówić o tym panu, ale teraz, ponieważ pan sam słyszał te trzaski powiem panu, że ja już kilka razy to słyszałam, sprząając górne sale, ale prócz trzasku przewracających się mebli i brzęku tłuczonego szkła wyraźnie słyszałam śmiech i jakiś krzyk w niezrozumiałym dla mnie języku, coś w rodzaju "dejnog".

Co do diabła! Marta Kruckow powtarza to, co kiedyś mówił Karl Rosenow. Co za złudzenie, chyba kawały odstawia akustyka, mamy w zamku tyle wąskich schodów średniowiecznych, tyle podwójnych murów; kto to wszystko zbada! O jej, nie jestem mądrzejszy od cioci Marty Kruckow.

Pani dyrektor Muzeum Pomorza Zachodniego miała zamiar zorganizować dział sztuki sakralnej w byłej Kaplicy Zamkowej i przynaglała do remontu t.j. pobielenia wapnem tej kaplicy.

W marcu 1955 roku pogoda była mroźna, z tego powodu mimo nalegań Dyrekcji rozpocząłem remont dopiero w pierwszej połowie kwietnia. Trwała nadal zimna pogoda; w nocy świeżo pobielone ściany pokrywał szron.

Remont przeprowadzony wczesną wiosną przyczynił się do zwiększenia wilgoci w kaplicy; w pewnych miejscach pokazał się grzyb. Prócz kaplicy pobielono również przedpokój Sali Audiencyjnej i była aptekę na baszcie. Prace ukończono dnia 18 kwietnia. Dyrekcja M.P.Z. w Szczecinie według umowy miała wypłacić robotnikom w 10 dni po wykonaniu zleconej pracy. Lecz już po upływie 5 dni od chwili ukończenia robót zaczął mnie na ulicy pijany murarz K.

- No i gdzie są pieniądze? Ja jestem proletariuszem, ciężko pracuję, a wy dygnitarze sanacyjni nic nie robicie, siedzicie itp... przy biurku, darmozjady, oszuści, pasożyci! Dawaj pieniądze dziadu, bo ci bebechy wypruję!

Zwykle spokojny i stateczny murarz dostał wprost ataku furii. Na szczęście wybiegła z mieszkania jego żona, razem uspokoiliśmy

wściekłego proletariusza. W dwa dni po tym zajściu robotnicy otrzymali należną im kwotę.

Po wytrzeźwieniu K. rozmawiał ze mną bardzo grzecznie i przeproszał za awanturę wszczętą przez niego w stanie zamroczenia.

W maju 1954 roku kupiłem w Samopomocy Chłopskiej 4500 używanych dachówek po specjalnej cenie 0,65 sztuka. Po tygodniu przybył pan konserwator wojewódzki i oświadczył dyrektorowi G.S. Samop. Chłops., że nie życzy sobie żeby mu robiono łaskę i zapłacił za dachówki po 0,85 sztuka.

Chciałem przystąpić do remontu dachu skrzydła basztowego, w tym celu zwróciłem się do dwóch uspołecznionych firm, lecz otrzymałem od nich odpowiedź odmowną. Zgłosił się do nas prywatny dekarz i wyraził gotowość przeprowadzić remont dachu na akord za 15 tysięcy złotych; konserwatorowi nie wolno zlecać roboty na akord, zaproponował więc dekarzowi engagement na nieokreślony czas za wynagrodzeniem miesięcznym 1.400 złotych. Dekarz Orzechowski zarabiający rzekomo 2.400,- zł miesięcznie w jednostce wojskowej propozycję odrzucił. Pan konserwator kazał mi zakupić tonę wapna i pół tony cementu i odjechał, obiecując przysłać swoich dekarzy z Koszalina. Rzeczywiście po paru dniach zjawił się w Muzeum młody dekarz przysłany przez konserwatora wojewódzkiego.

- Kierowniku - mówi dekarz - jutro sprowadzamy się do Muzeum, jest nas pięciu młodych murarzy, konserwator powiedział, że mamy zamieszkać w zamku w pokoju gościnnym. Wesoło tu będzie, kierowniku? sprowadzimy sobie dziewczynki, będziemy z nimi wywijać i bawić się w pysznych salach, a pan jeżeli będziesz grzeczny też popijesz czasami z nami.

- A gdzie pan pracował przedtem - pytam wesoło murarza.

- Siedziałem rok w więzieniu za pobicie milicjanta, zwolnili mnie w przeszłym tygodniu, a konserwator zaangażował mnie i moich kumpi do pracy w Muzeum. Prowadź mnie już pan do tego pokoju, chcę obejrzeć tę budę. A propos, musimy mieć własny klucz do Muzeum, bo mamy cudną pogodę, będziemy wieczorami wałęsać się z dziewczynkami nad morzem, nie potrzebujemy zrywać się do pracy przed godziną dziewiątą, praca nie zając nie ucieknie, nieprawda stary?

- W muzeum postronnym osobom mieszkać nie wolno. Jako kierownik odpowiedzialny jestem za każdy przedmiot - proszę to wytłuma-

czyć Ob. konserwatorowi. W Darłowie mamy hotel PTTK, dlaczego nie moglibyście tam zamieszkać.

Wesołek odjechał, konserwator więcej nikogo nie przysłał i sprawa remontu przeciekającego dachu upadła. Zakupione dachówki leżą dotychczas niewykorzystane, dachy zabytkowego Zamku Piastowskiego niszczeją. W roku 1955 można je było naprawić za 15 tysięcy złotych, zaś w roku 1958 jeżeli WRN w Koszalinie zdecyduje się przeprowadzić remont, koszty wyniosą około 75 tysięcy!

Na początku września 1955 roku wyjechałem na urlop. Będąc w Warszawie zaszedłem po raz pierwszy do Komitetu Centralnego PZPR; chciałem poinformować się tow. tow. Wydziału Zagranicznego co do możliwości zatrudnienia mnie gdziekolwiek w charakterze tłumacza; znam słowiańskie, germańskie i romańskie języki, mówię nie najgorzej po turecku. Zadzwoiłem do kilku towarzyszy, lecz wszyscy odpowiedzieli, że są bardzo zajęci i przyjąć mnie nie mogą, radzili mi się zwrócić do Komitetu Wojewódzkiego w Koszalinie.

Przystanąłem na schodach "naszego domu" i pałac papierosa przyglądałem się ruchowi na Nowym Świecie i Alei Jerozolimskiej, wtem zauważyłem wychodzącego z hallu uśmiechniętego Tubię Nusbauma, z którym weszliśmy razem do K.C.

- No i co załatwili was towarzyszu - pytam Nusbauma.

- Naturalnie. Widzicie ubrany jestem jako proletariusz, powiedziałem tym młodym towarzyszom co rejestrują wchodzących, że chcę się dostać do tow. P., podali mnie jego numer, ale ja nie frajer; powiedziałem im, że nie umiem telefonować, nu wtedy jeden z młodych urzędników zatelefonował i w porządku. Opowiem wam o co chodzi, skrzywdzili mnie strasznie...

- Czekaście, może zajdziemy do restauracji na Mokotowskie, tuż za Placem Trzech Krzyży, tam sobie pogadamy.

Wypiliśmy po 100 gram, przekąśliśmy i Tubia zaczął opowiadać!

- W roku 1946 wróciłem do Warszawy z więzienia w Rosji i założyłem sobie sklep z obuwem, interes szedł mnie świetnie, ale w roku 1949 okrzyczano mnie spekulantem, zamknęli mi sklep i wygnali z Warszawy do Wałbrzycha; pracowałem tam jako kamasznik, ale w tym roku znów się do mnie przyczepili i kazali mi pracować w odlewni, a ja mam słabe serce, o widzicie tu mam lekarstwo. Tu pokazał mi jakąś flaszkę. - Nu, ja wtedy się wściekłem i majstrowi, który się do mnie przyp... dałem w mordę! Oj, co za gwałt, wszyscy rzucili

się na mnie, że jestem leniem, bumelantem, symulantem, nie wierzą dranie, że mam chore serce i nareszcie podali mnie do sądu. I za co, proszę ja Was? Gdzież tu sprawiedliwość? Właśnie w tej sprawie rozmawiałem z tow. F. Powiedział, że za 7 dni moja sprawa będzie wyjaśniona. Dostałem od tow. F. 120 zł na podróż powrotną, ale wolę za te pieniądze kupić sobie jakieś kaptcie, albo przepiję je i już. Bo wiecie, co wam powiem, ja biletu nie kupuję, podróżuję bez biletu.

- Jak to bez biletu?

- Ano tak; przychodzi konduktor sprawdzać bilety, a ja mu mówię po prostu: "pisz pan, rób co chcesz, biletu nie mam i pieniędzy nie mam". Niech sobie pisze - śmieje się Tubia. - Powiedz pan, co mnie mogą zrobić? Gówno!

Po tej rozmowie poszedłem do łaźni, zaś Tubia do Komitetu Żydowskiego. Spotkaliśmy się znów wieczorem na Dworcu Głównym; wypiliśmy kilka kuflów piwa, potem Tubia zaniósł moją walizę do pociągu krakowskiego, dojechał ze mną w przedziale pierwszej klasy do Dworca Zachodniego i tam wysiadł, by wsiąść do pociągu wrocławskiego, naturalnie bez biletu.

Po powrocie z urlopu otrzymałem list od Tubii z Wałbrzycha, naturalnie bez znaczka. W liście tym narzekał na polskie- porządki i K.C.; zakończył list słowami: "Mnie już i Pan Bóg nie pomoże - wszystko gówno!".

Druga połowa zimy 1955-1956 była surowa. Od stycznia nie mieliśmy wody, co dzień przynosiłem od sąsiadów 4 kubły, zlew i ubikacja "zawiesiły czynność". W końcu marca rury kanalizacyjne popękały, woda zalała składnicę i część Działu Przyrodniczego. Na Wielkanoc poszedłem do kościoła na Rezurekcję. Przychodzę do domu w uroczystym nastroju, nucę pieśń wielkanocną "Wesoły nam dziś dzień nastał... ". Zaczynamy spożywać Święcone, żona poszła do kuchni i wraca przerażona - z krzykiem: "Co się dzieje człowieku? Czy ty to do zlewu...". Biegnę do kuchenki i oczom moim przedstawia się ohydny widok; zlew napełnia się stopniowo nieczystościami, zrzucam świąteczne ubranie, wkładam roboczą kurtkę i lecę z drągiem do szamba, z trudnością odsuwam masywną, betonową przykrywą i zaczynam manipulować drągiem w zamrożonej rurze. Po pewnym czasie z rury wyleciał spory kawał brudnego lodu, przybiegła rozradowana żona do mnie z radosną wiadomością; nieczystości ze zlewu znikły. W pocie czoła manipuluję dalej, lecz bezskutecznie.

"Czekaj ty psiakrew, widzę, że cię mocno zatkało, ale ja ciebie rozetkam, zastosuję inną taktykę, zaatakuję w sposób efektowniejszy" - wykrztusiłem zziąjany i zroszony potem. Przyniosłem od sąsiadów siedem kubłów wody i wlałem ją do muszli na piętrze. Zbiegłem na dół, schyliłem się i drągiem zacząłem dłużyć w rurze. Nagle z trzaskiem wyleciała z rury ogromna bryła lodu, a za nią burzliwie spłynęły nieczystości. Za nisko się schyliłem, nie zdążyłem wyprostować i zostałem pokropiony, lecz nie hyssopem... Merde alors... Wsparłem się dumnie na żelaznym drągu i tryumfalnie wykrzyknąłem: "hurra, zwycięstwo! Kierownik Muzeum w Darłowie dał sobie radę z g...". Nie darom goworitsa, czto dieł mastiera boitsa. Wesoły nam dziś dzień nastał...

Umyłem się, włożyłem świąteczne ubranie i usiadłem znów z żoną przy stole, zaś po południu zacząłem po raz trzeci czytać "Noce i dni" Marii Dąbrowskiej.

Latem roku 1956 miałem bardzo dużo pobożnych zwiedzających. W byłej kaplicy zamkowej mam piękną, zmontowaną przez pracowników Pracowni Konserwatorskiej i Zabytków w Krakowie, barokową kazalnicę z I-ej połowy XVII wieku, ogromny krucyfiks z XIV wieku oraz kilka świątków. Widziałem kilkakrotnie kobiety i mężczyzn klęczących przed drewnianym gotyckim krucyfiksem, albo przed amboną, byli to przeważnie ludzie ze wsi w starszym wieku.

Wielu studentów zwiedzających muzeum w lipcu i sierpniu 1956 roku opowiadało mi o swoim rozczarowaniu i psychicznym załamaniu się z powodu ujawnionych błędów i wypaczeń na 20-tym Zjeździe.

Polemizując z nimi wspominałem o ciężkim losie studentów za carskich czasów, jak również w okresie międzywojennym.

Dyskusję naszą przerwała jakaś staruszka ze wsi - weszła nagle zapłakana i mówi:

- Proszę pana, byłam w kaplicy, modliłam się klęcząc przed Męką Pańską i wyraźnie spostrzegłam, że Pan Jezus się poruszył i kiwnął mi ręką...

- Niech pani nie opowiada bzdur, przede wszystkim nie jest to kaplica lecz Dział Sztuki Sakralnej.

- Przysięgam na Pana Jezusa - twierdzi staruszka - że krucyfiks się poruszył.

Idziemy wszyscy do kaplicy.

W kaplicy jeden ze studentów zauważył kawałek drutu przywiązanego do krucyfiksu, ktoś schowany za drzwiami musiał pociągnąć za ten drut, gdy rozmodlona staruszka przy nim klęczała.

Niebawem też znaleźliśmy w kruchcie wnuka staruszki, który schował się w kruchcie za starym ołtarzem. Chłopak się przyznał, że był promotorem tego miraculum. Staruszka mimo wszystko wierzyła niezachwianie, że Pan Jezus kiwnął jej rączką. Niech pani zwiedzi inne sale, są tam naprawdę piękne rzeczy.

- A co mi tam po tych starych gratach. Ja muszę opowiedzieć czego doznałam księdzu proboszczowi.

I staruszka z ośmioletnim wnukiem poszła na plebanię, a myśmy wrócili do biura i dyskutowali dalej, tym razem o teatrze i kinie radzieckim. Jeden ze studentów zapytał mnie:

A może pan Dyrektor widział film radziecki (nie pamiętam tytułu), w którym zakochana para Osetynów po przezwyciężeniu różnych przeszkód, które stały na ich drodze do szczęścia, stanęli na górze szczyt, i co ujrzeliśmy zamiast spodziewanych uścisków i pocałunków. Młodzieniec zapatrzony w dal mówi: "Widzę gwiazdy Kremla", zaś biedna narzeczona patrzy na niego jak na wariata i szkoda, że nie zdobyła się na to, by tego bałwana z góry zepchnąć, niechby się zatłukł na śmierć. Oj mówię panu, co za obłudna pruderia...

Po ósmym plenum w Darłowie zapanował podniosły nastrój. Z odnowy cieszyli się wszyscy. Nie brakowało niestety również i zjawisk ujemnych. Robotnicy i chłopci zapełniali knajpy, czasem po pijanemu wszczynali awantury. Aktywnych PZPR-owców i byłych urzędników bezpieczeństwa nazywano pogardliwie stalinowcami.

Znaczna część członków partii dobrowolnie opuściła jej szeregi. Nastąpił zryw uczuć religijnych. Z odnową naszego życia wzmogła się niechęć części społeczeństwa do Związku Radzieckiego.

W grudniu 1956 roku wracając z narady z Koszalina czekałem przeszło godzinę w świetlicy dworcowej w Sławnie na pociąg do Darłowa. Radio ryczało szlagiery N.R.D., potem jedna pani - nauczycielka z jednej wsi pod Sławnem - przekręciła gałkę. Słyszymy głos: "nadajemy Szeherazadę kompozytora rosyjskiego Rimskij Korsakowa". I ta pani ponownie przekręciła gałkę.

- Dlaczego pani to zrobiła? - zapytałem nauczycielkę.

- Bo ludzie nie chcą słuchać muzyki radzieckiej.

- Ależ proszę panią, Rimskij Korsakow zmarł przed Rewolucją Październikową.

- Ludzie nie chcą słuchać rosyjskiej muzyki - mówi uparta nauczycielka.

- Chcą, chcą proszę pani, sam marszałek Piłsudski chętnie słuchał Szeherezady! - powiedziałem na chybił trafił.

- O jeżeli tak, to proszę bardzo! - i nastawiła radio na Szeherezadę*
Jeden starszy pan, zdaje się nauczyciel powiedział:

- A teraz niechże pani odejdzie stamtąd i nie przeszkadza; pewny jestem, że nie ma pani pojęcia o muzyce Korsakowa, Czajkowskiego, Glinki, Borodina. Pani nie rozumie, że dobra muzyka jest skarbem międzynarodowym.

Zawstydzona nauczycielka opuściła świetlicę. Tragedia węgierska...

W "Nowej Kulturze" ("Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!") ujrzałem podpisy chyba wszystkich naszych literatów partyjnych i bezpartyjnych, protestujących przeciwko obcej interwencji na Węgrzech. Czytam "Przegląd Kulturalny", "Życie Literackie", "Przekrój" i inne tygodniki i nic nie rozumiem. Ojej jak się to wszystko "powykręcało". Wszyscy przeklinają Stalina. I ci wykształceni w ZSRR i ci co tam jeździli "na pokłon" i ci ultra czerwoni, dla których Polska była piątym kołem u wozu. Wszyscy się prześcigali w wyrażaniu uczuć patriotycznych i rozdzielali brudne gieżła na pryszczatek piersiach. Wynikałoby z ich obecnej postawy, iż cała ich poprzednia twórczość była po prostu lipą, a może byli naprawdę szczerzy i dopiero po naszym październiku zaczynają odstawiać lipę. Kto ich tam wie: "Czużają dusza tiemna".

Nasi reporterzy w Budapeszcie tak bezpartyjni jak i ci z legitymacją partyjną w kieszeni stali wyraźnie po stronie Nagy i Komitetu w Győr; wbrew doniesieniom prasy komunistycznej innych krajów o okrucieństwach salaszistów, twierdzili oni, że prócz "avoszków" powstańcy nikogo nie zabijają. Odwiedzali oni nie tylko Maletera, lecz także opryszka Dudasza.

Tragedia węgierska odbiła się szerokim echem i w Darłowie, nasze obywatelki żywo komentowały przemiany polityczne w bratnich Węgrach:

- Ach moja pani, co oni wyprawiają z biednym Nagymi

- Kto?

- Wiadomo kto, Ruskie wygnali Nagiego na Syberię, on przecież tam zmarznie !

- Jugosławia nie pozwoli! - powiedział chytrze uśmiechnięty młodzieniec w studenckiej czapce.

Zdezorientowany, pstrokaty "Głos Koszaliński" nie wie jak ustosunkować się do "Rządu Kadara". A zagranica szaleje ! Miasto Nancy we Francji przygotowuje się do uroczystego przyjęcia "heros hongrois". Według radia Paris sam pan prefekt departamentu Meurthe et Moselle ma przemówić do przybywającej grupy uchodźców węgierskich. Robotnicy polscy, którzy pracowali we Francji w okresie międzywojennym wiedzą, co są warte obłudne powitania panów wojewodów i starostów francuskich. Niestety są jeszcze ludzie naiwni, wierzący w szczerość i gościnność panów prefektów.

Na początku marca 1957 roku przyszedł do mnie stary inwalida, Niemiec, stróż kościoła św. Gertrudy. Użytkownikiem tego zabytkowego kościoła od paru lat jest Zbór Ewangelicki.

- Panie - mówi wzruszony Niemiec - koło kościoła zebrało się około 15 wyrostków polskich z wiatrówkami i procami i wybijają w kościele szyby, niech pan wypędzi tych łobuzów, bo ja ich się boję. Mein Gott, w przyszłą niedzielę u nas ma się odbyć w tym kościele ślub.

Pośpiesznie się ubrałem i wyruszyłem na cmentarz, gdzie znajduje się ten zabytkowy kościółek, prawie kilometr drogi od zamku do Gertrudy przebyłem w minut 15 - czasie rekordowym w moim wieku. Chuligani wybijali już ostatnie szyby. Byłem oburzony, zgorzchny, zawstydzony, zdyszany. Zacząłem wymyślać w sposób niekulturalny, hałastra się rozleciała. Weszliśmy do kościółka, oczom naszym przedstawił się smutny widok; na podłodze i ławach pełno szkła i kamieni, na ścianach ślady po przekłetych wiatrówkach. Na szczęście CZMiOZ nie pozwolił konserwatorowi wojewódzkiemu na przeniesienie zabytkowej ambony z zamku do św. Gertrudy, można sobie wyobrazić jak by wyglądała po barbarzyńskim bombardowaniu z wiatrówek i proc ta piękna ambona! Sprzątnęliśmy ze starym inwalidą zbezczeszczone kościółek - prawdopodobnie fundację króla i księcia Eryka I. Zameldowałem o barbarzyńskim napadzie na świątynię MO.

- Zna pan nazwiska chuliganów? - pyta się komendant.

- Niestety nie znam, łobuzy spostrzegli moje zbliżenie się i rozpięchli się.

- W takim razie nic zrobić nie możemy, niech pan wpierw dowie się kto rzucał kamienie, a wtedy zobaczymy.

Idę do kierownika Szkoły Podstawowej. Kierownik wysłuchał mnie i powiedział:

- Nic panu poradzić nie mogę, my również mamy wybite szyby, ach, te przeklęte wiatrówki! - dodał smutnie kierownik

Udałem się do księdza prefekta i prosiłem go przemówić do dzieci w szkole żeby zaniechały niszczenia zabytków i w ogóle dobra publicznego. Interwencja księdza prefekta wpłynęła hamująco na wybryki młodocianych urwipolców.

Dnia 10 marca 1957 roku moje Niemki - pracownice Muzeum odjechały na zachód do rodziny.

Czy uda mi się po ich wyjeździe utrzymać tę placówkę we wzorowym porządku i czystości? Uda się, musi się udać! Nie jesteśmy gorsi od innych? wszyscy za granicą stwierdzają, że Polacy są najlepszymi robotnikami, brak nam tylko dyscypliny.

W dniu 20 stycznia podczas wyborów przekonałem się, że naród nasz potrafi być zdyscyplinowanym, porządny, kochany. Siedziałem w lokalu wyborczym jako członek komisji i z podziwem, wielką radością, dumą i otuchą spoglądałem na niekończącą się kolejkę zdyscyplinowanych, milczących w skupieniu wyborców. Od godziny 6 rano do godziny 10 wieczór przewijała się spokojna kolejka kochanych rodaków, nikt nie zakłócił ciszy i spokoju. W dniu tym w Darłowie nie było ani jednego pijanego.

W sierpniu 1957 roku muzeum odwiedziło kilka wycieczek czechosłowackich i węgierskich, kilku Szwedów, dwóch Egipcjan i dwóch inteligentnych Niemców z NRF. Jednocześnie z wycieczką młodzieżową - węgierską Muzeum zwiedziła klasa siódma jednej ze szkół pow. Sławińskiego. Po zwiedzeniu dzieci polskie zaśpiewały na dziedzińcu "Szumi dookoła las", zaś Węgrzy "Naprzód młodzieży świata" - oczywiście po węgiersku. Dzieci polskie słysząc znaną im melodię przyłączyły się do Madziarów, śpiewając tę piosenkę po polsku, jeden z chłopców chcąc widocznie się popisać swym głosem wrzeszczał na całe gardło:

"Na lądzie i na morzu...". Pan nauczyciel był zaskoczony takim obrotem zainicjowanej przezeń imprezy... Jeden gruby jegomość, przechodząc dziedzińcem zagadnął mnie:

- Panie, po co oni to śpiewają? Powiedz im pan, że u nas się tego więcej nie śpiewa.

- Nie wolno mi tego robić, to są goście, niech śpiewają co im się żywnie podoba. Jeżeli ma pan życzenie, może pan zaśpiewać "Serdeczna Matko" albo "Pierwszą Brygadę". Jestem kierownikiem Muzeum nie zaś cenzorem.

Węgrzy skończyli śpiewać, pochwycili polskiego chłopaka, który najwięcej się darł ze słowami: "Jelyen Lengyel gyermek" (a może to się pisze inaczej, nie znam węgierskiego), t j. "Niech żyją polskie dzieci", zaczęli podrzucać go w górę. Jedna ze studentek węgierskich władała trochę angielskim, więc poprosiłem ją żeby zaśpiewali jakąkolwiek piosenkę ludową; ale chyba nie zrozumiała, bo Węgrzy zaśpiewali po węgiersku (zresztą bardzo ładnie) starą rosyjską rewolucyjną "Drużno towarzyszczi w nogu". W tym momencie przybyła do Muzeum wycieczka harcerzy naszych. Starszy pan, którego dzieci tytułowały profesorem, przywitał Węgrów harcerskim "cześć, czołem"; po tym przywitaniu pan profesor, wchodząc z dziećmi do Muzeum powiedział do mnie:

- Ale co oni śpiewają? Niech im pan powie, iż u nas się teraz tego nie śpiewa.

Rozłożyłem bezradnie ręce i zwróciłem się tym razem do studentki władającej językiem rosyjskim z prośbą by zaśpiewali dla naszych harcerzy "Pieśń Kossutha". Zagrzmiała śliczna pieśń, harcerze wyszli znów na dziedziniec, przechodnie przystawali, wszyscy byli zachwyceni śpiewem. Młodzież węgierska wkroczyła do biura, by wpisać się do księgi pamiątkowej. Zaczęliśmy gawędzić o naszych krajach. Węgrzy wyrażali wdzięczność Polakom za gościnność i bratnią przyjaźń, zapewniali, iż całe życie pamiętać będą o przyjemnym pobycie w bratniej Polsce. Młodzi komuniści (a było ich sporo) mówiąc o wypadkach w ich ojczyźnie twierdzili, że wśród młodzieży ich kraju dotychczas odgrywają pewną rolę faszyci tj. "szalasyści"; właśnie ci azalasyści mieli popełnić w czasie wydarzeń najwięcej zbrodni. Młodzi komuniści usprawiedliwiali interwencję radziecką; według ich zdania Nagy i Losonczy zdradzili klasę robotniczą. Jeden z młodych komunistów powiedział wręcz:

- Bez oparcia się o Związek Radziecki nie może istnieć żadne państwo socjalistyczne. Gdyby nie strach przed Rosją Ameryka, nie oszczędziłaby nawet narodowo-komunistycznej Jugosławii.

W czerwcu rozmawiałem z panią Lehrfeldową, skarżyła się, że jej mąż podupał na duchu, jest przygnębiony, zaniedbuje pracę i mimo młodego jeszcze wieku w ostatnich miesiącach zupełnie osiwił.

- Mam troje małych dzieci, haruję od świtu do nocy, ale długo nie wytrzymam. Niech pan pomówi z moim mężem - prosiła zrozpaczoną pani Lehrfeldową.

Po kilku dniach spotkałem tow. Lehrfelda i mówię:

- Co się z wami dzieje, towarzyszu? Dlaczego jesteście tacy ponurzy i przygnębieni?

- Ach towarzyszu, wy mnie nie rozumiecie, jesteście aryjczykiem, a ja jestem Żydem .

- Co za bzdury gadacie! U nas w Darłowie nie ma antysemitów. Wiemy, że razem z żoną Polką walczyliście na froncie za Polskę przeciw hitlerowcom. Nikt wam nie wytykał żydowskiego pochodzenia.

- Och, towarzyszu, właśnie nie tak dawno to się zdarzyło; wracam z Koszalina, na dworcu czeka mój zapłakany synek, zapytuję go o przyczynę płaczu, a on... tu Lehrfeld zaczął szlochać - powiedział, że po lekcji religii w szkole jeden chłopiec go pobił, nazwał żydźlakiem.

Popatrzyłem wzruszony na płaczącego Lehrfelda i mówię:

- Towarzyszu Lehrfeld, zapewniam pana, że to się więcej nie powtórzy! Dzieci potrafią czasami być okrutnymi. Wiecie we mnie 4-5 letni brzdąc cisnął kamieniem ze słowami "stali dziad, kulwa twoja mać". Trzeba się zabrać do pracy mój drogi i tak bardzo się nie przejmować; przecież na 700 dzieci w szkole znalazł się tylko jeden mały, nieświadomy okrutnik. Jeszcze raz zapewniam pana, że to się więcej nie powtórzy; dziś wieczór pogadam z tym chłopcem i jego rodzicami. No towarzyszu, głowa do góry, chyba gorzej było pod Lenino, co?

W połowie listopada 1957 roku rozmawiałem z Lehrfeldami po raz ostatni na dworcu w Darłowie; odjeżdżali do Izraela. Przy pożegnaniu Lehrfeldowie płacząc wołali: "Niech żyje Polska - kochana nasza ojczyzna".

We wrześniu wyjechałem na urlop. Po przyjeździe do Warszawy udałem się sam, najpierw do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w sprawie renty. Panienska wyszła na korytarz z moją teczką, usiedliśmy przy stoliku i zaczęli gadać o mojej sprawie. Na moją prośbę panienska obliczyła w przybliżeniu przepracowane lata.

- Panu brakuje jeszcze 5 lat do emerytury.

- Jak to, proszę pani - mówię wystraszony - przed rokiem jedna panienska powiedziała mi, że brakuje około 3 lat, a teraz po przepracowaniu roku przybyło jeszcze 3 lata, to niesamowite!

- Niech się pan nie denerwuje, jest to nie tylko możliwe, lecz faktycznie tak jest. Radzę panu przejść na rentę inwalidzką - dostałby pan wtedy o 10 zł więcej, tj. 270 zł miesięcznie. Współczuję panu bardzo, ale niestety nic dla pana zrobić nie mogę; niech się pan postara przepracować jeszcze 5 lat, sądzę, że znając języki może pan pomimo podeszłego wieku dostać lżejszą pracę; albo niech pan napisze do Francji, do tego adwokata, może przyśle panu świadectwo z przepracowanych u niego 4 lat. Cóż robić? Był u nas onegdaj stary inżynier, brakowało mu do 25 lat tylko 6 miesięcy, płakał ale nic mu poradzić nie mogliśmy.

- Ach, proszę pani, ten adwokat i jego żona zmarli w 1936 roku, byli bezdzietni, pisałem do jego znajomych, lecz odpowiedzi nie otrzymałem. Nie ma co się dziwić, w Paryżu od 1936 roku zaszły kolosalne zmiany, część paryżan w czasie okupacji opuściła stolicę, udając się do sytniejszej tzw. "Wolnej Żony" i niektórzy na zawsze tam zostali.

Po odejściu panienski zapaliłem papierosa, a serce - tak jak kiedyś mówiła kobieta w szpitalu - pikum, pakum, pikum, pakum, nogi zrobiły się ciężkie, zdrętwiały, poczułem straszne zmęczenie. Odpocząwszy trochę wybrałem się do KC, może coś tam poradzą. Jestem od dziesięciu lat członkiem partii, posiadam odznaczenia, znam języki. Jestem za stary, nie wytrzymam wymaganych 5 lat na odpowiedzialnym stanowisku w Muzeum. Ach, gdyby można było porozmawiać z tow. Ostapem Dłuskim! W KC proszę o numer telefonu do tow. Dłuskiego - nie można, numer zastrzeżony! Dzwonię do towarzyszeki B., mówię o swej sprawie.

- Towarzyszu - odpowiada B. - nic dla was zrobić nie możemy, jesteście za starzy, siedzcie w Darłowie, albo zwróćcie się do KW w Koszalinie.

- Towarzyszko, proszę mnie połączyć z towarzyszem Dłuskim!
- Co, Ostap Dłuski! - i po krótkiej pauzie – tow. Dłuski was nie przyjmie!
- Dlaczego? Nie zabiorę mu więcej czasu niż 5 minut.
- Tow. Dłuski jest na urlopie - brzmi odpowiedź. - Zadzwońcie jeżeli chcecie do tow. K.

W rezultacie tych pertraktacji zostałem przyjęty przez bardzo grzecznego i miłego tow. K. Po krótkiej rozmowie, przyjemnej pogawędce z tow. K. udałem się na Krakowskie na wystawę malarstwa nowoczesnego. Przyglądałem się obrazom i nic nie rozumiałem. Na jednym obrazie przylepiono dwa talerze i szczotkę do zamiatania. Prosiłem zwiedzających żeby ktoś raczył mnie objaśnić co te obrazy przedstawiają; jeden ze zwiedzających - siwy staruszek z długimi włosami odzywa się:

Proszę pana, jestem artystą malarzem, ale tak samo jak pan nic nie rozumiem, może kto z młodzieży objaśni pana, oni są mądrzejsi od nas starych.

Patrząc na obrazy jak wół na malowane wrota. "Tak, jestem za stary - myślę sobie - nigdy tych abstrakcjonistów, surrealistów, taszystów nie zrozumie". Nie jestem bardzo mądrym ani bardzo uczonym, a to nowoczesne malarstwo, muzyka, poezja ogłupiły mnie do reszty, a więc umrę - nie doczekawszy się Godota, nie przeczytawszy "Ferdynurki" Gombrowicza - skończonym durniem.

Wyjechałem do Krakowa. Zaraz po przyjeździe do tego miasta zacząłem dorocznym zwyczajem oglądać kościoły, Wawel, muzea. Wracając do hotelu o godzinie 6.30, byłem niewyspany i bardzo zmęczony, przechodząc obok teatru Słowackiego obejrzałem repertuar; tego wieczoru grano "Wesele". Mimo przemęczenia poszedłem do teatru, trzeba było może po raz ostatni zobaczyć "Wesele". Na Godota czekać nie będę, zaś na "Wesele" musiałem pójść, bo to "nasze". Nazajutrz oglądałem wystawę obrazów Ociepki w Towarzystwie Umiejętności na Placu Szczepańskim. Nie mogłem oderwać oczu od jego "Narodzenia Chrystusa" z olbrzymim, białym kwiatem. Widziałem tłumy zachwyconych chłopów i robotników, oglądających potężne, ludowe malarstwo górnika Ociepki. Bo i rzeczywiście jest na co popatrzeć! Wciąż zastanawiam się nad tym jak to się stało, że w państwie ludowym mamy sztukę - może i dobrą - lecz niezro-

zumiała dla ludu. Kto może zrozumieć naszych taszystów? Wygląda na to, że nasi plastycy tworzą tylko dla elity, która się na tym zna.

Po południu wróciłem do hotelu z zamiarem wypoczęcia do dnia następnego, lecz wieczorem przybyło z Łodzi dwóch inteligentnych, władających angielskim panów. Po krótkiej rozmowie ze mną zaczęli mnie namawiać bym towarzyszył im do kawiarni, w której będziemy odstawiać Anglików lub Amerykanów.

- Nie moi panowie, nigdzie nie pójde. Amerykanina odstawiać nie będę, po co ta komedia. Zresztą mam typowo słowiańską fizjonomię, wcale nie wyglądam na anglosasa, zaś mój ciuch jest także typowo polski i to nie warszawski, tylko dałowski.

- No już dobrze, nie będziemy udawać Amerykanów, napijemy się tylko kawki i wrócimy do hotelu, zrób pan nam tę przyjemność.

Zgodziłem się wyjść tylko na godzinę. Ci panowie zaprowadzili mnie do nocnego lokalu "Feniks" na rogu św. Jana i Rynku, zamówili wódkę eksportową i drogie przekąski i nie dali mi dojść do słowa, tylko okrzykli mnie jako potomka Kościuszki. "Whisky and soda for our Uncle Prom America! - krzyknął za chwilę jeden z Łodzianinów - były rotmistrz Armii Polskiej. Kelner wysiła się na angielski, jedna z danse-rek zaprasza mnie łamaną angielszczyzną do tańca, orkiestra zaczęła grać starego powolnego walca, zaś mój drugi współbiesiadnik znów krzyczy: "Hallo, w aiter, cocktail for our uncle from America". Siedzę zawstydzony jak na szpilkach i pociągam whisky, jakaś dziewczyna nieproszona usiadła przy mnie i targa mnie za włosy. Wesoły rotmistrz rozkazuje muzykantom grać "Poloneza" dla potomka Kościuszki z Ameryki. Była już prawie północ, kiedy nałykawszy się whisky nabrałem śmiałości; podniosłem się, krzyknąłem ku przerażeniu moich współbiesiadników na całą salę:

- Dostyc tej niedorzecznej mistyfikacji, jestem Polakiem, w Ameryce nigdy nie byłem, po angielsku mówię z wileńskim akcentem!

Rozbawione i podchmielone towarzystwo otacza mnie i chce podrzucić w górę, słyszę głosy: "niech żyje nasz polski dziadek". Ledwie wybrnął z tej Sodomy; moi przygodni przyjaciele odprowadzili mnie do hotelu i wrócili do "Feniksa".

Nazajutrz dojechałem autobusem do Bielan, dalszą drogę do Tyńca odbyłem pieszo, jako pokutujący pielgrzym. Przed wyjazdem z Krakowa odwiedziłem jeszcze raz Tęczynek. Wysiadłem w Krzeszowicach i poszedłem na przelaj do Tęczynka; tam pokrzepiwszy się w

gospodzie wyruszyłem w dalszą drogę do zamku. Wziąłem z Krakowa wódki i szynki, trzeba w zamku poczęstować dziadka Majcherczyka, który mi rokrocznie baja o Starża-Tęczyńskich i historii zamku. Tym razem dziadek Majcherczyk zrobił mi zawód, bo i jakże tak można! Mieliśmy się spotkać we wrześniu 1957 roku, a tu starszek słowa nie dotrzymał, po prostu przed tygodniem zmarł, zaś dziadek z Darłowa tak pragnął jeszcze raz go spotkać i pogwarzyć o zamierzchłych czasach! Droga powrotna zdawała mi się długa i męcząca, z trudem dowlokłem się do Krzeszowic.

W końcu września powróciłem do małego, brudnego, a jakże drogiego sercu Darłowa! Kocham tę zaniedbaną wieś tak samo jak Kraków, Warszawę, Wilno. Mimo różnych trudności i tymczasowych niepowodzeń wierzę głęboko w rozkwit naszego miasta, całej naszej Ziemi Koszalińskiej. Po VIII Plenum usunięto druty kolczaste, ogradzające budynek, w którym się mieścił Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, otwarto przegrodzoną przed Październikiem ulicę Boczną biegnącą wzdłuż "groźnego, tajemniczego budynku". Obecnie odizolowany i odrutowany poprzednio gmach przybrał wygląd zwykłego, spokojnego bloku mieszkalnego. Odbudowa, rozbudowa i uporządkowanie miast pomorskich nabrało rozmachu, nastąpiło ożywienie wsi; gospodarze remontują swoje domy i zabudowania gospodarskie, zaprowadzają ład i porządek w swoich siedzibach.

Z dniem 1 stycznia 1958 roku Muzeum w Darłowie przejęła WRN w Koszalinie. Otwiera się nowa karta w dziejach Muzeum.

Na przełomie lat 1956-1957 powiał wiatr z zachodu, dotarł on i do naszego Darłowa. W kawiarni "Mocca", w której tańczono w soboty i niedziele szalał rock and roll. Na wzór zachodniego zaczęto i u nas wybierać królowe piękności; wybory naszych socjalistyczno-ludowych "reines de beate" nie wszędzie odbywały się gładko; w wielu miejscowościach wybory te stawały się wprost skandalem.

Pamiętam we Francji w okresie międzywojennym arbitrem ceremonii wyborów był starszy pajac ubrany w pantofelki ze sprzączkami, w pończoszki i krótkie jedwabne spodenki, przybrał nazwisko Maurice de Waleffe, w rzeczywistości zaś ten pomyłony jegomość nazywał się pan Moritz Kartoffel. Po wybraniu królowej prasa burżuazyjna reklamowała ją krzykliwie parę tygodni. Próżniacy i snobi mogli się dowiedzieć ile mleka zużywa królowa do kąpieli, jakim szampo-

nem myje włosy, o której godzinie wstaje, gdzie i jak się bawi, jaką czekoladę woli jej piesek, kto dostarcza śmietankę dla jej kotka i szereg innych bardzo cennych i ważnych szczegółów z życia tej pani. A w tym samym czasie tysiące dzieci paryskich robotników głodowało. Na szczęście szalejący wówczas w naszym kraju ohydny "strip tease" ominął nasze poczciwe miasto. A jednak pojawiły się dziwaczne stroje naszej młodzieży, no cóż, niech się ubierają jak im się żywnie podoba. Przecież za moich młodych lat na prowincji istniały jeszcze suknie z trenem, które przezywaliśmy "zamiataczkami", potem nadeszła moda na suknie "szalwary", na wążutkie spódnice, tamujące kroki stołecznych modniś, ptasie gniazda, kwietniki i długie szpile na szerokich damskich kapeluszach; nosiliśmy wąskie, obcisłe spodnie, długie spadające na ramiona włosy, brody a la Napoleon Orois i a la moujik russe. Tylko nasze spodnie nie były nabite gwoździami, co ułatwiało ich czyszczenie i prasowanie. Woźna Muzeum kiedyś w żartach powiedziała do zwiedzających Muzeum, ubranych w spodnie z ćwiekami chłopców: "przysparzacie waszym matkom pracy, przed praniem takich spodni trzeba powyciągać z nich gwoździe, zaś po wypraniu trzeba iść do kowala, żeby powbijał je z powrotem.

Latem 1958 roku dzięki interwencji konserwatora wojewódzkiego udało się nareszcie zabezpieczyć zaciekający dach skrzydła basztowego zamku, pokryć dach nad gankiem i przeprowadzić szereg innych, drobnych remontów.

Frekwencja w sezonie letnim była, jak na nasze stosunki, wprost rekordowa; po raz pierwszy miałem w Muzeum Arabów, jednego Murzyna z Ghany. Arabów powitałem w ich ojczystym języku, podobno jeden z Arabów napisał w jednym z dzienników damasceńskich artykuł o Muzeum w Darłowie. Zwiedzili Muzeum studenci z NRD, z NRF, kilku Szwedów, Finów i Anglików. Obcym gościom towarzyszyli nasi chłopcy i dziewczęta. Arabowie, Niemcy i inni obcokrajowcy są rozpolitykowani, natomiast nasza młodzież nie okazuje najmniejszego zainteresowania się polityką, jest zupełnie apolityczna. Przed naszym październikiem istniała potężna młodzieżowa organizacja ZMP, po jej rozwiązaniu powstało vaccum.

Ktoregoś dnia w sierpniu wpadł do biura robotnik z sąsiedniego Młyna Zamkowego ze słowami: "Do pana wloką się staruszkowie z Domu Starców!".

Wyszedłem na dziedziniec i ujrawszy 15 staruszków i staruszek, na czele grupy kroczył poważnie (nie włożył się, jak się wyraził robotnik) 82-letni czcigodny dr Orłowicz, słynny podróżnik i publicysta; turyści dźwigali na swych barkach ciężkie plecaki.

- Czy mam włożyć pantofle? - pyta mnie sędziwy turysta.

- Nie panie doktorze. Pan może zwiedzać bez pantofli - odpowiedziałem z szacunkiem.

Po dokładnym zwiedzeniu wystaw grupa inteligentnych staruszków, załadowawszy ciężkie plecaki wyruszyła w dalszą podróż.

Od roku 1958 w Darłowie wzmógł się ruch budowlany; odnowiono wszystkie budynki na Placu Kościuszki i ulicach centralnych, zbudowano kilka bloków dla repatriantów i mieszkańców miasta, uruchomiono w DarłóWKu nowoczesną plażę, o której od lat marzył ś.p. doktor Mucha, otwarto tam pięknie urządzoną kawiarnię i restaurację. Darłowo przybiera przyzwoity wygląd. Mieliśmy piękne kwietniki i zieleńce, gdyby nie niszczyielska ręka darłowskich dzieci i chuliganów. (Na szczęście liczba chuliganów zmniejsza się z roku na rok).

W roku 1947 ogrodziłem wysoką siatką ogródek przy dziedzińcu zamkowym i założyliśmy z żoną kwietniki. Całe 10 lat cieszyliśmy się z naszych kwiatków; zwiedzający również podziwiali - według ich słów "darłowską oazę". Od roku wszystkie kwiatki wykradają pobożni złodzieje na Święta Bożego Ciała.

Jednego pogodnego, lipcowego wieczoru siedzę w parku "nad deptakiem" i przyglądam się smutnie wpół ogołoconemu klombowi kwiatów, moja sąsiadka, kobieta w średnim wieku z pięciorgiem dzieci i szóstym dojrzewającym w jej łonie uśmiecha się błogo i radośnie, bawiąc się kwiatkami, którymi zasypują ją dzieciaki.

Zwracam się do matki:

- Dlaczego pani pozwala dzieciom niszczyć kwiaty? Fe, wstydź się pani !

- Czego się pan mnie czepia, jestem tutaj dopiero drugi raz, kwiaty powyrywały inne dzieci, pełno ich wszędzie; żałuje pan tych paru kwiatków zerwanych przez moje maleństwa, wstydź się pan !

Zacząłem jej prawić morały, mówię o kwiatkach, o czystości, porządku, o wychowaniu potomstwa itd. Siedząca obok mnie staruszka wysłuchawszy mych pouczeń przemówiła:

- Sąsiad mego dziadka odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej i po powrocie stamtąd opowiadał, że na górze Syjon nad świętą rzeką Jordan rosły trzy czerwono-złote lelije. Pewnego wieczoru, tak jak dziś przyszła na górę jedna kobieta tak, jak pani, tylko z trojgiem dzieci, a nie z pięciorgiem i kazała im tak jak pani zerwać te kwiaty. Jeden chłopczyk zerwał leliję i w mig wyrosły mu różki na łbie, drugi zrywa i ma kopytka zamiast nóg, trzecia dziewczynka, taka jak panina Jadzia, zrywa ostatnią leliję, patrzy, a tu zamiast leliji trzyma w rękę węża, a ten wąż sycząc szatańsko ugryzł dziewczynkę w nos i padła ona trupem, zaś matka przemieniła się w oślicę i zaczęła żałośnie ryczeć, bo serce miała ludzkie.

- Co pani plecie głupstwa, niech pani już przestanie bujać na stare lata - powiedziała dotknięta matka. .

- Zapewniam panią - mówię poważnie - że babcia wcale nie buja, ja też słyszałem o tych trzech lelijach...

- Jadźka, Kazik, Witek chodźcie tu dosyć tych kwiatków, nie zrywajcie więcej, chodźmy do domu, ojciec przyjdzie, trzeba gotować kolację.

Mamusia z dziećmi odeszła, a staruszka zwraca się do mnie:

- Niech pan posłucha, co było dalej; Pan Jezus pokropił świętą rosą...

- Co pokropił? Mówiła pani bzdury o tych lelijach...

- Jak to? Przecież sam pan przed chwilą mówił, że słyszał o tym!

- Powiedziałem tak, bo i coś miałem robić, ta zgraja byłaby zniszczyła kompletnie ten klomb.

Staruszka spojrzała uważnie na mnie i powiada ironicznie:

- Myślałam, że jesteś porządnym człowiekiem, katolikiem, a tu okazuje się, że mam przed sobą lutra albo obrzezańca. Idźże stań na tym klombie, to przestraszysz wszystkie dzieci, bo wyglądasz w tym czerwonym kołpaku jak straszdyło. Ech, ty obrzezaniec, niewierny bisurmanin!

- Pani sama niewierna!

- Ja niewierna? Ja jestem rzymsko-katoliczką, a ty obrzezańcem!

- Pani jest niewierna, bo zdradzałaś swego męża !

- A ty widziałaś, ty obrzezaniec jeden?!

- A pani widziałaś, że jestem obrzezańcem?!

- Tfu, szatan, bezwstydnia łachudro!

Staruszka energicznie splunęła w moją stronę i warcząc złośliwie oddaliła się.

No cóż? Kwietniki, kwietnikami, a swoją drogą przemysł się rozwija, rolnictwo stoi mocno na nogach, budownictwo przybrało rozmiary nie znane dotychczas, rybacy przekraczają plany, stajemy się grzeczniejsi, kulturalniejsi, mimo pewnych niedociągnięć powiedzieć można: eppur se muove!

Dnia 15 lipca 1958 roku zwiedził muzeum jeden naukowiec z Niemieckiej Republiki Federalnej. Był on bardzo zdziwiony wzorowym porządkiem i czystością naszej placówki, a gdy mu pokazałem obszerną bibliotekę w języku niemieckim zdziwienie uczonego nie miało granic, bo w Niemczech Zachodnich - według jego słów - mówi się o doszczętnym zniszczeniu księgozbiorów w języku niemieckim.

- Dziękuję panu bardzo - powiedział na pożegnanie naukowiec niemiecki, ściskając moją dłoń - nie spodziewałem się, że na prowincji w Polsce zastanę taki ład i porządek...

Ja ze swej strony tego samego dnia byłem również bardzo zdziwiony, gdy przybyły po Niemcu inteligentny i przystojny starszy pan Polak zapytał mnie w biurze prosto z mostu jak ja się pieczętuję. Pokazałem mu pieczętkę "Muzeum w Darłowie" i "Kierownik Muzeum w Darłowie" i powiedziałem: "tak się pieczętuję, proszę pana!

- Ale pan mnie nie zrozumiał - powiedział jegomość -mnie chodzi o co innego; nie grajmy więcej w ciuciubabcie, okres stalinowski minął bezpowrotnie.

- Ach tak, teraz zrozumiałem! Więc, proszę pana, mój dziadek mówił coś o baranich czy oślim łbie, o złamanej podkowie i, zdaje się, o bawolim rogu czy ogonie...

- Mogę pana zapewnić, iż taki ośli herb nie istnieje.

- To może dziadek po prostu się chwalił; uważam zresztą, że w naszych czasach nie warto zaprzątać sobie głowy relikdami minionych bezpowrotnie czasów.

- Hm... kto wie, mój panie, co może nastąpić jutro, różnie bywa. Panie dobrodzieju!

- Tak czasem bywa... Rosjanie mówią: "bywajet, czto i miedwiedj latajiet".

- Nie znam latających niedźwiedzi - odparł podrażniony jegomość - znałem natomiast przed rewolucją restaurację "Miedwiedj" w Petersburgu, w której byłem stałym gościem, a propos Petersburga słyszał pan o słynnej awanturnicy i trucicielce artystce Tarnowskiej?

- A jakże, przecież to moja kuzynka!
- Ach rozumiem ! Alors, Monsieur il ne me reste que vous exprimer mes felicitations! (Nic mi innego nie pozostaje jak złożyć panu gratulacje).

Uśmiechając się ironicznie, oczekujący na drugi etap pan opuścił muzeum.

Na początku sierpnia tegoż roku siedziałem wieczorem po godzinach służbowych w biurze, sprawdzając kasę, byłem bardzo zmęczony, wciąż mi brakowało 25 złotych, nareszcie znalazłem brakującą kwotę, zadowolony miałem odejść do domu, wtem wkroczyła na dziedziniec wycieczka starszych. chłopców i dziewcząt. Wychowawczynie zażądała wypuszczenia wycieczki do muzeum:

- Niech pan otwiera prędeej, jesteśmy przemęczeni, spędziliśmy cały dzień nad morzem.

- Proszę pani, muzeum jest czynne do godziny 4-tej, a mamy teraz godzinę szóstą, nie wpuszczę, jest za późno, jestem bardzo zmęczony.

- A my żądamy, żeby pan nas wpuścił!

- Mieszkacie przecież niedaleko w Szkole Ogólnokształcącej, proszę przyjdź jutro, ja ledwo trzymam się na nogach.

- Jutro idziemy znów nad morze, nie będziemy miały czasu, jeżeli jesteś pan przemęczony, to jedź pan do sanatorium!

- Właśnie od dziesięciu lat staram się o pobyt w sanatorium, ale jakoś mnie nie przyjmują.

- To niech się pan zwolni!

- Kiedy nie zwalniają, bo nie ma następcy.

- No patrzcie państwo, nie chce jechać do sanatorium, nie chce się zwolnić i nie chce nas wpuścić. Co to za biurokrata, dragon austriacki!

- Nie jestem biurokratą, nigdy nie byłem dragonem austriackim, pani mnie ubliża!

- E tam, austriackie gadanie, nie wiadomo kto komu ubliża (i do dzieci: "chodźmy dzieci, nie ma co gadać z zaśniedziałym biurokratą austriackim, który nie ma litości dla biednych, zmęczonych dzieci"). Dzieci bardzo lubię (zdaje mi się, że one mnie też), ale czasem tak mi dokuczają, że wymyślam na nadzwyczajną płodność darłowskich obywateli, żadne miasto w Europie i Polsce nie może nam dorównać.

Po przybyciu repatriantów ze Związku Radzieckiego liczba małych psotników w sąsiedztwie muzeum wzrosła w trójnasób. Pewnego wieczoru jeden 11-12 letni chłopiec wdrapał się po rurze spadowej na ganek muzeum i zaczął dzwonić na ganku mamy zabytkowy szwedzki dzwon, krzyknąłem na niego z okna:

"złaz natychmiast łobuzie, zaraz zadzwonię na milicję, złaz parszyw-cze, bo cię zakatrupię!"

Chłopiec zlął, schował się za rogiem Bramy Wschodniej i zaczął mnie drażnić: "Dziadku, a gdzie milicja, czemu nie przychodzi!"

Młodszy braciszek urwisa, stojąc w przeciwległej Bramie Zachodniej woła nań, by wracał do domu.

- A jak ja mam wracać przez dziedziniec kiedy dziadzio patrzy oknem i chce mnie zakatrupić? Tak, czy inaczej nie chcę żeby dziadzio mnie poznał i naskarzył ojcu.

- Wracaj już - mówię - zakatrupić cię nie mogę, jestem na drugim piętrze, skrzydeł przecież nie mam, chciałbym tylko ujrzeć twój twarz, żeby donieść twym rodzicom o twej karkołomnej akrobacji.

Zaległa parominutowa cisza. Potem patrzę, mój urwis kroczy poważnie dziedzińcem, zakrywszy twarz ogromnym liściem łopianu.

- Ty psiakrew, gavrocheu darłowski! - krzyknąłem, dusząc się ze śmiechu.

Po powrocie z urlopu zastałem w Muzeum kandydata na kierownika, był nim pan J. ze Słupska. Chciałem go wprowadzić i wynieść się z zamku i Darłowa. W październiku załadowałem swoje graty do wagonu towarowego i w tym wagonie pojechałem do Bartoszc. Ubrany byłem w kozuch, filcowe buty, baranicę; wyglądałem jak typowy repatriant z Wileńszczyzny. W Lęborku staliśmy 14 godzin. Prócz spinaczy domagających się napiwku złożył mi wysoce niekulturalną wizytę jeden pan w czerwonej czapce.

- No dziadku, wyprawę masz? - pyta "czerwony kapturek".

- Co za wyprawa, gości panie dobrodzieju? - pytam zdziwiony.

- No, chcesz jechać dalej, to dawaj wyprawę!

- To znaczy się łapówka, wsiatka, gości panie dobrodzieju !

- No niekoniecznie! Wiesz, że możemy cię tu zatrzymać do jutra, a tak wyjedziesz za dwie godziny.

Dałem urzędnikowi 20 złotych, po dwóch godzinach mój wagon przyczepiono do mającego wyruszyć w dalszą drogę pociągu, spinacze również dostali 20 złotych. Przed samym odjazdem znów pod-

szedł do wagonu "czerwony kapturek", wlażł do środka i nic nie mówiąc zaczął napełniać kieszenie moimi jabłkami.

- Połóż jabłka z powrotem, psia jucho, bo cię każę zamknąć! - rozkazał gniewnie "dziadek z Wileńszczyzny".

- Nie nastawiaj się tak dziadku, to ci nie Rosja, uważaj żebym ja cię czasem nie przytknęła!

- Nie jadę z Rosji, łapownika jeden, lecz z Pomorza, z Darłowa, w którym właśnie mamy bardzo uczciwych i uczynnych kolejarzy.

Zofia Wojna

Obóz junaczek w Przylaskach

Szkołę podstawową ukończyłam nie z mojej winy z opóźnieniem. Nadszedł ciężki dla mnie 1953 rok. Poszłam do zawodówki przy WSK w Rzeszowie. Na rozpoczęciu roku wraz z dyrektorem był młody chłopak w czerwonym krawacie – tyle zapamiętałam. Był to 1 września 1953 roku. Dyrektor powitał młodzież, a ten młody chłopak powiedział, że dziewczęta 16-17 letnie pojedą na wycieczkę. Pewnie nikt nie przypuszczał, co znaczą te słowa. Wycieczka była obowiązkowa. Zjawiło się wiele dziewcząt z Rzeszowszczyzny z tej szkoły. Był to 2 września 1953 roku. Pod szkołę podjechał samochód pokryty plandeką. Zjawił się ten chłopak. Dyrektor patrzył na nas w milczeniu. Wsiadłyśmy na przyczepę i samochód ruszył w stronę dworca PKP w Rzeszowie. Tam nas umieszczono w jakiejś sali. Zaczęły też dojeżdżać dziewczęta z innych miejscowości – też jechały na wycieczkę. Tak siedziałyśmy do wieczora. Było nas wszystkich dość dużo. Wieczorem, kiedy zapadł zmrok, podstawiono pod to pomieszczenie wagony „krowiarki” z ławkami pod ścianą. Pociąg ruszył. Mijałyśmy Kraków, Katowice, Gorzów, Strzelce Krajeńskie, Krzyż i wreszcie koniec wycieczki – Sławno ! Coś nas zaczęło w drodze niepokoić , ale nadal byłyśmy nieświadome. Przed dworcem stały dwa traktory – jeden z tych traktorzystów nazywał się Lasota. Wsiadłyśmy na przyczepy i traktory ruszyły. Jechałyśmy czas jakiś i oczom ukazały się baraki i takie komando – piętrowy budynek. Wszystko było ogrodzone i to solidnie, a z zewnątrz obrastały drzewa, krzewy. Wokoło były tylko pola i pola. Kiedy znalazłyśmy się na miejscu powiedziano nam prawdę, a brzmiała okrutnie. Jest to obóz pracy dla dziewcząt zwany Służba Polsce i my jesteśmy pionierkami.

Było to przed południem. Zebrano nas w tym piętrowym budynku, który nazwałyśmy po cichu „komando”. Powiedziano nam, że mamy zdać nasze ubrania i każda dostała worek, w którym umieściła swoje

rzeczy, nawet medaliki. Rozebrane poszliśmy do ogólnej łaźni. Stojąc w szeregu dostałyśmy: obozową bieliznę, drelichy, niebieskie chustki na głowy i „kamasze”, często większe o 2-3 numery i onuce. Kiedy już brałyśmy to, co nam dali, zaprowadzono nas do takiej sali, gdzie dostałyśmy posiłek: chleb z masłem i marmoladą i kawę. Nie było tego pod dostatkiem. Następnie zaprowadzono nas do baraków, gdzie znajdowały się piętrowe prycze zbite z desek, a na nich sienniki i jakieś przykrycia. Na te prycze trzeba było się wspinać. Na jednej sali było nas kilkanaście. Tych baraków było 5, może 6. Wspólna łaźnia itd., żadnych udogodnień higienicznych, ale za to dyscyplina więzienna! Rano, skoro świt pobudka, apel w dwuszeregu z odliczeniem obecności, skromne śniadanie i wyjazd w pole do pracy przy zbieraniu ziemniaków, buraków a także rycyny. Każda była głodna, więc jadłyśmy rycynę. Były to jakby orzeszki, a portki nosiłyśmy „w zębach”, bo tak działała rycyna. Ciężka praca, popękane aż do krwi dłonie, ból mięśni i kręgosłupa, bo te kosze musiałyśmy same winnować na przyczepy, a traktorzyści odpoczywali. Nikt nie miał nad nami litości ani współczucia. Często pracowałyśmy ponad nasze siły. W międzyczasie przywożono nam po dwie kanapki i garnuszek picia. Po przyjeździe z tego pola było znowu odliczanie i posiłek, aż tak nas zatruto jakąś kaszanką, że był to jeden wielki szpital.

Było nas tam 83 dziewcząt. Napisałam do rodziców, żeby mi przysłali czarnego razowego chleba. Owszem, otrzymałam paczkę z „racuchami-pączkami”. Mój ojciec napisał też list do „komanda”. Zostałam wezwana, skarcona i ukarana, że prosiłam rodziców o żywność! Listy były kontrolowane.

Dowództwo składało się z kobiety – młodej, niekiedy z zapachem alkoholu i często zmieniających się chłopaków, czasami marynarzy. Jedna z uczestniczek często zastępowała szefową, nazywałyśmy ją szefunią. Ciężka praca cały dzień, marne, prawie głodowe porcje, zmęczenie i brak jakiegokolwiek swobody, czasem parę groszy – to wszystko. Raz przywieziono chłopców, może trochę starszych, to miała być „integracja”. Oni patrzyli na nas, my na nich i tak rozstaliśmy się w milczeniu. Pewnie byli gdzieś niedaleko, bo przyjechali traktorami. Kto, co i dlaczego – nie wiem.

Mijały tygodnie i miesiące. Było coraz zimniej. Był już taki mróz, że ręce stawały się sztywne od zimna, a my wciąż w tych drelichach. Z nadejściem ostrzejszych mrozów powiedziano nam, że wracamy do

domów. Radość. Znowu ta sama droga. Kiedy już w zasięgu wzroku miałam dom rodzinny, okazało się, że drzewa są pozbawione liści. Zobaczyłam początek zimy. Tak zakończyła się moja wycieczka! Nie miałam odwagi przez 56 lat pojechać do Sławna na Przyłaski. Pamiętałam doskonale to miejsce i te budynki..

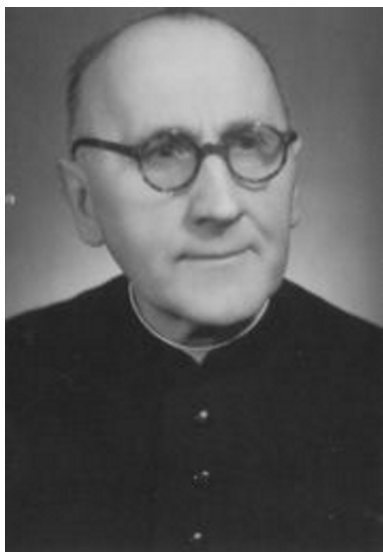
Będąc w Jarosławcu wybrałam się do Sławna 23 czerwca 2009 roku. Jechałam autobusem PKS. Przed Sławnem zobaczyłam ten obiekt. Poznałam natychmiast. Był to dla mnie szok ! Próbowałam porozmawiać z kierowcą, ale nie podjął tematu. Próbowałam też rozmawiać z mieszkańcami, ale nic nie wiedzieli lub udawali i to zarówno starsi jak też i młodszy Wyjątkiem okazał się kierowca Taxi ze Sławna p. Aleksander Gliszczyński. Opowiedziałam mu tę historię w skrócie. On wiedział ! Udzielił mi informacji, bezinteresownie zawiózł mnie na miejsce do tego obozu. Ktoś tam gospodaruje, ale źle. Ten obóz jest prawie ruiną. Pan Aleksander Gliszczyński poszedł ze mną abym mogła zrobić fotografie. Łzy zalały mi oczy, wszystko mi się przypomniało, to był dla mnie koszmar, ogromnie smutne przeżycie – powrót do 1953 roku.

Weszłam na teren tego obozu. Ani żywej duszy tylko ślady, że ktoś tu bywa i zdewastowane budynki. Dawne „komando” stoi, baraki w ruinie, obojętnie porośnięte trawą. Za naszych czasów było czysto, wysprzątane i to naszymi rękami.

Po powrocie pod dworzec PKP w Sławnie postanowiłam odwiedzić burmistrza czy jakąś władzę. Skierowałam się we wskazanym kierunku. Nie znając drogi weszłam do sklepu spożywczego. Zapytałam o drogę, a pan Wiesław odradził mi wizytę w ratuszu. Rozmawialiśmy. Powiedział , że takich obiektów w pobliżu Sławna było więcej.

Dziś o tamtych wydarzeniach nikt nie mówi. Ich uczestniczki mają już po 73-74-75 lat. I dlatego postanowiłam tę sprawę odgrzebać

ks. Antoni Wolek-Waławski Wspomnienia duszpasterskie



Po wojnie były to czasy ogromnego braku księży w diecezji na Ziemiach Odzyskanych. Na początku było 60 kapłanów autochtonów i 68 uproszonych księży zakonnych. Potem przybyło 100 kapłanów z archidiecezji lwowskiej. Ale to wszystko było kroplą w morzu. Sami starostowie, jak np. ze Sławna, prosili o przysłanie do poszczególnych miejscowości kapłanów. Bo - jak mówili - wysiedleńcy ze wschodnich terenów tu przybywający nie chcieli się osiedlać, jeśli w ich miejscowościach nie będzie

kościół i kapłana.[...]

Ksiądz Administrator Edmund Nowicki zaproponował mi objęcie probostwa w Siecieminiu.

"Nie przybyłem tu wybierać sobie posad, ale będę pracował, gdzie mnie Eksceleńcja pošle" - odpowiedział nowo mianowany proboszcz. Pod zmienionym nazwiskiem jako ks. Waławski - z dawnej "kennkarty" wyrobionej jeszcze za czasów okupacji, wyjeżdżam do Słupska gdzie spotykam się z księdzem dziekanem Karolem Chmielewskim. Ksiądz dziekan wynajmuje samochód od wojska i po południu 20 października 1946 roku przybywamy do Sieciemina.

* * *

Tu był już proboszcz od pół roku przedtem w osobie ks. prałata Bączkowskiego. Starszy wiekiem, lat ok. 80, pochodził z diecezji ży-

tomierskiej. Na plebanię przydzielono mu dom poniemiecki, koło kościoła, a właściciela Niemca wysiedlono za Odrę. Dom ten zapisał jednak ks. prałat na prywatne nazwisko swoje i rodziny p. Gwiazdowej. Nie mógł więc być plebanią dla mnie, bo mnie ta rodzina nie przyjęła. Miałem więc tymczasem zamieszkać, póki nie wyszukają innego domu na plebanię, w pokoju strychowym, bez kancelarii, u wójta p. Dawidowskiego, gdzie też miałem otrzymać i wikt. Było mi to "na rękę", bo nie musiałem się starać o gospodarstwo, o gospodynię, o wikt i to na samą zimę - teraz.

Ks. prałat Bączkowski przybył do Sieciemina w pierwszej połowie kwietnia 1946 roku, a więc pół roku przede mną. Wyświęcił kościoły: parafialny w Siecieminiu i filialne: w Dobiesławiu, Ratajkach, Karnieszewicach i Iwięcinie. Przywiózł ze sobą : 1 ornat biały i czarny, 1 komżę i 1 albę z paskiem. I to służyło do kościołów wszystkich. Był wtedy przywilej, że wolno było celebrować Mszę św. bez portatila. Po kilku miesiącach przybył tam również wikary, zakonnik o. Michał. Ks. prałat przydzielił go do Sieciemina, a sam osiadł przy kościele filialnym w Dobiesławiu, gdzie była piękna plebania z umeblowaniem. O. Michał - zdolny kaznodzieja, wielki muzyk i śpiewak, ale moralnie słaby, mieszkał prywatnie, bo plebanii nie było, do kościoła mało zaglądał...

Październik – rok 1946. W kościele w Siecieminiu gromadzą się ludzie i sami odprawiają nabożeństwo różańcowe. Kapłana nie ma, chociaż tam mieszkał. W połowie października sami rozpoczęli nowennę do M. B. Różańcowej za przyczyną św. Teresy o przybycie do nich innego, dobrego kapłana. I dziewiątego dnia nowenny przybyłem do Siecimina, przywieziony autem wojskowym ze Słupska przez ks. dziekana Chmielewskiego. Po obiedzie u wójta p. Dawidowskiego i po odjeździe ks. dziekana poszedłem do miejscowego kościoła. Kościół w stylu gotyckim, poewangelicki, ściany surowe, organy, ołtarz, mensa niska, a na niej stojący futerał z kielicha ze zasuwką drucianą. Otwarłem i zobaczyłem, że jest Sanctissimum w puszcze przykrytej palką. Uklęknąłem. Nie ma wiecznej lampki, nie ma zamkniętego tabernakulum. Poszukałem lampy naftowej nr 5 i tę postawiłem na posadzce tymczasowo, bo nie było na czym powiesić w kościele. Wieczorem przybyli ludzie na nabożeństwo różańcowe. Zdziwiła ich lampa naftowa na posadzce zamiast wiecznej lampki. Poznali po niej, że przybył do nich nowy kapłan i stwierdzili, że to

dziewiąty dzień ich nowenny. I po tej wiecznej lampce komentowali, jaki będzie ten nowy kapłan. Odprawiłem nabożeństwo różańcowe, przemówiłem i przedstawiłem się prosząc ich, by mi wyszukali i przysłali jakiego stolarza celem zrobienia nadstawy - podwyższenia mensy i tabernakulum drewnianego ze zamknięciem. Stolarz przybył, a był nim p. Smukała, który w trzech dniach wykonał tę zleconą pracę. Na drugi dzień przedstawiłem się ks. prałatowi okazując mu nominację na proboszcza. Tego samego dnia zawiadomiłem pisemnie Kurie Administracji Apostolskiej w Gorzowie o swym przybyciu i objęciu obowiązków proboszcza parafii sieciemińskiej i poprosiłem o przysłanie mi wszystkich ksiąg parafialnych, metrykalnych, ponieważ dotychczas akta wszelkie notowano tylko w zeszytach i wolnych kartkach., formularzach niepoprawnych. A więc księgę chrztów, zaślubionych, zmarłych, księgę kasową. Inne, jak księgę ogłoszeń z ambony, zapowiedzi przedślubne, kroniki, dziennika korespondencyjnego, zamówiłem sobie na miejscu w Sławnie.

* * *

W najbliższą niedzielę wybrałem się z drugą Mszą św. do kościoła filialnego w Karnieszewicach, oddalonych o 5 km. Zawiadomiony tamtejszy sołtys przysłał po mnie furmankę; nazywał się Teodor Andrzejewski. Sołtys powitał mnie. Przed nabożeństwem zapytałem go, czy w kościele jest Najświętszy Sakrament. Odpowiedział, że jest zakonsekrowany przed 3 miesiącami. Powiedział mi nawet O. Michał, że gdyby tu długo nie było Mszy Św.- to, żebym sam spożył tę Komunię św. Nie spożywałem. Kościół stał wśród lip i był wilgotny. Naturalnie przywiozłem ze sobą wszystkie paramenty mszalne wraz ze mszałem i ewangeliarzem, bo były to jedyne na całą parafię. Najpierw siadłem do konfesjonału... W czasie Mszy św. w kazaniu przedstawiłem się ludziom zapowiadając, że będę na razie przyjeżdżał do nich w każdą drugą niedzielę. Po Komunii św. zauważyłem species - już zielone - od grynszpanu. Wahałem się, czy je spożyć, aby się nie zatruc. Żalowałem, że nie wziąłem więcej wina mszalnego ze sobą. Wybierając species - jak ciasto z puszki, którą był jakiś srebrny puchar - sportowy, spożyłem i zrobiłem purifikację. Nie zatrucłem się. Po Mszy św. wspomniany sołtys zaproponował mi, czy nie napiłbym się herbaty. Chętnie - rzekłem - bo się bałem zatrucia. Prowadził mnie - sądziłem że, do swojego domu. Nagle stajemy, o dziwo przed restauracją-karczmą wiejską.

-„Dokąd mnie pan prowadził - do karczmy?” - zapytałem. A on rzecze: „Poprzednik wasz -księżę, zawsze tu wstępował na jednego”.

- „Ja tu nigdy nie będę wstępował”- rzekłem - proszę o furmankę, rzekłem – odjeżdżam. Wróciłem do Sieciemina. A ludzie słysząc to, komentowali znowu o nowym proboszczu, jakim on będzie...

* * *

W parę dni później dowiedziałem się od ludzi - i coś o tym "napomknął" mi ks. prałat Bączkowski , że w Dobiesławiu, we wiosce przy kościele filialnym należącym do tut. parafii ongiś, pracuje wikary nazwiskiem ks. Dunin. Dobiesław jest oddalony od Sieciemina 11 km. Postanowiłem spotkać się z tym księdzem, aby go zawiadomić o moim przybyciu do parafii jako proboszcz, a więc i jego proboszcz. Napisałem zatem list do niego, na który wcale nie odpowiedział, ani nie przybył do Sieciemina, jakkolwiek go o to prosiłem. Wobec tego wybrałem się sam do niego po paru dniach furmanką. Zastałem w Dobiesławiu na plebanii mieszkającego tam organistę, pochodzącego od Wilna, liczącego ok. 70 lat. Przedstawiłem się mu jako nowy proboszcz, a on mi objaśnił, że ks. Dunin mieszka we wsi w swoim domu, gdzie prowadzi gospodarstwo. Stąd codziennie rano przychodzi do kościoła, aby odprawić Mszę św. Udałem się do prywatnego domu ks. Dunina. Przedstawiłem się ks. Duninowi, pokazując mu dekret nominacyjny. Zapytałem, czy ma nominację i jurysdykcję. Odpowiedział, że te sprawy załatwił mu ksiądz prałat. Poprosiłem go o spowiedź św. W dalszym ciągu pytałem, czy daje śluby i kto mu do nich udziela delegacji. Odpowiedział, że ksiądz prałat podpisuje mu każdy ślub i podpisy pokazał na pojedynczych, nieoprawionych formularzach... Pytałem dalej, co robi, jeśli ks. prałat przez dłuższy czas jest nieobecny w Siecieminie lub Dobiesławiu ? Nic nie odrzekł. Wobec tego prosiłem go, aby odtąd zawsze ze mną się kontaktował w tych sprawach. W końcu zapytałem jeszcze, do którego kościoła filialnego dojeżdża. Odpowiedział, że tylko do Iwęcina oddalonego od Sieciemina 15 km. Mając poważne wątpliwości co do jego osoby, udałem się na drugi dzień do Słupska, do ks. dziekana. Wielce zdziwiony ks. dziekan odezwał się: "To on tam jeszcze jest? Przecież ja mu dałem jurysdykcję na 10 dni. Proszę o tym donieść do Kurii w Gorzowie". Zaraz zawiadomiłem Kurię o nim... Za parę dni otrzymałem odpowiedź z Gorzowa, że nic nie wiedzą o ks. Duninie oraz żeby go zaraz skierować do Kurii dla załatwienia jego nominacji i ju-

rysdykcji. Pojechałem furmanką do Dobiesławia, aby przekazać ks. Duninowi polecenie Kurii. Przynależał to uczynić w najbliższych dniach. Wracając pieszo do stacji kolejowej (3 km) wstąpiłem po drodze do pewnego domu, aby poznać ponoć gorliwych parafian. Zastałem tam dwóch milicjantów z Dobiesławia. Podczas rozmowy z nimi odezwali się: "Gdyby chcieli zabrać nam w kurii ks. Dunina, to byśmy go karabinami bronili". Słowa te jeszcze bardziej mnie zaniepokoiły, co do osoby ks. Dunina... Za parę dni otrzymałem z Gorzowa list polecony z zawiadomieniem, że ks. Dunin był w Kurii, że prosił o nominację i jurysdykcję. W zakończeniu listu były słowa: "Prosimy mu zezwolić na odprawianie codziennie tylko Mszy św. - resztę o nim badamy, a o wynikach zawiadomimy...". Po dwóch dniach otrzymałem z Gorzowa list ekspres-polecony tej treści: "Ks. Dunin, recte Stemmer, ex-żyd jest suspensus w diecezji gdańskiej, ważność jego święceń wątpliwa; prosimy postarać się, aby on jak najwcześniej opuścił diecezję". To mnie ogromnie zmartwiło. Poprosiłem zaraz parafian w Siecieminiu o modlitwy w bardzo ważnej sprawie kościelnej. Na drugi dzień udałem się furmanką do Dobiesławia. Pokazałem tam ks. Duninowi list z Kurii i poprosiłem go, aby wyjechał z Dobiesławia i z naszej diecezji. Na to on rzekł podniesionym głosem: "Nie pojedę i ja jestem tu proboszczem narodowego, polskiego kościoła katolickiego. To moja parafia".

Począłem mu argumentować, tłumaczyć, aby nie gubił swojej i tylu ludzi dusz, że jedna dusza według św. Augustyna - jest tak rozległą diecezją, iż dla tej jednej warto zamianować biskupa - itd. itd. Nie pomogły żadne argumenty. Odjechałem bardzo przygnębiony. Po drodze wstąpiłem na plebanię przy kościele w Dobiesławiu do mieszkającego tam organisty. Opowiedziałem mu o wszystkim. Prosiłem, aby klucze od kościoła trzymał u siebie, nie pozwolił - celebrować tam ks. Duninowi, który urządził sobie kaplicę w prywatnym mieszkaniu. Prosiłem nadto, żeby klucze od kościoła oddał temu dopiero kapłanowi, którego albo ja przywiozę, albo on okaże pismo z pieczęcią Kurii Biskupiej.

Na to stroskany organista rzekł: "To ja służyłem dotychczas heretykowi! Nie będę służył". Następnie udałem się do pobliskiej wioski Wiekowo (2 km) do sołtysa prosząc go, aby zaprosił kilku wpływowych parafian i tym oznajmiłem co zaszło. Prosiłem ich, by na mszę ks. Dunina nie chodzili, bo on teraz zakłada kościół narodowy, że w

najbliższą niedzielę ja sam przyjadę do ich wioski ze Mszą św., którą odprawię w dużej sali gromadzkiej. Prosiłem również, aby z wszelkimi posługami jeździli do mnie, do Sieciemina itd. itd. Po powrocie doniosłem zaraz o tym wszystkim do Gorzowa i do ks. dziekana. Do Kurii Administracji Apostolskiej wysłałem gorącą prośbę o przysłanie do Dobiesławia prawdziwego kapłana katolickiego - dla dobra dusz i kościoła. Odpisali mi, że chętnie to zrobią, ale nie mają na razie żadnego wolnego księdza. W najbliższą niedzielę pojechałem z drugą Mszą św. do Wiekowa - jak obiecałem - a potem z następną popołudniową do Iwięcina. Tam zatrzymałem się u kierownika szkoły, który ma duży na ludzi wpływ. W czasie kazania powiedziałem wiernym, aby do ks. Dunina nie jeździli i z jego posługi nie korzystali, że nie jest kapłanem katolickim i żeby się ze mną kontaktowali aż do dalszego zarządzenia Ks. Biskupa. Chodziło mi o to, że jeżeli ks. Dunin zorganizuje tam parafię narodowego kościoła, to aby ona była jak najmniejsza i by jak najmniej szkodziła, a jak najwięcej uratować ludzi od jego złego wpływu.

* * *

Gdy wysiadałem z pociągu w Sławnie, by udać się na przesłuchanie w starostwie, przystąpił do mnie młody ksiądz, przedstawił się i wręczył mi pismo z Kurii Administracji Apostolskiej w Gorzowie. Była to nominacja ks. Henryka Świerkowskiego na probostwo w Dobiesławiu. Ponadto do mnie osobna prośba ks. Administratora Nowickiego, abym ks. Świerkowskiemu, oddawcy tych pism ułatwił objęcie probostwa, plebanii, kościoła oraz kościołów filialnych parafii Dobiesław.

Ucieszyłem się niezmiernie, uściskałem i ucałowałem nowego proboszcza, udzielając mu wyczerpujących wiadomości dotychczasowych o ks. Duninie, jego mieszkaniu na swoim gospodarstwie, oddalonym o 1 km. od kościoła, o mieszkaniu na plebani starego organisty z Wilna, człowieka religijnego, który ma klucze do kościoła i plebanii, ów organista miał polecenie ode mnie, tylko tego kapłana wpuścić na plebanie i do kościoła dać klucze, komu ja dam upoważnienie pisemne, lub ustne, a przede wszystkim Kuria z Gorzowa poleci. I tak też się stało. Organista wywiązał się dobrze.

Co do ks. Dunina, to zapewnił mnie ks. Świerkowski, że on go zna z Gdańska i da sobie radę z nim.

Wedle relacji ks. Świerkowskiego Dunin, (recte Stemmer) był żydem. Ratował swe życie przed Niemcami w jakimś klasztorze na Wołyniu. Tam został ochrzczony, przyjęty do I Komunii św. i jako ministrant zaczął się uczyć prawd wiary i liturgii. Jako młody kleryk (chodził w habicie – sutannie) przybył w r. 1945 do Gdańska. Ks. bp. Splett przebywał aresztowany w obozie. Dunin udał się do miejscowego starosty i wojewody w Gdańsku, przedstawił się jako krewniak dawnego wojewody poznańskiego : Dunin - Borkowskiego i prosił starostę o zwolnienie z więzienia - obozu biskupa Spletta, co też nastąpiło.

Ks. bp Splett z wdzięczności za to wyświęcił dobrodzieja owego kleryka Dunina na kapłana. Zamianował się on w Kurii Gdańskiej referentem od spraw polskich, w szczególności od spraw młodzieży. Wnet jednak dowiedział się bp. Splett o wykroczeniach moralnych ks. Dunina. Wobec tego zasuspendował go i usunął z Gdańska. Wtedy to wyjechał Dunin do Dobiesławia, do spotkanego w Gdańsku ks. prałata Bączkowskiego i tam osiadł jako wikary, jedynie na podstawie 10-dniowej jurysdykcji otrzymanej od ks. dziekana Chmielewskiego w Słupsku, jak wyżej już wspomniałem.

I rzeczywiście ks. Świerkowski dał sobie z Duninem radę. Po przybyciu do Dobiesławia odwiedził Dunina w jego domu, okazał mu nominację i zabronił mu odprawiać mszy św. w kościele, co też Dunin przyjął do wiadomości. I tak to potrwało aż do Bożego Narodzenia. Ciąg dalszy tej smutnej historii przedstawię nieco później.

* * *

Pasterka w roku 1946. W Siecieminie wszystko w porządku uroczyste i radośnie. Rano w Boże Narodzenie dwie msze św. Dalsze w kościołach filialnych. W Dobiesławiu, należącym dawniej do mojej parafii, a obecnie samodzielnej parafii z ks. H. Świerkowskim miało miejsce następujące wydarzenie:

Wigilia do Bożego Narodzenia. Ks. Dunin nie celebrujący dotychczas od przybycia tam ks. Świerkowskiego, zaprosił go do siebie, do swego domu na wieczerzę wigilijną. Ks. Świerkowski chętnie poszedł o oznaczonej godzinie. Jakże zdziwił się gdy zastał tam oprócz gospodarza ks. Dunina jeszcze komendanta MO z Wiekowa, trzech wójtów i trzech sekretarzy partyjnych z 3 gmin.

Po modlitwie i łamaniu się opłatkiem oraz po spożyciu wieczerzy obficie zakrapianej przez ks. Dunina i panów świeckich, w pewnym

momencie panowie usunęli się do sąsiedniego pokoju, gdzie dobrą chwilę bez ks. Świerkowskiego rozmawiali. Z tego dziwnego zachowania się i ogólnego nastroju oraz pewnych spojrzeń porozumiewawczych wysnuł ks. Świerkowski wniosek, że tutaj coś się poza jego plecami przygotowuje. Przeto po powrocie ich do pokoju, pożegnał się i wrócił na plebanię do siebie.

Tu znów zauważył drugie dziwne zjawisko. Dookoła kościoła chodziło trzech milicjantów. Na zapytanie co tu robią odpowiedzieli, że pełnią straż.

-„Kto wam to nakazał?”- zapytał ks. proboszcz. „Komendant MO” - padła odpowiedź. Nie przeczuwając jednak nic poważnego, poszedł na plebanię, aby przed pasterką odpocząć i pomyśleć jeszcze o kazaniu.

I oto zdziwienie - drzwi od plebanii są od zewnątrz zamknięte i czymś podparte. Szarpie, nie może otworzyć. Przeto wraca do swego pokoju z powrotem, i stamtąd skacze na daszek balkonu, a z niego na ziemię i zdąża do kościoła.

Nagle zastępują mu dwaj milicjanci drogę i zabraniają wejścia do kościoła. – „Nie wolno”. Kto wam tak kazał? – „Komendant” - pada odpowiedź. Wobec tego ks. Świerkowski myśli, jakby dostać się do kościoła. I pobiegł w bok kościoła, gdzie było boczne wejście, ale nieczynne, zamienione na magazyn. Tam zaczął robić wielki rumor, ruch, jakby tamtędy chciał wejść. Wówczas wycofał się ks. Świerkowski, okrążając dookoła kościół i przez wielkie drzwi, teraz nie strzeżone wpadł do środka świątyni. Biegnąc, zauważył ks. Świerkowski nadjeżdżającą przed kościół bryczkę zaprzęzoną w parę koni, a w niej całe towarzystwo wigilijne: ks. Dunin, komendant MO oraz towarzysze cywilni. Ks. Dunin, na widok wpadającego ks. Świerkowskiego do kościoła krzyknął: „Trzymać go..!” i wbiegł do kościoła. A za nim dwaj milicjanci.

Proboszcz widząc nadbiegających milicjantów za sobą biegnie do ołtarza wielkiego i rękami obejmuje tabernakulum. Milicjanci odrywają księdza, tabernakulum z jego rąk wyrwali i złożyli na posadzce, a ks. Świerkowskiego - szarpiającego się chwytają za nogi i tak wyciągają go z kościoła. Ks. Świerkowski chwytając się za ławki i krzyczy: "W imię Polski Ludowej protestuję, ludzie ratujcie..! itd. Ludzie przerażeni powstawali w ławkach, kobiety i dzieci płakały nie rozumując, co tu się dzieje... A milicjanci dalej wloką za nogi ks. Świer-

kowskiego z kościoła na cmentarz przykościelny. Tam ks. proboszcz chwycił się za krzyże nagrobkowe, te się łamią i dalej krzyczy i protestuje...

Teraz wchodziło się na ten gwałt jawny dwóch parafian z Wiekowa, przybyłych na pasterkę. Widząc co się dzieje stanęli w obronie ks. proboszcza. Doszło do rękoczynów z milicjantami i ks. Świerkowskiego uwolnili. Skoro tylko ks. Świerkowski poczuł się wolny pobiegł do kościoła z powrotem, słysząc tylko przekleństwo ks. Dunina: „Szlak by go trafił, pobiegł do kościoła!” W kościele ks. proboszcz zebrał z posadzki tabernakulum i postawił na ołtarzu, a sam zaczął się szybko ubierać do Mszy św. Teraz już wobec takiej postawy parafian nie mieli odwagi po raz drugi milicjanci wywłóczyć ks. Świerkowskiego z kościoła, do którego wszedł powoli i ks. Dunin. Zbliżył się do ks. proboszcza, który powiedział: Dzisiaj noc miłości ... przebaczam, przynajmniej służ mi do Mszy św. I tak się stało, ks. Dunin służył do pasterki prowadzonej przez prawowitego proboszcza ks. Świerkowskiego. Nie udało mu się siłą przy pomocy milicji opanować kościoła .

Po pasterce jednak komendant MO kazał aresztować owych dwóch parafian z Wiekowa, którzy stanęli w obronie ks. Świerkowskiego i odstawił ich do więzienia w Sławnie. Boże Narodzenie i Święta radosne, a dwaj parafianie aresztowani i wywiezieni do więzienia za obronę kościoła. W rodzinach ich wielkie przygnębienie i smutek.

Tymczasem w Sławnie w Boże Narodzenie, po południu powiatowy komendant wzywa aresztowanych na przesłuchanie. Ci opowiedzieli wszystko, jak było, że musieli wziąć w obronę ks. proboszcza Świerkowskiego wywlekanego za nogi z kościoła przez miejscowych milicjantów. Wtedy wsiada komendant do auta i jedzie do Dobiesławia. Tam wzywa do Domu Ludowego ks. Świerkowskiego i ks. Dunina . A zgromadzonych tam licznie ludzi zapytuje: „Kogo tu chcecie mieć za proboszcza? ks. Świerkowskiego, czy ks. Dunina?” Ludzie krzyczeli: ks. Świerkowskiego..., ks. Świerkowskiego! I wzięli go na ramiona i obnosili po sali. A za ks. Duninem prawie nikt nie przemówił, poza komendantem miejscowym. Wówczas odezwał się komendant powiatowy do ludzi: „Skoro tak, to niech on będzie waszym proboszczem”. I odjechał do Sławna. W Sławnie polecił aresztowanych zwolnić z więzienia.

* * *

O tym wszystkim, co się stało na pasterce w Dobiesławiu, dowiedziałem się zaraz w Boże Narodzenie po południu. W porozumieniu z miejscowym wójtem Dawidowskim, jak i kierownikiem zamiejscowej szkoły p. Bronisławem Lampkowskim napisałem zaraz o tym wszystkim dokładną relację do ks. Administratora Nowickiego w Gorzowie i posłałem ją osobnym posłańcem w drugie święto św. Szczepana. Posłańcem owym był syn p. Lampkowskiego.

W piśmie tym opisując gwałt w kościele w Dobiesławiu na osobie ks. proboszcza, a szczególnie zniewagę miejsca świętego, jak i gwałt zadany kapłanowi w czasie funkcji religijnej, poddałem pokornie myśl i prośbę, aby ks. Administrator upoważnił ks. dziekana Chmielewskiego w Słupsku do oddania tej sprawy do tamtejszego prokuratora i Sądu Powiatowego celem wszczęcia dochodzenia i ukarania winnych.

Pan Lampkowski zajechał do Gorzowa na rano 27.XII.1946 roku i oddał mój list ks. Kanclerzowi, którym wówczas był ks. mgr Jan Zaręba, późniejszy doktor teologii, a dzisiejszy ks. Biskup. Ks. Kanclerz oddał list ks. Administratorowi, który przeczytawszy wyrzekł: „Nareszcie bomba pękła”. I polecił wystawić pismo do ks. dziekana Chmielewskiego w Słupsku, upoważniającego go do oddania tej sprawy tamtejszemu prokuratorowi. P. Lampkowskiemu zaś przekazał, by mnie powiadomił, iż ks. Administrator zarządził wedle mego wniosku.

Ksiądz Dziekan Chmielewski udał się do miejscowego prokuratora, przedstawił całą sprawę. A prokurator zbadawszy gwałt w kościele w Dobiesławiu na miejscu, dokąd się niezwłocznie udał autem, kazał zaraz aresztować: komendanta MO z Wiekowa, ks. Dunina, 3 wójtów i 3 sekretarzy gmin zbiorowych wmieszanych w tę sprawę.

Jasnym się stało, jakie to wywarło poruszenie w Dobiesławiu. i całej okolicy, jak i parafii. Jak ludzie, a szczególnie rodziny aresztowanych obwiniali za całe to zajście ks. Dunina i Komendanta oraz jak dotychczasowi zwolennicy Dunina odwrócili się całkowicie od niego i od zakładanego przez niego kościoła narodowego.

Po dwóch miesiącach odbyła się rozprawa w Sądzie Powiatowym w Słupsku przeciw oskarżonym. Ksiądz Świerkowski był tu głównym świadkiem oskarżenia. W czasie rozprawy sędzia pytał oskarżonego ks. Dunina o jego personalia, a przy pytaniu jakiego jest wyznania Dunin odpowiedział: „Jestem bezwyznaniowy”. Na to rzecze proku-

rator: „Bezwyznaniowy człowiek zakłada kościół narodowy”. Na tę uwagę oskarżony nic nie odrzekł.

W przerwie rozprawy ks. Świerkowski przybliżył się do Dunina, aby zamienić parę słów. Wtedy Dunin powiedział cicho do rozmówcy: „Z ważnych powodów, których nie wymienię, biorę wszystko na siebie”. Jasnym było, z jakich powodów.!

Wyrok był następujący: ks. Dunin został skazany na cztery lata więzienia, z pozbawieniem go gospodarstwa w Dobiesławiu. Komendant MO zdegradowany i wydalony ze służby. Podobnie 3 wójtów i 3 sekretarzy pozbawiono swych stanowisk. Wszyscy jednak skorzytali z obowiązującej amnestii i wszyscy wyszli na wolność. Dunin jednak nie wrócił już do Dobiesławia.

Po pewnym czasie dowiedziałem się przypadkowo w pociągu, że ks. Dunin, recte Stemmer jest proboszczem narodowego kościoła w okolicy Szczecina, że pobiera 15 000 pensji miesięcznie (stare pieniądze) i namawiał innych, by poszli w jego ślady.

* * *

Pierwsze wybory do Sejmu PRL odbyły się w miesiącach jesiennych roku 1946. Kierowały nimi władze powiatowe w Sławnie przez stale mieszkającego u wójta Józefa Dawidowskiego, funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa w Sławnie (nazwisko zapomniałem) oraz MO w Siecieminiu, którego komendantem był wtedy sierżant Knitter. Były wtedy 3 listy wyborcze: nr 1- Lista państwowa, nr 2 - Lista Stronnictwa Ludowego Witoso-Mikołajczyka i nr 3 - Lista Stronnictwa Pracy. Jasnym było, że na listę nr.1 będą głosować wszyscy urzędnicy zależni od Rządzącej Władzy, a gross ludzi – przewidywano - będzie głosować na listę nr 2 Witoso i Mikołajczyka. Tym więcej, że w gminie Siecieminiu byli osadnikami chłopci spod znaku tego stronnictwa. A ponadto cieszyli się dużym wpływem u ludzi: sołtys w Karnieszewicach, a zwłaszcza kierownik szkoły w Iwięciniu. Obaj byli zwolennikami Stronnictwa Ludowego jeszcze sprzed wojny. Proszono tych wpływowych przywódców, aby zmienili swoje orientacje i sami wpłynęli na podległe gromady do głosowania na listę nr 1. Lecz oni byli nieustępliwi w swych przekonaniach, nawet mimo groźby konsekwencjami... nie ustąpili.

Nagle gruchnęła wiadomość, że sołtys w Karnieszewicach został aresztowany pod zarzutem znalezienia u niego za stodołą karabinu. A po tygodniu spotkał ten sam los i kierownika szkoły w Iwięciniu.

Siedzieli w więzieniu w Sławnie 3-4 tygodnie. Zmienili się, ponoć głosowali już na listę numer 1. Później ormowiec - kapral Łukasiewicz przyznał się przy wódce, że to on podrzucił ów karabin pod stodołę sołtysa w Karnieszewicach z polecenia komendanta MO. Zaś kierownik szkoły w Iwęcinnie powiedział w zaufaniu do wójta p. Dawidowskiego, że go przez trzy doby trzymano w celi osobnej na desce pod kloaką. Nie mógł się nawet zdrzemnąć, by nie wpaść w dół. Codziennie rano pytano go, czy będzie on i gromada głosować na listę numer 1. Dopiero po trzech dniach, gdy nie mógł wytrzymać - powiedział, że tak... Zwolnili go na parę dni przed wyborami całym przekonaniem do słusznej listy numer 1.

Wspomniany wyżej funkcjonariusz UB, stale mieszkający u wójta w Siciemlinie mówił otwarcie o sprawach politycznych i nie krył się z nimi wcale. Oto jego dalsze wynurzenia: Te wybory musimy wygrać i to bardzo znaczną większością... A po wyborach ? - mówił dalej ów funkcjonariusz - Mikołajczyk - były premier Rządu Jedności Narodowej w Londynie, następca generała Wł. Sikorskiego - będzie aresztowany, podobnie jak Popiel, były poseł i inni członkowie Rządu Londyńskiego, przebywający wówczas w Polsce. Mikołajczykowi będzie wytoczony proces pod zarzutem wywołania Powstania Warszawskiego i tym samym zniszczenia stolicy oraz kierowanie organizacją AK przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Zeznawać będą, - mówił następnie - tak, jak my chcemy. Będziemy wtedy mieć po wieczne czasy dowód historyczny przyczyny Powstania Warszawskiego, zniszczenia Stolicy i ideologii AK. Naturalnie – „winni” - będą powieszani za te wszystkie zbrodnie przeciwko Polsce Ludowej - zakończył. Nie ulega wątpliwości, że tak by się stało, gdyby Mikołajczyk nagle nie wyjechał z Polski przy pomocy ambasady francuskiej.

* * *

Gdzieś z początkiem grudnia 1946 roku otrzymałem po raz pierwszy wezwanie - zaproszenie na konferencję do Starostwa w Sławnie. Pojechałem. Każdy ksiądz był przesłuchiwany osobno przez starostę przy protokolancie z UB. Starosta dawał wszystkim księżom jednako numerowane pytania o stosunek księży odnośnie świętowania niedzieli i świąt w czasie pilnych robót polnych, np. żniw, wykopków, prac w rolnictwie itd. Odpowiedzi każdego księdza były pilnie przez protokolanta odnotowane. Całą tą konferencją i pytaniami, jak i ar-

gumentami chciano księży przekonać, że chleb i praca są ważniejsze, niżeli świętowanie, że to ostatnie musi ustąpić przed chlebem i pracą. A przede wszystkim chciano się dowiedzieć, którzy księża pójdą pod tym względem na ustępstwa. Mnie też starosta stawiał te pytania z jakiegoś pisma czytane, a protokolant pilnie moje odpowiedzi notował. Opowiedziałem się za zachowaniem bezwzględnie świętowania niedzieli i świąt argumentując przykładowo: 1). Przykazanie Boże: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił... Sześć dni będziesz pracował, a w siódmym odpoczywał”. 2). Opinią św. Jana Vianeya, który powiedział, iż zna dwa rodzaje ludzi, którzy niczego się nie dorobią, to jest złodziei i tych, którzy pracują w niedziele i święta. Wyjaśniłem, że kościół dyspensuje, zezwala na konieczną pracę, ale po wysłuchaniu uprzednio Mszy św. Na przykład zanosić się na deszcz, to można po południu wiązać, skopić a nawet zwozić zboże. Ale rzekłem, po południu i po wysłuchaniu Mszy św. Wtedy wmieszał się do tej rozmowy sam protokolant i postawił mi takie pytanie: Proszę księdza, w sobotę zostało skoszone żyto, a przed południem trzeba je w niedziele zwozić, bo zbiera się na deszcz. Co ksiądz na to? Ja odpowiedziałem: Widzę, że pan nie zna się na rolnictwie. Żyta skoszonego w sobotę nigdy nikt nie będzie zwoził w niedziele najbliższą, ono musi z tydzień na polu wyschnąć dobrze. Dopiero potem można zwozić. Tym razem moja odpowiedź na to pytanie nie została zaprotokołowana. Na tym skończyło się moje pierwsze przesłuchanie.

* * *

Rok 1945 i 1946 był rokiem wykonywania uchwał trzech mocarstw w Poczdamie. Wedle tej uchwały władze polskie z terenów im po wieczne czasy z powrotem przyznanych jako Ziemie Odzyskane, a nie zabrane, mogły wysiedlić Niemców tu dawniej przybyłych i osiedlonych, a osiedlić w to miejsce Polaków przybywających na te ziemie z całej Polski, a najwięcej ze wschodnich terenów oderwanych od Polski. Niemcy o tym wiedzieli i nie protestowali. Zresztą, wysiedlanie to nie wynalazek polski, ale niemiecki. Polacy zastosowali tylko praktykę uprzednią Niemców wobec Polaków i innych narodowości.

Gdy przybyłem do parafii sieciemnińskiej w roku 1946, jeszcze kilka wiosek było nie wysiedlonych, jak np. Dąbrowa, Sowno, Grabowo itp. Do wyznaczonej na wysiedlenie wioski przybywali przedstawiciele władz powiatowych i gminnych, oznaczali termin, spisywali

mieszkańców i ich narodowość itp. Jeżeli bowiem któryś z mieszkańców przyznawał się do narodowości polskiej i znał, choćby słabo nasz język oraz chciał tu zostać - jako Polak, pozostawał tu nadal na swoim gospodarstwie. Nazwisko nie zawsze decydowało o narodowości. Ale chęć pozostania uznawano za przyznanie się do narodowości polskiej, albo wykazanie się dowodem pokrewieństwa z Polakami. Nie da się zaprzeczyć, że w pierwszej fazie wysiedlenia popełniono wiele błędów, np. przez wysiedlenie wielu Słowińców z pradziada z okolic Słupska. To się do dziś dnia mści, bo wysiedleni pochopnie, tylko na skutek nieznamomości języka polskiego, owi Słowińcy wysiedleni w Niemczech założyli „Związek Słowińców wysiedlonych z Ojczyzny”. Tak to jest prawdą! Mogli Niemcy przeznaczeni do wysiedlenia, (zresztą sami tego chcieli, by jechali do „swoich”) sprzedawać swoje mienie Polakom przybywającym już powoli. Sprzedawali więc czy to sprzęt gospodarczy, czy inwentarz żywy, czy wreszcie zbyteczną pościel, itd. Tak było np. w Dąbrowie, gdzie wójtowa Dawidowska ze Sieciemina kupiła wiele rzeczy od Niemców wyjeżdżających do Niemiec, dla siebie, rodziny czy innych. Podobnie to miało miejsce w Grabowie i Sownie. Takie postępowanie Polaków było o wiele humanitarniejsze i ludzkie, niżeli wysiedlanie Polaków przez Niemców w czasie wojny z Poznańskiego, z Pomorza i innych terenów. Dopiero wtedy w oznaczonym dniu wyjeżdżali Niemcy do specjalnych pociągów, gdzie po stwierdzeniu nazwisk, bagażu odjeżdżali do Niemiec. Ich zaś gospodarstwa przydzielano Polakom przybywającym tu z różnych części Polski. Wśród nich pierwszeństwo mieli byli żołnierze z Armii Kościuszkowskiej. Takich byłych żołnierzy zwolnionych z wojska po skończonej wojnie, miałem wielu w parafii. Jedni przybywali już żonaci, inni dopiero tutaj się żenili. Na drugim miejscu pierwszeństwo mieli Polacy wysiedleni ze wschodnich terenów Polski. Dopiero wtedy szli Polacy z różnych województw centralnej Polski. Przybywała też tu ludność greko-katolicka z Bieszczad, wysiedlana przez Polaków, dla przerwania ustawicznego napadania ziem Polski przez bandy UPA z terenów sowieckich. Pierwszym pytaniem owych osiedleńców Polaków w danej miejscowości było, czy jest w tej wiosce kościół, względnie jak daleko do niego. Często od tego nawet zależała zgoda na osiedlenie się w danej miejscowości. Toteż, jak już wyżej wspomniałem, sami starostowie prosili Ks. Administratora Nowickiego o

przysłanie więcej księży do powiatu i obsadzanie nimi parafii, bo bez nich - powtarzano - nie chcą się Polacy osiedlać. Po osiedleniu się w danej wiosce i uporządkowaniu swych gospodarstw zapraszali Polacy swego miejscowego lub najbliższego proboszcza do wyświęcenia ich domów i gospodarstw. Uprzednio postawili we wsi jeden czy kilka krzyżów z Bożą Męką, czy kaplice M.N. Tak wyświęciłem wioski: Sowno, Grabowo i Dąbrowę. Szedłem od domu do domu w towarzystwie ministrantów, a potem pod postawionym przy drodze krzyżu przemówiłem do zebranej tam całej wioski i odprawiłem nabożeństwo majowe, lub inne na wzór niego. Dopiero wtedy Polacy tam osiedleni czuli się już, jak u siebie, jak we wiosce, skąd przybyli - razem ze swoim pasterzem...

* * *

W grudniu 1948 r. otrzymałem z Gorzowa polecenie, by pojechać do parafii Wrześnica koło Sławna i stamtąd ponotować i nadesłać do Kurii Administracji Apostolskiej potrzebne dane z tamtejszej parafii do będącego już w druku I schematyzmu diecezji. Proboszcz bowiem tej parafii został aresztowany i potrzebnych danych nie może nadesłać. Również nie uczynił tego dotychczas sąsiad Wrześnicy tj. ks. proboszcz w Sławnie. Chodziło o dane: spis wiosek, kościołów filialnych, kiedy i pod jakim wezwaniem zostały one wyświęcone, ilość dusz w każdej wiosce, itd. itd.

Pojechałem więc do Wrześnicy. Zastałem tam na plebanii z książek aresztowanego proboszcza ks. Franciszka Jędrzkiewicza, notatek, ksiąg metrykalnych i wszelkich papierów wielkie, leżące na podłodze "siano". Nic z tego nie można się było wyznać. Nie mogła mi też wiele powiedzieć gospodyni plebanii ani kościelny, ani też sołtys gromady.

Po powrocie z Wrześnicy postanowiłem na drugi dzień udać się w tej sprawie po te wiadomości do samego aresztowanego, siedzącego w areszcie UB w Sławnie. Porozumiałem się więc z ks. proboszczem Talarkiem w Sławnie, by wiedział, gdzie idę i gdzie ewentualnie jestem...

O godz. 13:30 udałem się do gmachu UB. Na portierni zgłosiłem się jako dziekan dekanatu i prosiłem o widzenie się z szefem UB w sprawie ks. proboszcza z Wrześnicy. Wpuścili mnie do środka, bramę zamknęli i posadzili na krześle jakby we westybulum, prosząc trochę poczekać. Usiadłem i zacząłem odmawiać brewiarz, bo go

wziąłem ze sobą, a potem różaniec. Zauważyłem, że z poszczególnych pokoi wychodzili funkcjonariusze UB przyglądając mi się i z powrotem wracając do gabinetu szefa. Przychodzili i inni z zewnątrz, którzy to samo czynili, jak poprzedni. Trwało to czekanie i przyglądanie mi się ze 2 godziny.

Wreszcie po 2 godzinach zaprowadzono mnie do pokoju szefa. Był młody, najwyżej 21 lat liczący mężczyzna, bez oznak stanowiska. Bez podania mi ręki, stojącego zapytał mnie, czego sobie życzę.

Odpowiedziałem, że przybyłem prosić szefa o uwolnienie za kaucją aresztowanego ks. proboszcza z Wrześnicy. „Teraz jest adwent” – rzekłem – „spowiedzi dużo więc w parafii”. Mówiłem dalej - że złożymy wszyscy księża w dekanacie kaucję - wadium, np. 10 000 zł, lub więcej, że aresztowany na każde wezwanie będzie się stawiał na rozprawę. Powiedziałem dalej, że gdyby ta wysokość pieniędzy była za mała dla p. szefa, to ja siebie, swoją wolność składam jako kaucje i gwarancje, że aresztowany ksiądz zawsze będzie do dyspozycji władz... To ostatnie zdziwiło szefa, bo rzekł: „ksiądz siebie i swoją wolność ofiarowuje jako kaucję? Nie boi się ksiądz?” Odpowiedziałem, że nie, że każdy ksiądz katolicki to uczynić gotów za drugiego księdza, i że ksiądz katolicki nie poświęciłby mnie za siebie. Powiedziałem dalej, że wiem, iż sam p. szef tego nie zadecyduje, że poradzi się swoich przełożonych, ale niech tę moją prośbę i moją gotowość przedstawi przełożonym...

Widocznie ta moja propozycja zrobiła na szefie wrażenie, bo dopiero teraz poprosił mnie, aby usiąść, więc usiadłem. Ciągnąłem dalej: „Gdyby i ta moja prośba nie mogła być spełniona, to proszę o третią. Mianowicie, abym tu przy świadkach mógł się z aresztowanym widzieć i wypytać go o potrzebne dane do drukowanego schematyzmu z jego parafii, na co cała diecezja czeka. A przynajmniej, aby aresztowany mógł mi listownie w najbliższym czasie odpowiedzieć i opisać dane, które wysłał do Kurii”. „Na to mogę się zgodzić” - odpowiedział szef. „Proszę wszystko przysłać, o co wam chodzi, a on to opíše i wam do Sieciemina prześle”. - Dobrze - dziękuję - odpowiedziałem.

Wstał i teraz podał mi już rękę, wyprowadził. Na portierni odebrałem swój dowód osobisty, wróciłem na probostwo w Sławnie i opowiedziałem wszystko ks. proboszczowi Talarkowi.

Na drugi dzień wysłałem na adres szefa UB w Sławnie wszystkie dane potrzebne Kurii Administracji Apostolskiej tamtejszej parafii Wrześnicy. Równocześnie zdałem dokładną relację Kurii o mojej wizycie i prośbie w gmachu UB. Gdy po 2 tygodniach nie otrzymałem żadnej odpowiedzi stamtąd, poprosiłem ponownie listownie o odpowiedź, a trzeci raz po 3 tygodniach. Wreszcie - po 4 tygodniach zwrot wszystkich moich papierów z dopiskiem szefa, że aresztowany nic nie pamięta, więc nie może dać odpowiedzi. Tak też zawiadomiłem Kurie w Gorzowie. Drukowali więc schematyzm bez dokładnych danych o parafii Wrześnica.

* * *

W tejsze miejscowości Wrześnica i okolicy zapragnęło kilku obywateli, między innymi wójt, sołtys i inni wyjechać z Polski do Szwecji. Mieli już wszystko przygotowane. Zapłaconą motorówkę, która ich miała na pełne morze podzucić na umówiony szwedzki statek węglowy, który miał ich zabrać na pokład i odwieźć do Szwecji. Nie mieli tylko adresów, gdzie mogliby się z zaufaniem zwrócić. O takie polecenie pisemne do księży katolickich w Szwecji prosili ks. proboszcza, jak i o metryki dla nich. Ks. Jędrzkiewicz uwierzył, napisał i dał.

Jednak ktoś ich zdradził. A może wśród siebie mieli wywiad? Nie wiadomo. I dość, że gdy w oznaczonym dniu motorówką z Ustki wyjechali na pełne morze, nagle zauważyli za sobą 2 motorówki w pościgu. Te zawróciły ich i aresztowały wszystkich. Nie zdołali ucieknierzy poniszczyć papierów kompromitujących ich. Został przeto aresztowany i ks. proboszcz J. za pomoc w ucieczce. Siedzieli więc wszyscy aresztowani w areszcie UB w Sławnie, czekając na rozprawę i karę. Rozprawa ta odbyła się dopiero po kilku miesiącach.

Jasnym jest, że rodziny aresztowanych czyniły wszelkie możliwe zabiegi i starania o uratowanie więzionych, a wśród nich i ks. proboszcza. Szukały rodzinnych znajomości, protekcji i argumentów różnych, które by trafiły do samego kolegium sędziowskiego i oskarżyciela publicznego. I wszystko zdawało się być przygotowane. Kosztowało to bardzo wiele zabiegów, trudów i pieniędzy...

Nagle rozprawa wyznaczona. A na nią przyjeżdża całkiem inny skład sędziowski z Warszawy. Rozczarowanie, przygębienie u aresztowanych i ich rodzin. Na nic wszystko..!

W czasie rozprawy prokurator z Warszawy długo dziwnie wpatruje się w aresztowanego ks. proboszcza Jędrzkiewicza. nagle zapytuje go:

- Jak się oskarżony nazywa? Gdzie oskarżony przebywał, kiedy Niemcy wkraczali do Polski?

- We Wilnie - pada odpowiedź księdza.

- Gdzie oskarżony był, gdy Niemcy wkraczali we Wilnie na rynek?- pyta prokurator.

- Stałem przed naszym kościołem OO. Karmelitów.

- Co oskarżony wtedy zauważył?

- Zauważyłem, jak młody chłopiec, żydek uciekał przed Niemcami, aby się schronić w naszym kościele.

- Czy schronił się i gdzie?

- Ukryłem go za ołtarzem, a potem wyprowadziłem chłopca na strych.

- Czy Niemcy szukali owego żydka w kościele ?

- Szukali go, ale nie znaleźli, bo go dobrze schowałem - ukryłem wreszcie w piwnicy...

Na to prokurator odzywa się: Wysoki Sądzie, oskarżony ksiądz prawdę mówi. Owym żydkiem, którego ksiądz schował w kościele i uratował mu życie, jestem ja i wnoszę o uniewinnienie oskarżonego księdza.

Sąd po naradzie, zwolnił ks. proboszcza J. z Wrześnicy. Po uwolnieniu odwiedził mnie, prosił o pożyczanie pieniędzy na spłatę kosztów. Pożyczyłem. Wtedy opowiedział mi wiele szczegółów ze swego więzienia..

Szef UB. nie wzywał go wcale, ani nie pokazywał mu moich papierów o napisanie danych z jego parafii, o co prosiłem. Mówił, że w czasie pasterki w Sławnie gdzie siedział w więzieniu, przez pół godziny był bity.

- Jest Bóg? - pytali go ubowcy.

- Jest! - odpowiedział z godnością ksiądz - Uderzenie silne w twarz!

- Jest Bóg? - po raz drugi pytanie.

- Jest! - odpowiedział kapłan. I znów uderzenie w twarz! I tak trwało przez pół godziny, wybili mu wtedy 9 zębów, pokazywał mi, które musi sobie teraz wprawiać, itd. itd.

Ów kapłan został potem przeniesiony na inną placówkę, w inne okolicie. Widziałem się z nim jeszcze raz w czasie rekolekcji kapłań-

skich, a potem już więcej nie spotkałem i nie wiem nawet, czy żyje i gdzie przebywa.

Po miesiącu przybył do mnie znany mi już szef UB z Sieciemina. Chciał mnie namówić do współpracy z nim, do informowania go o działalności proboszczowskiej i dziekańskiej. A potem począł przekonywać mnie, że od zarania ludzkości był już ustrój komunistyczny, w okresie tzw. wspólnoty pierwotnej. Zaprzeczyłem mu.

- Nie było tak, skoro Bóg dał przykazanie: „Nie kradnij, Nie pożądaj żadnej rzeczy, która jego jest”. Więc była własność prywatna - odpowiedziałem.

Jeszcze przekonywał mnie o słuszności polityki zagranicznej PRL. Przyznałem mu tu racje! Polska nie ma innej lepszej dzisiaj możliwości polityki zagranicznej. Tu się zgadzam, mówię i sędzę, że tak twierdzi większość narodu. Ale nie zgadzam się z polityką wyznaniową, antyrelijijną władz PRL.

- Przestańcie prześladować Kościół i duchowieństwo, dodałem, a będziecie mieć cały Naród za sobą, itd. itd.

Po zdawkowych jeszcze słowach wyszedł. Więcej go nie widziałem. Zginął niedługo potem w wypadku motorowym. Wjechał na drzewo i na miejscu zginął. Ks. proboszcz w Sławnie miał od niego wiele nieprzyjemności.

* * *

Po jednej konferencji duszpasterskiej w Gorzowie zostałem zaproszony wraz z kilkoma dziekanami okręgów północnych na osobną konferencję. Na niej oświadczył nam ks. Bp. Nowicki, że na jego zaproszenie J. Em. Ks. Kard. Hlond objedzie naszą diecezję, wtedy tzw. Administrację Apostolską w Gorzowie, a szczególnie przejeżdżał będzie przez miasta: Gorzów, Szczecinek, Stargard, Koszalin, Słupsk, Lębork do Gdańska i powrót do Warszawy. Przejazd ten miał pozostać w całkowitej tajemnicy do oznaczonego dnia.

W oznaczonym dniu wszyscy zainteresowani dziekani terenów północnych i ja z ks. proboszczem Talarkiem ze Sławna mieliśmy o godzinie 9-tej rano zawiadomić równocześnie starostów powiatowych o przejeździe przez te powiaty Ks. Prymasa Hlonda. Miało to być wszędzie równocześnie, tego samego dnia i tej samej godziny.

W oznaczonym dniu udaliśmy się z Ks. Talarkiem do starostwa w Sławnie, aby z polecenia Ks. Administratora zawiadomić o powyższym starostę (taką nazwę zachował jeszcze przewodniczący powia-

towej rady narodowej). Ten został zaskoczony tą wiadomością, wezwał do siebie kierownika od spraw wychowania politycznego, któremu o tym oznajmił przy nas. Kierownik również zaintrygowany wielce tą wiadomością przeprosił nas, opuścił starostwo obiecując powrót za 10 minut. Czekaliśmy jednak ponad pół godziny. Domyślaliśmy się, że uda się do komitetu powiatowego partii, co oczywiście miało miejsce. Telefony nadawano na wszystkie strony, zewsząd ta sama wiadomość i o tej samej godzinie (dowód, że nikt z dziekanów nie zawiódł zaufania ks. Administratora).

Gdy ów kierownik wrócił, oznajmił nam „że władze nie mają nic przeciwko temu, że „jakiś obywatel będzie jechał autem przez powiat. Ale władze zabraniają budować bram powitalnych, zatrzymywać się ludziom przy tych bramach, niszczenie kwiatów i odrywania ludzi od pilnej pracy, tj. wykopków ziemniaków oraz, że za wykroczenie przeciwko powyższemu wyciągną władze surowe konsekwencje przeciwko organizatorom...” Odpowiedziałem wtedy, że Ks. Kardynał Hlond jest dla nas katolików nie „jakimś obywatelem”, ale głową naszej diecezji i głową Kościoła w Polsce, że przyjmimy go i powitamy, jak na to zasługuje piastowane stanowisko, przez duchowieństwo i lud wierny. Jeśli gdzieś ludzie samorzutnie zechcą Prymasa powitać, zobaczyć czy ofiarować kwiaty, to będzie to ich własny odruch, bez naszej specjalnej zachęty. Skłoniliśmy się i wyszliśmy.

Był to październik roku 1947. Miejscem spotkania nas kapłanów z dekanatów: Koszalin, Białogard, Sławno, Złotów, Wałcz, Piła z Jego Em. Ks. Kardynałem Prymasem Polaki, był Koszalin, parafia św. Józefa o godz. 18-tej (dnia nie pamiętam). Tam wszyscy kapłani wymienionych powiatów-dekanatów mieliśmy wyczekiwać, co też czyniliśmy.

Już na pół godziny wcześniej zbierali się ludzie z parafii koszalińskiej, a szczególnie młodzież w dużym kościele oraz my wszyscy duchowni. O godzinie 18-tej wyszliśmy przed kościół do bramy powitalnej. Na przyjazd Prymasa czekamy: 10, 15 minut, 30 minut 45 minut, godzinę ..., półtorej godziny, wreszcie dwie godziny... Niecierpliwimy się bardzo, dzieci i młodzież marznie, ale nie odchodzą od kościoła; wszyscy wyglądają w kierunku, skąd miało się ukazać auto Ks. Prymasa.

Wreszcie po przeszło 2 godzinnym oczekiwaniu poruszenie...Nadjeżdża auto Ks. Prymasa z towarzyszącymi autami, ale całym z innej strony... o godz. 20.15. Powitanie u bramy, okrzyki, radość, wejście do kościoła.

Tam ponowne powitanie z ambony przez miejscowego proboszcza - przejeżdżającego, chyba po raz pierwszy Prymasa Polski przez te Ziemie Odzyskane, wiecześnie przyłączone do Polski. Chwila na miarę dziejową. Przyjeżdża na tę ziemię Prymas Polski, który swoim wpływem w Rzymie wyjednał wprowadzenie tu organizacji kościelnych, scalających te Ziemie na wieki z Macierzą.

Ks. Prymas w odpowiedzi na powitanie wychodzi na ambonę i przemawia do duchowieństwa, starszych, a szczególnie młodzieży, bo tej było najwięcej. Przeprasił za spóźnienie, za długie oczekiwanie, ale to nie było z jego winy..."Zdawało się, że choć tu do was tak niedaleko, a wydawało się, że tutaj nie dojedziemy, takie były przeszkody, drogi pozamykane choć wiedzieliśmy, że wy tu na nas czekacie..." Zachęcał młodzież do zachowania nieugiętej wiary i męstwa w jej wyznawaniu. Na zakończenie udzielił błogosławieństwa dla nas wszystkich.

Po tym Msza św. odprawiona przez Ks. Prymasa. Kolacje spożyliśmy w towarzystwie Jego Eminencji. Wtedy dopiero dowiedzieliśmy się od kierowców i księży kapelanów o szczegółach tej historycznej podróży Ks. Prymasa. Przeglądano dokumenty wszystkich jadących, co jakiś czas droga była zamykana, puszczano auta bocznymi, złymi drogami, itd. itd. Przy przeglądzie dokumentów oglądano opony aut, czy niepodziurawione od gwoździ przez nich rozrzuconych po drogach .

Tymczasem świta J. Em. Ks. Prymasa po pierwszym przecięciu wszystkich opon u aut od rozsianych wszecz gościńca gwoździ o szerokich łepkach, jechała teraz ostrożnie. W pierwszym aucie pewien inżynier, w drugim Ks. Administrator Apost. Nowicki z kapelanem i towarzyszącymi kapłanami. Dopiero w trzecim aucie jechał Ks. Kard. Prymas, także w towarzystwie księży prałatów z Gniezna i Warszawy. Gdy jadący w pierwszym aucie zauważyli posiane gwoździe, wysiadali, zamiatali sobie drogę miotłą, którą wozili ze sobą i powoli przejeżdżali oni i auta następne. I tak z wielką ostrożnością jechali dalej, czyszcząc sobie drogę, gdy tylko zauważyli „posiane gwoździe”. Na dowód rzeczowy jak i też na pamiątkę pozbierano

sobie wiele tych gwoździ, które oglądaliśmy z wielkim oburzeniem ... Do Koszalina przyjechali z opóźnieniem tylko 2 godzin i 15 minut, dzięki temu, że zboczyli z głównej drogi na boczną, której MO nie przewidziała i gwoździami nie obsiała. Opóźnienie w przeciwnym wypadku byłoby o wiele większe.

Podczas kolacji zachęcał Ks. Prymas obecnych księży do zabierania głosu, zapytań itp. Jeden z księży proboszczów zapytał, jak ma odpowiedzieć pewnym czynnikom, które usprawiedliwiają te trudności tym, że J. Em. nie złożył wizyty po powrocie do Polski w 1945 prezydentowi Bierutowi. Na to Ks. Prymas powiedział: Ks. Prymas jest przewodniczącym i przedstawicielem Episkopatu Polskiego. A Episkopat jeszcze przed moim tu powrotem wniósł orędzie do Rządu P.R.L. na ręce Prezydenta. Do dnia dzisiejszego Prezydent nie odpowiedział. To orędzie było formą wizyty Episkopatu, więc i moją. Czekamy na próżno na odpowiedź, czyli jakby na rewizytę. Dopiero wtedy będą dalsze kontakty...itd.

Po kolacji ks. proboszcz z Sianowa Antoni Siemiński prosił imieniem wszystkich robotników tamtejszej Fabryki Zapalek w Sianowie o zatrzymanie się J. Em. na chwilę przed fabryką, gdzie robotnicy pragną powitać Ks. Prymasa i otrzymać błogosławieństwo prymasowskie (naturalnie bez wiedzy dyrektora, na 10 minut tylko). Ks. Siemiński nie nocował w Koszalinie, ale wrócił do Sianowa przygotować owo spotkanie robotników z Ks. Prymasem. Podobne spotkanie odbyło się w Sławnie i Słupsku przed tamtejszymi kościołami. Program: krótkie powitanie duchowieństwa, ludzi, dzieci i młodzieży. Potem podziękowanie i błogosławieństwo prymasowskie i dalsza podróż.

Oto w głównych zarysach opis owej pierwszej podróży Ks. Prymasa Polski na północne tereny naszej diecezji.

* * *

W niedługim czasie potem zmarł Ks. Kardynał Hlond w okolicznościach budzących wiele domysłów i komentarzy, nawet wśród lekarzy .

Na pogrzeb pojechali niektórzy kapłani, między innymi ks. dziekan Klatka z Niezabyszewa. Opowiadał mi potem, że na tym pogrzebie Prymasa Polski panował jakiś dziwny - smutny nastrój u wszystkich uczestników, jakoby to był pogrzeb Ojca Kościoła, lub jakby z tą śmiercią nadchodził koniec kościoła w Polsce....

Na dzień 9 XII 1948 r. otrzymałem zaproszenie do Gorzowa. Po przybyciu tam Ks. Administrator Nowicki zapytał mnie, czy się domyślam w jakiej sprawie otrzymałem to zaproszenie? Odpowiedziałem, że postanowił utworzyć osobny dekanat w Sławnie, wydzielić go ze Słupska i dziekanem tego nowego dekanatu w Sławnie, zamianować mnie. I wręczył mi już gotowy dekret nominacyjny z dnia 8.XII.1948 roku. Zapytał mnie wtedy, kogo ja proponuje na wicedziekana? Odpowiedziałem, że ks. magistra Piotra Podejkę z Dobiesławia.

Powiedział dalej, że już dawno myślał o tym, jak i kogo zamianować dziekanem, ale dopiero bierzmowanie w powiecie Sławno utwierdziło Go w tym wyborze.

Przy tej okazji opowiedział mi Ks. Administrator Nowicki o szczegółach śmierci Ks. Prymasa Hlonda i o nowym Prymasie, celem poinformowania o tym i innych księży w dekanacie. Następnie obszernie przedstawił, jak zachorował Ks. Kard. Hlond, jak dyrektor Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie polecił operację Prymasa, jak za kilka dni odbyła się ponowna operacja z powodu jakiejś komplikacji. Ks. Prymas zapytał dyrektora o przyczynę jego choroby, o to bowiem będzie pytał cały świat, bo jest kardynałem Kościoła, więc poprosił o postawienie diagnozy. Ks. Prymas widząc, iż mimo tej ponownej operacji zdrowie nie poprawia się, rany nie chcą się goić, poprosił o zaopatrzenie Go na śmierć publicznie (ks. Biskup w towarzystwie duchowieństwa i kleryków udaje się do chorego Prymasa z Najświętszym Sakramentem) mówiąc: „Niech ludzie widzą, że Kardynał umiera...”

Po pogrzebie ks. Prymasa Hlonda odbyła się plenarna konferencja Episkopatu Polskiego dla przedłożenia Stolicy Apostolskiej swojego wniosku na obsadzenie Stolicy Prymasowskiej. Z tym wnioskiem pojechali do Rzymu trzech księży biskupi: Ks. bp. Klepacz z Łodzi, ks. bp. Choromański, sekretarza Episkopatu i ks. bp. N N. (nazwiska nie pamiętam). Wniosek Episkopatu szedł w tym kierunku, aby Ks. Prymas był tylko arcybiskupem gnieźnieńskim, bez warszawskiego, jak to bywa w Niemczech, Francji itd. itd.. Aby miał więcej wolnego czasu na reprezentację całego Kościoła w Polsce...

Po przyjeździe owych trzech księży biskupów do Rzymu, złożyli oni wizytę i wniosek Episkopatu w Sekretariacie Stanu. Za parę dni

przyjęci byli na audiencji u Ojca św. Piusa XII, który na zapytanie ks. bp. Klepacza, kto będzie Prymasem - Papież odpowiedział : „Już go macie” , wręczając dużą kopertę adresowaną do bp. Klepacza. Jednak nazwiska nowego Prymasa nie ujawnił. Nie ujawnił także i Sekretariat Stanu.

Jak wedle żartobliwego opowiadania potem w Polsce do księży biskupów biskup Klepacz mówił: „Na próżno się cieszyłem, bo w kopercie do mnie adresowanej była druga koperta zalakowana, zaadresowana do Ks. Kardynała Sapiechy w Krakowie ...” Wobec tego sądzono , że Książę Sapiecha zostanie prymasem. Zawieźli tę kopertę do Krakowa, a kard. książę Sapiecha rozciąwszy ją znalazł w niej nominację na arcybiskupa gnieźnieńsko - warszawskiego ks. biskupa dr. Stefana Wyszyńskiego z Lublina. Więc nominację na Prymasa Polski.

Dowiedziałem się dalej, jak na pierwszym posiedzeniu Episkopatu Polskiego nowy Ks. Prymas powiedział do księży biskupów żartobliwie: „Zły czas wybrałem sobie na prymasostwo. Czas kiedy jeden prymas w Jugosławii aresztowany..., drugi prymas na Węgrzech przebywa w areszcie ... Ale wola Boża” dodał - jakby już i swoją przyszłość widział. Ale tymczasem mieliśmy już nowego Ks. Prymasa Polski.

* * *

Wiedziałem jeszcze z czasów sanacyjnych, że władze świeckie pragną mieć wszelkie informacje o poszczególnych kapłanach, pracujących w duszpasterstwie. A na informatorów w pierwszym rządzie angażują pracowników kościelnych i służbę domową, niezależnie od innych. Tak zawsze było, jest i będzie. Naturalnie i to jest jeszcze pewnym, że te informacje nie są bezinteresowne.

Domyślałem się najpierw, a później już na pewno wiedziałem, że podobnie było i wobec mnie w Siecieminie. Również i na późniejszych placówkach. Toteż strzegłem się, jak mogłem, szczególnie wobec pracowników kościelnych „wylewności”, pomny na piękny aktualny wiersz gdzieś wyczytany :

„Patrz i rozglądaj się wszędzie, nie mów zbyt wiele,
Bo język twój jest Ci największym nieprzyjacielem”.

Pierwszym, którego o szpiegowanie mnie i donoszenie władzom podejrzewałem, a co okazało się później uzasadnione, był mój Jeździł zawsze ze mną furmankami do kościołów filialnych, chociaż te-

go od niego nie wymagałem. Toteż trudno było milczeć, rozmawialiśmy na różne tematy w drodze, ale na tematy polityczne zawsze uważałem i strzegłem się i raczej mówiłem o czymś innym, niżeli nieraz myślałem.

I miałem rację, bo później sam się zdradził, mówiąc o mnie do swoich zaufanych, którzy mi o tym donieśli: „Tak podchodziłem, tak prowokowałem w domu i podczas podróży na furmankach, nie dał się...”.

Drugim, gorszym jeszcze od niego samego szpiegiem była jego żona należąca tajnie do partii... O niej to powiedział raz po pijanemu zastępujący żonę w sklepie: „Wy nie wiecie, czym jest moja żona...”.

Doświadczyłem sam na sobie jej fałszywego donosicielstwa. Ostrzegali mnie przed nią dobrzy ludzie.

Innym, fałszywym donosicielem na mnie był XX z Niemicy. Jemu dawałem ślub w kościele. W tym czasie rozsyłane były pocztą listy do poszczególnych osób, niby prośby do św. Antoniego, które trzeba było wedle treści tej modlitwy przepisać 10 razy i rozesłać do 10 osób innych. W tej modlitwie było napisane, że wtedy św. Antoni wyprosi, iż wybuchnie nowa wojna a Polska wolna powstanie. A jeśli to zlekceważysz, to Cię spotka kara Boża....itd., itd., itd. Dzieci na religii pytały mnie, jak również i starsi ludzie, co robić: czy przepisywać czy nie? Bali się kary Bożej... Ja zawsze darłem te listy i nie kazałem przepisywać ich. Nawet powiedziałem o tym na ambonie wiernym.

Mimo to, ów XX z Niemicy i ZZ oskarżyli mnie na tajnym zebraniu partyjnym, jakoby ja rozsyłał owe listy...

Przestrzegali mnie jednak tego samego dnia, na wieczór dobrzy ludzie o tych oskarżeniach na zebraniu partyjnym. Toteż jeszcze raz przestrzegałem ludzi z ambony, aby podobnych listów nie przepisywali, ale palili i niszczyli je, jeśli kiedy otrzymają.

Dalszym tajnym donosicielem płatnym, ale zbyt naiwnym był YY z Siciemina. Zwróciłem na niego uwagę, przez częste odwiedzanie mnie na plebanii, a szczególnie jego przyznanie się raz niby w zaufaniu, że dwaj jego synowie, to Andersowcy, że utrzymują oni kontakty z gen. Andersem, itd., itd., itd. To wyznanie czyniło mi go jeszcze bardziej podejrzanym. Innym razem, gdy wróciłem z Gorzowa odwiedził mnie także ów YY i po pewnej chwili rozmowy zapytał mnie wprost: „Co wam tam mówił ks. Biskup? Czy będzie wojna

? i kiedy ?” A ja na to odpowiedziałem: „Panie to pan sądzi, że ks. Biskup o tym do nas mówi ? Ks. Biskup nas poucza, jak mówić kazania, jak spowiadać, jak Mszę św. odprawiać itd., itd... Pyta się nas Ks. Biskup ile u was ludzi do kościoła chodzi, ile przystępuje do Komunii św. itd. Biskup nie bawi się w politykę, bo polityką naszą jest, aby być zbawionym...” Zamilkł i wnet wyszedł do domu.

Pewności o jego donosicielstwie na mnie nabrałem w czasie mego kazania niedzielnego w Siecieminiu. A mianowicie: w Ewangelii były słowa: „A oni Go postrzegali...”. A ja w kazaniu dodałem: „Postrzegali faryzeusze Pana Jezusa dawniej, a dzisiaj też są ludzie, którzy postrzegają i donoszą ...”. I zauważyłem wtedy, jak YY spuścił głowę ... O jego donosicielstwie dowiedziałem się nawet z samego źródła. A utwierdziło mnie w tym przesłuchanie po latach przez UB w Człuchowie, (w roku 1951) gdy mnie pytano w sześciogodzinnym przesłuchaniu: kto mi doniósł, o roli wobec mnie i jego żony, co odpowiedziałem na telefonicznie zapytania pewnego proboszcza, czy czytać list pasterski o Caritasie itd., itd. Widać z tego, że nie rozumieli wtedy mojej łańskiejszej odpowiedzi. Na to ostatnie odpowiedziałem, że moje słowa brzmiały po polsku: „każdy postępuje według swojego sumienia”. Nie wszyscy, którym tę rolę donosicielstwa proponowano, godzili się na to. Na przykład jeden pan przyznał się mnie, że mu proponowano wynagrodzenie 2 tysiące miesięcznie (na stare pieniądze) aby czasami do mnie na rozmowy przychodził i donosił im wszystko. A że pochodził z Wilna więc sądzono, że będę miał do niego pełne zaufanie .

Donieśli mi także ludzie, że często widywali, wieczorem, szczególnie, gdy było ciemno, pod oknem plebańskim kaprała miejscowej milicji obywatelskiej. Pragnął zapewne coś podsłuchać, względnie śledzić kto przychodził do księdza.

Pewna osoba od samego źródła ostrzegła mnie poufnie: proszę księdza, proszę się strzec, nic nie mówić, nawet do zaufanego Gdy go wezmą na „przesłuchy”, to wszystko powie, co wie, bo mu będzie droższa wolność jego żony, jak również i pięciorga dzieci. W niedługim czasie potem była rzeczywiście rewizja u p. S. w poszukiwaniu u niego tajemnic różańcowych jakoby prowadził zabronioną organizację - żywy różaniec ...

Było to jeszcze w roku 1948 w czasie misji św. w Siecieminiu. Na okres tych ćwiczeń duchowych przybył do tamtejszej gminy zbioro-

wej sam kierownik polityczno - wychowawczy ze Sławna. Był tam całe 3 dni . Zbierał wszystkie donosy i sprawozdania od wywiadowców o kaznodziei, jego naukach, kto chodził na te kazania misyjne itd. Po trzech dniach pobytu opracowane sprawozdanie z tego wszystkiego przepisywała pewna osoba. Jest piątek, dzień generalnej Komunii św. Sekretarz partii idzie rano do kościoła spotyka go w drodze wyżej wspomniany kierownik i pyta: - dokąd pan idzie ?

- Do kościoła - odpowiada. Za kogo pan będzie się modlił ? Za siebie - odpowiada - i za pana też.

Dobrze - niech się pan i za mnie pomodli...

Biedni ludzie. Nie mogli sami pójść do kościoła, ale w cichości tęsknili i wzdychali do modlitwy. Bo „anima humana naturaliter est ahri-stiana” (słowa Tertuliana, III wiek).

Reasumując powyższe należy stwierdzić i ubolewać nad tym, że tyle pieniędzy państwowych idzie na wszystkich księży. I śledzi się księży, którzy swoją duchową działalnością walnie przyczyniają się do scalenia tych Odzyskanych Ziem z Macierzą. Ile by można było zrobić dobrego dla odbudowy naszej Ojczyzny!

* * *

Plan założenia Spółdzielni Produkcyjnej w Siecieminiu istniał od dawna. Nie ujawniono go jednak od razu. Początkowo przekonywali do niej urzędników gminy i członków partii. Później wspomiano o niej mimochodem. Rolnicy jednak ustosunkowali się do niej negatywnie. Ale partia nalegała.

Wreszcie szukano sposobów, jakby ludność przymusić do tej socjalistycznej gospodarki rolnej. W roku 1950 wpadli na oryginalną myśl, którą ujawniono na zebraniu partyjnym: zaaresztować miejscowego proboszcza i dwóch obywateli z Sieciemina cieszących się dużym zaufaniem w gminie. A to w tym celu, aby potem za cenę uwolnienia ich zgodzili się parafialnie na założenie Spółdzielni Produkcyjnej.

Dowiedziałem się o tych planach i zamiarach od jednego parafianina należącego do partii i obecnego na tym zebraniu. Osobiście tę wiadomość oddałem Opatrzności Bożej i woli Bożej.

Z własnego bowiem doświadczenia przekonałem się, że najlepiej zdać się na wolę Przełożonych. Nigdy tego nie żałowałem. Z perspektywy lat zawsze wychodziło to lepiej niżeli iść za swoją wolą. Tu przypominają mi się słowa ks. Piotra z „Dziadów” A. Mickiewicza:

„Czymże ja jestem przed Twym obliczem Panie?

- Prochem i niczym !

ale, gdym Tobie moją nicość wyśpowiadał: ja proch, będę z Panem gadał !”

* * *

W roku 1951, w styczniu otrzymałem już po raz trzeci propozycje od Administratora Apostolskiego Ks. Biskupa Nowickiego przeniesienie mnie do innej parafii w Mielnie k. Koszalina z tym, że mam tam zostać dziekanem koszalińskim. I polecił mi ks. Biskup pojechać tam, oglądnąć i zdecydować niezwłocznie. Nastąpił nowy rozdział pracy duszpasterskiej.

Do Sieciemina przybył na moje miejsce ks. proboszcz Tadeusz Bieńkowski, młody, gorliwy kapłan. Krótco był w Sieciminie, ale zrobił też dużo w tym czasie. Niestety zdrowie mu nie służyło, przeszedł gdzie indziej. Do Sieciemina przyszedł ks. Edward Mokrzycki, pasterzujący do dnia dzisiejszego²⁶ - ku chwale bożej i pożytkowi dusz.

²⁶ Proboszczem był do 1984 roku

Nota wydawnicza

Na początku 2008 roku ukazał się tom wspomnień dawnych mieszkańców powiatu sławieńskiego – Polaków i Niemców – pokazujący powiat w roku 1945 - tuż przed i po wkroczeniu wojsk radzieckich i organizującej się niedługo później polskiej administracji. Był to czas zmiany Pommern w Pomorze, Kreis Schlawe w Powiat Sławieński – wyjeżdżali przynosowo wysiedlani Niemcy, a przybywali z wielu stron polscy odsadnicy.

Tom niniejszy zawiera kilka wspomnień z terenu powiatu sławieńskiego obejmujący lata czterdzieste i pięćdziesiąte i częściowo sześćdziesiąte XX wieku, a więc z okresu zaraz po wojnie.

Teksty zawarte w tomie powstały w różnym czasie: zarówno w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku, jak również współcześnie na potrzeby tej książki.

W tekstach pisanych przez lata – z jednym wyjątkiem, obecny jest ślad czasu – akceptacja powojennej rzeczywistości. Trudno dziś orzec jednoznacznie, w jakim stopniu działała tu cenzura wewnętrzna (bo przecież teksty nie były pisane do druku) – a w jakim stopniu ich autorzy byli przekonani o słuszności postępowania władzy realizującej socjalizm w wydaniu leninowsko – stalinowskim. W pierwszych latach po wojnie znaczna część inteligencji była zacadzona nowym ustrojem przynoszącym radykalne zmiany. Dopiero po latach wielu zorientowało się, że Lenin „to Marks poprawiony i zepsuty”, a rzeczywisty socjalizm realizował się w niektórych państwach dobrobytu na Zachodzie.

Tytuł – Zaraz po wojnie – mówi o okresie, którego dotyczą wspomnienia, a więc kilkunastu lat po roku 1945. Tak też roboczo nazywała się głośna powieść Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament” pokazująca nastroje polskiego społeczeństwa po kilkuletniej okupacji i rewolucyjnym zwrocie. Pod takim tytułem była drukowana w odcinkach na łamach tygodnika „Odrodzenie” w 1947 roku (w numerach 3-22).

* * *

Tom zawiera 16 tekstów, które powstały w różnym czasie. W przeważającej większości nie były nigdy publikowane.

Współcześnie powstały następujące teksty:

- **Jadwigi Lammer** , publikowany był w „Szepcie Postomina”, w numerach 4 , kwiecień 2008, s. 10 oraz 6, czerwiec 2008, s. 15

Jadwiga Lammer - swoje dzieciństwo i lata młode spędziła w Karsinie (gm. Postomino). Od kilkunastu lat zamieszkuje w Wiesenfeld (Niemcy). Śpiewa w miejscowym chórze (sopran). Spisuje wspomnienia z lat swego dzieciństwa, próbuje swych sił w poezji, co publikuje na łamach lokalnej prasy (Szept Postomina).

- **Stanisławy Paszyk** , zamieszczony także w „Szepcie Postomina” , w numerach 4 , kwiecień 2008, s. 10 i 7 , lipiec 2008, s. 10-11.

Stanisława Paszyk - córka legionisty Michała Saletry, który jako ochotnik, wraz ze swoim bratem Janem, walczył w wojnie 1920 roku. Urodzona w miejscowości Święty Krzyż. Absolwentka Liceum Pedagogicznego w Kielcach, Studium Nauczycielskiego w Kołobrzegu i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku (filologia polska). Do Karsina (gm. Postomino) przybyła 31 sierpnia 1955 roku z nakazem pracy. Nauczycielka i dyrektorka miejscowej (już nieistniejącej) szkoły podstawowej. Pisze kronikę rodzinną Paszyków i Saletrów. Próbuje swych sił w poezji (liczne publikacje na łamach Szepu Postomina).

- **Weroniki Nowak** , publikowany w „Szepcie Postomina” , nr 2 z 2009 roku, s. 5,

Weronika Nowak - córka rolników z Szykielowa spod Wielunia. Do Złakowa przyjechała 17 października 1945 roku z mężem Stanisławem i dwójką małych dzieci. Czas wojny to roboty przymusowe w niemieckim majątku ziemskim k/Rostocku. Jest matką Henryka, pierwszego Polaka urodzonego w polskim Złakowie, który od ponad 30. lat sołtysuje tej miejscowości . Jako prawie 89- latka uprawia samodzielnie swój 14-arowy ogródek warzywny; kopie, sadi, pielęgnuje, zbiera zdrowe warzywa i owoce .

Teksty: Jadwigi Lammer, Stanisławy Paszyk, Weroniki Nowak przekazał redaktor naczelny miesięcznika „Szept Postomina” Sławoj

Zawada. On także udostępnił wspomnienie Agnieszki Kowalskiej – nigdzie wcześniej nie publikowane.

Agnieszka Kowalska - córka górala, przedwojennego oficera wojskowego i robotnicy rolnej. Absolwentka Technikum Rolniczego w Słupsku, z zawodu technik rolnik. Prowadzi wraz z synem 25-hektarowe gospodarstwo rolne w Złakowie, gdzie zamieszkuje od marca 1958 roku. Próbuje swych sił w krótkich formach reportażowych publikowanych na łamach prasy lokalnej (Szept Postomina).

* * *

Także współcześnie powstało napisane na potrzeby tego tomu wspomnienie **Stanisława Poprawskiego** „Wróciliśmy nad Bałtyk” o pierwszych latach w powojennym Sławnie.

Tekst **Zofii Wojny** o obozie junaczek w Przylaskach koło Sławna na początku lat 50-tych, powstał w roku 2009. Autorka była nauczycielką. Mieszka w Sokolnikach k. Łodzi. Po ponad pół wieku odwiedziła Sławno i miejsce swojej przymusowej pracy. Wrażenia obecne i wspomnienia opisała w liście do ks. prałata Mariana Dziemianki, który udostępnił ten tekst redakcji tegoż wydawnictwa, a wydany zostaje drukiem za zgodą Autorki.

Wspomnienie proboszcza w Siecieminiu w latach 1946-1951 ks. **Antoniego Wolek – Waclawskiego**, spisane zostało w Człuchowie w 1970 roku, kiedy autor był już na emeryturze, Tekst udostępnił Andrzej Dębowski z Iwęcina.

W połowie lat 60 – tych XX wieku napisane zostały na prośbę dr **Stanisława Cioska** wspomnienia pracowników oświaty w powiecie sławieńskim: **Franciszka Balsama, Tadeusza Gabrysiewicza, Bronisława Kruszelnickiego, Marii Kufel, Alojzego Lewandowskiego, Tadeusza Łaszczu, Edmunda Planka i Jan Sawczyna.**

Dr S. Ciosk wyraził zgodę na ich publikację.

Tom zawiera także wspomnienia **Aleksandra Tarnowskiego** dotyczą Darłowa w pierwszych latach po wojnie.

Aleksander Tarnowski (1884-1961) erudyta i poliglota po wojennej tułaczce znalazł się w maju 1946 roku w Darłowie i zatrudniony został przez Amelię Łączyńską na stanowisku dozorczy i przewodnika, a po jej wyjeździe jesienią w 1946 roku został kierownikiem mu-

zeum. Z Darłowa wyjechał w październiku w 1958 roku. Zmarł w 1961 roku w Opolu. Pamiętnik obejmuje okres darłowski - lata 1946-1958.

„12 lat na Zamku w Darłowie” publikowane było w obszernych fragmentach na łamach sławieńskiego rocznika „Dorzecze” (Nr 10, 2000, s. 24-68) oraz w niewielkim fragmencie w książce : Korzenie tradycji. Od ojcowizny do ojczyzny. Materiały opracowane z okazji Obchodów Europejskich Dni Dziedzictwa 2008 w województwie zachodniopomorskim. Szczecin 2008, s. 55-63.

Jan Sroka

Spis treści

Słowo wstępne Starosty Andrzeja Lewandowskiego	3
Franciszek Balsam : Wspomnienia nauczyciela z lat 1945-1965	5
Tadeusz Gabrysiewicz: Wspomnienie podinspektora szkolnego Oświaty i Kultury.....	9
Agnieszka Kowalska: Złakowskie biografie.....	13
Bronisław Kruszelnicki: Wspomnienia z powojennego Sławna	27
Maria Kufel: We Wrześnicy po wojnie	31
Jadwiga Lamer: Wspomnienia z Karsina	35
Alojzy Lewandowski: Wspomnienia nauczyciela z 1946-1949	39
Tadeusz Łaszcz: Wspomnienia nauczyciela	55
Weronika Nowak: Moje pierwsze lata w Złakowie	57
Stanisława Paszylk: Karsino oczami Stanisławy Paszylk	61
Edmund Plank: Wspomnienia nauczyciela z lat 1945-1965	65
Stanisław Poprawski: Wróciliśmy nad Bałtyk	79
Jan Sawczyn: Informacja z lat 1945 – 1947	95
Aleksander Tarnowski: 12 lat na Zamku w Darłowie	97
Zofia Wojna: Obóz junaczek w Przylaskach	227
ks. Antoni Wołek – Waclawski: Wspomnienia duszpasterskie	231
Nota wydawnicza	259

